

LUKSUSOWY JACHT, SZAMPAN, PARA KAJDANEK I NÓŻ.
PERWERSYJNA GRA O WSZYSTKO. NAPIĘCIE JAK U **HITCHCOCKA**.

SZKLANE ŻĄDŁO

BARTŁOMIEJ ŚWIDERSKI

BARTŁOMIEJ ŚWIDERSKI

SZKLANE ŻĄDŁO



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Lubię zegary ze wskazówkami. Na ich tarczach czas zatacza koło, wskazówki obracają się jak Ziemia i codziennie wracają do punktu wyjścia. Nawet dwa razy dziennie. Jeśli jest datownik, on też przesuwa się z krzepiącą powtarzalnością, cyfry znikają o północy, ale po miesiącu wracają, można na nich polegać.

Nie przepadam za zegarkami elektronicznymi, zwłaszcza tymi pokazującymi rok. Ta dwójka z przodu mi nie pasuje, szczerze mówiąc, dla mnie czas mógłby stanąć w latach osiemdziesiątych, to znaczy cywilizacja mogłaby się zatrzymać na tamtym etapie. Były już wtedy wszystkie przyteczne wynalazki, takie jak zegarki, kina, płyty CD, lodówki, samochody, antybiotyki, a nie było tylu pożeraczy czasu co dzisiaj. Ludzie chodzili do kina, dziś instalują je sobie w domu: cztery kolumny plus głośnik basowy, plus odtwarzacz, plus ekran wielkości okna. W domu, na działce, nawet na łódce. Przy pomocy dryfował właśnie włoski jacht z silnikiem, który poderwałby z miejsca tira, ze skórzaną tapicerką i poręczami z giętego drewna orzechowego oraz z kinem domowym pod pokładem. W pakiecie dostałem od dilerza zegarek, który wytrzymuje dziesięć atmosfer, co teoretycznie odpowiada zanurzeniu na głębokość stu metrów.

Nigdy nie zszedłem pod wodę głębiej niż na cztery, pięć metrów. Jeśli kiedyś zanurkuję niżej, to raczej nie po to, żeby sprawdzać, która godzina.

Miał jednak wskazówki, a nie wyświetlacz, więc go nosiłem.

Ta krótsza celuje teraz w złotą trójkę.

Wiele bym dał, żeby to była piętnasta poprzedniego dnia, kiedy na podłodze łódki nie walał się kawałek mojego ucha, a ja nie przyciskałem do głowy ręcznika lepkiego od krwi. Właśnie przestała płynąć, nie byłem jednak pewny, czy się z tego cieszyć. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdyby rana zaczęła się goić dopiero po zszyciu, ale lekarz już pojechał, a karetka, która miała mnie zawieźć do szpitala, spóźniła się.

Dwanaście godzin temu byłem cały i zdrowy i mogłem jednym ruchem skierować wydarzenia na inne tory, ale nie da się cofnąć czasu i wcale nie zatacza on koła. To tylko takie gadanie. Figura retoryczna. „Wczoraj” należy do przeszłości w równym stopniu co lata osiemdziesiąte. Wskazówki zegara obracają się tylko w jedną stronę, ręczne cofanie ich da tyle, ile zawracanie kijem rzeki. Całe zło już się dokonało i miałem przechlapanie jak jeszcze nigdy w życiu.

DZIEŃ PIERWSZY

Księżyc zalewał polanę niebieskawym światłem, w którym twarze traciły kolor, płeć, wiek i upodabniały się do siebie jak maski odlane według jednego wzoru. Ludzie przypominali półżywych pacjentów szpitala poderwanych z łóżek nocnym alarmem. Krążyli między pomostem a zaparkowanymi przy drodze samochodami, pomstując na dyżurną drzemającą teraz za biurkiem w ciepłej komendzie i ignorującą ich telefony, na przenikliwy chłód wdzierający się każdą szczeliną za lekkich na tak późną porę ubrań, przeklinając walające się wszędzie śmieci i wystające korzenie, o które się potykali. Zaspani potykali się wciąż w tych samych miejscach, złorzecząc kobiecie, która nie mogła ich usłyszeć, co rodziło podejrzenie, że w szpitalu, z którego przed chwilą ich wypuszczono, nie było klamek.

Wyszyński zaparkował passata obok radiowozu z włączonym kogutem. Migające światło na dachu furgonetki, z której dwie godziny temu rozeszło się wezwanie o wsparcie, było dla niego jedynym punktem orientacyjnym na ostatnim odcinku polnej drogi. Równocześnie z silnikiem jego auta ucichł jazgot elektrycznych gitar, za pomocą którego od dłuższej chwili próbował się dobudzić. Wyjął kluczyk ze stacyjki, otworzył schowek i błędził przez chwilę ręką w stosie płyt. W końcu natrafił na podłużną latarkę, włączył ją na próbę, wyłączył i schował do kieszeni. Wysiadł, z ulgą prostując zeszywniałe kolana. Dobięły go ochryple pomruki funkcjonariuszy, zapach kawy i papierosów.

– Dobry wieczór, komisarzu. Zaczęliśmy już...

Dał aspirantowi znak, by zaczekał, i cofnął się do auta. Wyjął szarą bluzę z kapturem, rozgrzaną w klimatyzowanym wnętrzu. Wciągnął ją przez głowę i założył wełnianą czapkę rybacką, po czym palcami odnalazł na niej szew i przesunął go na tył głowy.

– Prokurator będzie za godzinę, zaczęliśmy bez niego. Lekarz przed chwilą dostał wezwanie do szpitala, jakaś pilna sprawa, może jeszcze wróci i dokończy oględziny. Proszę.

Podziękował za parujący kubek i zmierzył wzrokiem Woźniaka. Aspirant miał na sobie koszulę w paski i krawat w paski, co w niebieskawej poświacie czyniło z niego chodzącą iluzję optyczną. Należało jednak docenić jego wysiłki, by o trzeciej nad ranem wyglądać jak śledczy na służbie.

Obok wozu policyjnego lśniło grafitowe porsche cayenne.

– Należy do właściciela łodzi, Olafa Dzikiego – poinformował komisarza aspirant.

– Badaliśmy ślady opon tutaj i na drodze dojazdowej, ale po deszczu niewiele z tego zostało. Na pewno w ciągu ostatnich paru godzin był tu jakiś większy samochód. Może dostawczak. Zrobiłem zdjęcia śladów, ale bieżnik był już zatarty, szanse na ustalenie marki raczej małe.

Ruszyli w stronę pomostu. Komisarz odpowiedział gestem na pozdrowienie policjantki z patrolu siedzącej na fotelu kierowcy radiowozu.

– Ofiara to Agnieszka Malik, trzydzieści jeden lat, niekarana, nienotowana...

– raportował Woźniak. – Miała przy sobie dowód... To znaczy w rzeczach, bo przy sobie

to miała niewiele... Sam pan zobaczy.

Zalew odgradzał od trawnika rząd niskich drzew. Ścieżka skręcała w prześwit, a gdy go pokonali, znaleźli się parę metrów od brzegu. Przeskok w otwartą przestrzeń sprawił, że obaj zwolnili, podopinali guziki i suwaki. Chłodny powiew niósł mdlącą mieszankę zapachów smaru, rozmokłego drewna i wodorostów. Tafla wody wyglądała jak replika rozgwieżdżonego nieba ze srebrną smugą w miejscu, w którym pod kątem odbijał się księżyc. Przy pomoście butwiała odrapana łódka ze śladem po wymontowanym motorze, dwa kajaki, rower wodny z ułamanymi pedałami oraz nieduża żaglówka. Dalej, w przejrzystym nocnym powietrzu, sterczała sylwetka jachtu motorowego. Z chromowymi poręczami, przyciemnianymi szybami i opływowym profilem rzucała się w oczy niczym nowa korweta omyłkowo odholowana na złomowisko. Mętna woda uderzała o burtę z napisem „Szkłane Żądło” biegnącym od spiczastego dziobu do podłużnego bulaja.

Wyszyński upił łyk kawy i ruszył w stronę łodzi. Z trzeszczącym pomostem łączyła ją cuma wypuszczona z prawej burty. Pociągnął za nią i wskoczył na pokład, za nim wgramolił się Woźniak. Minęli kokpit ze staromodnym kołem sterowym z sześcioma szprychami, które w niebieskawej poświacie lampek kontrolnych zdawało się wisieć w powietrzu. Przytrzymując się poręczy, przeszli na rufę, skąd w dół prowadziły schodki pokryte niebieską wykładziną. Komisarz wziął od aspiranta gumowe rękawiczki i zakładając je, zszedł pod pokład.

Uchwyty lśniące w miodowym świetle kinkietów, biała skórzana tapicerka, drewniane wykończenia – wewnątrz również nasuwało skojarzenia z luksusowym wozem. W gablocie wpuszczonej w ścianę wisiał zabytkowy kompas wielkości ściennego zegara. Przy wejściu kończył się zaokrąglony, sięgający piersi blat, drugim końcem oparty o kontuar barku. Na szklanych półkach stały kieliszki i kolorowe butelki, a na blacie posrebrzany pojemnik na lód z wystającą szyjką butelki bez korka. Z czterech ustawionych w rzędzie stołków jeden był lekko przekrzywiony, a nad nim pochylał się manekin przebrany za pirata, jakby chciał go wyprostować. Wykładzinę przy jego drewnianej nodze zdobiła plama. Komisarz kucnął, dotknął jej palcami, podniósł dłoń i pociągnął nosem.

– Pewnie płynęli do Cannes i zabłądzili tu – odezwał się na widok komisarza rozparty w fotelu sierżant Siwiec. Podniósł się powoli, zgarniając poły rozpiętej koszuli.
– Dobry wieczór...

Wyszyński zignorował go, skupiony na dreszczu przebiegającym mu właśnie od głowy, wzdłuż kręgosłupa, ku łędwiom. Czekał na niego od godziny, od kiedy telefon poderwał go z łóżka, i powitał z satysfakcją jako nagrodę za pobudkę w środku nocy. W uszach zadźwięczał mu polifoniczny chór, odległy jak wspomnienie zeszłorocznej Gwiazdki, przecięty solówką gitary elektrycznej. Odpłynął, by chwilę później powrócić do pełnego skupienia na tu i teraz.

Kwadratowy materac, dwa na dwa metry, opinał kremowy jedwab, teraz prawie cały nasączony krwią. Leżała na nim naga kobieta z rozrzuconymi rękami przypiętymi dwiema parami kajdanek do ramy łóżka. Otwarte oczy były skierowane w sufit. Piersi z drobnymi sutkami również celowały w górę, choć lewa pod własnym ciężarem opadła

nico na bok. Cięcia upodabniały ją do zezującego przekrwionego oka.

Komisarz stanął przy łóżku i w ciągu paru sekund zarejestrował, co następuje: metaliczny zapach krwi zmieszany z korzennym aromatem perfum i odległą nutą wymiocin, rozlanych chyba w innym pomieszczeniu, futrzane obszycia kajdanek, wysoki wzrost kobiety (na oko metr osiemdziesiąt), czarną plamkę w kąciku jej ust wyglądającą jak zaschnięta krew, bąbelki piany na dolnej wardze, lekko zażółconą lewą powiekę, jak po siniaku sprzed trzech tygodni, czarną przepaskę na szyi ze smugą szminki (a więc prawdopodobnie zsuniętą z ust), kiełkujące pod pachami włoski (ogolone zapewne wcześniej niż dobę temu), klasycznie zawiązany pępek wielkości ziarna grochu oraz trzy cięcia na piersi w kształcie małych dysków centymetrowej średnicy. Pociągnięte granatowym lakierem paznokcie palców wskazującego i środkowego prawej dłoni były o dwa milimetry krótsze niż pozostałe.

Na dywaniku przy łóżku leżał różowy strzęp oznakowany tabliczką z numerem „5”. Wyszyński pochylił się nad dowodem rzeczowym o wyglądzie przeżutej śliwki.

– Płatek ucha.

Spojrzał zaskoczony na sierżanta.

– Odgryziony. Właścicielowi jachtu i porsche na brzegu – wyjaśnił tamten, wskazując bezwiednie w stronę niewidocznego z kajuty auta.

– Mirecki nawet chciał je przyszyć – odezwał się Woźniak. – Zaproponował facetowi kurs do szpitala, ale tamten nie wyraził zainteresowania. Chyba w szoku był. A teraz to już pewnie za późno...

Chłodny dreszcz tymczasem osiadał w brzuchu komisarza, niczym zwały mgły. Idealny moment na drugi łyk kawy.

– Wytlumaczcie mi coś. – Siwiec wskazał wystawiony w gablotce model jachtu z zagleń wielkości chusteczki do nosa. – Dzieciaki składają sobie takie, żeby udawać, że mają prawdziwe. Ale jak się ma prawdziwy, to po co takie coś?

Woźniak zdjął z ramienia torbę i wyjął z niej aparat.

– Jesteś pewny, że w raporcie odnotowałeś wszystkie ślady?

– Tak jest...

– Że napisałeś o odgryzionym uchu, na przykład, plamie na dywanie i krwi w toalecie?

– Napisałem, napisałem – mruknął sierżant, ale nie mógł się powstrzymać od zerknięcia do raportu, jakby chciał się upewnić.

– To może raz zrobimy oględziny zwłok jak należy, a ty wszystko odnotujesz, dla odmiany po polsku? Żebyś znowu nie narobił sobie obciachu na odprawie?

– Wszystko mam pisać? I to, że znowu nie ma tu prokuratora ani lekarza? – spytał Siwiec, ale czując na sobie zimny wzrok komisarza i aspiranta, dodał szybko: – Dobra, już dobra, nic nie mówię...

Wrócił na krzesło i z naburmuszoną miną pochylił się nad papierami. Aspirant patrzył na niego z mieszaniną rozbawienia i współczucia, jak na niedorozwinięte dziecko.

– Bogacze to świry, za nimi nie trafisz – orzekł ugodowo, przecierając pasiastym krawatem szkielek flesza. – Na jachtach montują sobie kina domowe, w gablotach jachty, a w zębach diamenty.

Sierżant przyjął niewidzialną rękę wyciągniętą do zgody.

– W zębach? – mruknął. – Znaczą, wstawiają se diamentowe zęby?

– Robią sobie dziury z przodu, w jedyńkach na przykład, i pakują tam kamienie
– wyjaśnił Woźniak. – Dentyści to robią, jeszcze bogatsi od nich. Szmaragdy, bracie, rubiny, co mają pod ręką.

– Gadasz!

– Popracujemy trochę? – spytał Wyszyński.

Kiedy nie odzywasz się od wejścia do pomieszczenia i po kwadransie nagle coś powiesz, ludzie cię słuchają. Sierżant aż podskoczył, a zakłopotany aspirant odchrząknął, uniósł aparat i zdjął osłonę z obiektywu. Komisarz, stwierdziwszy z satysfakcją, że jego system działa, delikatnie chwycił prawą dłoń kobiety i wskazał na nierówne paznokcie, które chciał utrwalić na pierwszym zdjęciu.

Bogaci mają takie same problemy jak inni ludzie, z wyjątkiem finansowych. Tak powiedział ktoś mądry i ja to potwierdzam. Poznałem paru milionerów i nie sądzę, żeby różnili się od zwykłych ludzi. Może jeden, którego spotkałem w Juracie na jakimś przyjęciu, wyjątkowo dziwny typ. Cały czas się uśmiechał i obserwował wszystko jak wielkie czterdziestoletnie niemowlę albo żywy posąg Buddy. Jeździł na wózku, którym sterował za pomocą pałeczki zainstalowanej w podłokietniku. Wymieniliśmy parę uwag o Lidze Mistrzów, bo na tarasie, na którym rozmawialiśmy, wisiał telewizor i właśnie leciał mecz. Facet znał się na rzeczy, podsunął mi parę typów, na których potem zarobiłem w sumie kilkanaście patyków. Zrobił to zupełnie bezinteresownie, nie oczekiwał żadnego rewanzu. Wydaje mi się, że zachowywał się tak z powodu choroby, a nie bogactwa. Miał dwóch braci i siostrę, wszyscy odziedziczyli taką kupę forsy, że nawet jej ćwiartka stanowiła fortunę, ale tamci nie byli ani głębsi czy bystrzejsi, a już na pewno nie bardziej hojni od „zwykłych ludzi”; szarpali się o spadek do krwi i to podobno dosłownie. Tylko ich braciszek na wózku wyglądał i gadał jak przybysz z innej planety.

Według mnie nie ma jakiejś kategorii ludzi „ustawowo” wybijającej się ponad przeciętność. Czasy arystokracji minęły i jeśli ktoś liczy, że na przykład artyści, politycy czy jacyś celebryci ulepieni są z innej gliny, to może się tylko rozczarować. Tak sądzę. Kiedyś wydawało mi się, że taką elitę tworzą ludzie piękni. Nie mówię tu o przystojnych facetach czy ładnych dziewczynach, tylko o ludziach z twarzami aniołów, które zstąpiły z nieba, by pokazać, na co stać Stwórcę. Wydawało mi się, że tacy szczęśliwcy nigdy nie musieli o nic prosić, bo dostawali wszystko na tacy, a świat uśmiechał się do nich, jakby codziennie obchodzili urodziny. Nie nauczyli się tych pokrętnych gier, którymi przeciętniacy oswajają rzeczywistość, nie znali lęku, wstydu, rozpaczającej z rozwianych marzeń, nie moczyli się w nocy, nie kaleczyli kolan, przedzierając się przez ogrodzenia po kradzione jabłka, a potem nie uciekali, jakby gonił ich sam szatan. Nikt nie pstrykał ich zniecka w odstające uszy, nie rysował karykatur na lekcjach, nie przeżywał goblinami. Taką sielankę mogłem sobie tylko wyobrazić, sam nie byłem adoniszem, nawet z obydwoma małżowinami w całości przypominałem raczej szkic do portretu niż gotowe dzieło. Dość wcześnie zorientowałem się, że życie to nie piknik. Musiałem się naprawdę

wysilić, by ktoś zwrócił na mnie uwagę, szarpać się o każdy ochłap i rozpychać łokciami. Mozolnie wspinałem się po drabinie, na której tamci stali zawsze o szczebel wyżej. Uśmiechnięci, czyści, nieskażeni zdradą i perfidią, jakby sfrunęli z góry. Jak anioły.

Gdy przyłapywałem któregoś z nich na podłości, tłumaczyłem to sobie brakiem empatii, której nie mieli szansy rozwinąć. Dla kogoś, kto doświadcza tylko dobra, zło pozostaje abstrakcją, więc brakowało im tego pierwotnego, instynktownego powodu, by nie ranić innych. Mogli się utożsamiać chyba tylko z podobnymi sobie, tworząc jakiś Nietzscheński krąg Übermenschów. Ten chłód, tworzenie elit i emocjonalna izolacja od słabszej części ludzkości w moich oczach nie psuły ich wizerunku, o nie, to był ten rodzaj rysy, który potwierdza autentyczność diamentu. Wciąż byli substancjalnie inni.

A potem poznałem Agnieszkę.

Widząc ją po raz pierwszy, od razu ustawiłem ją na piedestale w tej anielskiej kategorii nadludzi. Nie była może klasyczną pięknoscią, ale wysoki wzrost, charyzma i to trudne do zdefiniowania wewnętrzne światło sprawiały, że nie potrafiłem spojrzeć wprost na nią, zerkałem tylko ukradkiem jak na mijaną na ulicy sławną aktorkę. Albo na słońce. Po tygodniu wspólnych zajęć zebrałem się na odwagę i zadałem jej niewinne pytanie o godzinę rozpoczęcia jakichś ćwiczeń. Spojrzała na mnie z góry – jak mi się wydawało: z dziesiątego piętra swojego majestatu – i wzruszyła ramionami. Nie odpowiedziała. Po czym zjawiała się na nich punktualnie, mijając mnie bez cienia zakłopotania.

Potrzeba było trzynastu lat, podczas których w pocie czoła zbijałem ten najłatwiejszy do zdobycia kapitał – finansowy – żebym poczuł się wywindowany na jej „piętro”. Potem jeszcze godzinnej rozmowy, żeby ona uznała mój nowy status i potraktowała mnie jak równorzędnego partnera. Potem pocałunku, internetowego czatu i paru kieliszków wina, żebyśmy zostali kochankami. Potem znowu paru spotkań i chwili słabości, by zwierzyła mi się, że poczuła się ze mną tak dobrze, że nawet nie chce się zabić.

– Pierwszy raz od dawna. – Uśmiechnęła się, wycierając wilgotne oczy.

– Coś się stało? – spytałem przejęty.

– Nic takiego.

– To dlaczego chciałaś się zabić?

– Prawie zawsze chciałam.

Ochłonawszy, spytałem, jakim cudem taka piękna kobieta może tkwić w permanentnym dołku. Spytała, czy kojarzę Marilyn Monroe. A potem poprosiła, żebym znowu nappełnił jej szklanekę.

Ojciec alkoholik nie bił jej, wyręczała go w tym jej neurotyczna matka. Na całe godziny zamykała ją w szafie. Gdyby nie łyzy i drżący głos Agnieszki, trudno byłoby w to wszystko uwierzyć, takie sceny kojarzą się raczej z kiepskimi dramatami. Okazuje się, że znajdują odzwierciedlenie także w kiepskim życiu. Jej zaczęło się słabo, potem było jeszcze gorzej: gdy ojciec zniknął wreszcie na dobre, matka wpadła w depresję i przestała się nią zajmować, więc wylądowały w domu samotnej matki. Stamtąd Agnieszka trafiła do domu dziecka. O pobycie tam nie chciała opowiadać nawet po kolejnym drinku. I to wszystko zdarzyło się, zanim skończyła siedem lat. Do szkoły poszła z duszą na ramieniu, bojąc się pytań o dom, o rodzinę i o to, kim jest ta pani, która codziennie przyprowadza

ją do szkoły. Niepotrzebnie, bo nikt się nią nie interesował. Na lekcjach czuła się jak piąte koło u wozu, a na przerwach jak szóste czy siódme – inna, zbędna, absurdalna.

Brzmiało znajomo.

Dziecko patrzy na siebie oczami rodziców – to też powiedział ktoś mądry, a ja przy Agnieszce zrozumiałem, ile w tym prawdy. W lustrze nie widziała ślicznej buzi i zgrabnej sylwetki, tylko upierdliwą niezdarę przysparzającą samych kłopotów. Przez szkołę szła jak anioł z podciętymi skrzydłami, z tornistrem pełnym kompleksów. Miłości, którą rodzice karmili inne dzieci, miała tyle, co kot napłakał. Po dwóch latach matka w końcu się pozbierała i zabrała ją do domu, ale jeśli chodzi o podejście do życia, dziewczynka była już „ustawiona”. Wielkiego strachu, którym przesiąkła, nie dało się wywabić, z czasem nauczyła się go maskować. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, na obozie językowym w czasach liceum, uderzyła mnie nie tylko jej uroda, ale i pewność siebie. Patrz – mówiła bez słów – i podziwiał, tylko genetycznie należymy do tego samego gatunku, ale to nie ma znaczenia, bo i tak się nie skrzyżujemy, w każdym razie poza twoimi mokrymi snami. Nie twoja liga.

Trzydzieści lat później doszło jeszcze zabójcze spojrzenie fachowo umalowanych oczu, bluzka z dekoltem, mgiełka drogich perfum. Ona też w międzyczasie zbiła swój najłatwiejszy kapitał – nauczyła się posługiwać wdziękami, w które tak hojnie wyposażyła ją natura. Rodzice nie dali jej miłości, przewodnictwa ani opieki – trzech rzeczy, które mama i tata powinni zapewnić dziecku – za to przekazali DNA pozwalające w pięć minut usidlić dowolnego faceta. Nie chodziło tylko o ciało, wewnętrzne światło emanowało teraz także poprzez intrygujące spojrzenie czy błyskotliwe poczucie humoru, czyniące z niewinnych uwag zaproszenie do podniecającej gry. Potrafiła podkreślić swoje zewnętrzne walory, z każdą zmianą stylu i fryzury zinterpretować je od nowa. Aga z III B, licealna piękność, dzięki wrodzonej inteligencji i nabytemu doświadczeniu zamieniła się w naładowaną feromonami Szałową Agnieszkę – butelkę szampana w spódnicy.

Bezbłędnie grała królową balu, którą nigdy się nie czuła.

Dopiero gdy poznałem ją lepiej, zacząłem dostrzegać przebiecia tego podskórnego napięcia, którym była naładowana. Wychodziło czasem na zdjęciach zrobionych z zaskoczenia. Wiedziała o tym, dlatego słysząc trzask migawki, zawsze chwyciła wycelowany w siebie aparat i często kasowała ujęcia, które uważała za nieudane. W chwilach nagłego wzruszenia lub zdziwienia reagowała z przesadą, którą ludzie brali za egzaltację. Tak naprawdę w spontanicznych okrzykach i gestach rozładowywała skumulowane napięcie. Rano, po przebudzeniu, zanim zdążyła sobie przypomnieć o roli, jaką sobie narzuciła, często drżała i zwijała się w kłębek, jak dziewczynka. Rozklejała się też, kiedy za dużo wypła.

A wszystkie hamulce puszczały jej w łóżku. To było spektakularne, niesamowite... i zaraźliwe. Podniecała mnie jej twarz, ciało i jej własne podniecenie. Ciemny trójkąt u zwieńczenia ud, rozłożysty jak u modelek z lat osiemdziesiątych pozujących do rozkładówek w świerszczykach, z których uczyłem się anatomii. Dorastałem w przekonaniu, że kobieta ma tam włosy, i potem irytowała mnie brazylijska depilacja, której poddawały się moje partnerki. Łyse czy podgolone łona to kolejna ślepa uliczka XXI wieku – tak jak kino domowe czy segwaye – ekscytują chyba tylko pedofilów, którzy

nie potrafią zaakceptować dojrzałej kobiety z jej trzeciorzędnymi cechami płciowymi. Agnieszka szła pod prąd mody, pewna własnego ciała i wrażenia, jakie wywiera w swojej naturalnej odsłonie.

Długo mogę mówić o powodach, dla których wariowaliśmy w łóżku, o konsekwencjach tego zjawiska parę słów zapewne napisał już lekarz, który tej nocy zbadał zwłoki Agnieszki. Być może niektóre hamulce powinny jednak zadziałać. Ale to tak, jak z dzinem, kiedy się go wypuści z butelki – trudno go zamknąć z powrotem. Człowiek może tylko patrzeć na ruinę, w jaką zamienia się jego życie, i szukać na podłodze odgryzionych części ciała. Pod warunkiem, że nie ma na rękach kajdanek, a wokół siebie zgrai policjantów, którzy uniemożliwiają mu nawet to.

Błysk flesza oświetlił bladą twarz i matowe oczy, które wyglądały jak zrobione z plastiku. Zieleń z bursztynowymi smugami okolona długimi rzęsami. Wyszyński uświadomił sobie, że najbliższe dni – a może miesiące – poświęci na rekonstrukcję ostatniego obrazu, który zarejestrowały.

Gdyby siatkówkę denatów można było wywołać jak kliszę, mielibyśmy o połowę mniej roboty, pomyślał kolejny raz, prostując się.

– Ma tu wszystko, nawet kino, a nie mógł sobie zamontować pisuaru? – narzekał sierżant, zakładając gumowe rękawiczki i łokciem domykając drzwi toalety. – Są w najgorszym, zapłutym, publicznym szalecie, zatykasz nos, ale lejesz na luzie. A tu, w pałacu na wodzie, trzeba celować do muszli.

– Nikt ci nie kazał – mruknął Woźniak. – Mogłeś wyjść na brzeg. I mówiłem ci sto razy, żebyś nie zdejmował rękawiczek, nawet tam.

– Niczego nie dotykałem.

– To akurat też niedobrze.

Urażony Siwiec nerwowo przecisnął się obok stolika, strącając teczkę, która z plaśnięciem upadła na podłogę.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”

Policjanci zamarli. W ciszy, która zapadła, słychać było chlupot wody pod pokładem, a potem szczekanie psa gdzieś w oddali.

Spojrzenia mężczyzn powędrowały ku nagiej kobiecie. Jej rozciągnięte na łóżku ciało wydawało się jedynym możliwym źródłem wrzasku osadzonego w tak wysokich rejestrach. Pierwszy ochłonął komisarz. Przeniósł wzrok na teczkę na podłodze, ściągnął brwi i zamrugał. Jak zawsze w chwili skupienia albo stresu jego powieki zaciskały się, jakby coś wpadło mu do obydwu oczu naraz. Po chwili opanował tik, uniósł ręce i klasnął.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”

Woźniak rozluźnił krawat.

– Ja pierdołę, dzizas, fak...

Sierżant sapnął i otworzył usta, ale zwierzchnik gestem pokazał mu, żeby się nie odzywał. Podeszedł do pochylonego manekina w przebraniu pirata. Na jednym z pagonów jego kurtki siedziała pomalowana na niebiesko papuga. Odwrócił się.

– Koniec z klaskaniem.

Podwładni patrzyli na niego tępo.

– Dwa kłaśnięcia i stracimy to nagranie – dodał.

– Nagranie...

– To automatyczny sampler – wyjaśnił, wskazując blaszanego ptaka. – Mój syn miał taki w zabawce.

– Czy pan myśli...

– Myślę, że mamy tutaj krzyk ofiary... Być może ostatni.

Z foliowej torebki leżącej na stole wyjął tabliczkę z szóstką i postawił na ramieniu pirata, obok nagrywarki w kształcie papugi.

– Pierwsze słyszę, żeby na oględzinach odezwała się ofiara...

– Ja pierdołę, dżizas, fak...

Sierżant splunął na wykładzinę. Komisarz przystanął, aspirant wstrzymał oddech, obaj wbili wzrok w podwładnego. Siwiec popatrzył na nich, podrapał się po głowie, a potem nagle podskoczył i padł na kolana.

– O Jezu, przepraszam...

Wyjął chusteczkę i zaczął wcierać plamę w wykładzinę. Wyszyński pokręcił z westchnieniem głową. Po wahaniu klasnął i jeszcze raz wysłuchali protestów denatki.

– To w końcu wolno klaskać czy...

– Tam jest coś jeszcze – przerwał aspirantowi z namysłem. – Jakiś szum w tle.

– Burza?

– Raczej coś mechanicznego... Silnik? Jakaś suszarka? Zanotuj, Siwiec, że szóstka ma pójść do techników, niech przeanalizują ten zapis.

Uniósł dłoń i pstryknął palcami. W oświetlonym złotymi lampami, wykończonym drewnem i skórą wnętrzu znowu rozległ się krzyk:

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”.

Agnieszka była jak lamborghini: drapieżna i kapryśna, z włoskim temperamentem, urodą i zawodnym napędem. Z braku solidnej konstrukcji musiała błyszczeć, epatować finezyjną linią, by klient nawet nie pomyślał o zaglądaniu pod maskę. Piękno, które się tam kryło, było mniej oczywiste. W nim też można było się zakochać, o tak, i to uczucie wiązało mocniej niż fascynacja efektowną powłoką, zwłaszcza jeśli samemu pod maską nie wszystko miało się idealnie poukładane. W pierwszej chwili jednak na widok tej plątaniny pogiętych przekładni i zasupłanych kabelków człowiek otwierał szeroko oczy i drapał się po głowie.

Pięknosc z zadra w sercu, bóstwo z przetrąconym kręgosłupem, destrukcyjna femme fatale... Zresztą nie jestem poetą, by tworzyć tu jakiś „portret damy”, poza tym jako kochanek pogrążony w żalobie mam tendencję do idealizowania i biadolenia. Tonacja elegii włącza się sama, chcesz napisać coś po prostu, od serca, a wychodzi tren. Agnieszka nie była ideałem, tylko normalną kobietą z krwi i kości, dlatego tu zakończę liryczne wyznania i przytoczę kilka scen, które pokażą Agnieszkę „w ruchu”. Działanie ujawnia naturę człowieka, tak jak trasa pokazuje rzeczywistą wartość auta. Frajerzy kierują się opisem technicznym, wyglądem czy zachwytyami dilera, przytomny nabywca

zaczyna testowanie modelu od jazdy próbnej.

A gdy już z tych paru zdarzeń wyłoni się obraz mojej świętej pamięci byłej, to, dlaczego umarła, wyjaśni się samo. Bo jej koniec był konsekwencją jej charakteru, tkwił zakodowany w zakamarkach „włoskiego” wnętrza jak układ samozniszczenia w urządzeniach wywiadowczych.

W niektórych z tych sytuacji uczestniczyłem, o innych mi opowiedziała, jednak poznałem ją na tyle dobrze, że umiem dopowiedzieć sobie to, czego nie widziałem, i usłyszeć to, czego nie słyszałem. Była mi bliska jak nikt inny, odkąd opuściłem łono matki, „nasze serca były w jednym rytmie” – jak śpiewają w piosenkach – i dlatego potrafię spojrzeć na świat jej oczami, dotykać go jej palcami, poczuć jej nosem. Teraz nie zostało mi nic innego jak łowienie tych strzępów, półsłów, flashbacków i domysłów, szycie z nich Agnieszki i wchodzenie w jej spreparowaną skórę. Tylko tak mogę teraz w nią wejść.

Do pierwszego incydentu, jaki przychodzi mi do głowy, doszło jesienią ubiegłego roku, a więc tuż przed naszym ponownym spotkaniem. Opowiedziała mi o nim podczas oglądania zdjęć, wśród których było parę autoportretów zrobionych na ostatnim piętrze Pałacu Kultury. Zwróciłem uwagę, że w ogóle nie widać na nich tła, na dobrą sprawę mogła je zrobić gdziekolwiek, bez kupowania biletu i wjeżdżania zatłoczoną windą na „dach stolicy”. Roześmiała się i wyznała, że nie jestem pierwszą osobą, która zwróciła na to uwagę.

Agnieszka wyszła na taras zawieszony nad miastem, które tak dobrze знаła. Podeszła do barierki, by utwierdzić się w swoich podejrzeniach – z góry wcale nie wyglądało lepiej niż z dołu. Chyba tylko dzieci mogą bawić „ludzie jak mrówki”, chmury na wysokości wzroku, widok setek domów naraz oraz wulgaryzmy wypisane na filarach. Obok niej kręciła się właśnie grupka nastolatek w identycznych spodniach – opiętych na łydkach, z krokiem w kolanach – modnych parę sezonów temu. Musiały przyjechać z daleka. Chichocząc, pokazywały sobie tramwaj, który przypominał im kolejkę elektryczną sunącą między budynkami jak z klocków lego. Jedna z nich z flamastrem w dłoni zaczęła zastanawiać się na głos, w jakiej formie poinformować świat o swoim ostatnim związku.

Agnieszka wyjęła komórkę i uśmiechnęła się do siebie. Nie różniła się od nich zbyt wiele. Stała w kolejce, kupiła bilet i gniotła się w ciasnej windzie wyłącznie z jednego powodu: bo nigdy wcześniej tu nie była. Chłonęła widoki i podniecony gwar jak tlen, i to ten głód nowych doznań nie pozwalał jej w niedzielne popołudnie zaparzyć sobie herbaty, wsunąć stóp w kaptur i wyciągnąć się przed telewizorem, tak jak jej ustawkowani rówieśnicy.

Uniosła telefon, ale po namyśle odwróciła się plecami do barierki, wyprostowała rękę i ustawiła obiektyw na wysokości twarzy. Błysnął flesz, rozległ się trzask. Kontrolnie spojrzała na wyświetlacz.

– Trzeba wyłączyć lampkę. – Przez ramię zaglądał jej szpakowaty mężczyzna z bordową apaszką na szyi. – Można to zrobić w ustawieniach...

Opalonym palcem ze spiłowanym paznokciem wskazał ekran komórki. Mówił z lekkim akcentem, pachniał tytoniem i kawą. Był od niej o głowę niższy. Odchrząknęła i nadała swojemu głosowi obojętny, zbywający ton:

– Po co?

– Żeby było widać tło.

Odwrócił się i zatoczył ręką krąg.

– Po co? – tym razem powiedziała to normalnym tonem.

– Żeby... – Mężczyzna urwał, uniósł brwi i się roześmiał. Spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem, które nagrodziła lekkim uśmiechem.

Komisarz przebiegł wzrokiem raport.

– Siwiec! Przez jakie „u” pisze się „skuta”?

Sierżant ściągnął brwi, a Wyszyński, kręcąc głową, wziął długopis i naniósł poprawkę.

– Gdzie Mirecki mierzył jej temperaturę?

– W tyłku, panie komisarzu.

– No właśnie widzę, że nie ma wkłucia do wątroby... A przecież miał wozić ze sobą ten nowy termometr.

– W tyłku mierzył, panie komisarzu – powtórzył sierżant. – Normalnym termometrem. I wyliczył, że zgon nastąpił wczoraj między osiemną a dwudziestą, tak jak zapisałem.

Wyszyński oddał mu teczkę i podszedł do zwłok. Popatrzył na dłonie, a potem na pokryte delikatnymi jasnymi włoskami przedramiona ofiary.

– Bzdura, później – orzekł. – Jakies sześć godzin temu.

Pozostali zatrzymali się i patrzyli, jak ich zwierzchnik palcem w rękawiczce dotyka nagiego ramienia denatki powyżej łokcia. Pod naciskiem skóra miękko ustąpiła.

– Zaczęło się stężenie twarzy i palców, duże mięśnie zaczynają twardnieć, ale powoli.

Przesunął palcem aż do barku. Na skórze został biały ślad, który szybko podbiegł czerwieni.

– Plamy opadowe świeże.

Aspirant odwrócił się do sierżanta.

– Pisziesz to wszystko, matole?

Siwiec ściągnął brwi.

– Lekarz napisał w karcie zgonu, że zginęła między szóstą a ósmą, a pan komisarz mówi, że po dziewiątej. To co mam pisać?

– Mirecki nie wziął pod uwagę temperatury wnętrza – wyjaśnił Wyszyński. – Tu jest zimno, a ona jest naga, więc wychładza się szybciej niż stopień na godzinę. Skóra i...

– machnął ręką w stronę okolic, które do pomiaru upatrzył sobie lekarz – i tamto też. To właśnie dlatego temperaturę zwłok trzeba mierzyć w wątrobie.

– Konował spieszył się do wezwania – przypomniał aspirant. – Nie uwzględnił wszystkich czynników.

– Więc trzeba skorygować godzinę zgonu.

– Tak jest!

Słyszac bezposredni rozkaz, sierzant rażno chwycił za długopis.

– Kolejna sprawa: ta piana.

Komisarz pochylił się nad twarzą kobiety.

– Jest jasna i rzadka – stwierdził, wskazując palcem jej dolną wargę. – Taka powstaje, kiedy woda w płucach miesza się z pęcherzykami tlenu i podchodzi do ust.

– Skąd się wzięła woda w jej płucach?

Wyszyński wyprostował się, zamruzał i potarł zaczerwienione oczy.

– Pamiętacie te oględziny miesiąc temu, pod Nieporętem? Wyciągaliśmy z Wisły dilera. Tego, co go niby zadźgali, ale nie do końca.

Woźniak skinął głową.

– Miał dokładnie taką samą pianę. Myśleliśmy, że wrzucili do rzeki trupa, a on jeszcze w wodzie walczył o życie.

– Tu mamy trochę inną sytuację, plamy opadowe zgodne z podłożem – przypomniał aspirant. – Czyli raczej nie przenosili zwłok.

– Poza tym krew z ran równymi strużkami spłynęła w bok – zauważył komisarz, obchodząc łóżko. – Gdyby ktoś zmienił jej ułożenie po śmierci, pociekłaby inaczej.

– A więc zadźgali ją tutaj.

Wyszyński się zawahał. Jego wzrok padł na orzechowy blat z kieliszkami i srebrnym pojemnikiem na lód, a potem na przekrzywiony stołek barowy. Kucnął, by przyjrzeć się jego lakierowanej nóżce w paru miejscach błyskającej stalą. Na wykładzinie leżały brakujące drobiny lakieru.

Zaczął myśleć na głos:

– Topili ją, a zaraz potem przytachali tu, skuli kajdankami i zadźgali?

– Bez sensu.

– To może ktoś wlał jej wodę do ust, wykrztusiła ją, więc dobił ją nożem?

– To już lepiej.

– Mam napisać „nadzabiecie”? – sierzant pochwalił się znajomością fachowej terminologii. Woźniak pochylił się i uniósł aparat. Błysk flesza podkreślił kontrast między białą policzka a szkarłatem umalowanych ust.

– Może torturowali ją tą wodą? Wtedy kajdanki nabierają sensu.

– Podtapiali ją?

– Zadzwońmy do CIA i spytajmy, czy nie zaginęła im terrorystka. – Aspirant się zaśmiał.

– Mam tak zapisać?

– Masz zapisać, Siwiec: „Ryby i sierzanci głosu nie mają”.

– A aspiranci to dupki.

Stali wokół łóżka – trzech mężczyźni na nocnej zmianie, pochyleni nad ciałem nagiej kobiety. Stercząca prawa pierś obrysowana eleganckim półcieniem i lewa jak poplamiony przekłuty balon.

– Są kluczyki do tych kajdanek?

– Szukamy.

– Chyba coś trenowała, spójrzcie na jej łydki.

– Biegi albo rower.

Komisarz zamrugał szybko i chwycił palcami grzbiet nosa, jakby coś przyszło mu do głowy i próbował skoncentrować na tym rozproszone myśli.

– W toalecie są dwie kałuże krwi, odległe o około półtora metra – powiedział wreszcie. – Powstały w odstępie paru godzin, mniejsza jest świeższa.

– Krwawiły tam dwie osoby? – zastanowił się na głos Woźniak. – Czy nasz ranny tam wracał?

– Szukaj prostych wyjaśnień.

Aspirant zagryzł wargę.

– Stracił przytomność i przekręcał się we śnie?

Rzeczy skomplikowane też się zdarzają, o czym komisarz doskonale wiedział. Spojrzał na stolek, pewnie przekrzywiony niedawno, o czym świadczyły nieuprzątnięte drobiny lakieru. Kajuta przypominała raczej miejsce walki niż egzekucji.

– Mirecki napisał „zgon z udziałem osób trzecich” – odezwał się sierżant. – Mam dopisać jakąś konkretną przyczynę?

– Napisz „rany klute” – zdecydował komisarz. – Tylko postaw mały znak zapytania.

– Raczej taki na całą kartkę... – westchnął aspirant.

Agnieszka zamówiła tartaletkę z tuńczykiem, która po chwili wylądowała przed nią na kawiarnianym stoliku.

– Polecam z fetą i szpinakiem. *Delizioso!*

Mężczyzna odwiesił płaszcz, bordowa apaszka pozostała na miejscu – jej funkcja nie ograniczała się najwyraźniej do ochrony przed chłodem. Zajrzał do gabloty z przystawkami.

– Chociaż te są jakieś małe, tyle pani powiem, w Neapolu robią większe.

– I nazywają je pizzą?

Zaśmiał się, usiadł i popatrzył na nią, przechylając głowę.

– Od kiedy panią zobaczyłem, zastanawiam się... Ale nie wiem, czy wypada o to pytać.

– Niech pan nagle nie udaje takiego nieśmiałego.

– Co taka piękna kobieta robi sama w niedzielne popołudnie?

Skrzywiła się, jakby ciasto w jej ustach ujawniło jakąś przykrą niespodziankę.

– Przepraszam za moją *impertinenzę*, nie chciałem być wścibski.

Pokręciła z westchnieniem głową.

– Spodziewałam się po panu czegoś oryginalniejszego.

Zmrużył oczy i bezwiednie poruszył ustami, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

– To nie było impertynenckie, tylko banalne – dodała. – A to gorzej.

– Nudzę panią?

Rozbawiona obserwowała aktywację czegoś, co w romansach nazywają włoskim

temperamentem. Przejawiał także symptomy podrażnionej „dumy południowca”.

– Ależ skąd – zapewniła tonem sugerującym coś przeciwnego.

– Jest pani piękna i sama, to są fakty.

– A białe jest białe. Czy musimy w kółko to powtarzać?

Założył nogę na nogę, przybierając pozę stosowną do luźniej konwersacji, i się uśmiechnął. Ale coraz bardziej przypominał ściśniętą sprężynę albo kota obserwującego ptaka na dachu.

– Szybko się pani nudzi, *non è vero?*

– Życie jest krótkie.

– Czy musimy w kółko to powtarzać?

Zaśmiała się, co go ośmieliło. Sprężyna drgnęła, kot zrobił krok naprzód. Zaczął mówić spokojnie, jakby recytował wielokrotnie powtarzaną kwestię:

– W takim razie proponuję zmienić lokal. Czy słyszała pani o *canneloni siciliani*? To taka twarda rurka wypełniona kremem, ma dokładnie piętnaście centymetrów, specjalnie prosto z Italii. U mnie w domu, niedaleko stąd, podam ją pani na ciepło, palce lizać.

Nie spuszczać z niej wzroku, poprawił apaszkę. Agnieszka powoli odłożyła widelec i wytarła serwetką kąciki ust.

– Nie gustuję w fast foodzie.

Chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziła:

– A pański przymały *canneloni* obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg.

– Mówiłem tylko o deserze...

Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

– Teraz pan się czerwieni. Nie tak miało być, prawda? To ja miałam spłonąć rumieńcem. *Non è vero?* Przykro mi, że pana rozczarowałam.

Zawahał się. Z grubsza miał dwa wyjścia – unieść się honorem i wycofać albo spuścić z tonu i liczyć na drugą szansę. „Duma południowca” walczyła z „włoskim temperamentem”, instynktem drapieżcy, który zwietrzył krew. A jednak za dużo obiecywał sobie po tej strzelistej blondynce, która w dodatku właśnie pokazała pazurki – okazała się niegłupia i zادیorna, co podniosło ją w jego rankingu jeszcze o kilka oczek – by teraz odpuścić. Znowu nakręcił sprężynę i schował dumę do kieszeni.

– Proszę o wybaczenie.

Opuścił ramiona i przybrał pozę wyrażającą skruchę. Miał minę zawstydzonego kota, który pomylił wróbla z jastrzębiem i przyznaje się do tego z podkulonym ogonem.

– I co byś zrobił, biedaku, gdybym się zgodziła?

Otworzył usta, szybko je zamknął i przełknął ślinę. A ona pokręciła głową z westchnieniem. Sięgnęła po butelkę z oliwą, odkorkowała ją i skropiła tartaletkę.

– Proszę o jeszcze jedną szansę, *molto prego* – zaczął mówić szybko, z bardziej wyraźnym akcentem. – To było głupie, ma pani rację, *scusi*, zacznijmy od nowa.

Odkroiła kolejny kawałek wilgotnego ciasta i bez słowa wsunęła go do ust.

– Nie będę już pani więcej...

Urwał i spojrzał ponad jej ramieniem. W drzwiach kawiarni stanęła dziewczyna z mokrymi włosami. Wodziła po wnętrzu pustawym i bezradnym wzrokiem spłoszonej sarny. Włoch patrzył na nią z łapczywością jeszcze przed chwilą zarezerwowaną tylko dla

kapryśnej rozmówczyni. Poczula, że władzę nad nią przejmują odruch stary jak mruganie na wietrze czy drapanie swędzącego nosa. Odchrząknęła, by znów przykuć jego uwagę, i wyciągnęła rękę.

– Agnieszka.

Już po chwili żałowała tego gestu, ale ganiła się spokojnie, bez złości. No, stara, szydziła z ciepłą autoironią, może i umiesz w niedzielne popołudnie stanąć na szczycie Pałacu Kultury i wylansować się tam niechcący, zarabiając darmowy lunch. Umiesz też siłą woli powstrzymać zakłopotanie, jakie wywołują wulgarne propozycje, a potem zapędzić napalonego podrywacza w kozi róg. Ale wciąż daleko ci do tego, żeby radzić sobie ze wszystkim.

Wyszyński wyszedł na pokład jachtu. Przytrzymując się relingu, przeszedł na dziób, założył kaptur i rozejrzał się. Świtało. Lustro wody odbijało już nie tylko księżyc i gwiazdy, ale też obłoki fosforyzujące różowo w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. W zarośniętej sitowiem zatoczce coś zatrzepotało, plusnęło i w powietrze wzbił się zielono-czerwony ptak. Zimorodek.

Na drugim brzegu majaczyły sylwetki łodzi. Na jednej z nich, odległej o około pięćset metrów, paliło się światło. Komisarz podrapał się po brodzie i zastanowił: czy warto golić się od razu po powrocie do domu, czy lepiej najpierw się przespać? Na skórze pozostało wspomnienie użytego wieczorem kremu przebijające przez woń rozmokłego papieru toaletowego unoszącą się nad zalewem. Najchętniej wślizgnąłby się pod kołdrę i przywarł do ciepłej żony, pachnącej o świcie świeżo skoszoną łąką... Potrzęsnał głową, odpędzając jałowe myśli. Odwrócił się w stronę pomostu. Światło z reflektorów radiowozu przebijało się przez ciemną ścianę drzew i kładło niebieskawymi smugami na wodzie i na pokładzie. Wyjął z kieszeni latarkę, zapalił ją, skierował w dół i powoli ruszył w stronę rufy, uważnie patrząc pod nogi.

Aspirant czekał na niego z zapakowaną w plastik buteleczką w dłoni.

– Stało na szafce.

– Elavil – odczytał Wyszyński z etykiety.

– Chyba uspokajający, ale niech Staszewski się wypowie, to jego konik.

Zeszli na pomost. Stała tam umundurowana kobieta w żółtej kamizelce, która wcześniej siedziała w radiowozie.

– Panie komisarzu... Dzień dobry. Czekamy z zatrzymanym.

Pod daszkiem czapki białka jej oczu błyskały jak dwie lampki gasnące za każdym razem, gdy mrugała albo odwracała głowę.

– Ilu was jest?

– W patrolu? Dwoje... To znaczy... razem ze mną.

Dostrzegł starszego sierżanta Staszewskiego siedzącego w skodzie z parą w podeszłym wieku na tylnych fotelach.

– Rodzice zatrzymanego – wyjaśniła policjantka, podążając za jego spojrzeniem.

– To oni nas wezwali. Matka, konkretnie.

– I zostawiła pani partnera samego z zatrzymanym?

Upomnienie nie zrobiło na niej większego wrażenia.

– Zachowuje się spokojnie... To znaczy... Nic nie robi.

Wyszyński schował do kieszeni wyłączoną latarkę, zdjął gumowe rękawiczki i oddał je Woźniakowi, polecając, by wrócił na łódkę. Zaczął iść szybkim krokiem, wciskając dłonie w kieszenie bluzy. Dziewczyna ruszyła za nim.

– Co powiedział? – rzucił w jej stronę pytanie.

– Nic – odparła.

– Ani słowa?

– Tak. To znaczy... nie. Ani słowa.

Drzwi radiowozu otworzyły się, gdy tylko podeszli. Wskoczył z niego młody policjant.

– Posterunkowy Kulesza. Melduję zatrzymanie Olafa Dzikiego.

Wyszyński wszedł do wozu. W głębi siedział długowłose szczupły mężczyzna o wydatnym nosie i skrzywionych, jakby rozciętych ustach. Jedno ucho i pół twarzy zasłaniał mu zakrwawiony opatrunek.

– Co tam się stało? – Gaza przypominająca wełnianą czapkę błyszczała od świeżej krwi. – Jak stracił pan ucho?

Mężczyzna nie wyglądał na przejętego raną czy zamieszanym dookoła, absorbował go wyłącznie własny zegarek, błyszczący złotem pod mankietem koszuli.

– Zaciął się pan przy goleniu?

Znowu cisza. Posterunkowy chrząknął zakłopotany i spojrzał na partnerkę, która wydawała się drzemać z otwartymi oczami. Mężczyzna w milczeniu uniósł skute kajdankami ręce i podrapał się po zdrowym uchu.

– Halo! Głuchy pan jest?!

Na Wyszyńskim spoczęło spojrzenie czarnych oczu. Było w nich odrętwienie człowieka, któremu przydarzyło się coś tak niezwykłego, że chwilowo stracił zainteresowanie światem zewnętrznym. Szok wsysa człowieka w emocjonalną czarną dziurę, czas zaczyna płynąć obok, a on wciąż przeżywa te parę sekund czy minut, które odmieniły jego los. Przeciętnie przytrafia się to każdemu raz czy dwa w życiu. Wyszyński oglądał takie prywatne armagedony co tydzień. Nie ma na to lekarstwa, trzaśnięcie w twarz i potrząsanie za ramiona działa tylko na filmach. Musi zajść organiczna reakcja zwana wyjściem z szoku, a na to potrzeba czasu. Powieki komisarza same się zacisnęły. Cztery, pięć godzin, tym razem tyle musi wystarczyć, zdecydował.

– Jak pan sobie życzy.

Wysiadł z radiowozu, a za nim posterunkowy.

– Myślałem, że niemowa, ale wcześniej spytał o toaletę.

Wyszyński pokiwał głową, zaprzątnięty już czymś innym. Patrzył na zaparkowaną nieopodal skodę.

– Zawieźcie go na pogotowie.

– A prokurator?

– Facet nie może dłużej czekać, ta rana wygląda na poważną. Zaraz nam się tu wykrwawi.

Posterunkowy uniósł brwi.

- Przez ucho?
- Musiała mu przegryźć jakieś naczynie.
Brwi policjanta podjechały jeszcze wyżej.
- Myślałem, że ktoś ciachnął go nożem, ale przegryźć...
- Komisarz gestem dał znak, że nie pora na wyjaśnienia.
- Nie zdejmować kajdanek, nie spuszczać z oka, obstawa non stop.
- Wydaje się spokojny, od trzech godzin siedzi jak trusia...
- Więc może uznać, że już się nasiedział.

Agnieszka obserwowała Włocha. Jego zachowanie potwierdzało znaną prawdę, że zawierając znajomość z kobietą, typowy facet długo pozostaje pod wrażeniem, jakie na niej wywiera. Był miły, elokwentny, w sympatyczny sposób pobudzony i na dłuższą metę nieznośny. Zwłaszcza odkąd przy stoliku obok usiadła dziewczyna z mokrymi włosami, której zawdzięczali przejście na „ty”. Mówił głośno, by go słyszała, a ona przeciągłymi spojrzeniami przesyłanymi za plecami swojego towarzysza – chudego bruneta, który przyszedł do kawiarni chwilę po niej – zapewniała, że odnosi to skutek.

Żenada.

W samym środku opowieści o kontrakcie, który pozwoli zaopatrzyć Mazowsze we włoską farbę do malowania znaków drogowych, Agnieszka ostentacyjnie ziewnęła. Jej nauczony doświadczeniem rozmówca tym razem trzymał nerwy na wodzy.

- We Włoszech mówimy, że jeśli dziewczyna ziewa, to zaprasza cię do łóżka.

Zademonstrowała niemiłe zdziwienie tą obsceniczną sugestią, na co drapieżnik znowu podkulił ogon.

– Oczywiście czasem oznacza to, że po prostu chce jej się spać. Rozumiem, że teraz chodzi o to drugie?

Upiła łyk czerwonego wina i pozwoliła, by piekący strumień spłynął po języku do pełnego żołądka. Z namysłem obserwowała, jak oliwkowa skóra wokół oczu i ust mężczyzny marszczy się w przepaszającym uśmiechu. Zapisała mu punkt za to, że pomimo narcyzmu, wyrażającego się mitomańską erudycją i dbałością o wygląd, nie walczy z oznakami dojrzałości. Mówiąc, gestykulował, jakby nie potrafił okiełznać energii drzemającej w szczupłym ciele. Jego sylwetka śmiała się i mówiła razem z nim. Może po prostu był po włosku hałaśliwy i dlatego podnosił głos, może wcale nie grał na dwa fronty?

- Mam do ciebie pytanie, Marco – odezwała się, odstawiając kieliszek. – Zagadkę.
- Zamieniam się w słuch.
- Jeśli odpowiesz prawidłowo, czeka cię nagroda.
- Jaka?
- Niespodzianka.

Ze śmiechem klepnął się w udo.

– To nie fair! Wygram, a ty obniżysz stawkę. Dasz mi byle co, a ja nawet się nie dowiem, co mnie ominęło.

- Nie chcesz wiedzieć, o co chcę spytać?

– Chcę wiedzieć, o co walczę.

Odstawiła pusty kieliszek i spojrzała za okno. Poczuła ten miły dreszcz, po którym świat wydaje się przyjaznym miejscem, gdzie można mówić i robić, co się chce, bez bolesnych konsekwencji. Upajająca chwila po drugim kieliszku wina, jak zjazd sankami z łagodnego stoku albo otwarcie znalezionej pod choinką prezentu – radość połączona z poczuciem bezpieczeństwa. Był w niej wielki niedosyt takich doznań. W dzieciństwie nie miała własnych sanek, a na Gwiazdkę dostawała zwykle garść słodczy, książkę albo spinkę do włosów – jednak niczego, co pozostawiłoby jakiegokolwiek wspomnienia poza uczuciem rozczarowania. Przeżyła też urodziny – siódme, a pierwsze w domu dziecka – na które nie dostała zupełnie nic. Wychowawcy przypomnieli sobie o nich dopiero nazajutrz: jeden dzień i całą wieczność za późno.

Za oknem zachodziło słońce, a w jej pogodnej ekscytacji niepostrzeżenie zachodziła zmiana – spokój ustępował podnieceniu. Chciała już wyjść na spotkanie prezentów, które trzydziestolatce z kartą kredytową oferuje wieczór w wielkim mieście. Alkohol podsycił jej oczekiwania i fantazję. Skorygowała powzięty wcześniej plan tak, by dać Włochowi ostatnią szansę. Niewykluczone, że to właśnie ten elegancki casanova ze zmarszczkami wokół oczu, brutal w bordowej apasce, jest jej niedzielnym upominkiem. Umiejętność okiełznania instynktów i przydymienia niecnych zamiarów zasłoną komplementów zasługują na nagrodę. Trzeba jeszcze tylko coś sprawdzić. Jeśli da plamę, sam będzie sobie winien, a ona wyjdzie stąd z przytupem.

– A co byś chciał?

Zmierzył ją wzrokiem i znacząco poruszył nozdrzami, jak królik. A potem uśmiechnął się jak psotny chłopiec, któremu chodzi po głowie kolejny figiel. Musiała przyznać, że podoba jej się ta młodzieńcza werwa przebijająca przez maskę dżentelmena. Dała mu znak, by się zbliżył. Sama również się pochyliła, odgarniając grzywkę z czoła.

– W takim razie dostaniesz to.

Dała mu chwilę, by dotarł do niego sens słów. No to pojechałaś, stara, zganiła się dobrodusznie. Jakie to szczęście, że w dzieciństwie nie odkryłaś alkoholu. Stoczyłabyś się w mgnieniu oka, dokładnie tak jak ojciec...

Z przelotnego zamyślenia wyrwał ją jego zachrypnięty głos:

– Jak brzmi pytanie?

Wyprostowała się, odetchnęła i wygładziła bluzkę, bezwiednie podkreślając erotyczny podtekst, jakiego nabierała rozmowa.

– Uwaga, skup się.

I tak patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Szansa na nagrodę za godzinę starań pojawiła się, kiedy już tracił nadzieję. Nie miał przed sobą wróbla, z całą pewnością, ale kto powiedział, że doświadczony dachowiec nie może zawalczyć o jastrzębia? Od kiedy zaczął ją na tarasie, narastało w nim przekonanie, że trafiła mu się zdobycz z prawdziwego zdarzenia, potencjalna wisienka na torcie niedzielnych podbojów, godne zwińczenie udanego roku.

Pochylił się posłusznie, wyginając plecy w wielki znak zapytania. Z satysfakcją stwierdziła, że dziewczyna przy stoliku obok znikła z pola jego widzenia.

– Powiedz, gdzie pracuję.

Siedział przez chwilę bez ruchu, po czym zmarszczył czoło i wbił wzrok w podłogę.

– Wymieniłam nazwę tej firmy parę razy. Jak brzmi?

Drgnął i uniósł palec, jakby nagle sobie przypomniał, ale po chwili podrapał się nim po głowie.

– Jeździsz po całym świecie bez tłumacza, podpisujesz kontrakty w czterech językach – widzisz, ja słuchałam cię uważnie – a nie pamiętasz informacji, która padła pół godziny temu?

Ostentacyjnie założyła nogę na nogę. Czując się już bezpiecznie, docisnęła gaz do dechy:

– Odpowiesz, oplotą cię dwa metry tego. – Delikatnie wyrównała pończochę na kolanie. – Jeśli nie, więcej mnie nie zobaczysz. Jedna próba. Śmiało. No?

– Podpowiedz mi... – szepnął błagalnie.

– Handel.

Znowu przecesał włosy i splótł palce z tyłu głowy. Podążył za jej spojrzeniem skierowanym za okno.

– Nazwa zaczyna się na „G”.

– Galeria Centrum? – wypalił. Roześmiała się i pokręciła głową. Wstała. Podniósł wzrok z rozpaczą drapieżnika, któremu zdobycz wyslizguje się z pazurów. Był tak blisko, potknął się dosłownie na ostatniej prostej...

– Poczekaj. Pożartowaliśmy sobie, teraz zamówimy jeszcze jedną kolejkę i zobaczymy, co dalej.

– Nie ma „dalej” – odparła. – Dałeś plamę.

– Przed chwilą byłaś gotowa się ze mną przespać. A teraz odchodzisz? *Stupida!*

Przestała się uśmiechać.

– Wiedziałam, że nie odpowiesz.

– Zostaw mi numer swojego telefonu, umówimy się...

– Do widzenia, Marco. Baw się dobrze.

Ruszyła w stronę wyjścia. Przechodząc obok dziewczyny, której włosy tymczasem wyschły, nachyliła się do jej ucha.

– Ustępuję ci pola.

Spoczęło na niej rozbiegane spojrzenie.

– Słucham?

Wskazała za siebie i w przyływie dobrego humoru rzuciła:

– Tamtego. Chociaż na twoim miejscu pozostałabym przy twoim chudym cipolu.

Wyszyński z westchnieniem schował komórkę. Prokurator zapowiadał rychły przyjazd, ale podczas ostatnich oględzin było to samo i w końcu pojawił się na nich tylko na papierze. Komisarz postanowił dać mu chwilę, a potem samodzielnie przystąpić do rozpytywania świadków.

Włączył radio. W wiadomościach wciąż powracał temat Ukrainy i spekulacji, jak daleko posunie się Rosja. Po niedawnej aneksji Krymu wspierane przez nią bojówki

zaczęły szerzyć zamęt w przygranicznych regionach, oficjalnie dążąc do ich separacji, a w praktyce do rusyfikacji. Władimir Władimirowicz otwarcie próbował odtworzyć Związek Radziecki w jakiejś nowej, pseudodemokratycznej formie, i wszyscy sarkali na krótkowzroczność zachodnich polityków, ignorujących to zjawisko. A Wyszyński brał z nich przykład. „Nie należy się przejmować sprawami, na które nie ma się wpływu”, lubił powtarzać. Skoro nawet prezydenci mocarstw na masowe ofiary odpowiadali jedynie sankcjami gospodarczymi, on, szary obywatel średniej wielkości państwa, odpowiadał milczeniem. Zajęcie stanowiska w kwestii konfliktu na Wschodzie odraczał do momentu, gdy przyjdzie powołanie do armii mającej ruszyć w sukurs Ukrainie. Wtedy spali druczek komisji poborowej, odśpiewa *Aquarius* i zapuści brodę albo włoży mundur z dystynkcjami porucznika i pojedzie bić Moskala.

Tak sobie powtarzał, ale przy każdej informacji o kolejnych ofiarach jego powieki zaciskały się, dłonie pociły, a gardło wysychało. Ciało stawało w pogotowiu i sporo wysiłku kosztowało go narzucenie mu komendy „spocznij”. Służba była jego powołaniem, cywilne gadki działały tylko na krótką metę. Dlatego unikał serwisów informacyjnych, w aucie słuchał głównie płyt i teraz żałował, że ze zmęczenia złamał tę zasadę.

Gdzieś niedaleko trzasnęły drzwi, a we wstecznym lusterku mignęła zwalista sylwetka. Komisarz wytarł dłoń o spodnie, przełknął głośno ślinę i wyłączył radio. Przymknął oczy, policzył w myślach do dziesięciu, po czym wysiadł i ruszył w stronę siwowłosego mężczyzny w białej koszuli, który stanął przy skodzie z papierosem w ustach. Jego wzrok ślizgał się między samochodami i drzewami, jakby szukał prześwitu, w którym będzie widać zalew. Też nie wyglądał na stoika – przejmował się tym, co spotkało jego syna, choć nie mógł nic na to poradzić. Zdradzał go wyraz twarzy, drżenie rąk oraz to, że przypalił papierosa od złej strony. Zaciągnąwszy się dymem z nadpalonego filtra, wytrzeszczył oczy i zaczął kasłać.

Komisarz przypomniał sobie, że to matka zatrzymanego była osobą, która wezwała patrol. Przystanął w pewnej odległości, zerknął na zegarek i się zawahał. Tymczasem drzwi skody od strony kierowcy otworzyły się i z auta wysiadł starszy sierżant Staszewski. Powiedział coś do siedzącej w środku kobiety, zatrzasnął drzwi i podszedł do zwierzchnika.

– Cześć.

Zacząli rozmawiać przyciszonymi głosami.

– Mówi ci to coś?

Wyszyński wyjął z kieszeni fiolkę. Sierżant przyjrzał się etykiecie.

– Zawiera amitryptylinę...

– Co to robi, jak popić alkoholem?

– Zależy, ile tego było.

– Parę kieliszków szampana. Ile tabletek – nie wiem.

– Pewnie to samo co każdy z trójpierścieniowych: coś jakby gościa złapać za nogi, obrócić głową w dół i potrząsać. Rzyganie, duszenie, w końcu utrata przytomności.

Komisarz pokiwał z westchnieniem głową. Gdyby w tej buteleczce było coś innego, zamknąłby sprawę do wieczora. Przerabiał to już nieraz – chemicznie pobudzony

sprawca, jego flama, która powiedziała o jedno słowo za dużo, i coś ciężkiego lub ostrego pod ręką. Pierwszy raz dokonywał oględzin tak efektownego ciała, przypiętego kajdankami do jachtu za pół miliona, ale to były detale – cechy szczególne denatki, dekoracje i akcesoria – reszta z grubsza pasowała do schematu. Nauczył się oswajać damskich bokserów, którzy posunęli się za daleko i bardzo tego żalowali. Tak naprawdę chcieli się przyznać, wystarczyło tylko im na to pozwolić. Najlepiej od razu, dopóki byli w szoku. Żeby wypowiedzieć jedno słowo i złożyć podpis na zeznaniach, nie musieli składnie myśleć ani mówić. Wszyscy czuli ulgę, a komisarz mógł dokończyć kawę, zadzwonić do prokuratora, żeby się nie fatygował, i wrócić do domu.

Problem w tym, że ten delikwent nie mówił nic.

I że nie mógł się pobudzić środkiem uspokajającym.

A może mógł?

– Tak mi się wydaje – zastrzegł Staszewski. – Więcej powiedzą ci w laboratorium.

Wyszyński pokiwał głową i spojrzał w stronę skody, na widoczną przez szybę pasażerkę. Zgarbiona kobieta z gładko zaczesanymi, sięgającymi ramion białymi włosami, piła z papierowego kubka. Sierżant podążył za spojrzeniem zwierzchnika.

– W szoku jest.

– Może dam jej parę?

Wyszyński podniósł flakonik z lekami, Staszewski się uśmiechnął.

– Tylko niech koniecznie popije alkoholem.

– Aha, jeszcze jedno. – Komisarz wskazał jezioro. – Tam, po drugiej stronie, na wysokości pomostu, jest przystań. Parę łódek, między innymi omega z czerwoną kabiną i białą burką.

– I...?

– Ktoś tam jest.

Sierżant kiwnął głową, komisarz sięgnął do kieszeni.

– Zajrzyj też do innych łódek. Jedź, zanim odpłyną.

Policjant przejął kluczyk z dowodem rejestracyjnym i ruszył w stronę passata, a Wyszyński popatrzył ze współczuciem na mężczyznę, który w międzyczasie zapalił papierosa od właściwej strony i zaciągał się z chciwością palacza powracającego do nałogu po długiej przerwie. Wypuścił kłęb dymu i ciężkim wzrokiem spojrzał w niebo. Widać było, że też zna prognozę na dziś: zapowiada się długi dzień.

Agnieszka wyszła na plac Defilad. Deszcz przestał padać, a temperatura spadła, oblodzony chodnik błyszczał w świetle latarni jak zafoliowany. Z bliska miasto nie wyglądało już tak malowniczo jak z perspektywy podniebnego balkonu ani z ciepłego wnętrza gwarnej kawiarni. Wciągnęła do płuc chłodne grudniowe powietrze i zatrzymała się.

Przed jej oczami wisiało wielkie jak budynek zdjęcie krótko ostrzyżonej kobiety przytulonej do muskularnego blondyna w golfie. Po rozstaniu z mecenasem Marcinem Zdrajcą-Gładkowskim z jej życia znikło męskie ramie, na którym mogłaby się oprzeć. Od pół roku nie miała też canneleri w ustach, jeśli już o tym mowa. Musiała przyznać, że

tęskni – za jednym i za drugim. Ale jeśli ceną za chwilę przyjemności czy iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa ma być zgoda na megalomanię, dwulicowość oraz inne męskie „słabostki”, to gra nie była warta świeczki. W wypadku Włocha rozczarowanie było nieuchronne, widziała to w jego rozbieganym wzroku, w agresywnej niecierpliwości ledwie maskowanej przez ogładę, w jego koncentracji na własnych potrzebach. Była za starym misiem, by się nabrać na sztuczny miód komplementów. Przez chwilę patrzyła na siebie jego oczami i widziała ekscytującą nieznajomą, godną pożądania i adoracji. Prędzej czy później jednak to samo zwierciadło pokaże zdradzoną, żalostną idiotkę. Facet był materiałem najwyższej na szybki numer i rozważała to przez chwilę, co tu kryć. Jej wahanie w tej kwestii miało zapewne związek z wahaniami poziomu alkoholu we krwi i myślała o tym nie bez troski o swój styl życia. Na singielkę w wielkim mieście czeka wiele niespodzianek, ale nie wszystkie są fajne.

Spojrzała na podświetloną kolorową reklamę. Na twarzy kobiety malowało się błogie zadowolenie z życiowych wyborów, szanowała się i z wiarą patrzyła w przyszłość. Miała u boku faceta niezawodnego jak nazistowski olimpijczyk z filmu Leni Riefenstahl, który dzielnie będzie przy niej trwał, fanatycznie oddany w zdrowiu i w chorobie... Taaak, a świnię będą latać. Po traumie, jaką był dla niej związek z mecenasem Marcinem Gnojem-Gładkowskim, świat związków jawił jej się jako uczuciowa wersja piramidy finansowej – obietnice świetlanej przyszłości, a na koniec dnia bankructwo. A potem, by odbić się od dna i wyleczyć zaniżoną samoocenę, trzeba w to wciągać kolejnych frajerów. Klin klinem, i tak bez końca, błędne koło, sztafeta bez wygranych, pic na wodę, fotomontaż. Jak ten model z wielkiej reklamy, który tak naprawdę jest brunetem z brzuszkiem, a tak w ogóle to nie istnieje.

Stwierdziwszy, że w ciągu ostatniej godziny jej nastrój uległ zmianie już parę razy i miota się jak pijany marynarz od burty do burty, ruszyła do stacji metra. Niedziela dobiega końca, pora do domu.

Kot czał się w cieniu za samochodem. W pierwszej chwili dostrzegła tylko świecące oczy. Wodziły za nią, gdy cofnęła się i podeszła ostrożnie z wyciągniętą ręką. Podwinął ogon, miauknął i przywarł brzuchem do chodnika, ale nie uciekł. Kucnęła, by podsunąć mu do powąchania dłoń w rękawiczce. Pozwolił pogłaskać się po głowie, a potem przymknął oczy i mrużąc, nadstawił pręgowany grzbiet.

– Ojej... Chodź tu, chudzinko... Taaak...

Zmysłowo drżał i ocierał się o nią zapadniętym bokiem. Zbyt ufny, jak na bezdomnego, musiał się niedawno zgubić i jeszcze nie nauczył się żerować w miejskiej dżungli. Zaczęła zdejmować rękawiczkę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem jej uczulenie na sierść w magiczny sposób nie znikło. Swego czasu przerobiła wszelkie dostępne sposoby odczulania, bez efektu. Pozostała wiara w cuda.

– Jeśli mnie odczarujesz, nazwę cię Rademenes.

Coś w jej geście czy w odgłosie tarcia skóry jednak go zaniepokoiło. Wyprężył grzbiet, precyzyjnie się między jej nogami i uciekł. Przywołała go, lecz tylko obejrzał się i nonszalancko pomachał ogonem. Różowy punkt u jego nasady mignął w mroku niczym intymny powidok po świecących oczach.

Patrząc na ten niewczesny dumny odwrót, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

A potem kichnęła i spoważniała.

– Masz rację, kotku, trzeba wierzyć intuicji.

Życzyła mu powodzenia i ruszyła w stronę stacji. Czekał na nią pusty dom i rutyna: prysznic, piżama, książka. A gdy przyjdzie ochota na jałowe żale – pamiętać, że w Etiopii dzieci nie mają co jeść, w Iranie kamienują dziewczyny za pomalowanie paznokci, a miliony Chińczyków pracują przez cały dzień za miskę ryżu.

Ale co tu daleko szukać – ostatnio czytała o kobiecie przetrzymywanej przez męża w piwnicy pod Warszawą, która łapała myszy i gotowała je, żeby nie umrzeć z głodu.

Brak faceta to naprawdę nie jest dramat.

Wyszyński wyminął mężczyznę z papierosem, otworzył drzwi skody, przesunął kurtkę leżącą na fotelu pasażera i usiadł. Odwrócił się do siwowłosej pasażerki.

– Dzień dobry, jestem komisarzem z komendy w Legionowie, prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Agnieszki Malik. Mam do pani parę pytań.

Spoczęło na nim spojrzenie zaczerwienionych ciemnych oczu, podobnych do tych w radiowozie, tylko jakby rozwodnionych. Zdjął czapkę, przecesał palcami włosy i wskazał kciukiem za siebie.

– Czy żaglówka zacumowana przy pomoście należy do państwa?

Kobieta skinęła niepewnie głową.

– Umówiliście się tu z synem?

Zaprzeczyła. Podniosła ręce do szyi i ciaśniej otuliła ją chustą, jakby zrobiło jej się zimno.

– Spotkaliście się przypadkiem?

Zaczynał myśleć, że milczenie w tej rodzinie jest dziedziczne.

– Tak – odezwała się wreszcie ochrypłym głosem.

– Jak to się stało, że zacumowaliście w tym samym miejscu?

Jej usta znowu ściągnęły się w kreskę, musiała odchrząknąć, zanim odpowiedziała.

– On tego nie zrobił. – Zamrugnęła wilgotniejącymi oczami. – To nie on.

Drzwi od strony kobiety otworzyły się i do auta wszedł jej mąż. Widząc łzy w oczach żony, spojrzał groźnie na komisarza i się wyprostował. Policjant przybrał oficjalny ton:

– Moje nazwisko Wyszyński, prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. To nie jest formalne przesłuchanie, na razie chcę ustalić parę faktów. Co państwo widzieli, po kolei, każdy szczegół może być istotny.

Napięta twarz mężczyzny rozluźniła się, pokiwał głową. Objął kobietę i nie czekając na pytania, zaczął mówić:

– Koło dziewiątej zerwał się wiatr...

– Koło dwudziestej pierwszej?

– Tak. Byliśmy z żoną na środku jeziora.

– Co tam robiliście tak późno?

Wzruszył ramionami.

– Chcieliśmy popływać. Ostatni dzień urlopu, a pogoda była ładna... Kiedy się

popsuła, ruszyliśmy do brzegu i odszukaliśmy naszą zatoczkę... Mówię „naszą”, bo dobrze ją znamy, przyjeżdżaliśmy tu kiedyś całą rodziną i rozbijaliśmy namiot. Tu uczyłem Olafa pływać.

Policjant znowu wskazał kciukiem za siebie, a mężczyzna pokiwał głową.

– Tak, tę. Od razu zobaczyliśmy jego jacht... Trudno go nie zauważyć. Zdziwiłem się, bo nie mówił, że się tu wybiera. Podpłynąłem... Wtedy już ostro wiało, była wysoka fala. Żona pomagała mi zwinąć żagle, ale zaczęło padać. Powiedziałem jej, żeby poszła do Olafa, a sam zostałem na pokładzie. Obluzowała się jedna z want, musiałem ją dokręcić i trochę mi to zajęło. Gdybym wiedział...

– A więc na jacht poszła tylko pani?

Kobieta skinęła głową, a mężczyzna dodał:

– Ja dotarłem później.

– I co pani zobaczyła?

Skurczyła się jeszcze bardziej, mąż objął ją mocniej, jakby podtrzymywał ranną.

– Nie proszę o dokładną relację, chcę tylko ustalić przebieg zdarzeń – przypomniał Wyszyński. – Może zaczniemy od tego, czy ofiara jeszcze żyła?

Kobieta odwróciła wzrok w stronę jeziora i po chwili pokręciła głową.

– Jest pani pewna?

Ciemne oczy zasnuwała mgiełka zmęczenia. Przymknęła na je chwilę, po czym otworzyła powoli, sygnalizując tym półmrugnięciem znużenie, jakby pytano ją o to już wiele razy. Zapewne tak właśnie było.

– Leżała we krwi... Nie ruszała się.

– A pani syn?

Zaczęła szybciej oddychać, pociągając zaczerwienionym nosem.

– Był tam? Co robił?

– Nie było go.

Wyjęła z kieszeni chusteczkę, znowu spojrzała za okno i odchrząknęła.

– Był w łazience. Nieprzytomny.

Wyszyński, mrugając szybko, podążył za jej spojrzeniem. Przy radiowozie parkowało właśnie nowe audi. Z przodu, niczym świetliste brwi zmarszczone nad oczami reflektorów, rysowały się linie ksenonów. Sięgnął do kieszeni.

– Wiedzieli państwo, że syn zażywał leki antydepresyjne?

Kobieta popatrzyła tępo na fiolkę, mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie dziwię się.

– Dlaczego pan tak mówi?

W tym momencie drzwi od strony kierowcy się otworzyły i do auta wszedł sierżant Kaźmierczak.

– Dzień dobry, szefie. Zanim wszyscy się zwalili, zrobiłem tu mały rekonesans. Przy pomocy były ślady pięciu par butów, dwie damskich i trzy męskich.

Wyszyński machinalnie przechylił się między fotelami i spojrzał na zabłocone tenisówki swoich rozmówców. Matka plus ofiara to dwie pary butów damskich, plus ojciec i syn... Pozostaje nadliczbowy facet. Ale zaraz przypomniał sobie o nietypowym wzroście denatki.

– Co rozumiesz przez „damskie buty”, Kaźmierczak?

– No...

– Zrobiłeś zdjęcia śladów?

– Jasne.

Wyszyński skinął głową i odwrócił się do tyłu.

– Czy państwa łódka jest zabezpieczona?

Starszy pan potwierdził.

– Chciałbym jeszcze z państwem porozmawiać, ale teraz będę zajęty. Umówmy się, powiedzmy, o ósmej. Wolicie poczekać na mnie na komendzie czy u siebie w domu?

Patrzyli na niego przez chwilę, po czym wymienili spojrzenia.

– W domu – odparł mężczyzna. – Jeśli to konieczne.

Komisarz zapewnił ich, że nie zajmie im dużo czasu, po czym zwrócił się do sierżanta:

– Odwieź państwa, podadzą ci adres.

Wysiadł i ruszył w stronę radiowozu.

– Sprawdź mi coś – rzucił, gdy przez opuszczoną szybę wychylił się posterunkowy z patrolu. – Wczoraj wieczorem zaczął tu padać deszcz. Po dwudziestej pierwszej. Ustal dokładnie, o której.

A potem podszedł do otyłego mężczyzny o krótkich szpakowatych włosach, który właśnie wygramolił się z audi.

– No i co? – sapnął grubas, sięgając do kieszeni płaszcza.

– Nie żyje.

Auto tykało stygnącą karoserią i parowało mieszanką oleistych zapachów. Pożółkłe palce wygrzebały z paczki papierosa, trzasnęła zapalniczka, dym ze świstem powędrował do ukrytych pod zwałami tłuszczu zmacerowanych płuc, a potem w niebo.

– Błyskotliwa uwaga.

– Trzy rany kłute.

– Znaleźliście narzędzie?

Wyszyński pokręcił głową. Patrzył na odjeżdżającą skodę.

– Rodzice właściciela łodzi. To matka do nas zadzwoniła – wyjaśnił.

Prokurator znowu zaciągnął się dymem i skrzyżował ręce na piersi. Ścieżkę prowadzącą na pomost przecięła policjantka ciągnąca za sobą żółtą wstęgę przywiązaną do pobliskiego drzewa. Stała po drugiej stronie dróżki i zaczęła się rozglądać, ale rosły tam tylko krzaki.

Tymczasem przez okno radiowozu wystawił głowę jej partner.

– Dwudziesta pierwsza dwadzieścia osiem.

Wyszyński podziękował gestem, a zdziwiony prokurator zerknął na zegarek.

– Już po piątej, co on pieprzy?

– O tej godzinie wczoraj przybili do brzegu.

– Kto?

– Rodzice. Pływali po jeziorze, zobaczyli łódź syna i zacumowali obok.

– Nie umawiali się?

– Nie. Matka weszła na pokład, trup leżał na łóżku, a syn w łazience.

- Nawalony?
- I na prochach. Matka zeznała, że był nieprzytomny.
- Czekaj... O której tu przyplłynęli?
- Właśnie się okazało, że o wpół do dziesiątej.

Prokurator zmarszczył brwi.

- A zawiadomienie przyszło o dziesiątej, tak?
- O wpół do jedenastej, matka zadzwoniła z komórki.
- Czyli co, przez godzinę gapiła się na zwłoki?

Na chwilę znikło zmęczenie i komisarz po raz drugi tej nocy poczuł falę radosnego ożywienia. W uszach znowu zabrzmiało mu coś pomiędzy fugą Bacha a przesterowaną solówką Hendrixa. Taki przebłysk kolektywnej weny na początku śledztwa zawsze brał za dobrą wróżbę. Podobne zjawisko musi zachodzić czasem podczas prób zespołów rockowych albo w drużynach piłkarskich w czasie meczu. Za sprawą tajemniczej transmisji nagle w dwóch głowach błyska ten sam pomysł, Jimmy Page i Robert Plant tworzą *Schody do nieba*, a Boniek i Lato wbijają Belgom trzecią bramkę. W takich chwilach duet oznacza coś więcej niż suma dwóch jednostek.

- Brawo.
- Też to zauważyłeś?

Wyszyński pokiwał głową i położył rękę na szerokich, opiętych płaszczem plecach kolegi.

– Powinieneś częściej wpadać na oględziny, to daje mocniejszego kopa niż ta twoja poranna seta.

– Nic nie daje mocniejszego kopa – mruknęły sine wargi. – Są jeszcze jacyś świadkowie?

- Sprawdzamy to.

Prokurator włożył ręce do kieszeni, pokiwał głową i z papierosem w zębach podsumował:

– Ta godzina to nasze pięć minut. Po południu przesłucham matkę, zadzwonię i powiem ci, co powiedziała.

- Umówiłem się z nimi za trzy godziny, spróbuję coś z niej wyciągnąć.

– Zostaw to mnie. – Grubas wydmuchnął w górę kłęb dymu. – Słyszałeś o krzyżowym ogniu pytań? Patrzysz na mistrza. Istnieje coś takiego jak „język śledztwa”, a ja jestem jego native speakerem.

Wyszyński patrzył z uśmiechem na wypiętą pierś i jeszcze bardziej wypięty brzuch.

- Jak ci się odwdzięczę?

– Jak na firmowej imprezie zasnę z twarzą w kiblu, nie wyjmuj aparatu.

Komisarz uśmiechnął się szerzej na to wspomnienie.

- A co mam wyjąć?

– A co się wyjmuje w kiblu?

– A jeśli będziesz spał w jedynej muszli w okolicy?

– A jeśli urwę ci jaja?

Wyszyński już miał odpowiedzieć, lecz w tym momencie podszedł do nich sierżant z plikiem zapisanych kartek, będących owocem jego całonocnej pracy.

– Autograf poproszę.
– Lepiej nie czytaj – mruknął komisarz.
– Nie miałem zamiaru – odmruknął prokurator i na każdej z kartek postawił zygzak przypominający ptaka w locie na obrazie przedszkolaka. – Chcę dziś jeszcze pospać. Mogę patrzeć na zwłoki, krew, flaki, ale nie na raport Siwca.

Lekarz założył rękawiczki i chwycił opatrunek dwoma palcami.

– Uwaga...

Pociągnął lekko, a potem mocniej, drugą ręką przytrzymując ocalałe resztki małżowiny. Wziął podany przez pielęgniarkę kompres nasączony środkiem dezynfekującym i zaczął tamować krwawienie. Zużył trzy sztuki, cały czas ze ściągniętymi brwiami przypatrując się ranie.

– A gdzie reszta?

Pielęgniarka nałożyła jednorazową igłę na świeżo odpakowaną strzykawkę. Lekarz napełnił ją płynem z ampułki, spojrzął pod światło i nacisnął tłok. Gdy pojawiła się mętna kropla, wbił igłę w cienką skórę wokół rany i wstrzyknął pod nią niewielką ilość płynu. Co chwila spoglądał na twarz pacjenta.

– Można spytać, co pana ugryzło?

Pielęgniarka podała lekarzowi igłę z nawleczoną nicią przypominającą cienką żyłkę. Chwycił ją szczypcami, usiadł na obrotowym taborecie i zaczął szyć. Przekłuwał brzegi rany, ściągał, robił supeł, a pielęgniarka obcinała nić nożyczkami. Powtarzał tę czynność co parę milimetrów, osiem razy. Po chwili poszarpane rozcięcie zamieniło się w poprzecinaną supłami kreskę.

– Wygląda prawie jak ucho.

Odłożył nożyczki i sięgnął po kompres wielkości paczki papierosów. Zamocował go czterema beżowymi plastrami przecinającymi się jak w grze w kółko i krzyżyk. Z trzaskiem zdjął rękawiczki i usiadł za biurkiem. Siedzący w rogu gabinetu posterunkowy schował komórkę, wstał i podszedł do zatrzymanego. Lekarz oderwał kartkę z bloczku, podał policjantowi i spytał pacjenta:

– Czy pan mnie słyszy?

Zapytany potwierdził ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

– Proszę nie dotykać opatrunku, nie drapać się, nie...

Na wykręconych do tyłu rękach trzasnęły kajdanki.

– Aha, no tak. – Lekarz westchnął i dodał: – Niektórym pacjentom chętnie sam bym to zrobił.

Zabrali mi zegarek, ale pewnie minęła szósta, bo na dworze było już całkiem widno. Rano miałem wrócić do Warszawy, w pracy zapowiedziałem się na jedenastą – taki był plan. Wyobraziłem sobie panią Monikę, która wkrótce usiądzie za biurkiem w pustym biurze. Zaparzy kawę, przejrzy serwisy informacyjne, sprawdzi pocztę. Koło południa zacznie się niepokoić i wykona parę telefonów. Ciekawe, kto jej powie, gdzie jestem.

To zabawne, ale pomyślałem, że urwane ucho bardzo utrudni mi firmowe spotkania. Chyba że zmienię fryzurę albo zacznę współpracować z niewidomymi. Albo z biznesmenami z Pruszkowa, gdzie facet o wyglądzie potwora Frankensteina budzi respekt. Tak sądzę, ale może to tylko stereotyp, ci gangsterzy z bliznami na twarzach... Nie żebym jeszcze liczył na jakąś przyszłość zawodową, po prostu sumowałem sobie konsekwencje zdarzeń minionej nocy.

Te drobne, tę najważniejszą chwilowo obchodziłem z daleka.

Opatrunek na uchu pachniał lekarstwami i może dlatego w celi poczułem się jak w szpitalu. Zupełnie jakbym po zabiegu trafił na salę chorych. Strój też był jakby szpitalny, bo po zdjęciu kajdanek kazali mi się przebrać w szare spodnie od dresu, T-shirt i plastikowe klapki. Gdzie się podziały więzienne pasiaki ze starych filmów? Bubel *made in China* dotarł i tu, więźniowie wyglądają dziś jak dresiarze.

Żółty pokój dwa na trzy metry oświetlała jarzeniówka, choć słońce już dawno wzeszło. Chciałem ją wyłączyć, bo takie mieszane światło – naturalne i sztuczne – jest niezdrowe dla oczu, ale nie znalazłem wyłącznika (jak się potem okazało, zainstalowali go na korytarzu i to policjant decydował, kiedy oficjalnie zaczyna się dzień). Z trzech pryczy wybrałem zatem tę w ciemnym rogu, ułożyłem się na zdrowym boku i przykryłem kocem. Zamknąłem oczy.

Puściły zabezpieczenia i systemy obronne, znowu zderzyłem się z tym, co nieuniknione.

Agnieszka.

Stała na balkonie, tym razem tylko na czwartym piętrze, w moim mieszkaniu. Patrzyła na park ze stawem otoczonym klonami i topolami, z wiatropylnymi nasionami zwisającymi z gałęzi niczym strzępy waty. Zachodzące słońce ozłacało jej twarz dwudziestoczerokaratową warstewką, zielone oczy lśniły jak szmaragdy. Był ciepły czerwcowy wieczór i miała na sobie tylko majtki. Byłem tam z nią, mogę teraz wyostrzyć obraz i zrelacjonować wszystkie szczegóły, ale ta scena jawi mi się zasnuta mgłą niczym impresjonistyczny obraz, na którym wszystko jest tłem. Nieprzypadkowo mój udręczony umysł spośród tysięcy wspomnień wybrał właśnie to, nie wszystkie bezpieczniki szwankują. Było odległe, niemal sielankowe, podniecające, lecz w ciepły, sentymentalny sposób. Patrzyłem na Agnieszkę z czułością, ale też z omdlewającą radością i dumą posiadacza. Patrzcie państwo, oto ona, kobieta klasy „S” o nienagannej linii, MOJA kobieta, chapeau bas.

– Gdyby Bóg chciał, żebym siedziała w domu, nie stworzyłby mnie piękną – powiedziała wtedy z uśmiechem, jednak w oczach miała niepewność dziecka, które nabroiło i czeka na reprimendę. Taka była – pewna wrażenia, jakie wywiera, a jednocześnie przekonana, że za każdy przejaw pychy spotka ją kara. Odpowiedziałem jakimś złośliwym żartem, a ona roześmiała się i pocałowała mnie mocno, bo właśnie tego potrzebowała – prztyczka mówiącego: „Owszem, jesteś bezwstydną i próżną, ale i tak cię Kocham”.

Niegrzeczne dziewczynki lubią czasem dostać lekkiego klapsa. Ta nie miała także nic przeciwko mocniejszemu, ale to już inna historia.

(Wracając do jej słów – czy to Bóg stworzył ją piękną? Jak już wspomniałem, jej

atutem były nie tyle proporcje ciała, ile erotyczna charyzma, czyli czynnik nabyty. W pewnym sensie stworzyła się sama, najwyższy protoplasta – za pośrednictwem rodziców – dostarczył jej tylko surowca w postaci atrakcyjnej powłoki i inteligencji. Chyba że uznać go również za inicjatora życiowych doświadczeń, które wyrzeźbiły Agnieszkę od środka. Ale oczywiście wtedy, na balkonie, nie chodziło jej o roztrząsanie kwestii teologicznych. Bóg był tylko figurą retoryczną, dlatego biorę tę dygresję w nawias).

Wróciliśmy do sypialni, gdzie szybkim ruchem spuściła majtki do kostek, położyła dłonie na blacie szafki, pochyliła się i, i, i...

I tu włącza się cenzura, to wspomnienie porusza jedną ze strun rozpiętych w moim umyśle, podłączonych do min przeciwpiechotnych. Nostalgia, ten słodki szczeniak, którego tak miło się głaszcze w chwilach samotności czy nudy, czasem zamienia się w zachłanną bestię, nie mogę spuścić jej ze smyczy. Czuję swędzenie urwanego ucha, mam ochotę zerwać opatrunek i rozdrapać nieistniejącą małżowinę do krwi. Kładę się na wznak, przykrywam szorstkim kocem z pozaciąganyimi nitkami i wbijam wzrok w plamy na suficie. Próbuję ustalić, czy konstelacja żółtych zacieków układa się w profil Indianina z pióropuszem, czy raczej w biegnącego niedźwiedzia polarnego.

Agnieszka stanowiła żywe zaprzeczenie obiegu opinii głoszącej, że brzydkie kobiety są lepsze w łóżku. Tak mówią faceci po trzecim piwie i uzasadniają to mocniejszą motywacją – rzekomo brzydule bardziej się starają, by techniką zrekompensować braki urody. Tu nasuwa się pytanie: co jest lepsze w seksie? Jeśli ktoś uważa gorliwość za walor, w porządku, ja wyżej cenię spontaniczność, swobodę, a także pewne obycie. I tu kobiety, które CZUJĄ SIĘ PIĘKNE, są niestety górą. Wynika to chyba z tego, że o pewne siebie dziewczyny zabiega więcej chłopaków, którzy starają się o nie na bardziej wyszukane sposoby, także erotyczne. Tak zwana laska zwykle ma bardziej urozmaicony seks – przyjmijmy to roboczo za fakt. W jej doświadczeniach mniej jest rutyny i presji, bo nikt nie stawia jej erotycznych ultimatów (typu: zrób mi dobrze albo cię zostawię). Zachowuje w łóżku pewność siebie, którą emanuje także poza nim, bo nic nie musi, a wszystko jej wolno. W efekcie staje się otwarta na eksperymenty, łatwiej osiąga orgazm i skuteczniej do niego doprowadza.

Jeśli więc ktoś chce być solennie obsłużony, niech idzie do brzyduli albo niech zgnoi swoją kobietę tak, by poczuła się brzydka. Za rękę do gwiazd polecą tylko z taką, którą uczyni piękną.

Ja latałem tam tylko z Agnieszka.

Aż wylądowałem półżywy na więziennej pryczy. Twarde lądowanie, nie ma co. A w tyle głowy dźwięczy mi ostatnie pytanie, które zadał policjant prowadzący śledztwo: skąd ją znam? W pewnym momencie dał sobie spokój z trudnymi kwestiami typu: „Co zaszło na jachcie?” albo „Dlaczego ją zabiłeś?”. Może był już zmęczony? Wyglądał na zmęczonego.

Ale to nie jest proste pytanie, bo, jak już wspomniałem, poznałem ją dwa razy: na obozie językowym, na który pojechałem w wakacje między drugą a trzecią klasą liceum, i trzynaście lat później, kiedy to wpadliśmy na siebie u jubilera.

Wystawiona w gablotach biżuteria tworzyła kosztowne ramy eksponujące jej

portret – damy z kolczykiem o ametystowym oczku z białą metką. W tym wspomnieniu ma na sobie ubranie, mogę więc bezkarnie wyostrzyć obraz. Sklep to bardziej bezpieczna sceneria niż moja sypialnia, by snuć tęskną opowieść o Agnieszce.

Gdy wszedłem, przeglądała się w lustrze, które z mojego punktu widzenia odbijało tylko jej ucho i przyłożoną do niego kulkę dyndającą na złotym łańcuszku. Frenetyczne, pomalowane na czerwono paznokcie mieniły się niczym małe rubiny. Grymasiła, żartowała i flirtowała z ekspedientami, którzy podsuwali jej kolejne wzory na żłobionych podstawkach. Jej głos brzmiał znajomo – niski, wibrujący, załamujący się w wyższych rejestrach, trochę jak u wyrostka przechodzącego mutację. Byłby śmieszny, gdyby nie wdzięczna intonacja, czyniąca z defektu intrygującą cechę charakterystyczną. Słuchałem ich rozmowy, przeszukując pamięć i oglądając gablotę z pierścionkami przecenionymi w ramach świątecznej promocji.

Spotykałem się wtedy z Grażyną i chwilę wcześniej pomyślałem, że zamiast kolejną książką czy bluzką zaskoczę ją jakimś kosztownym drobiazgiem. Spróbowałem sobie wyobrazić jej minę na widok pierścionka z brylantem wręczonego w blasku świec, z romantyczną muzyką w tle, z przyklęknięciem i całą tą resztą. Na pewno nie śmiałyby się z tego pomysłu tak jak ja teraz. Spotykaliśmy się już prawie dwa lata, co upoważnia trzydziestoletnią kobietę do pewnych oczekiwań.

Agnieszka przymierzyła ostatni z podsuniętych jej kolczyków i odwróciła się. Przez te kilkanaście lat nieco się zaokrągliła, ale przy jej wzroście nie było to problemem, zwłaszcza że należała do tych szczęśliwych kobiet, które gromadzą nadliczbowe kilogramy głównie w biuście i biodrach. Rozpięta pikowana kurtka odsłaniała rozpięty sweterek i biedni sprzedawcy dostawali zeza, udając, że wcale nie zaglądnęli w jej dekolt. We wnętrzu ociekającym złotem jej oczy błyszczały niczym królewskie klejnoty. Wyniosła, tyczkowata licealistka zmieniła się w pełnokrwistą trzydziestkę emanującą seksem i apetytem na życie.

Mówiła coś, zerkając na mnie ukradkiem, jakby w jej głowie zapaliła się jakaś przykurzona lampka. Wreszcie, tytułem powitania, rzuciłem parę słów po niemiecku, a ona spojrzała na mnie zaskoczona. Dopiero gdy się przedstawiłem, z uśmiechem pokiwała głową – jej lampka rozbłysła, moja twarz i wspomnienia nałożyły się na siebie. Przyjrzała mi się z zaciekawieniem.

- Świat jest mały – rzuciła nieodzowny frazes.
- Tak, co chwila wpadam na kogoś z tamtego obozu.
- Naprawdę?
- Nie.
- Ściągnęła brwi.
- Żartowałem. Starych znajomych widuję już tylko na zdjęciach.

Rozmawialiśmy przez chwilę w tym tonie, ostrożnie i nieporadnie. Tak naprawdę prawie się nie znaliśmy i chyba w tym samym momencie dotarło to do nas obojga. Sprzedawca chrząknął znacząco, a Agnieszka przeprosiła mnie i pochyliła się nad trzema parami kolczyków, które zostały po odrzuceniu pozostałych. Doradziłem srebrne

z bursztynami pasującymi do jej karnacji. Posłuchała mojej rady i w tym momencie sklepowe głośniki rozbrzmiały niezniszczalnym *Last Christmas*, świątecznym evergreenem o złamanym sercu. Półświadomie poddałem się fali gwiazdkowego rauszu, stymulowanego rozpoznawalną melodią, błyskotkami w gablotach, ledwie wyczuwalnym zapachem jej perfum i brzękiem kas. Postanowiłem przełamać towarzyski impas i zatrzeć kiepskie pierwsze wrażenie, bo gdybyśmy teraz wymienili numery telefonów i się rozstali, po odnowionej znajomości byłoby pozamiatane. Jeśli chciałem ją jeszcze zobaczyć – analizę powodów zostawiłem sobie na później – należało kuć żelazo, póki gorące. Znowu przechodząc na niemiecki, pod pretekstem szlifowania języka i odświeżania wspomnień, zaprosiłem ją na kawę.

Spojrzała na zegarek i zawahała się. Kasjer stukał w klawisze, obracając w palcach jej kartę i udając, że nas nie słucha. Rozważała moją propozycję, bezwiednie przesuwając pasek od zegarka, którego sprzączka pozostawiła kreskę na delikatnej białej skórze po wewnętrznej stronie nadgarstka. Omijała mnie wzrokiem, żebym nie pomyślał, że jej wahanie ma coś wspólnego ze mną. Oczywiście chodziło tylko o natłok zajęć zaplanowanych na to popołudnie, jakżeby inaczej. Wreszcie kasa zaszumiała i zaczęła drukować paragon, a ona się odwróciła, jakby pozytywna odpowiedź z banku poprawiła jej humor akurat na tyle, na ile było trzeba, by przeważyć szalę na moją korzyść.

– Dobrze, czemu nie?

Ekspedient życzył nam miłego dnia, spoglądając na mnie zawistnie, a wtedy drugi nagle ocknął się i spytał, czy może mi coś podać.

Odpowiedziałem, że jeszcze się zastanawiam, że nie szukam niczego konkretnego i wpadłem tylko, żeby się rozejrzeć.

Wyszyński przyjął z wdzięcznością filiżankę kawy.

– Dziękuję. Piękny ogród.

Siedzieli w altanie. Promienie słońca, które niedawno wzeszło, padały na równo przyszyrzyżony trawnik z okoloną białymi kamieniami wysepką pośrodku. Rosły na niej tuje, jakieś drzewko i kilka krzewów. Wysoka latarnia w stylu retro nadawała wysepce klimat angielskiego parku w miniaturze.

– Niech pan wybaczy, ale chcielibyśmy się wreszcie położyć – powiedział siwowłosy mężczyzna. Podziękował za szklankę wody żonie, która po chwili usiadła obok. – Jeśli ma pan jakieś pytania, to słuchamy.

Policjant przesunął swoją filiżankę po blacie tak, żeby tworzyła ze szklankami jego rozmówców trójkąt równoboczny. Nie miało to żadnego sensu poza przypomnieniem mu, że jest zmęczony i powinien teraz leżeć w łóżku. Ale czy to coś zmieniało? Zamrugał szybko.

– Chodzi o to, co zastała pani na łódce. – Kobieta drgnęła i podniosła wzrok. – Czy może pani to opisać?

Spojrzała na męża, który poklepał się palcem po wardze, jakby dopiero gdy uniósł dłoń, przypomniał sobie, że nie ma w ustach papierosa.

– Czy był tam ktoś poza ofiarą i pani synem?

Kobieta pokręciła głową.

– Na trawie za drzewami stał wieczorem większy samochód. Widzieliście go państwo?

Nie, nie widzieli nawet auta syna. Kobieta przesuwiała palcami po apaszcze związanej na szyi. Zielony materiał przecinały jasne linie, nadając mu wygląd żyłkowanego liścia. Wyszyński pochylił się nad fornirowanym blatem, w którym odbijała się jego twarz. Była niewyraźna, jak wszystko tutaj.

– Nawet nie mówię o prawnych konsekwencjach zatajania informacji. Ale wasz syn jest w tej chwili jedynym podejrzanym w sprawie o morderstwo. Jeśli nic się nie zmieni, dostanie dożywocie.

Mężczyzna zaczął mocniej skubać wargę.

– Osądza go pan bez procesu?

– Tylko państwa informuję.

– Niech pan pozwoli mojej żonie pozbierać się po tym wszystkim.

Komisarz odsunął filiżankę i się odwrócił. Trawnik okalał płot złożony ze stu czterdziestu dziewięciu prętów. Łatwo było to policzyć, bo co pięć wypadały pręty grubsze, których było dwadzieścia, jednego brakowało. W polu widzenia nie zostało już nic ciekawego do liczenia. Wyszyński pochylił się, kładąc na blacie splecione dłonie.

– Wkrótce wasz syn dostanie zarzut morderstwa, a tylko w jednej sprawie na pięć udaje się go uchylić. Takie są fakty. Wszystkie dowody oraz statystyka są przeciwko niemu. Być może jego życie, cała jego przyszłość, rozstrzygną się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Kobieta zgarbiła się jeszcze bardziej, mężczyzna nabrał powietrza i trzymał je chwilę w płucach. Milczenie przeciągało się, wreszcie policjant nie wytrzymał.

– Zdaje się, że chciał pan coś powiedzieć...

– Moja żona zeznała już, co tam zobaczyła. – Starszy pan rozłożył ręce. – Co więcej możemy zrobić?

– Wasz syn uparł się, żeby milczeć. Póki co, może robić, co chce. Ale jeśli na przesłuchaniu u prokuratora będzie to samo, ma przechłapanie.

Wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Nic nie powiedział?

– Nie, proszę pana. I nie mam pomysłu, jak do niego dotrzeć. Może państwo mi coś podpowiecie?

Siwa szczecina zaszeleściła pod palcami, które wciąż się poruszały, pozbawione punktu zaczepienia w postaci papierosa.

– Czy pan to nagrywa?

– Gdyby tak było, uprzedziłbym państwa. Dlaczego pan pyta?

– Chciałem wiedzieć. Cokolwiek zrobił mój syn, jeśli postanowi zachować sprawę dla siebie, wołami tego z niego nie wyciągniecie.

– Tak?

– Jest bardzo uparty.

– To bardzo głupio, proszę pana.

– Możliwe.

– Na upartych są sposoby.

– Nie udało mi się wpłynąć na niego przez trzydzieści lat. Jeśli panu się uda w czterdzieści osiem godzin, to gratuluje.

– Nie pomoże mi pan?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Coś panu powiem. Olaf uparł się, że rzuci studia i założy firmę, i zrobił to. Zaczynał od zera...

– Na pewno jest pan z niego dumny, ale teraz ma poważny problem. Na jego jachcie zabito kobietę.

– Jego problemy zaczęły się, kiedy porzucił Grażynę.

– Kogo?

Komisarz wbił w rozmówcę uważne spojrzenie.

– Poprzednią dziewczynę. Miała na niego dobry wpływ. Dopóki byli razem, wszystko mu się układało. Ale poznał tę Agnieszkę i oszalał. To jasne, że bierze leki na uspokojenie. Ale na takie baby nie ma tabletek.

– Tabletek nie ma – wtrąciła nagle jego żona. Wydawało się, że za chwilę coś doda, ale machnęła tylko ręką. Wszyński wpatrywał się w nią, czując się tak, jakby po paru godzinach wspinaczki na strome zbocze osiągnął szczyt i zaczął zbiegać w dół. Dotąd posuwał się wolno jak ślimak, teraz nagle zaczął pędzić na złamanie karku, aż zakręciło mu się w głowie.

– Wróćmy do tej Grażyny – poprosił po chwili ciszy. – Jak brzmi jej nazwisko? Czy macie państwo numer jej telefonu?

Kobieta znowu zamknęła na chwilę oczy, odsyłając go tym półmrugnięciem do diabła, po czym położyła dłoń na ramieniu męża.

– Nie powiemy nic bez porozumienia z adwokatem.

To było twarde lądowanie, jak uderzenie w drzewo. Komisarz z westchnieniem odchylił się na oparcie ławki i spojrzał na siwowłosą panią domu. Jak na świadka morderstwa, za które jej syn trafił za kratki, zachowywała imponujący spokój. Nie żeby czyniło to z niej złą matkę, po prostu było dziwne. Nawet jeśli jest stuprocentowo pewna jego niewinności, to powinno ją martwić, że organy ścigania nie są. Sam nie wiedział, co z tego wynika. I z jej uwagi o braku tabletek na toksyczne „baby”. Wyglądało na to, że nie potrafi odróżnić faktów istotnych od błahych, nie potrafi też wyegzekwować od świadków zdarzenia użytecznych informacji, co sprowadzało jego wartość jako śledczego do zera.

Mrugając nerwowo, rozpiął kołnierzyk.

– Jeśli powiecie adwokatowi to, co mnie, usłyszycie to samo: wy i wasz syn musicie mówić. A jeśli powiecie adwokatowi coś innego niż mnie, na przykład przedstawicie mu prawdziwy przebieg zdarzeń... opiszecie dokładnie, co robiliście na pokładzie jachtu syna między dwudziestą pierwszą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści, kiedy to wreszcie zadzwoniła pani na policję, a mnie nadal będziecie ściemniać, to traficie za kratki razem ze swoim synem i żaden chuj was stamtąd nie wyciągnie.

Przez chwilę słychać było tylko bzyczenie muchy, która przeleciała przez altankę. Potem z domu dobiegł jakiś świergot, który mógł być śpiewem kanarka albo dzwonkiem

telefonu.

– Doprawdy, chyba zapomina pan...

– Żaden chuj.

Leżę na więziennej pryczy przykryty kocem w gustowną szaro-czarną kratę i obserwuję muchę krążącą pod sufitem. Wygląda jak rewolwerowa kula odbijająca się rykoszetem od ścianek niewidzialnego abażuru. Chyba czeka, aż jarzeniówka zgaśnie, zupełnie jak ja. Ona chce spokojnie usiąść, a ja – zasnąć. Ciekawe, czy mnie dostrzeża i czy mój bezruch w obliczu takiego napięcia wydaje jej się równie absurdalny jak mnie jej szamotanina?

Wracając pamięcią do tego pierwszego po latach spotkania z Agnieszką, próbuję spojrzeć na nas z góry, z pozycji muchy na suficie.

Od jubilera przeszliśmy do eleganckiej kawiarni w stylu retro, z tapetami w beżowo-żółte pasy ze złoconymi lamówkami i ciężkim drewnianym kontuarem. Wnętrze tak różne od tej celi jak niebo od czyścica. Nie przypominam sobie żadnych insektów, pamiętam za to dość dobrze przebieg tamtego popołudnia i chcę je sobie wyświetlić jeszcze raz, chłodno i obiektywnie. Minuta po minucie przepatrzyć, jak od zdawkowych grzeczności doszliśmy do pomysłu, by spotkać się jeszcze raz. Gdy tak wyświetlam sobie ten widziany z góry *Krótki film o miłości*, to pomimo zmiany perspektywy w sposób nieunikniony przypomina mi się wszystko, o czym wtedy myślałem. Przyjmuję to i cytuję jak leci, porzucając na chwilę iluzję, że znam myśli Agnieszki. Niech wszechwiedza zmutowanego owada na suficie kończy się na powierzchni jej alabastrowego czoła, niech czyta w myślach jego, ale nie jej. Niech to będzie mucha samiec.

Agnieszka wybrała stolik w głębi sali i gdy po drodze mijali slalomem wszystkie pozostałe, podziwiał jej gęste jasne włosy i długie nogi, przemierzające podłogę z królewskim spokojem. Zupełnie jakby to wszystko – sala, stoliki i siedzący przy nich goście – należało do niej. Podobnie jak wcześniej w sklepie, zawłaszcziała przestrzeń samym faktem swojej obecności, pewnością siebie, sposobem bycia i wysokim wzrostem. Ten ostatni banalny detal zapewniał jej natychmiastową uwagę otoczenia, reszta sprawiała, że skupiała ją na sobie na dobre.

Gdy wreszcie usiedli, zapadła dziwnie uroczysta cisza, jakby każde słowo wypowiedziane na tym pierwszym po latach spotkaniu miało zostać zapisane w jakichś annałach. Z głośników sączył się stonowany jazz, a w nim znowu świąteczna brawura ustąpiła miejsca adwentowej powściągliwości. Obserwował w milczeniu, jak Agnieszka zdejmuje kurtkę i rozpina dwa górne guziki sweterka w kolorze lila-róż. Gdy pochyliła się nad espresso macchiato, w dekolcie błysnęła biała koronka, która wcześniej tak hipnotyzowała ekspedientów. Spojrzała na niego, odłożyła łyżeczkę i wyprostowała się, gasząc koronkowy prześwit, co jeszcze bardziej go speszyło. Zręcznym ruchem wydobyła spod filiżanki saszetkę z cukrem i odgryzła jej czubek.

– No mów.

Zamrugął.

– Słucham?

– To ja słucham.

– Yyy... Co u ciebie?

– Nie świruj. Jesteś facetem, mów o sobie.

Zaśmiał się sztucznie i bezwiednie spuścił wzrok.

– Specjalnie nie ma o czym.

Spomiędzy siekaczy wysunął się różowy język, by zlizać z łyżeczki kremową smugę. Odłożyła ją, oparła łokcie na stole i splotła palce.

– Ta – mruknęła z uśmiechem błakającym się w kącikach ust. – Akurat.

Na jednym palcu nosiła dwa pierścionki, jeden wyglądał na obrączkę, ale nie miał co do tego pewności. Na lewym nadgarstku dźwięczała bransoletka z całą masą kulek i kolorowych kamieni, podtrzymywana przez duży zegarek na brązowym pasku.

– No dobra, widzę, że nieśmiałek mi się trafił... To może ja zacznę. Gdzie pracujesz?

– Prowadzę firmę importującą samochody i sprzęt audio – odparł. – Pamiętasz Jacka? Byłem z nim wtedy na obozie.

– Niewysoki blondyn?

– Tak. Założyliśmy spółkę, potem on wyjechał do Stanów i teraz działam sam.

Zarejestrował powolny spadek napięcia, jakby rozwijająca się pogawędka dowodziła, że pod tym spotkaniem nie kryje się żaden podtekst, który mógłby wywołać niezdrowe emocje. Zmutowana, obdarzona ludzkim zmysłem obserwacji mucha na suficie zarejestrowałaby parę znajomych wspominających dawne czasy.

– A ty? – spytał.

– Pracuję w małej firmie, która handluje programami. Gem, łatwo zapamiętać – dodała z jakichś powodów i zamyśliła się na chwilę. Nabrał powietrza, żeby pytać dalej, ale ona najwyraźniej uważała temat pracy za zamknięty. Pochyliła się i oparła brodę na splecionych palcach.

– Zmieniłeś się.

W jednej chwili small talk przestał być beztroski, jakby przez otwarte okno wpadło zimne powietrze.

– Zmężniałeś.

Piękne kobiety szybko się nudzą i mówią prosto z mostu – poznając lepiej Agnieszkę, miał wiele okazji, by się o tym przekonać. To jedno potwierdzało jego teorię o odmienności ludzi urodziwych. Przy wszystkich swoich obawach i kompleksach Agnieszka do sytuacji towarzyskich podchodziła z większymi oczekiwaniami i mniejszym lękiem. A on nadal nie mógł zatrzymać spojrzenia na jej twarzy, jakby jej blask wciąż go oślepiał. Słońce wyszło zza chmur, a on nie mógł założyć okularów przeciwsłonecznych, błędził więc wzrokiem dookoła. Podwinięte rękawy jej sweterka odsłaniały krągłe przedramiona i zauważył, że po wewnętrznej stronie, tuż poniżej łokci, każde z nich przecina pojedyncza bruzdka, która pogłębia się, gdy zgina ręce. Czuł, że teraz on musi coś powiedzieć, i usłyszał swój głos:

– A ty wykobieciałaś.

Zanim zdążył się poprawić lub obrócić to w żart, rozległy się pierwsze takty filmowego hitu sprzed lat. Przeprosiła go i wyjęła z torebki komórkę. Zaczęła rozmawiać z kimś o pracy, a gdy odwróciła się profilem, wreszcie mógł jej się przyjrzeć. Ciepłe światło kawiarnianych kinkietów było równie podstępne jak złota poświata w sklepie, maskowało defekty lub czyniło z nich atuty. Tuż nad jej ustami dostrzegł mały pieprzyk i zdziwił się, że go nie zapamiętał. A może dawniej go nie było?

Mówiła głośno, nie krępując się w jego obecności, żartobliwie tytułując swego rozmówcę „prezesem”. Odmówiła wykonania jakiegoś polecenia, przekonując, że wykracza poza jej kompetencje, co „powinien pojąć każdy debil”. Zastanawiał się, czy naprawdę rozmawia z szefem, a jeśli tak, to czy tamtemu nie przeszkadza, że podwładna tak go traktuje. Zakończyła rozmowę pod pretekstem, że jest na ważnym spotkaniu, i puszczając do niego oko, schowała komórkę.

– Sorry...

W międzyczasie zebrał myśli i spróbował przejąć inicjatywę.

– Teraz twoja kolej – powiedział. – Co porabiasz poza pracą? Mąż? Dzieci?

Jej usta znowu rozciągnął kpiący uśmiech.

– Mam ci streścić trzynaście lat w dwóch słowach?

– A gdybyś musiała?

– Powiedziałabym „jest dobrze”.

– Dobrze dobrze? Nie superdobrze?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jak jest... Są wzloty i upadki. Czasem idziesz pod górkę, ale trzymasz kurs.

Zdobył się na wyczekujące spojrzenie, a ona pokręciła głową.

– Nie mam męża ani dzieci. To teraz mi powiedz, co robiłeś u jubilera.

Zawahał się.

– Szukałem prezentu dla mojej dziewczyny.

Jeśli informacja, że jest w związku, miała dla niej jakiegokolwiek znaczenie, to nie dała tego po sobie poznać.

– *Selbstverständlich*.

– *Genau*[1].

– Już się tak nie popisuj – prychnęła rozbawiona.

– Wiesz, ten sprzęt dla firmy ściągám przeważnie z Niemiec, więc często odświeżam słownik. Choć głównie z mojej branży – silniki, modele i tak dalej...

Kiedy poczuł się pewniej, wkraczając na solidny grunt tematów zawodowych, ona zaczęła się nudzić. Potarła powiekę, jakby powstrzymując falę senności. Uświadomił sobie, że ją traci, że za chwilę się rozstaną i więcej jej nie zobaczy. Wpadł w pułapkę mówienia o sobie i swojej pracy. Faceci – przewidywalność – nuda. Przez krótką chwilę jej myśli były czytelne, jakby wypisała je sobie długopisem na czole.

Nawet mucha samiec dostrzegłaby jej stłumione ziewnięcie.

Był jeden plus: teraz nie miał nic do stracenia.

– Z tego obozu pamiętam nie tylko niemieckie słówka.

– Hm? – Mruknęła.

– Pamiętam ciebie.

– Miło mi...

– Byłaś moją prywatną Miss Obozu.

Drgnęła i wyprostowała się jak obudzona z letargu.

– Nie wiedziałam...

– Wiedziałaś.

Spojrzała na swoje paznokcie, jakby sprawdzała stan lakieru.

– Dlaczego nie kupiłeś swojej dziewczynie tego prezentu? – spytała po chwili, nie patrząc mu w oczy. Pogratulował sobie, że wciąż za nią nadaża: wprawiona w zakłopotanie odwinęła się i postanowiła zawstydzić jego. Wyczuwał nie tyle jej myśli, ile nastrój: zaintrygował ją, zagrywka va banque opłacała się. Nie było już powrotu do bezpiecznej pogawędki i znowu zapanowało to uroczyste napięcie, jakby każde wypowiedziane słowo nabierało dziwnej mocy.

– Bo w sklepie skupiłem się na tobie.

– Biedaczka będzie rozczarowana. – Westchnęła, strzepując z rękawa niewidzialne pyłki.

– A ty?

– Ja kupiłam sobie kolczyki. Byłeś przy tym.

– No tak, ale dla kogo? To znaczy, czy jest ktoś, dla kogo będziesz je zakładała?

– Proszę, proszę, jaki Wersal... – parsknęła rozbawiona. – Jak wspominałam, nie mam męża.

– Partner?

Pokręciła głową, krzywiąc się.

– Będę je zakładać dla wszystkich. Głównie dla siebie.

– Miło cię widzieć.

Spojrzała na niego.

– Ciebie też.

Patrzyli sobie w oczy z osiem sekund, a może nawet dłużej.

Gdy potem stanęli przy jej aucie (powiedzmy, że wścibska mucha poleciała tam za nimi), solennie wymienili formułki, utwierdzając się nawzajem w przekonaniu, że zadbają o przetrwanie odnowionej znajomości. Teraz mają swoje numery telefonów i nie pozwolą już sobie na trzynaście lat ciszy, to przeoczenie się nie powtórzy. Zawahał się. Pożegnalny pocałunek mimo wszystko będzie zbyt intymny, natomiast zwykle „cześć” zbyt chłodne. Uśmiechnęła się, myśląc chyba o tym samym, i rozwiązała dylemat, ściągając wargi jak do pocałunku w policzek.

Zamknął oczy i wycisnął regularny, soczysty całus na wargach, które przed chwilą drwiły z niego i prawie, prawie rozciągnęły się w ziewnięciu, kiedy do niej mówił, a dawno temu wydymały się pogardliwie na jego widok. Zemsta była słodka. Wprawdzie nie oddała pocałunku, ale nie przerwała go, to on w końcu zrobił krok w tył. Na ulicy zrobiło się ciemniej. Anemiczne grudniowe słońce zaszło tylko za chmurę, ale przez chwilę zdawało mu się, że stracił poczucie czasu i że zapadł zmierzch. Westchnęła, a może się wzdrygnęła. Ich oczy znowu spotkały się na parę sekund, a potem spojrzała na

zegarek i powiedziała, że musi już jechać. Chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Odchodząc, wróżył sobie – jeśli się obejrzy, zadzwonię do niej i...

...I wtedy przypomniał sobie o Grażynie. Wyciągnął z kieszeni komórkę i nie odwracając się, wybrał numer swojej dziewczyny.

Biegły z zakładu medycyny sądowej wybierał się na urlop, ale przypominając mu dawną przysługę, Wyszyński wymógł na nim, że przed wyjazdem zrobi sekcję zwłok. Jego telefon zadzwonił o czternastej. Mógł przyjechać do zakładu już teraz i poznać wyniki na gorąco albo poczekać na raport, który oficjalnymi kanałami dotrze po weekendzie.

Pół godziny później komisarz zszedł po schodach do chłodnego korytarza, którym dotarł do drzwi z okrągłą szybką. Otworzył je mężczyzna w białym fartuchu z plikiem dokumentów w dłoni i zaprosił go do małego pomieszczenia bez okien, z którego przez wahadłowe drzwi przeszli do większej sali, jasno oświetlonej podłużnymi jarzeniówkami podwieszonymi parami pod sufitem. Pachniało jak w schowku na szczotki, w którym rozlano butelkę domestosa, a potem do powstałej kałuży oddano mocz.

Na środku pomieszczenia stał wysoki stół sekcyjny, na którym leżały zwłoki. Tors kobiety i jej nogi okrywała gruba granatowa folia, była jednak za krótka i odsłonięte stopy z polakierowanymi paznokciami wystawały parę centymetrów poza krawędź stołu. Przy stojącej pod ścianą szafce z przyrządami krzątał się łysy mężczyzna w fartuchu i masce. Na dźwięk kroków odwrócił się i uniósł rękę w powitalnym geście w myśl zasady unikania kontaktu fizycznego obowiązującej w tym miejscu. Wyjął z szuflady szafki kartkę i podał ją komisarzowi. Widniał na niej rysunek noża o wąskim, krótkim ostrzu.

– Szukaj – syknął krótko, jakby wydawał komendę psu. Był to ich prywatny żart, który nigdy specjalnie Wyszyńskiego nie bawił.

– Scyzoryk? – spytał, zakładając wyjętą z folii jednorazową maskę, w którą się wcześniej zaopatrzył. Lekarz spoważniał i pokiwał głową.

– Mały, jak ze sklepu z pamiątkami. Ostrze góra siedem centymetrów.

Komisarz stanął nad stołem na wysokości klatki piersiowej denatki. Biegące ukośnie cięcia po sekcji zszyto grubą nicią, jaką wykańcza się skórzane torebki, gdy chce się uzyskać wrażenie, że to ręczna robota. Biała, opłukana z krwi skóra lśniła tam, gdzie napinały ją kości czy mięśnie, i marszczyła się w zgięciach, ściągnięta jakimś odczynnikiem. Wyszyński nie liczył tu na swoje detektywistyczne dreszcze, to było obce mu środowisko, należące do kolegi w białym fartuchu.

– Można czymś takim przebić serce?

– Można nakłuć, to wystarczy.

– Wiedział, gdzie nakłuwać?

– Raczej nie. Tylko jeden z ciosów był śmiertelny. Osierdzie wypełniła krew, serce zadławiło się i przestało bić. – Dłoń w rękawiczce bezwiednie krążyła nad nagim torsem, wreszcie zawisła w powietrzu. – Nastąpiła tak zwana tamponada.

– A woda w płucach?

– Musiała się mocno zachłysnąć, i to tuż przed śmiercią.

– Ale to jej nie zabiło?

– Nie.

– Dobrze. Jeszcze jedno.

Wyszyński uchylił płachtę z prawej strony stołu. Biała dłoń fosforyzowała w świetle jarzeniówek i zdawała się unosić nad metalową powierzchnią. Paznokcie lśniły granatowo niczym kawałki rozbitej bombki. Lekarz pokiwał głową.

– Też zwróciłem na to uwagę.

– Obcięte?

– Raczej spiłowane.

– Możesz powiedzieć kiedy?

– Przeceniasz mnie.

– Nie pytam o datę, tylko o to, czy przed śmiercią, czy po?

Brwi nad białą maską podjechały w górę.

– Po?

– Podejrzewam, że walczyła o życie. Sprawca załatwił ją, a potem obciął jej paznokcie, żeby zatrzeć ślady.

– Spiłował – sprostował patolog. – Myślisz, że to ten twój zatrzymany?

– Wątpię. – Wyszyński westchnął. – Ślady zaciera ktoś, kto chce uniknąć kary, a ten facet pcha głowę pod topór.

– Może obudziło się w nim sumienie?

Komisarz wzruszył ramionami. Lekarz podszedł do głowy ofiary, pochylił się i czubkiem palca podważył górną wargę ze śladami zakrzepłej krwi.

– Trochę tu podlubałem, ale jeszcze sporo zostało. Oddałem tkankę do laboratorium... Nie była wegetarianką, tyle ci powiem.

– To ludzka krew.

Tym razem brwi lekarza zbiegły się, a czoło przecięła zmarszczka.

– Odgryzła facetowi ucho – wyjaśnił komisarz.

– W żołądku był tylko rozwodniony szampan – odrzekł patolog.

– Wypluła je.

– Oczywiście, tak... jasne... skoro się szarpali... – Lekarz podrapał się w czoło.

– Cholera jasna, dlaczego pomyślałem, że je zjadła? Powiem ci, stary, że potrzebuję tego urlopu...

Komisarz spojrzął jeszcze raz na planszę z narysowanym ostrzem. Zamrugał i przejechał ręką po włosach. Opanował narastającą potrzebę wyjścia na świeże powietrze.

– Czy to mógł być, na przykład, pilniczki do paznokci? – spytał.

Biegły popatrzył na niego, a potem na rysunek.

– Dziś pilniczki są z gumy i mają okrągłe czubki... – Urwał, spojrzął na prawą dłoń denatki ze spiłowanymi paznokciami i zastanowił się jeszcze raz. – Chyba że taki stary, metalowy, z zaostrzonym końcem. Czemu nie? Tak, to mogło być to. – Przeniósł wzrok na krawędź stołu, a jego oczy się zaszklily. Duchem był już na tropikalnej wyspie, na której jutro wylądował ciałem. – Niezła laska – westchnął. – Szkoda.

Komisarz pokiwał głową.

- Miała pecha.
- Pecha w spodniach czy w spódnicy?
- Laski raczej nie budzą sympatii innych kobiet – powiedział z namysłem policjant.
- Które też częściej niż faceci mają pod ręką pilniczki do paznokci.
- No to szukaj – syknął lekarz i powtórzył, ignorując grymas policjanta: – Szukaj, szukaj!

Nie wiem, jak długo spałem, obudziłem się, gdy przekręcając głowę, przygniotłem ocalały kawałek ucha. Otuliwszy się ciasniej kocem, przez jakąś godzinę leżałem na wznak, próbując ustalić, czy plama nad oknem przypomina kształtem Australię czy krowi łeb.

Kiedy miałem czternaście lat, złamałem nogę i leżałem parę dni w szpitalu, ale nawet tam mogłem wychodzić na korytarz. Myśl, że choćbym chciał się stąd wydostać, to nie mogę, bo w drzwiach po prostu nie ma klamki, była nowością. Nikt wcześniej nie trzymał mnie pod kluczem. Komórkę oczywiście mi zabrali, odpadają więc telefony i dostęp do internetu. I ta cisza, ten martwy bezruch, brak spraw do załatwienia – to też coś nowego. Na pewno jeszcze wezmą mnie na przesłuchanie, ale inicjatywa w tej kwestii nie należała do mnie, więc nie zwracałem sobie tym głowy.

Jakiś pisarz ogłosił kiedyś, że dopiero w więzieniu poczuł się wolny. Gdy to przeczytałem, popukałem się w czoło, ale teraz go zrozumiałem. To znaczy, gdyby ktoś otworzył drzwi celi, a potem następne i następne, i wypuścił mnie na ulicę, natychmiast bym zwiął. Pewnie, że tak. Tylko co potem? Dokąd bym poszedł? Nawet nie chodziło o to, że musiałbym się ukrywać przed policją, ale trzeba by zdecydować, co dalej, ogarnąć ten bajzel, w jaki zamieniło się moje życie, i zmierzyć się z całą masą problemów. A tak – nie było klamki i nie było tematu. Nie musiałem podejmować żadnych decyzji i na tym polegała moja wolność.

Pokrzepiony obiadem, na który złożyły się chińska zupka i kanapka z szynką, oraz ośmielony tym, że udaje mi się przetrwać pierwszy dzień paki we względnej równowadze, znowu podążyłem myślami do Agnieszki. Co sprawiło, że po krótkiej pogawędce, wyznaniu o zauroczeniu sprzed lat – z którego musiała zdawać sobie sprawę już wcześniej, przynajmniej do pewnego stopnia – oraz po jednym pocałunku tak ochoczo przyjęła propozycję kolejnego spotkania? U jubilera na moją korzyść zadziałała świąteczna atmosfera, sentymalna muzyka i brzęk kasy. Co podbiło moje akcje nazajutrz? Przywołując w pamięci jej późniejsze wyjaśnienia, odcedzając je z żartów i wykrętów, próbuję zrekonstruować scenkę, która w takiej czy innej formie musiała się tego dnia rozegrać. Wysyłam w przeszłość zmutowaną muchę, samicę, by rzucić więcej światła na mrok barokowego wnętrza mojej ukochanej w chwili kluczowego dla mnie dylematu.

Agnieszka przerzucała ulotki leżące na blacie firmowej kuchni. Właściwie była to jedna ulotka w pięciu wersjach, reklamująca specjały pozwalające „poczuć się jak we

Włoszech”. Nawet hasła brzmiały podobnie, zupełnie jakby wszyscy Polacy cierpieli na kompleks buraczanego Wschodu i chwyтали się każdej szansy, by odetchnąć luksusowym powiewem południa. Pewnie z tego założenia brała się też natarczywość Włochów podczas wyjazdów służbowych. Na nią jednak, pozbawioną kompleksów Mazowszankę z dziada pradziada, to nie działało. Przypomniała sobie, że ma włoskie auto, i zaklęła cicho – niesolidne, dużo pali, przerost formy nad treścią, jak oni wszyscy. Obiecała sobie, że już więcej takiego nie kupi. Odsunęła ulotki i wyjęła komórkę, by poszukać namiaru na najbliższą pierogarnię.

Po chwili złapała się na tym, że zamiast wejść do sieci, przeszukuje połączenia oraz foldery odebranych e-maili i SMS-ów, by się upewnić, że niczego nie przegapiła. Najwyższa pora odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego facet, za którego kiedyś nie dałaby złamanego grosza, zaintrygował ją na tyle, że nie może się doczekać wiadomości od niego. Przecież nie chodziło tylko o ten idiotyczny pocałunek, który jej skradł. Oczywiście nie pozostał bez echa, wielomiesięczny post zrobił swoje i tak niespodziewany intymny kontakt był jak lekki wstrząs elektryczny. Ale to zaczęło się wcześniej. Z jakichś powodów w kawiarni wciągnęła bliżej nieznanego mężczyznę w dwuznaczną grę, która w rezultacie sprowokowała go do tak wylewnego pożegnania. Albo to ona pozwoliła wciągać się w jego grę, bo wciąż nie miała pewności, kto przy tym kawiarnianym stoliku rozdaje karty. Tę niepewność dodała do sumy powodów, które sprawiały, że minęła jedenasta, a ona nie zabrała się jeszcze do pracy.

Powiedziała mu, że „zmężniał”, ale co to właściwie znaczy? Urósł, z jego twarzy znikły pryszczki i pojawił się zarost, mówił niższym głosem. Hormony zrobiły swoje, lecz zaszła w nim też subtelniejsza zmiana. Dawna niezdarność ustąpiła chropawości, twardości, zdecydowaniu... męskości, z braku lepszego słowa. Takiej klasycznej, pachnącej zakurzoną drogą, olejem silnikowym i tytoniem. Może nie wyglądał jak facet z reklam Cameli, ale potrafił stworzyć wrażenie, że to właśnie on do nich pozował, dopiero potem fachowcy od Photoshopa trochę go poprawili. Jego bezpośredni styl bycia dobrze prosperującego sprzedawcy aut tworzył taką aurę, że nawet za duży nos, dziwny kształt ust czy odstające uszy liczyły się na plus, bo wzmacniały efekt nonszalancji. Oto facet, który nie dba o pozory, wyklada kawę na ławę i robi to, na co ma ochotę. Retroseksualny – tak to się chyba nazywa. I taki był, od masywnych butów po końcówki potarganych, nieskażonych żelem włosów. Chwat. Drwal. Prawdziwy facet.

Ale nie dzwonił, a nie był z niego aż taki cud, a ona nie była aż tak zdesperowana, żeby odezwać się pierwsza. Zwłaszcza w świetle jej ostatnich refleksji o związkach i mężczyznach. Wrzucając komórkę do torebki, zbeształa się za swoje rozkojarzenie. Pora usunąć z telefonu wszystkie pliki MP3 w stylu new romantic, porzucić zwyczaj oglądania miłosnych dramatów, odłożyć na półkę całą tę upojną szmirę i zejść na ziemię.

W tym momencie zadzwonił jej szef.

– Za pięć minut u mnie.

Zaśmiała się krótko.

– Już lecę.

– Mówię serio.

– Spadaj.

- Wezwałem Wójcika – powiedział ciszej. – Przyjdź, proszę.
- Jestem zajęta – odparła z westchnieniem.
- Zaraz tu będzie. Potrzebuję cię.
- Zwolnij go sam.
- Proszę...

Kręcąc głową, przerwała połączenie. Nagle zmęczona i senna, odwróciła się stronę ekspresu do kawy, lecz po chwili wahania, w ramach bojkotu włoszczyzny, odmówiła sobie małej czarnej. Pokrzepiła się po staropolsku: wyjętym z lodówki tigerem.

Gdy pusta puszka wylądowała w koszu, zdjęła z wieszaka żakiet i przeklinając swoją funkcję firmowego pitbulla, wyszła na korytarz.

Pół godziny później wróciła do kuchni z ochotą na jednego głębszego. Zastanawiała się, czym się tak przejmuje. Przecież nie był to pierwszy ani ostatni upierdliwy obibok, którego zwolniła. Wkurzało ją jednak to, że szef nie potrafił zrobić tego sam, tylko wyręczył się nią pod pretekstem, że w ich małej firmie pełni również obowiązki kadrowej. Nie chciał brudzić sobie rączek. Czasem czuła, że tylko ona tutaj nosi spodnie. Jej koledzy to sami fajansiarze, modulujący głosy, by brzmiały bardziej miękko, unikający konfliktów i piłujący paznokcie. Gdyby podrapać te ich usmażone w solariach fejsy, pokazałyby się plastik.

Za to chropawa skóra Olafa skrywała kamień, to było widać gołym okiem.

Dziki – czy nie tak ma na nazwisko? Co za nomen, kurczę, omen!

Z trudem skupiła się na sprawach służbowych. Zaczęła się zastanawiać, jak sformułować powód zwolnienia w wymówieniu, które musi napisać. Nie chciała, żeby właśnie zwolniony menedżer miał problem ze znalezieniem nowej roboty... Ale dlaczego właściwie ma mu iść na rękę? Cwaniak da sobie radę, a jeśli nawet chwilę to potrwa, to mu dobrze zrobi. Przez swoje lenistwo zawałił umowę z ich kluczowym klientem, powinien więc wziąć się w garść i przewartościować priorytety. Twarde lądowanie na bezrobotnym tyłku może być ostatnim prezentem od jego byłej kadrowej.

Stojąc przy oknie, robiła w myślach przegląd spraw, które tego dnia wytrąciły ją z równowagi. Po chwili dotarła do tej najbardziej prozaicznej i zarazem jedynej, na którą mogła szybko coś poradzić. Opierając się o parapet, sięgnęła za siebie, chwyciła za obcas i zsunęła ze stopy pantofel. Był nowy i lakierowana skóra nie zdążyła jeszcze dopasować się do kształtu pięty. Wciąż trzymając się parapetu, zgięła nogę w kolanie. Przez dziurkę w cienkiej pończosze prześwitywała czerwona kreska. Starła ją palcem i uniosła do ust.

Miała słony, metaliczny smak.

Stała na bosej stopie z zamiarem zdjęcia drugiego pantofla i spaceru do biurka po awaryjne balerinki. Zamiast tego pochyliła się i sycząc przez zęby, założyła zdradziecki but. Policzyła w myślach od dziesięciu do jednego. Gdy doszła do zera, poczuła, że odzyskuje równowagę. Pieczenie, które powróciło falą bólu, było czymś namacalnym, koncentrującym całe zło w jednym punkcie.

Od rana czuła się jak kawałek drewna toczony przez pasożyty. Każdy z nich miał swoją nazwę: zwątpienie, strach, troska, żal i wreszcie królowa tego robactwa – poczucie winy. Towarzyszyło jej od tak dawna, że nie pamiętała, skąd przypęzłło, w jakim gnieździe się wylęgło, by zżerać ją od środka. Podsycalo je każde zdarzenie, w którym

widziała przejaw swojego egoizmu. W tej chwili chodziło o to, że nie zawalczyła o zatrzymanie w firmie słabszego pracownika, że dla świętego spokoju przyłożyła rękę do wysłania go na bezrobocie. Przekonywała siebie, że należało się go pozbyć dla wspólnego dobra i że wszyscy na tym skorzystają, z nim samym włącznie. Ale to nic nie dawało, trzeba było sięgnąć po mocniejsze środki zaradcze. Przeniosła ciężar ciała na skaleczoną nogę i wraz z nową falą bólu poczuła niemal, jak korniki w jej wnętrzu ściągają do pułapki zastawionej na nie dwanaście centymetrów nad ziemią. Wkrótce będzie mogła je stamtąd usunąć za pomocą wacika oraz paru kropli jodyny, by wreszcie poczuć się prawie dobrze.

Nie superdobrze, nie dobrze dobrze. „Prawie”. To na razie musi jej wystarczyć. Dobrze przez wielkie „D” może się poczuć tylko w jeden sposób i kobieca intuicja podpowiadała jej, że sprawa jest w zasięgu jednego SMS-a. Kilka trafnie dobranych słów i fantazja stanie się ciałem, twardym i umięśnionym. Ale znowu nie była aż tak zdesperowana, by wykazać inicjatywę, która na starcie ulokuje ją na słabszej pozycji. Odetchnęła głęboko i po raz pierwszy tego dnia prawie się uśmiechnęła.

– Jestem naprawdę wyposzczona – westchnęła bez zdziwienia czy wyrzutu, z ciepłą autoironią.

Woźniak nadciągał jak nawałnica. Potrącił dyżurną z naręczem akt, które z łopotem sfrunęły na podłogę. Wyszyński wytarł jabłko o rękaw swetra, leniwie obserwując, jak podwładny zbiera papiery przy wtórce docinków i nerwowych żartów. Po wizycie w domu, paru godzinach snu i czułym kwadransie w ramionach żony, komisarz czuł się jak nowo narodzony. Te szybkie numerki w dziewiątym roku małżeństwa stały się jego specjalnością: wydajne do maksimum, satysfakcjonujące wszystkich zainteresowanych jak dobrze poprowadzone śledztwo. Krótkie przesłuchanie po fakcie potwierdzało jego przypuszczenia. „Było świetnie, kochanie”, ochryply szept żony, kojący i zamykający sprawę jak sprawiedliwy wyrok.

Wgryzł się w owoc o błyszczącej czerwonej skórce, czekając, aż aspirant dotrze do niego, złapie oddech i przeniesie swój pasiasty krawat z pleców na przód pasiastej koszuli.

– Siwiec w szpitalu – zameldował Woźniak.

Wyszyński przeżuwał miąższ, połykając sok i wdychając świeży zapach owocu.

– Co się stało?

– Nie wiadomo.

Znowu ugryzł jabłko, czekając, aż aspirant ochłonie i powie coś konkretnego.

– Dzwonił Mirecki. Po południu wrócił na przystań, podobno zgubił w nocy pióro i pomyślał, że może tam.

– To chyba nie jest najlepszy dzień konowała – mruknął komisarz z pełnymi ustami.

– Siwca też nie. Został na łódce, żeby przypilnować ją przed odholowaniem na naszą przystań.

– No wiem.

– Kiedy przyjechał Mirecki, podobno chodził po pomoście na miękkich nogach,

siny na twarzy. Mówił coś nieskładnie, a potem z nosa poleciała mu krew i zemdłał.

– Trzeźwy?

Woźniak pokiwał głową.

– Próbowali mu pomóc na miejscu, ale nic nie działali, więc zawieźli go na ostry dyżur. Dopiero po drodze się ocknął.

– Toksykologia?

– Niczego nie wykazała, czysty jak świnia, szefie.

Wyszyński przestał jeść.

– Jak nie Siwiec – mruknął. – Może ma jakąś cukrzycę czy coś w tym rodzaju?

– Robili nam niedawno badania – przypomniał aspirant. – Sprawdzili jego wyniki, żadnych niespodzianek.

Stali przez chwilę w milczeniu, pogrążeni w myślach. Pierwszy odezwał się Woźniak:

– Coś jest na tej łodzi.

Wyszyński z namysłem odwrócił się do okna i zapatrzył na ciężkie chmury, zaróżowione promieniami zachodzącego słońca.

– Weźmy podejrzanego: szok szokiem, ale dlaczego cały dzień milczy? – ciągnął

Woźniak. – A teraz Siwiec: parę godzin na łodzi i zjazd. Jeśli dodać dwa do dwóch...

– Raczej jeden do zera.

– Tam dzieje się coś dziwnego.

Gdy z jabłka został tylko ogryzek, komisarz pokręcił głową.

– Łódka jak łódka. Gdyby nawdychali się oparów jakiegoś kleju czy farby, to wyszłoby na toksykologii młodego.

– Tam coś jest – upierał się aspirant.

– Co?

– Coś.

DZIEŃ DRUGI

Dziwne lekarstwa na dziwne są rany[2].

Kobieta klęczała na aksamitnej poduszce z różańcem w dłoniach, siwe włosy zasłaniały jej twarz. Mężczyzna na fotelu skubał nitkę zwisającą z wyszytego na kieszeni szlafroka herbu: gryfu okolonego jelenim porożem. Z mokrych zmierzwionych kosmyków na świeżo ogolony policzek kapłała woda. Spojrzał na zegarek, poruszył się i odchrząknął. Jego rozmodlona żona wyprostowała się, ale spod zasłony włosów nadal dobiegał jednostajny szept.

– Heleno... Musimy porozmawiać. – Odgarnęła grzywkę i posłała mu zimne spojrzenie. – Mamy mało czasu.

Odwróciła się, poszeptała jeszcze przez chwilę, wreszcie przeżegnała się i wstała z kolan. Mężczyzna także podniósł się fotela, zebrał poły szlafroka i związał je ciasniej paskiem.

– Powiedz: to była ona?

– Kto?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi. Wyszedł za nią na korytarz.

– Dobrze wiesz. To ona zeszła z łódki na pomost? Byłaś bliżej, widziałaś.

Kobieta przystanęła w drzwiach łazienki, odwróciła się i popatrzyła na niego zniecierpliwiona.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Helenko...

– Mój syn siedzi w więzieniu – syknęła – a ja nie mogę nawet spokojnie się za niego pomodlić. Daj mi spokój!

– Modlitwą mu nie pomożesz.

Zmrużyła szare oczy, nabrała powietrza i wyprostowała plecy, lecz mężczyzna był szybszy.

– Też żałuję, że do tego doszło – powiedział. – I rozumiem ją... Jeśli to była ona. Ale jest jeden problem... Słyszałaś, co mówił policjant?

Zrobił krok do przodu.

– Musisz zeznawać. To dla Olafa jedyny ratunek. Ktoś za to odpowie, ona albo on.

Cofnęła się i skrzyżowała ręce na piersi, odgradzając się od męża złością i fizyczną barierą splecionych ramion.

– Niczego nie widziałam.

Mężczyzna sapnął.

– Rozumiem twoje opory, ale musisz się zdobyć na...

Pozostawiła swoje rzekome powinności za drzwiami łazienki, chwala Bogu dźwiękoszczelnymi. Wyjęła z kieszeni swetra skórzane etui i klekocząc paciorkami, umieściła w nim różaniec. Odkładając go na półkę, natrafiła stopą na coś miękkiego. Ze złością podniosła mokry, jeszcze ciepły ręcznik i popatrzyła na plamę wilgoci na lśniących kafelkach. Znalazła suchy, wolny od bakterii skrawek materiału frotté i ją starła. Prostując się z ciężkim westchnieniem, spojrzała w lustro. Przez ostatnie czterdzieści

osiem godzin niewiele spała i prawie nie jadła, rysy jej twarzy ściągnęły się i wyostrzyły. Co dziwne, napięcie ją odmłodziło, tak jej się przynajmniej wydawało. Dawno nie widziała w lustrze tak efektownie przejętej twarzy, jakby obudziła się w niej aktywistka zaangażowana w ważne sprawy uczelni i państwa, studentka, a potem absolwentka prawa, której nie jest wszystko jedno.

Wrzuciła ręcznik do pralki, zdjęła apaszkę i ostrożnie dotknęła białej szyi. Podłużne poziome sińce z bordowych robiły się fioletowe. Sięgnęła do szafki po masę kupioną wczoraj w aptece. Zdjęła nakrętkę i wycisnęła z tubki trochę żółtej mazi. Oby zadziałała, nie może w upały całymi dniami nosić apaszki.

Wyszyński zobaczył ją rano na korytarzu komendy. Rozglądała się, zmrużonymi oczami odczytując numery na drzwiach. Widział ją pierwszy raz, ale rzut oka na szczupłą sylwetkę, wystraszoną twarz z wypukłymi kośćmi policzkowymi i dołkiem w brodzie wystarczył, by domyślił się, kim jest. Zamknął drzwi swojego gabinetu od środka i oparł o nie czoło całkowicie świadomy, jak niewiele czasu tym zyska.

Kiedy rozległo się pukanie, siedział już za biurkiem.

– Proszę.

– Komisarz Wysocki?

Sięgające ramion czarne włosy błyszczały przy przedziałku zdradziecką szarością. Jeden z uchwytyłów skórzanej torebki, którą trzymała w ręku, był urwany i przyszyty grubą nicią.

– Wyszyński.

– Przepraszam – powiedziała i z wahaniem ściągnęła usta, pogłębiając kreseczki wokół nich. – Przysłali mnie do pana... Moje nazwisko Malik. Dzwoniliście do mnie.

– Właśnie miałem do pani pojechać.

– No, ale ja jestem u pana. Słucham, co się stało?

– Proszę usiąść.

Przez jej napiętą twarz przemknął grymas zniecierpliwienia. Założyła torebkę na ramię i stanęła na szeroko rozstawionych nogach.

– O co chodzi?

– O pani córkę Agnieszkę...

– Nie mam innej.

– Słucham?

Przewróciła oczami. Usiadła i omiotła wzrokiem pokój, jakby szukała kamer lub świadków rozmowy, niewidocznych na pierwszy rzut oka. Komisarz przywykł już, że jego goście zachowują się jak uczestnicy programu na żywo, kryminalne paradokumenty zrobiły swoje.

– Nie mam innej córki – sprecyzowała. – Wystarczy powiedzieć: „córki”.

– Rozumiem. Czy życzy pani sobie coś do picia?

Pokręciła głową. Przy uszach, gdzie kończył się beżowy podkład, jej twarz była kredowobiała.

– Niech pan powie, co się stało. Słucham.

– Obawiam się, że nie mam dla pani dobrych wieści.
– Domyślam się.
– Pani córka nie żyje. – Szare oczy zwęziły się, jakby sypnął w nie piaskiem.
– Może jednak podam pani coś do picia?

– Wypadek samochodowy – powiedziała po chwili tonem stwierdzenia. – Jeździła jak wariatka, tyle razy jej mówiłam...

– To nie wydarzyło się na drodze, proszę pani. Zgon nastąpił na łódce. – Z trudem zogniskowała na nim wzrok i oparła dłoń o krawędź krzesła, jakby podłoga zaczęła się kołysać. – Na łódce jej... konkubenta. – Nie lubił tego określenia, ale oficjalna rozmowa nie dopuszczała potocznych synonimów. – Olafa Dzikiego. Czy pani go zna?

Przez chwilę poruszała ściągniętymi ustami, jakby tłumaczyła sobie jego słowa z obcego języka.

– To niemożliwe – powiedziała wreszcie. – To nie ona.

Spoczęło na nim spojrzenie płonących oczu, a na jej twarzy, tam gdzie nie dotarł podkład, widać było rumieniec.

– Miała przy sobie dokumenty, proszę pani, pomyłka nie wchodzi w grę.

– Ciągłe się mylicie.

– Ja rozumiem, że to dla pani trudne...

– Mówię panu, to nie ona!

Pochyliła się, podpierając się także drugą ręką. Pasek torebki zsunął jej się z ramienia, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Dlaczego pani tak twierdzi? – spytał łagodnie, patrząc na krzywo sfastrygowane rozcięcie. W dziwny sposób kojarzyło mu się ze szwami na gładkiej skórze, które widział wczoraj w prosektorium. Spuścił wzrok i zrobiło mu się gorąco. Na rękawie jego marynarki dyndały dwa długie jasne włosy denatki. Jak mógł je przeoczyć? Musi pamiętać, by zdjąć je przed powrotem do domu, nie może jednak zrobić tego teraz.

– Moja córka wyjechała na weekend z koleżanką – powiedziała kobieta z naciskiem. – Nie miała żadnego konkubenta. Wiedziałabym o nim. Mówiła mi o wszystkim. Nigdy mnie nie okłamała. Zaraz się pan przekona.

Sięgnęła do torebki i wyjęła komórkę.

– O wszystkim, dosłownie o wszystkim... – mamrotała, czekając na połączenie.
– To dobra dziewczyna, nie ma przede mną...

W pokoju rozległy się pierwsze takty znanego utworu, którego tytuł wyleciał Wyszyńskiemu z głowy. Zaskoczona kobieta zaczęła się rozglądać, a komisarz wstał, podszedł do szafy i wyjął z niej ciemną plastikową torebkę. Wibrujące wewnątrz rozbrzmiewało refrenem urwanym nagle, w pół słowa.

Komórka wysunęła się z bezwładnej dłoni kobiety i ze stukotem spadła na podłogę.

– Przykro mi – powiedział, odwracając się. Prywatność, to wszystko, co mógł jej ofiarować. Są ludzie, dla których mógł zrobić więcej i wtedy działał: podawał wodę, chusteczki, podsuwał krzesło. Czasem ostrożnie obejmował, poklepywał po plecach, a raz nawet poszedł na wódkę z emerytowanym pułkownikiem, który podczas napadu na sklep stracił młodszego brata. Ale ta kobieta chciała przeżyć pierwszy szok sama, intuicyjnie wyczuł, że powinien stanąć z boku. Zerknął przez ramię, upewniając się, że nie patrzy

w jego stronę, i dyskretnie zdjął z łokcia corpus delicti – dwa włosy należące do jej córki. A potem podszedł do wiszącego na ścianie kalendarza ze zdjęciem „Daru Pomorza”. Zaczął liczyć żagle, poczynając od szczytu bukszprytu, na zwiniętym gaflu przy rufie kończąc. Zajmowało mu to zwykle półtorej minuty i miał nadzieję, że w tym czasie kobieta ochłonie na tyle, by odpowiedzieć na parę pytań i dokonać weryfikacji jednego z dowodów.

Porośnięty drzewami trawnik na tyłach komendy okalało wysokie murowane ogrodzenie. Szary tynk odpadał płatami, odsłaniając wyszczerbione cegły. Jedna z takich pomarańczowych połaci przypominała kształtem postawioną pionowo toyotę yaris, obok niej sterczała odwrócona choinka albo fontanna tryskająca z wielkiej gwiazdy.

Między furtką a budynkiem biegł wąski chodnik z pojedynczych płyt, przy którym stała latarnia i stara ławka. Rano godzinami wyglądałem przez zakratowane okno, ale betonową ścieżkę przemierzały tylko koty. Na gałęziach drzew przysiadły gołębie, gawrony i szpaki, trafiło się też parę srok i jeden dzięcioł.

Mój ojciec byłby zachwycony, mając do dyspozycji takie okienko. Dać mu lornetkę i nie potrzebowałby do szczęścia nawet strzelby, przynajmniej przez pierwszą dobę.

Podobno niektórzy buddyści potrafią oczyścić umysł aż do stanu całkowitej pustki. Zawsze sądziłem, że to domena myśliwych. Jeszcze bardziej zdziwił mnie ton zachwyty, w jakim utrzymany był artykuł opisujący cuda z tybetańskich klasztorów. Trenują to tam latami, jednak udaje się tylko nielicznym. A przecież oddziały dla deliryków pełne są odmóżdżonych ludzi, którzy mają w głowach totalną pustkę. Dlaczego budzą odrazę, a lamowie zazdrość? Właściwie chodzi o to samo – szaleństwo, alkoholizm czy myślistwo to po prostu nirwana na skrót, w sam raz dla białego człowieka. Tylko że zdrowy egzemplarz homo sapiens raczej nie pragnie nieistnienia, odwrotnie – chciałby doświadczać wszystkiego mocniej, działać i przekładać to działanie na zmiany w otoczeniu. Dlatego założyłem firmę, jeździłem drogim samochodem, pomimo bojkotu nowoczesnych gadżetów pływałem jachtem z kinem pod pokładem, kupiłem loft w dobrej dzielnicy – wszystko to, żeby być bardziej. W jakimś sensie także dlatego wdałem się w romans z piękną kobietą.

Ale teraz jej już nie ma, a ja po dobie na policyjnym dołku nagle zapragnąłem nie być i pożałowałem, że nigdy nie zgłębiłem technik, które by mi to umożliwiły. Nie mogłem rozplątać się w powietrzu za pomocą medytacji, alkoholu czy polowania. Przy odrobinie inwencji pewnie udałoby mi się zabić, nie miałem jednak siły, żeby się do tego zabrać. Patrząc na dołujący pejzaż za oknem, próbowałem zgasnąć jak ta latarnia wyłączona przed chwilą, dawno po wschodzie słońca, zapewne tą samą ręką, która kontrolowała jarzeniówkę w celi. Guzik. W mojej głowie wciąż paliło się światło i wirowały wspomnienia. Były jak trawa, którą bydło zwraca wieczorem do pyska, by zemleć jeszcze raz. Tylko moje myśli nie stawały się przez to ani trochę bardziej strawne.

Myślałem na przykład o Grażynie – dlaczego było nam tak dobrze i dlaczego nagle przestało. Kiedy byłem nastolatkiem, mój ojciec w przypływie szczerości, czy też próbując nawiązać nić męskiego porozumienia, zdradził mi jedną z „ważniejszych zasad

życiowych”, jak to określił. Żaden facet nie żeni się z wymarzoną kobietą. Sztuka polega na „upolowaniu najlepszego egzemplarza” spośród tych, które zostały. Pomyślałem wtedy o mamie i bardzo mnie to przygnębiło. Ale kiedy dorosłem, zacząłem patrzeć inaczej zarówno na rodziców, na swoje romanse, jak i na życie jako takie. Nauczyłem się nie oczekiwać zbyt wiele i doceniłem, że wreszcie, po paru nieistotnych przygodach, trafił mi się spokojny związek z niegłupią i ładną dziewczyną. W pewnym momencie przestałem się rozglądać za innymi i nie miałem nic przeciwko wizji zestarzenia się z Grażyną u boku. Wydawało mi się, że właśnie takiej kobiety potrzebuję: kojącej, ciepłej, idealnej na długie jesienne wieczory. Kobiety koca.

A potem poznałem Agnieszkę.

Różniły się jak woda i ogień, i nie mówię tu o powłoce cielesnej – choć wyglądały jak przedstawicielki różnych gatunków – tylko o temperamencie. O Agnieszce powiedziałem już parę słów, jeśli chodzi o Grażynę, to może zacznę od tego, że była drobną brunetką z pełnymi ustami i wydatnym nosem. Miała profil ładnej ognistej Hiszpanki, ale gdy stawała en face, zmysłową aurę często zakłócał wyraz jej brązowych oczu. Bywały rozbiegane lub spuszczone, szczególnie w zamkniętych pomieszczeniach, w których dostawała ataków klaustrofobii. Unikała wind i publicznych toalet, w domu otwierała na oścież wszystkie drzwi i okna. Chyba miało to coś wspólnego z trawiącymi ją lękami... Ale znowu, zamiast wdawać się w analizy czy impresje, mówiące więcej o autorze niż o opisywanym obiekcie, wolę przytoczyć konkretne sytuacje ukazujące moją eks w działaniu.

Pierwsze zdarzenie, jakie przychodzi mi do głowy, miało miejsce w zeszłym roku. Przyszła do domu spóźniona i nie zdejmując kurtki, podreptała do kuchni, gdzie zaczęła się miotać ze zmiętą reklamówką w dłoni. Spytałem, czego szuka, a ona stanęła ze spuszczoną głową, a potem wybuchnęła płaczem. Zaczęła wyjmować z torby ciastka, kłaść je jedno po drugim na stole i wskazywać ich defekty, których sam bym nie zauważył: to obłamane, tamto niedoważone, a to bez lukru. Okazało się, że w kolejce do kasy stała przy gablocie i patrząc przez szybę, wybrała w myślach zupełnie inne sztuki. Te wybrakowane też widziała, ale marzyła o tym, żeby ich nie dostać.

– I wiedziałam, po prostu wiedziałam, że ta baba mi je wciśnie – płakała.

– Dlaczego nie pokazałaś jej, które chcesz?

– Nie wiem...

– To tylko ciastka.

I wtedy zdjęła czapkę.

– Nie tylko.

Równo przycięte włosy odsłaniały całe czoło i uszy, a z tyłu sterczały. Jak się okazało, fryzjerka namówiła ją na „elektrycznego pazia”.

– Dlaczego się zgodziłam? Jestem do niczego...

To zdanie nigdy nie przeszłoby przez usta Agnieszki. Mogła tak pomyśleć i pewnie często jej się to zdarzało, ale nie ogłosiłaby tego na głos. Współczuję nadgorliwym fryzjerkom, z którymi się zetknęła, jak również ekspedientkom, które próbowały wcisnąć jej trefny towar, kierowcom, którzy zajechali jej drogę, kolegom z pracy, sąsiadom, kelnerom i wszystkim tym, którzy nieopatrznie nadepnęli jej na odcisk. Na prawdziwe

czy urojone zniewagi reagowała atakiem, nie przepuszczała nikomu, nawet mnie, czego namacalny dowód zobaczę zawsze, gdy odwrócę się do lustra lewym profilem. Motorem jej zapalczywości były deficyty emocjonalne – kompleksy, jak powiedziałby psychoanalityk – może nawet większe niż u Grażyny, lecz z pewnością lepiej maskowane. To, co jedną – zaprawioną w bojach weterankę domu dziecka i dwubiegunową ekstrawertyczkę – stawiało na baczność i prowokowało do ataku, drugą przygniatało do ziemi, tłamsiło i doprowadzało do łez. Agnieszka nigdy... Ale przecież nie o niej miałem mówić. Moje myśli są zbyt wątle, by powiązać je w logiczny ciąg, kręcą się w kółko jak śmieci w rzeczonym wirze.

Wstaję z pryczy i znowu podchodzę do okna, by rozpląnąć się w trójkącie bermudzkim między przekwitłą lipą, zgaszoną właśnie latarnią, a odrapaną z farby furtką. A przynajmniej spróbować. Chciałbym, żeby stanął obok mnie ojciec. Ale nie po to, by się do niego przytulić, pokazać mu wegetującą tu faunę czy wymienić życiowe refleksje, nie. Pożyczyłbym jedną z jego strzelb i zafundował sobie najprostszą nirwanę – tę à la lider Nirwany.

Wyszyński patrzył na topole kołyszące się przed wejściem do komendy. Wiatr podwijał liście, ukazując ich jasne spody błyskające już gdzieniegdzie żółcią – korony drzew migotały wtedy jak wyszywane cekinami chusty. Na jednym z pni powiesił niedawno budkę dla ptaków, zbitą z desek w ramach pracy domowej na zajęcia praktyczno-techniczne syna. Teraz obserwował szarego ptaka z jasnym brzuszkiem, który skakał między gałęziami, coraz bliżej wejścia. Przycupnął przy nim i chwilę obracał łebkiem, jakby się wahał. Ale w końcu odfrunął.

– Ekspresowo zbadaliśmy odciski, włosy i tak dalej – za plecami komisarza odezwał się Woźniak. – Oprócz ofiary i podejrzanego na łódce byli jego rodzice oraz jedna albo dwie inne osoby.

Wyszyński odwrócił się. Aspirant do koszuli w kratę założył jednolity krawat, ale potem zepsuł cały efekt, zakładając na to błękitną marynarkę z podwiniętymi rękawami. Wyglądał jak podróbka Sonny'ego Crocketta z *Policjantów z Miami*.

– Jedna czy dwie?

– Yyy...

– Ustalcie to. Kaźmierczak zbadął już ślady butów na brzegu?

– Tak, dopasował cztery pary: zatrzymanego, jego ojca, matki i ofiary. Nosila trampki numer czterdzieści dwa, leżały w schowku pod pokładem.

– A, no właśnie... O ile pamiętam, zostały jeszcze ślady mniejszych butów?

– Numer trzydzieści siedem – włączył się Siwiec. – Raczej kobieta, bo na obcasie, panie naczelniku, chyba że jakiś Cygan. Cygan kurdupel.

Sierżant siedział przy oknie oparty plecami o ścianę. Wyszyński ruszył w jego stronę przez salę odpraw, wzdłuż rzędu pustych krzesel.

– Niski transwestyta, chciałeś powiedzieć?

Popatrzył w zamglone oczy zbitego psa. Czarny dopasowany sweter z pagonami nie nawiązywał do wizerunku glin z seriali, rasowy przedstawiciel podwarszawskiej

komendy po ciężkiej akcji nie ma na to czasu.

– Może i tak... – przytaknął i zaraz się usprawiedliwił: – Jeszcze na lekach jestem, panie naczelniku... Trochę rzygać się chce i łeb boli...

– Co tam się działo wczoraj? – przerwał mu Wyszyński przyjacielskim tonem.

– Wiosna, panie sierzancie? Zaszumiała ci w środku lata?

Siwiec wyprostował się.

– Gorzały do ust nie wziąłem!

– Tylko spirytus? – rzucił aspirant.

– Cicho – syknął na niego komisarz i wrócił do sponiewieranego sierżanta. Stawił się w pracy pomimo zwolnienia lekarskiego, zasłużył na ochronę. – To co się stało?

Spojrzenie podkrążonych oczu powędrowało za okno, chude ramiona uniosły się i opadły.

– No dobrze. Wysłaliśmy toksykologów na łódkę, może oni coś ustalą – podsumował komisarz i wielkodusznie zmienił temat: – Na podłodze łazienki była krew zatrzymanego?

Siwiec odwrócił się i z werwą zaczął kartkować leżące na ławce zapiski.

– Tak jest, obie kałuże – zameldował po chwili.

– A co ze śladami opon?

– Niewiele, były rozmyte. Rozstaw kół świadczy o tym, że to był bus, van albo duży SUV. Wypisałem sobie modele, które pasują.

– No to sprawdźcie, kto z jego rodziny czy znajomych takim jeździ. Byliście już w firmie ofiary?

– Wybieramy się po południu – odezwał się siedzący przy drzwiach starszy sierżant Staszewski.

– Tam też popatrzcie na auta – polecił Wyszyński. – Potem sobie obejrzymy jej mieszkanie.

Staszewski zajrzał do notesu.

– Mieszkała sama, w Warszawie, na Ursynowie. Klucze miała przy sobie, adres w dowodzie.

– Dobra, pojedziemy tam jutro. Aha, matka zidentyfikowała głos z nagrywarki – przypomniał sobie komisarz.

– Z tej papugi?

– Tak. Należał do ofiary.

– Co by potwierdzało, że sprawcą był facet – zauważył Woźniak. – Powiedziała tam „ty gnoju”, o ile pamiętam.

– To, że zatrzymany porzygał się w kiblu na łódce, też pasuje – stwierdził pogodnie Staszewski. – Mali chłopcy, gdy nabroją, to sikają, starsi rzygają.

– Dziękuję za konsultację psychologiczną – mruknął komisarz.

– Polecam się.

– Byłeś na tamtej omedze, tej z zapalonymi światłami?

Starszy sierżant pokiwał głową i spojrzął do notesu.

– Należy do Wojciecha Petrusa z Wieliszewa. Nocowało na niej dwóch jego synów, piętnaście i siedemnaście lat. Przybili do brzegu koło dwudziestej i do dwudziestej

trzeciej grali w karty pod pokładem. Niczego nie widzieli, nie słyszeli. I sporo pili, o piątej nad ranem mieli jeszcze po promilu we krwi, tak na oko.

– Nie za młodzi na takie rzeczy?

Staszewski wzruszył ramionami.

– Poszli spać czy urwał im się film?

– Spali przy zapalonym świetle, dopiero ja ich obudziłem – odparł.

– No to przesłuchaj ich jeszcze raz, na trzeźwo, najlepiej dzisiaj.

– Wystarczy wezwać starszego, młodszy nie miał nic do powiedzenia.

– Zdaję się na twoją intuicję. Co z tą plamą na wykładzinie?

– Szampan – odezwał się aspirant. – Tego wieczoru mocno bujało, rozlał się.

– Znaleźliście na łódce jakieś ścinki paznokci?

Aspirant pokręcił głową. Staszewski złożył notes i poklepał się nim po udzie.

– Szefie... o co chodzi z tymi paznokciami?

Trzy pary oczu patrzyły pytająco. Wszyński się zawahał.

– Zaznaczam, że to tylko teoria i nie chcę, żebyście się nią sugerowali – zaczął niechętnie. – Sekwencja zdarzeń mogła być taka: walka ofiary z napastnikiem, skucie jej kajdankami, podtapianie, a na końcu atak nożem. Potem obcięcie paznokci, żeby usunąć ślady.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Laska była w niezłej formie – odezwał się wreszcie Staszewski. – Wysoka, prawie trzeźwa. A ten nasz Miś Uszatek z klapniętym uszkiem nastukany i na prochach. Trudno byłoby mu ją obezwładnić... Jeśli sobie tego nie życzyła – dodał z uśmiechem.

– I nie ma śladów zadrapań – zauważył aspirant.

Komisarz wrócił do okna. Na gałęzi topoli przysiadł jakiś ciemny ptak, chyba szpak. Zbliżył się do budki, zawahał, ale w końcu poderwał się do lotu.

– Jej matka twierdzi, że nie miała wrogów... – powiedział z namysłem, nie odwracając się. – Przesłucham ją jeszcze raz, za parę dni, ale raczej pro forma, bo chyba nie była na bieżąco z życiem córki... Teraz prokurator przesłuchuje jego rodziców. Wczoraj przepytalem ich na miejscu, a potem jeszcze u nich w domu, ale niczego konkretnego nie powiedzieli. A według mnie madame Dzika zobaczyła coś w kajucie, a ojciec na zewnątrz, na pokładzie albo na pomoście. Albo na brzegu.

– Co zobaczyli?

– Nie wiem, ale zostało... – spojrzał na zegarek – dwadzieścia jeden godzin, żeby to ustalić. Musimy postawić zatrzymanemu solidny zarzut, a na razie nie mamy narzędzia zbrodni, świadka, motywu, nie mamy...

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!!!”

Zamarli wszyscy z wyjątkiem aspiranta, który szybko sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej komórkę.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę...!!!”

Nagranie się urwało, gdy Woźniak odebrał połączenie.

– Teraz nie mogę, oddzwonię później – szepnęła i schował komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Odchrząknął w zwiniętą dłoń, wyprostował się i odwrócił do komisarza, pytającym spojrzeniem zachęcając go do podjęcia wątku. Ciszę, która zapadła,

przerwało pytanie:

– Co to, kurwa, było?

Aspirant przygarbił się i zrobił minę niewiniątka.

– Zawiozłem zapis do techników, jak szef kazał, i po drodze zgrałem to sobie...

Komisarz w sekundę znalazł się przy nim.

– Pytam: co to, kurwa, było? – Parę kropelek śliny wystrzeliło z jego ust na błękitną kieszonkę. – Bo chyba nie kluczowy dowód w sprawie o morderstwo, nagłośniony w jebanej wersji polifonicznej?!

– Dobrze, dobrze, już kasuję... – Westchnienie aspiranta zagłuszył szelest jego poliestrowej marynarki.

Wszystkie ścieżki w mojej głowie prowadzą do niej, synapsy zapętlili się jak światłowody centrali telefonicznej, przez którą przeszła burza. Sprawy poboczne, takie jak inne kobiety, praca czy reszta mojego życia, zostały wymiecione albo powiązane z nią, popsuta centrala wszystkie połączenia kieruje teraz do jednego abonenta. To samo z bodźcami zewnętrznymi: mucha na suficie przypomina mi nasze pierwsze spotkanie po latach, drzewa za oknem jej sylwetkę (są strzeliste), a fantomowy ból ucha niemal rozczula, bo stanowi świadectwo jej temperamentu. Obrys jej siekaczy już zawsze będzie ze mną... Stała się tym, czym dobra powieść albo obraz dla konesera sztuki: mikrokosmosem, w którym zaklęty jest cały świat. Moja wolność sprowadza się teraz do wyboru wspomnienia, za którym podążę: mogę sobie zaserwować Agnieszkę na ciepło albo na zimno. To drugie – wydobyć z pamięci zdarzenia niepodszycygo rozpaczą ani podnieceniem – jest zdrowsze, ale trudniejsze. Przez kwadrans zaciskam dłoń na parapecie i przestępuję z nogi na nogę niczym szaman wywołujący w transie duchy, zanim mi się to udaje. Roześmiane oczy, usta ściągnięte jak do pocałunku, rozwiane na wietrze włosy. Jej profilowe zdjęcie na Facebooku pochodzące z czasów, kiedy jeszcze za dobrze się nie znaliśmy. W tle nad swoim portretem umieściła leśny pejzaż z cytatem: „Świat nie jest piłką futbolową, świat podbija się głową”[3]. Publikowała głównie żarty obrazkowe z portalu Foch.pl, utrzymane w pedantycznej stylistyce lat sześćdziesiątych, przedstawiające starannie ufryzowane kobiety w strojach retro, wypowiadające feminizujące teksty typu: „Czy prasuję koszulę swojemu facetowi? Nie, ja tylko piore mu mózg”. Było też parę linków do teledysków utrzymanych w gęstej, kiczowatej konwencji new romantic: Erasure, Depeche Mode, La Roux. Jesienią pochwaliła się swoim samochodem, sportową wersją fiata bravii (od początku czułem, że jeździ włoskim autem), umazanym od góry do dołu błotem. Na szarej skorupie ktoś wydrapał napis: „Nie ścierać. Eksperyment NASA”. Pod fotografią widniał jej komentarz: „Złośliwy gówniarz. Przecież nie zawsze jest czas na myjnię”. I cała seria uśmiezków sygnalizujących dystans do sytuacji. Samochód miał około trzech lat, pełne wyposażenie, wymieniony reflektor i wgnieciony zderzak. Z zawodowego punktu widzenia nic godnego uwagi, ale patrząc na niego za pierwszym razem, pomyślałem, że nawet tak malownicze zaniedbanie liczy się właścicielce na plus, bo sugeruje, że jest bezpretensjonalna, spontaniczna i nie przejmuje się drobiazgami.

Zamiast słodkich foci z wakacji regularnie zamieszczała filmy z kotami oglądającymi telewizję i polującymi na myszy z ekranu, strącającymi przedmioty z półek czy goniącymi własne ogony. Sądząc z jej komentarzy, rozczulały ją i bawiły w ciepły, niezłośliwy sposób.

Jej facebookowy profil odnalazłem nazajutrz po naszym spotkaniu u jubilera, które uczciliśmy kawą. W ciągu wypełnionego pracą dnia prawie o niej nie myślałem, moja lojalność wobec Grażyny, obudzona z pewnym opóźnieniem, cenzurowała wszelkie romantyczne wspomnienia i zamysły. Iluzję podtrzymywania towarzyskiej neutralnej znajomości musiałem włożyć między bajki – po tamtym pocałunku na parkingu każda zaczepka będzie biletem w jedną stronę. Więc gdy Agnieszka miotła się w firmowej kuchni, zwalniała kolegę z pracy i karała się za to cisnącymi butami, ja w skupieniu wypełniałem formularze zamówień pukniętych dostawczaków. Byle nie myśleć. Gdy jednak wieczorem zostałem sam w pustym biurze, otworzyłem piwo i usiadłem przed komputerem, w chwili nieuwagi palce same wpisały jej nazwisko w okienko przeglądarki.

Zmęczony facet z butelką w dłoni i nostalgią w oczach. Zmarszczone czoło przypudrowane niebieską poświatą z ekranu migającego obrazkami z cholernego portalu społecznościowego, jednego z tych pożeraczy czasu, których tak unikałem. Niezdrowy rumieniec na policzkach i mokre palce ślizgające się po klawiaturze. Nic ciekawego. Zostawmy go klikającego na prostokąt z napisem „wiadomość” i bazując na późniejszych rozmowach, odtwórzmy przebieg zdarzeń po drugiej stronie wirtualnego łącza, które powstanie za chwilę, gdy kliknie na „wyślij”.

Rozgrzany po kąpieli, pokryty kremem dekolt rozsiewał ciężki oliwkowy zapach. Poniżej niebieska koszulka na ramiączkach wpadała w luźne spodnie od piżamy w czerwoną kratę. Podwinięte nogawki odsłaniały błyszczące od jodyny, skaleczone ścięgno Achillesa. Pieczenie w połączeniu z aptecznym aromatem, powoli zagłuszającym pozostałe zapachy w pokoju, zaczynało robić swoje. Wyrzuciwszy zaróżowiony płatek waty do popielniczki, Agnieszka sięgnęła po plaster i ostrożnie zakleiła ranę. Wstała i poszła do kuchni, by po chwili wrócić z puszką słonych orzeszków. Opadając na fotel, włączyła telewizor. Zgodnie z postanowieniem odpuściła sobie romanse, komedie, a także komedie romantyczne i zdecydowała się na horror. Dialogi były płytkie, a historia banalna, jednak w zestawieniu z tarapatami nastolatków, które ściga kuloodporny facet zdolny do teleportacji, jej kłopoty stały się nieistotne. Serce złamane rok temu? Uczulenie na kocią sierść, które pozbawiało ją towarzystwa mruczącego pupila? Obibok zwolniony dziś z pracy? Bezczelny facet, który na chłama ją pocałował, a teraz zgrywa twardziela i nie dzwoni? Litości. Można się z tym wszystkim uporać za pomocą za ciasnych szpilek i wacika, czego nie da się powiedzieć o odpiłowanej nodze.

Godzinę później jeden z ostatnich orzeszków wypadł z jej palców i potoczył się pod fotel. Gdy się pochylała, jedna pierś wysunęła się z dekoltu i w ułamku sekundy przed jej zasłonięciem pomyślała: Gdyby ktoś to zobaczył... Przywróciła porządek bez paniki, z uśmiechem pełnym autoironii, w której zaczynała się specjalizować. Zadumała się nad

męskimi słabostkami, które niedawno zaobserwowała. Włocha i Olafa dzieliło wiele, ale łączyła gorączkowa zachłanność, z jaką chłonęli każdą krzywiznę jej figury, zwłaszcza powyżej pasa. Co jest z tymi facetami? Za mało karmienia piersią w dzieciństwie czy za dużo pornosów w młodości? Wygladzając koszulkę, bez przekonania złożyła kolejną obietnicę pokarmowej ascezy, zastrzegając od razu, że na Gwiazdkę udzieli sobie dyspensy. Nie warto tęsknić za utraconą chudością, skoro są ludzie wdzięczni za każdy twój nadliczbowy centymetr.

Żadne diety nie będą tak skuteczne, jak obrzydzenie, które ogarnęło ją na widok znaleźnika wygrzebanego spod fotela. Przy orzeszku dyndał kłęb kurzu wielkości i koloru polnej myszy. Poderwała się na równe nogi i pobiegła do kosza na śmieci. Wróciła, chwilę się wahała, ale na ekranie leciały akurat reklamy i nie miała nic pilnego do roboty, więc odsunęła fotel. Stała przez chwilę, cicho klnąc, po czym jednym zdecydowanym ruchem przesunęła go pod ścianę. Walcząc z mdłościami, poszła do schowka i wróciła z odkurzaczem.

Po pięciu minutach z westchnieniem opadła na kanapę, odnotowując w pamięci, by jutro zajrzeć pod szafę. To może być pomysł na dietę cud, jeśli odpowiednio dawkować sobie te „cudne” widoki. Z zamyślenia wyrwał ją podwójny gong. Bez pośpiechu sięgnęła po komórkę: wiadomość, na którą czekała cały dzień, miała przyjść za pośrednictwem SMS-a, a nie portalu, który się właśnie zgłosił. Musnęła parę razy ekran, po czym zamrugała szybko i uniosła brwi.

A potem uśmiechnęła się po raz drugi tego dnia. Tym razem szerzej.

Korespondowaliśmy przez cały wieczór, aż rozbolały mnie plecy i zdrętwiały palce. Agnieszka na odległość bawiła i intrygowała bez zakłopotania, w jakie wprawiała w kontakcie bezpośrednim. Epicka blondyna z krwi i kości siedziała gdzieś tam przed komputerem, nie musiałem jednak się z nią mierzyć, tylko skupić na jej bezcielesnych wypowiedziach. Wymienialiśmy poglądy na temat popkultury, komentowaliśmy, obracaliśmy w żart, ripostowaliśmy, a między wierszami tych przekomarzanek mówiliśmy: popatrz, taki jestem, to lubię, podziwiał, jak szybko formułuję sądy i jakie są radykalne. Wypite piwo oraz to, że znacznie szybciej niż w realu znaleźliśmy wspólny język, dodawały mi skrzydeł, aż pod koniec stroszyłem pióra i jak huzar atakowałem każdą jej wypowiedź. Oskarżony w pewnym momencie o zajadłość postanowiłem, że zgodzę się z jej następną opinią. Traf chciał, że akurat wtedy ogłosiła przerwę. Zaskoczyłem ją moją miłą zaczepką – tak, pamiętam, że użyła słowa „miłą” – chciała jeszcze pogadać, ale potrzebowała chwili na „ogarnięcie się”. Dopiero wtedy poczułem, że moje usta wyschły jak dno butelki stojącej przy klawiaturze. Lekko otumaniony wstałem, przeciągnąłem się i udałem do firmowej kuchni. Wyjąwszy z lodówki kolejne piwo, zadzwoniłem do Grażyny. Przeprosiłem za spóźnienie wywołane natłokiem pracy. Do domu przyjadę pewnie koło północy, może jednak zostanie dziś na noc u siostry?

Najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku, a drobne świństwo często pociąga za sobą wielkie zło. Kłamstwo ma krótkie nogi, daj sobie spokój ze zdobywaniem nieosiągalnych kobiet, doceniaj to, co masz... To wszystko prawda, jednak gdy górę biorą

emocje, alkohol rozpuszcza moralność, a zmęczenie zagłusza ojcowskie mądrości i ludowe porzekadła, do głosu dochodzą instynkty. I marzenia. Wewnętrzne dziecko tylko czeka na moment, kiedy puszcza hamulce. Sadowi się wtedy za kierownicą i zaczyna się jazda bez trzymanki. Najważniejszy jest cel: początkowo niewyraźny kształt, odległy, a jednocześnie znajomy jak wspomnienie z dzieciństwa. Archetyp wysokiej blondynki o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, z długimi nogami i wielkim biustem. Może widziałem ją kiedyś na ekranie telewizora czy okładce pisma, a może to mama z nienaturalnie podkreślonymi atrybutami kobiecości? Moje serce wrywało się do Agnieszki, jakby ucieleśniała najbardziej ulotne tęsknoty i oferowała realną szansę ich ukojenia.

Chcę pokazać, że zaczepiając ją, nie myślałem tylko o seksie czy rekompensacie licealnych kompleksów: oto dawny samiec omega wreszcie może dopaść samicę alfa. A nawet jeśli do pewnego stopnia tak było, to słowo „tylko” jest tu nie na miejscu. Obietnica uwolnienia od traum to ważna sprężyna działań, a tu nakładało się na nią coś głębszego. Głód matki? Flashbacki z erotycznej inicjacji? Nie wiem, nie jestem psychoanalitykiem.

Tamtego wieczoru wiedziałem, jak wiele ryzykuję, pisząc do niej, nie sądziłem jednak, że w konsekwencji trafię za kratki. Wtedy wydawało mi się, że krzywdzę głównie Grażynę, cena okazała się wyższa. W świetle ostatnich wydarzeń moja ówczesna dziewczyna powinna się cieszyć, że żyje.

Podążając dalej za łańcuchem luźnych skojarzeń, próbuję zobaczyć Grażynę w ostatnich chwilach przed naszym rozstaniem. To dołuje, ale pozwala uwolnić się od obsesji na punkcie Agnieszki. Zatem bawiąc się w narrację rodem z komiksów, zostawmy przepracowanego frustrata, który w koleżance sprzed lat zobaczył urojony ideał kobiety, zostawmy singielkę po przejściach, rozładowującą podniecenie kompulsywnym sprzątaniami, i sprawdźmy, co dzieje się „tymczasem w tym samym mieście, parę ulic dalej”. Na podstawie późniejszej relacji potrafię sobie wyobrazić taką oto scenę...

Grażyna miała na sobie szarą bluzę z lepką plamą w miejscu, w które przed chwilą wtulił buzię jej siostrzeniec. Z westchnieniem odłożyła komórkę.

– Ten twój as biznesu? Co mu znowu wypadło?

Jej starsza siostra siedziała na kanapie, bujając na kolanach pyzatego chłopca o umorusanej buzi. Patrzyła ironicznie spod ciemnej, opadającej na oczy grzywki.

– Prowadzi międzynarodową firmę – przypomniała jej Grażyna. Wzięła nóż i wróciła do obierania jabłka. – Ma jakieś spotkanie.

– Na twoim miejscu przetrzepałabym jego komórkę. Tajemnicze SMS-y i spółki? Może nie tylko biznesowe?

– Proszę cię...

– Ja sprawdzam regularnie, z kim mój stary „spółkuje”.

Nóż utknął w zagłębieniu pod ogonkiem owocu.

– I co?

– Píše głównie z kumplami – ciągnęła siostra, obracając w palcach krzyżyk

z oliwkowego drewna, który dostała niedawno od męża na drewniane gody. – Ale czasem myślę, że to jakiś szyfr. Nie wierzę, że dorośli faceci mogą być tacy głupi. W zeszłym tygodniu napisał do kolegi: „Łysy ma trzecie jądro, podaj dalej”. Przysięgam.

Grażyna odłożyła nożyk i podsunęła siostrzeńcowi talerz z obranymi, pachnącymi cząstkami jabłka. Chłopczyk skrzywił się i odwrócił głowę.

– Ej, co jest?! – upomniała go mama. – Ciocia się namęczyła, proszę ładnie zjeść! W przedszkolu nikt nie będzie się z tobą cackał, wiesz o tym?

Malec włożył kciuk do ust i zaczął go ssać.

– Mówisz serio? – dyskretnie szepnęła Grażyna. – Naprawdę chcecie go wysłać do... – zacięła się na słowie, które najwyraźniej stresowało chłopca.

– Wiesz, ile kosztuje opiekunka? – Siostra przywołała ją do porządku, a potem dodała łagodniejszym, rozstrzygającym spór tonem troskliwej mamy: – To dla jego dobra. Nie chcę, żeby wyrósł na mimozę. – Siostrzane pogłaskanie po ramieniu miało załagodzić bolesne słowa. – Kiedyś zazdrościłam ci, że mama zachorowała akurat wtedy, gdy byłaś mała – ciągnęła bardziej poufałym, choć wciąż wszechwiedzącym tonem starszej siostry. – Ale teraz ci współczuję. Kiedyś trzeba zmierzyć się ze światem i lepiej wcześniej niż później, tyle ci powiem z doświadczenia.

Ostrze noża miarowo wchodziło w błyszczące cząstki i szatkowało je na drobne kawałki.

– Pobita, skuta kajdankami, podtopiona i na koniec zadżgana – wyliczał komisarz ze szczytu drabiny, ledwie widoczny między gałęziami topoli. Prokurator przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słońcem.

– Pierwsze słyszę, żebyśmy mieli wyniki sekcji dzień po zajściu.

– Nie tylko ty masz dojścia.

Omszała kora z bliska przypominała skórę starca znalezionego trzy dni po zabójstwie: zielona, pomarszczona i pełna chodzących po niej mrówek. Pęknięcia wyglądały jak rany cięte, żywica ściekała jak ropa. Prokurator odsunął się, puszczając drabinę, która zakołysała się niebezpiecznie. Nie po to unikał oględzin, żeby teraz, w świetle dnia, zaryć nosem w te obrzydlistwa.

– Możesz już zejść?! – zawołał, zadzierając głowę. – Nie będę gadał do twojego tyłka. – Jeśli Wyszyński go usłyszał, to postanowił zignorować.

– A co z rodzicami?! – krzyknął, mocując się z przybitą do pnia pomarańczową skrzynką.

– Nie słyszę cię – mruknął prokurator i pochylił się, stękając, by zawiązać sznurowadło. Zauważywszy podejrzaną substancję przyklejoną do boku podeszwy, wytarł ją z grubsza o trawę. Przeskoczył ciężko na chodnik, usiadł na ławce i wyjął z paczki papierosa. Przypalając go, obserwował, jak policjant schodzi po drabinie, ściskając pod pachą drewniany prostopadłościan. Jaskrawy kolor upodabniał go raczej do pudła po trampkach niż do budki dla ptaków.

– Chodzi mi głównie o matkę – powiedział, stawiając tajemniczy przedmiot na ławce. – Powiedziała ci coś?

– Jej adwokat poskarżył się, że podczas rozpytania użył niecenzuralnych słów. Komisarz wyjął z kieszeni scyzoryk, paznokciami odgiął ostrze i się pochylił.

– Jednego.

– Muszę cię uprzedzić, że rozważam złożenie skargi u twojego zwierzchnika, jako wyraz mojego oburzenia takimi praktykami.

– Spierdalaj.

Grube wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Baba zeznała, że weszła na łódkę piętnaście po dziesiątej.

Koniec ostrza wchodził w szpary między pomarańczowymi ściankami a daszkiem i je powiększał.

– Czterdzieści pięć minut stała z mężem na deszczu i gapiła się w niebo?

– Tak.

– A wczoraj o tym zapomniała?

– Jej adwokat powiedział, że wczorajsze wypowiedzi nie są wiążące, bo nie mają statusu zeznań.

Opięty białą koszulą brzuch zatrząsł się od kaszlu.

– Powiem ci jedno: ona kłamie.

– Doprawdy? – mruknął policjant, obracając domek i szukając szpar z drugiej strony.

– Patrzy mi w oczy, mówi „iks”, ale ja słyszę „igrek”, wiesz, o co chodzi?

Daszek wreszcie odskoczył, odsłaniając jasne niepomalowane wnętrze.

– No wiem, jesteś native speakerem, nie? – mruknął komisarz, pochylając się.

Zdechła biedronka, suchy liść i parę nasion zostały poddane dokładnym oględzinom. Pod nimi spoczywała poszlaka: trzy ciemne włosy.

– Musimy dotrzeć do tej całej Grażyny...

– Do kogo?

– Była dziewczyna zatrzymanego – wyjaśnił Wszyński. – Rzucił ją dla ofiary. Jego ojciec wspominał o niej chwilę przed tym, nim nabrał wody w usta.

– A więc coś tu śmierdzi, ale nie wiemy, w którym kiblu?

Policjant uśmiechnął się. Wziął w dwa palce jeden włos i przyjrzał mu się pod słońce. Po chwili uśmiechnął się szerzej.

– Wszystko jasne.

Prokurator zmarszczył czoło.

– Niby co?

– W środku była łasica, dlatego ptaki boją się tego domku.

Strzepnięty zbyt energicznie popiół żarzył się przez moment na chodniku.

– Mam pytanie – odezwał się po chwili grubas, wypuszczając kłęb dymu prosto w twarz rozmówcy. – Czy minister spraw wewnętrznych płaci ci za tropienie łasic?

– Nikt mu nie każe – odparł tamten, odwracając się.

– Jesteśmy organy ścigania czy ptasi pieprzony azyl?

Komisarz potrząsał chwilę odwróconą budką, a potem, przygryzając wysunięty język, zaczął z powrotem mocować daszek.

– Drzewa przed moim domem są za niskie. Obiecałem synowi, że przybiję go tutaj

i będę obserwował.

Wreszcie ścianki ze stukotem wpadły w wycięte piłą rowki. Policjant wyprostował się i wrócił pod drzewo po drabinę. Składając ją, zaczął się rozglądać.

– Ale tu ciągle chodzą ludzie, no i lasice, jak się okazuje... – stwierdził i po namyśle zdecydował: – Przybiję go na tyłach komendy, tam jest spokojniej. – Po chwili stanął przed ławką. – Pomóż mi.

Wskazał brodą leżący na ławce domek, którego nie miał jak chwycić, bo obiema rękami trzymał drabinę. Prokurator niespiesznie zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na chodnik i przydeptał czubkiem buta.

– Chcę go udupić razem z jego zakłamaną matką – powiedział, nie spuszczając rozmówcy z oczu. – Słyszysz? Mówię ci to prywatnie. Jeśli wydusisz z niego sensowne zeznanie, to pomaluję sobie dupę na pomarańczowo, wejdem na drzewo i wystawię ją, żeby twoje sójki się w niej zagnieździły.

– Nastawiam się raczej na sikorki...

– Słyszysz?

– Tak. – Wyszyński pokiwał z westchnieniem głową. – Tak. Dobrze. Stoi.

Jest taki utwór zespołu Beloved, którego refren zawsze kojarzy mi się z wakacjami. W teledysku nagie kobiety kołyszą się wokół faceta śpiewającego o ekologii. Leniwa rozpusta w powolnym rytmie, wpadająca w ucho szmira, której klimat najlepiej oddaje tytuł: *Sweet harmony*. Pulsuje w nim jakaś senna energia, która sprawia, że przed oczami od razu staje mi słoneczna plaża i czerwone słońce na horyzoncie, czuję smak frytek i waty cukrowej. Ale gdy tego ranka usłyszałem go w windzie, od razu pomyślałem o Agnieszce. Nie wszystko kojarzyło mi się z nią, wtedy jeszcze nie, po prostu właśnie o tym kawałku rozmawialiśmy poprzedniego dnia, podczas naszego pierwszego internetowego czatu. Ona uznała, że jest kuriozalny, ja broniłem go z pozycji konesera kiczu. Jakaś niedokręcona listwa pod sufitem windy bzyczała w rytm elektronicznego basu i poczułem, że te wibracje przechodzą na mnie. Gdzieś na wysokości trzeciego piętra odleciałem. Miałem ochotę uściskać jadącą ze mną księgową i poprosić wezwanego akurat do jakiejś awarii serwisanta o sznapsa. Mentos nie zagłuszy zapachu czystej, stary, i lepiej zakryj szyjkę butelki, która wystaje ci z kieszeni, ale masz rację: „lata osiemdziesiąte były fajne”. Powinni to drukować na koszulkach.

Ten kawałek pochodzi akurat z dziewięćdziesiątych, ale mniejsza z tym.

W jednej chwili pławiłem się w płytkiej popowej ekstazie, w drugiej siedziałem przed monitorem wyświetlającym twarz z rozwianymi blond włosami. Nawet nie pamiętam, skąd wzięła się filiżanka z kawą w mojej dłoni ani kiedy zalogowałem się na portal, którego do wczoraj tak skutecznie unikałem... Bzdura, doskonale to wiem. Nie mogę wszystkiego zwalić na kaca, poprzedniego dnia nie wypłem aż tyle. Nostalgia może wywołać wzruszenie czy podniecenie, ale nie sprawia, że urywa ci się film. Kiedy dorosły odpowiedzialny facet drugi dzień z rzędu szuka kontaktu z koleżanką sprzed lat i spławia dla niej swoją dziewczynę, to łatwo rozszyfrować, co się kroi. Ale tego ranka autoanaliza nie była moją mocną stroną i zanim się obejrzałem, dodawałem setnego lajka do portretu

Agnieszki i pisałem powitalną wiadomość. Potem przejrzałem naszą wczorajszą korespondencję, by stwierdzić z pewnym zakłopotaniem, że byłem mniej dowcipny, a bardziej bezczelny, niż mi się wydawało. Musiałem mieć u niej spory kredyt sympatii, skoro nie obraziła się na określenie jej ulubionego filmu mianem gniota. Chodziło mi o *Sekretarkę*, którą uważała za „ar-cy-dzie-ło”. Teraz na chłodno odświeżyłem sobie pamięć za pomocą wyszukiwarki, by upewnić się, że film opowiada historię dziewczyny zniewolonej przez szefa, wypełniającej jego coraz dziwniejsze polecenia. Oglądałem go dawno i w pamięci utkwiły mi przede wszystkim kulminacyjne sceny, przedstawiające katusze bohaterki, które następują, gdy koleś... przestaje się nad nią pastwić. To znaczy, że poniżanie jej się podobało, wręcz się od niego uzależniła. Zabawna komedia o zakamarkach ludzkiej duszy, może nie „gniot”, ale czy od razu „ar-cy-dzie-ło”?

Nadal nie odpowiadała na moje powitanie, ale przecież jeśli tylko jeden na stu facebookowych znajomych postanowił dziś do niej napisać, to stanąłem w długiej kolejce. Zaryzykowałem ostrzejszy komunikat: utrzymane w tonacji kpiny przeprosiny za krytykę *Sekretarki*, zakończone pikantnym żartem o zaletach mobbingu. Znowu cisza. Może jednak się obraziła? Może wczoraj też popijała, a na trzeźwo ustanowiła granice tolerancji na tupet? Jeśli tak, to odważniejszą zaczepką pogrążyłem się zupełnie.

Tymczasem lista wiadomości przysyłanych na konto mojej firmy przestała się mieścić na ekranie. Selekcja i odpowiedzi zajęły mi jakieś dwie godziny, po których wyszedłem na lunch z przedstawicielem firmy importującej sprzęt audio. Wprowadzali właśnie na rynek nowy patent o nazwie ECHO – wzmocnioną kwadrofonię przeznaczoną do małych pomieszczeń. Elektroakustyczne Cyfrowe Hiper Cośtam, nie pamiętam pełnej nazwy. Proponowali instalację systemu w sprowadzanych przeze mnie autach i wylansowanie wspólnymi siłami mody albo przynajmniej snobistycznego trendu. Przeglądałem katalogi, które przyniósł, co chwila jednak zerkałem na wyświetlacz komórki. Nic. Już miałem gościa spławić, bo jego sugestia, że szeroko reklamowane „jeżdżące wibratory” zawojują rynek, nie przekonała mnie, ale potem przypomniałem sobie mój poranny odlot w windzie i przeżycia, jakich dostarczyła mi rezonująca, frunąca w górę kłitka. Poprosiłem o próbny egzemplarz systemu ECHO i zacząłem się zastanawiać, gdzie go zainstaluję. Póki co myśl o wybebeszaniu firmowego hi-fi z nowego cayenne z mahoniowym wykończeniem wnętrza budziła mój głęboki sprzeciw.

Po powrocie do biura próbowałem skupić się na fakturach, które wymagały przejrzenia, w końcu jednak dałem za wygraną. Musiałem ustalić, czy moje poranne wiadomości dotarły do adresatki. Spytałem ją o to, a ona napisała wreszcie krótkie potwierdzenie, kwadrans później zaś zapytała, czy w ogóle widziałem *Sekretarkę*. Odpisałem: „Dawno, nie pamiętam jej za dobrze. Odwołam »gniota«, jeśli przyznasz, że *Sweet harmony* rządzi 😊”.

Po godzinie przyszła wiadomość:

„W takim razie powinieneś obejrzeć ją jeszcze raz. Mam na DVD. Zapraszam”.

Poczułem uderzenie gorąca, jakby nagle ktoś podkręcił w pokoju klimatyzację. Wstałem, podszedłem do okna, odgarnąłem płócienne żaluzje i wyszedłem na balkon. Oślepiło mnie słońce, więc wróciłem po ciemne okulary, które schowałem na dno

szuflady, nie podejrzewając, że w tym roku jeszcze będą mi potrzebne. Lodowaty wiatr zmroził mi twarz i wdarł się pod koszulę, ale nie włożyłem kurtki, licząc, że chłód mnie otrzeźwi. Nadeszła pora, by zastanowić się nad następnym krokiem. Tu już nie chodziło o zaproszenie na kawę, internetowy flirt, nawet nie o pocałunek w usta, to było... No właśnie, co? Filmowy wieczór u koleżanki. Spokojnie. Spróbowałem sobie wyobrazić, jak by to mogło wyglądać, bez myślenia życzeniowego, bez stereotypów rodem z pornosów. Okej. Siedzimy obok siebie na kanapie i oglądamy dramat o perwersyjnych perypetiach młodej kobiety. Jesteśmy sami, jemy chipsy, może popijamy wino i patrzymy, jak facet biczuje nagie wypięte pośladki. Każde bohaterce chodzić na czworaka i zakłada jej kajdanki. A na koniec, lekko wstawieni i zakłopotani, może też odrobinę podnieceni – raczej erotyczną aurą tych scen, bo przemocy nie kojarzyłem z seksem, wtedy jeszcze nie – żegnamy się pocałunkiem w usta. To nieuniknione, po precedensie sprzed dwóch dni już nie wypada inaczej, rytuał został ustanowiony, już po każdym następnym spotkaniu musimy się tak pożegnać. Życzymy sobie kolorowych snów i grzecznie się rozchodzimy, każde do swojego łóżka.

Nie, nie sędzę, raczej nie. To spotkanie skończy się inaczej, muszę więc dobrze pomyśleć, zanim się zacznie. Przedwczoraj w kawiarni, wczoraj wieczorem (na rauszu) i dziś rano (na kacu) mogłem udawać, że chodzi o niewinny flirt, ale teraz żarty się skończyły. Treść komunikatu, który jej wyślę, naprawdę zostanie zapisana w kronice – życia mojego, Agnieszki, a jeśli sprawy potoczą się zgodnie z moimi przewidywaniami, to także i Grażyny. To właśnie wyгнаło mnie na mróz – świadomość, że w moich rękach spoczęły losy trojga ludzi.

Zaczął padać śnieg, a ja stałem w ciemnych okularach i koszuli, weryfikując listę życiowych priorytetów. Chodnikiem w dole szły dwie dziewczyny, jedna z nich wskazała mi palcem, druga zadarła głowę i się zaśmiała. Pomachałem im, na co pierwsza mi odmachnęła, a druga pokazała środkowy palec. Spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

W tym momencie komórka w mojej kieszeni zaczęła wibrować. Wyjąłem ją i spojrzałem na wyświetlacz. Grażyna. Co za wycucie czasu! Odwróciłem się plecami do ulicy, odetchnąłem głęboko i odebrałem połączenie. Okazało się, że właśnie wraca z pracy. Upewniała się, czy ma dziś do mnie przyjechać, bo jeśli tak, to zrobi zakupy i ugotuje coś na kolację. W odpowiedzi na moje milczenie tytułem zachęty wymieniła kilka propozycji, ja jednak nie potrafiłem odgadnąć znaczenia słów. Zupełnie jakby pochodziły z obcego języka. Makaron? Żółty ser? Czy to się je? Blokada puściła dopiero na hasło „buraczki na ciepło” – od razu poczułem ich zapach i smak. Wróciwszy na ziemię, wyraziłem aprobatę dla buraczków. W odpowiedzi Grażyna zażartowała frywolnie, zupełnie nie w swoim stylu, i dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo jest zdenerwowana. Musiała usłyszeć w moim głosie coś, co skojarzyła z wczorajszym odwołanym spotkaniem, i wyczuła zagrożenie. Zaproponowałem, że skończę dziś wcześniej i podjadę po nią do sklepu, żeby nie tłuła się z zakupami autobusem. Rozłączając się, wiedziałem już, co odpowiedzieć Agnieszce. Zdziwiło mnie, że w ogóle się wahałem. Co ja sobie myślałem? Samolubny bachor poczuł się zbyt pewnie za kierownicą mojego życia, dobrze, że w końcu odezwał się rozsądek i ziarna ojcowskich

mądrości wydały plon. Klasa alfa jest dla snobów bez wyobraźni, rozsądne samce zadowolają się solidną deltą lub gamma. Chłód i głód rozjaśniły mi w głowie. Wróciwszy do biura, w grzecznościowym SMS-ie podziękowałem koleżance za miłą propozycję i obiecałem się odezwać. Uprzedziłem jednak, że w najbliższym czasie czeka mnie natłok zajęć. Życzyłem jej „wesołych świąt”. Zasuнаłem żaluzje i zdjąwszy oszronione okulary, zacząłem szykować się do wyjścia. Chwilę później przyszła wiadomość: „Wzajemnie”.

Potem przez dwa miesiące nie pisaliśmy do siebie.

– Wracając do twojego przesłuchania... Halo?

– No jestem, słucham.

– Coś mi się przypomniało. Jeśli chcesz gościa złamać i nie wylecieć z roboty, to jest tylko jeden sposób. W stu procentach bezpieczny i prosty.

– Zamieniam się w słuch.

– Opracowali go naukowo, w tej chwili w Stanach nie stosuje się już nic innego.

– Słuchaj, stoję teraz na drabinie, której nie chciałeś mi przytrzymać, wiszę jedną ręką na gałęzi, która zaraz pęknie. Streszczaj się.

– Podtapianie.

– Podtapianie?

– Podtapianie. Dziś wszyscy podtapiają. Każdy może podtapiać. Potrzeba do tego tylko ławy, kajdanek, worka i wiadra z wodą. I już.

– Żartujesz?

– Urzędaszy z CIA właśnie tak łamali największych twardzieli. Kwadrans i jedzą ci z ręki.

– Mówisz o tych więzieniach na Mazurach?

– Mówię o najnowszych technologiach.

– Gestapo też podtapiało, to żadna nowość

– To byli amatorzy, teraz to się robi naukowo. Kładziesz faceta na ławie pochylonej dokładnie dwadzieścia stopni w stosunku do podłoża i zasłaniasz mu twarz arafatką.

– Wolniej, notuję.

– Nie śmiej się, ten kąt jest ważny, bo wtedy woda zalewa tylko śluzówkę i nie dostaje się do płuc. To bezpieczne jak kichnięcie, ale facet ma wrażenie, że się topi. Szok, panika...

– Może właśnie to zafundowali tej dziewczynie?

– Której?

– Tej zamordowanej. Na jachcie. Przed śmiercią ktoś wlewał jej wodę do ust.

– A znaleźliście ślady tkaniny na jej twarzy?

– Nie. Może nie wiedzieli o tym triku z arafatką? I może właśnie dlatego tyle wody dostało się do jej płuc?

– Bez chusty to nie ma sensu, delikwent za szybko traci przytomność.

– Mówisz, jakbyś tego próbował.

– Mam to co niedziela, kiedy się budzę z twarzą w kiblu. Wyśpiewałbym wtedy wszystko, ale nie mam komu.

Wyszyński przycisnął barkiem telefon do ucha, wolną ręką sięgnął po wsunięty do tylnej kieszeni spodni gwóźdź.

– To dlaczego robisz to co tydzień?

– Nienawidzę kaca, ale lubię być pijany.

– Ile ty masz lat?

– Gdybym był psem, miałbym osiem. Wpadnij dziś do mnie, dobra?

Gwóźdź wszedł w drewno od pierwszego uderzenia rękojeścią walthera.

– Szykuj pomarańczową farbę.

– Podtopisz go?

– Mam lepszy sposób.

– Jaki?

– Tajemnica zawodowa.

Koło południa przynieśli mi do celi filiżankę czegoś czarnego i szarlotkę, co było dziwne, bo dotąd karmili mnie głównie kanapkami. Posterunkowy spytał, czy słodzę kawę, a potem życzył mi smacznego. Gdy wyszedł, obejrzałem sobie dokładnie ten słodki lunch. Ciasto miało kruszonkę na wierzchu, wilgotny spód i ładnie pachniało, nawet przeczulona Grażyna nie miałaby się do czego przyczepić. Było ciepłe i pyszne.

Napój kawopodobny wypilem do połowy, więcej się nie dało.

A potem wróciłem do kontemplacji dziur w tynku na ogrodzeniu. Jedna miała kształt przekrzywionej Afryki, czego wcześniej nie zauważyłem. Powoli zaczynałem czuć się lepiej, jakbym wybudzał się z letargu. Wszystko nabierało sensu. Wciąż nie widziałem przed sobą przyszłości, ale właśnie to sprawiało, że byłem we właściwym miejscu – trudno o lepsze lokum dla gościa bez przyszłości niż pokój bez klamek. Dopóki nie trafię do zbiorowej celi, pełnej wytatuowanych gwałcicieli, mogę z godnością swoją żalobę przesiedzieć – dosłownie i w przenośni – choćby miała trwać do końca mojego życia. Nigdzie mi się nie spieszyło i nic nie ciągnęło mnie na zewnątrz.

Kiedy tak stałem, trawiąc więzienne przysmaki i dziwiąc się odmianie mojego spojrzenia na świat, za oknem zaczął się cyrk. W pierwszej chwili pomyślałem, że do jedzenia dodali narkotyki, żeby mnie zmiękczyć chemicznie. Skok poziomu cukru mógł poprawić mi humor, ale przecież nie wywołał halucynacji. A to, co widziałem, nie mogło działać się naprawdę. Dlaczego policjant, którego w duchu nazywałem Pan Mrugacz, miałby przynieść drabinę i za pomocą pistoletu przybić do jednej z lip dziwne kolorowe pudło? Czekałem, aż wyjmie ze środka białego królika. Sporo czasu zajęło mi odgadnięcie, do czego ma służyć to чудо. Jeśli nie był draniem narkotyzującym przesłuchanych, należało go uznać za sympatycznego wariata. Gdy chwilę później posterunkowy zajrzał do mojej celi z pytaniem, czy jestem gotowy na przesłuchanie, rozbawiony o mało nie potwierdziłem tego na głos.

Zaprowadził mnie do małego pokoju, w którym rozmawialiśmy wczoraj. Pan Mrugacz już tam był. Poprosił, żebym usiadł, po czym położył na stole zeszyt i długopis. Powiedział, że teraz on będzie pytał, a ja mam zapisywać odpowiedzi. W ten sposób mogę zachować „śluby milczenia” – jak się wyraził z dobrodusznym uśmiechem

– a jednocześnie ocalić skórę. To leży w moim interesie, tłumaczył, ponieważ ciąży na mnie poważny zarzut. Zabójstwo to nie przelewki. Odczekał chwilę i spytał, czy smakowała mi szarlotka. Okazało się, że upiekła ją jego żona. Po wahaniu sięgnąłem po długopis, otworzyłem zeszyt i napisałem na pierwszej stronie: „Pyszna, dziękuję”. Ucieszył się, chyba głównie z tego, że zaakceptowałem ten patent z pisaniem. Obiecał, że przekaże żonie komplement. Chciałem mu się jakoś zrewanżować – skoro on gra dobrego policjanta, ja dobrego zatrzymanego – i zacząłem pisać, obserwując kątem oka, jak maskuje ekscytację. Podtrzymał oficjalną wersję, że zeznaję „wyłącznie we własnym interesie”, on nic z tego nie ma, skąd. Kiedy oddałem mu zeszyt, tekst trochę go rozczarował. Mrugając nerwowo, spytał, dlaczego niby domek dla ptaków nie może być pomarańczowy. Napisałem, że jaskrawy kolor odstrasza ptaki. Chciał wiedzieć, dlaczego tak uważam, a ja na to, że mój ojciec jest myśliwym i nauczyłem się przy nim, jak wabić zwierzęta. Drewnianej budki w ogóle nie warto malować, powinna wtopić się w tło. Ale teraz i tak nic mu się tam nie zagnieździ, to chyba oczywiste, musi poczekać do wiosny. Wszystko to pisałem w zeszycie, linijka po linijce, a on czytał. Wreszcie uprzejmie podziękował za radę i spoważniał. Poprosił, żebyśmy jednak zajęli się sprawą, o ornitologii porozmawiamy sobie potem. Dodał, że ma dobre przeczucia co do naszej dalszej współpracy.

Pomylił się. To nie były przeczucia, tylko jego pobożne życzenia.

Kiedy człowiekowi bardzo na czymś zależy, o pomyłkę nietrudno. Ja tej zimy też miałem przeczucie, że czeka mnie sielanka u boku porządnej kobiety. Nie wymarzonej, ale najlepszej spośród tych, które zostały. Przekonałem też sam siebie, że to przeznaczenie, którego nie odmieni tak nieistotne zdarzenie jak mój jednorazowy skok w bok. Bo tym w moim głębokim przekonaniu – do którego doszedłem po dwumiesięcznym wahaniu – miał być seans filmowy u Agnieszki, kiedy już się na niego zdecydowałem. Z kolei po tygodniu spotkań z nią intuicja podpowiadała mi, że to jednak ona jest kobietą, przy której się zestarzeję.

We wszystkich trzech przypadkach byłem w błędzie.

Dlatego mówię, że nie warto wierzyć przeczuciom.

Kiedy Mrugacz poprosił mnie, bym opisał, co działo się na mojej łódce przedwczoraj wieczorem, grzecznie wziąłem ołówek i zeszyt i zacząłem pisać. Zaczął mrugać z takim przejęciem, jakby alfabetem Morse’a mówił „D-Z-I-Ę-K-U-J-Ę”. Potem usiadł za biurkiem i wyjął komórkę, udając, że esemesuje, żebym nie czuł presji jego oczekiwań, tylko wypisał się do końca. Przyłożyłem się, w końcu pierwszy raz od dawna miałem szansę, żeby wypowiedzieć się na temat, który żywo mnie interesował. Po dłuższej chwili odebrał ode mnie zeszyt z podziękowaniami i wyrazami zadowolenia, że intuicja go nie zawiodła: od początku czuł, że rozsądny ze mnie facet.

Chwilę potem wymrugął: „C-O-T-O-J-E-S-T-?-?-?”.

A to były moje zeznania.

Brzmiały tak:

„Ja: – 26.08.2014 zapisze się w mojej pamięci jako data pożegnania z Agnieszką, którą z perspektywy czasu muszę nazwać miłością mojego życia. Wtedy też kochałem się z nią po raz ostatni.

Pan Oficer: – A potem?

Ja: – W pewnym sensie kocham się z nią do tej pory, nie ma żadnego »potem«.

Pan Oficer: – Co masz na myśli, mówiąc o miłości swojego życia?

Ja: – Mam na myśli akt wielopoziomowego zjednoczenia, wieczną wiosną i ciepły wiatr, od którego topnieją śniegi.

Pan Oficer: – Czy był to ten magiczny ogień, który gasi pragnienie?

Ja: – Tak jest.

Pan Oficer: – Rozumiem, że w związku z tym tragiczne szczegóły tamtego zajścia pragniesz zachować wyłącznie dla siebie?

Ja: – Pragnę wymazać je z pamięci, udając przed samym sobą, że tamtej nocy nigdy nie było.

Pan Oficer: – Szanuję cię za to.

Ja: – Dziękuję.

Pan Oficer: – Nie mam więcej pytań.

Ja: – Jeszcze raz dziękuję za szarlotkę!”.

Cisnął zeszytem o blat tak, że zleciały z niego pozostałe papiery.

No i do końca dnia miałem spokój.

Siostrzeniec Grażyny wpatrywał się płótno przedstawiające dwa nachodzące na siebie złote krążki. Błyszczały na tle błękitnego nieba pokrytego pierzastymi obłokami o gęstej, oleistej fakturze. Dotknął jednego z nich palcem i zdziwiony uniósł brwi, zaskoczony jego twardością. Pobielony palec pachniał jak fartuch cioci albo apteczka z lekami.

– Co to?

Odłożyła obraz na stos, który wypełnił niemal całe wnętrze furgonetki. Ostatnie płótno wyjęła ostrożnie z dłoni chłopca.

– A jak myślisz?

Rozłożył rączki.

– Nie mam fioletowego pojęcia.

Uśmiechnęła się, słysząc zwrot, który musiał podsłuchać u mamy. Wcisnęła obraz do środka i zamknęła drzwi. Podeszła do szoferki.

– To tak jak ja. Wskakuj!

Czekała przy drzwiach od strony pasażera, ale chłopiec nie ruszał się z miejsca, tylko wpatrywał się w swoje czerwone adidas.

– Mogę prowadzić?

Po chwili podniósł głowę, miał rozchylone usta i szeroko otwarte oczy. To spojrzenie zwykle zapewniało spełnienie prośby, o ile była „spełnialna”, to znaczy nie łamała tajemniczych reguł rządzących światem dorosłych. Tego czterolatek nie potrafił jeszcze ocenić sam, musiał próbować.

– Przykro mi, nie.

Okrągłe oczy zwięzły się pod ściągniętymi brwiami, czerwony bucik zaszurał.

– Dlaczego nie?

Musiał to wiedzieć, by robić postępy w toku nauki metodą prób i błędów. Poza tym dawał ujście emocjom i stosował strategię numer dwa: upór. Czasem równie skuteczny jak spojrzenie jelonka Bambi.

– Bo nie masz prawa jazdy.

– Dlaczego?

– Bo masz dopiero cztery lata.

Pokusa wsadzenia palca do buzi była coraz trudniejsza do opanowania, ale intuicja podpowiadała mu, że takie dziecinne gesty pogrążą go do reszty.

– Dlaczego?

– Bo nie masz prawa jazdy.

Ciocia też ciągle uczyła się czegoś nowego. Na przykład tego, że pytaniom nie ma końca, dopóki nie zapętli rozmowy. Chętnie zaspokajała autentyczną ciekawość siostrzeńca, ale zauważyła, że po paru sensownych pytaniach nagabuje ją już tylko automatycznie, nie słuchając odpowiedzi. Chyba że te się powtarzały, co zbijało go z tropu. Wykorzystując moment konsternacji, podeszła do chłopca i wyciągnęła ręce.

– Chodź tutaj.

Chwyciła malucha pod pachy i podniosła, jak zwykle zachwycona ciężarem nabitego ciała, które z każdym dniem ważyło coraz więcej. Pluszowy miś o konsystencji ołowiu. Rozstawiwszy szerzej nogi, zrobiła piruet, aż pyzată buzię rozjaśnił uśmiech.

– Jeszcze?

Błysnęły ząbki, a w gardle zabulgotał śmiech.

– Taak!

– A potem grzecznie pojedziesz w foteliku?

Po kilku obrotach niedoszły szofer z ciężkim westchnieniem pozwolił posadzić się na miejscu pasażera.

– Mam w domu taką furgonetkę – mruknął, rozglądając się.

– Fajnie! Jeździsz nią?

– Jest za mała – odrzekł poważnie. – Ale też brązowa. To twoje auto, ciociu?

– Nie, pożyczyłam je.

– Po co?

– Żeby zawieźć obrazy na działkę.

– Po co?

– A po to, żeby po drodze wpaść na hot doga.

To była inna sprawdzona metoda przerwania jałowej dyskusji – odwrócenie uwagi.

– Dobra!

Języczek chciwie oblizwał usta, oczy się zaśmiały, a lepkie łapki zaklaskały. Jaka szkoda, że z wiekiem chłopcy tracą tę miłą przezroczyistość i stają się trudniejsi w obsłudze, westchnęła w duchu Grażyna. Siadając za kierownicą, pochyliła się, by zapiąć małemu pas.

– Ja sam!

To ich łączyło – ambicja. Ja, ja i ja, sam, sam i sam! Chłopiec, posapując, zaczął szukać metalowej klamry wiszącej dobre pół metra za wysoko, a ona cierpliwie czekała, aż ogłosi klęskę i zwróci się do niej o pomoc.

Na biurku stał komputer i kubek z napisem „Najlepszy tata na świecie”. Pełnił funkcję pojemnika na długopisy, śmietniczki, a także przycisku do papieru. Mimo to wydruki, ostemplowane kółkami barwy herbaty, z nieczytelnymi zapiskami na marginesach, rozrzucone były po całym gabinecie. Akta paru spraw trafiły nawet pod dywan, co według właściciela świadczyło tylko o ich wadze, bo schowane tam „na pewno nie zginą”.

O ostatniej sprzątacze, która próbowała zrobić tu porządek, słuch zaginął, co powstrzymało jej następczynię przed interwencją.

– Nadal milczy?

– Jak Chrystus przed Sanhedrynem.

Między kubkiem a komputerem spoczęły opięte sztruksem łokcie ze skórzanymi łatami.

– Ciekawe skojarzenie.

– Twój tyłek jest bezpieczny.

– Wolałbym, żeby się przyznał.

– Na to nie licz. – Wyszyński pokręcił z westchnieniem głową. – To nie on.

Dłonie prokuratora, wystające z rękawów marynarki, utworzyły piramidkę ze złączonymi opuszkami na szczycie.

– Mocne słowa.

– Winni się zapierają. Albo przyznają. Zasadniczo: dużo mówią.

– Normalni winni. Może on jest psychopata? Zabił ją i ma to gdzieś.

Policjant prychnął i odchylił się na oparcie krzesła. Na ścianie gabinetu wisiał plan bliżej niezidentyfikowanego miasta, przeciętego na wschodzie błękitną wstęgą. Dopiero dokładniejsze oględziny pozwalały stwierdzić, że to Warszawa, w której nie ma jeszcze Ursynowa, Bemowa i połowy Pragi. Przeszarżała, jak wszystko tutaj.

– Jest dziwny, ale to nie psychopata – stwierdził w końcu. – Sądzę, że jest niewinny, może jednak wskazać zabójcę.

– Ja sądziłem, że Brazylia pokona Niemców, zwłaszcza u siebie. A jednak przetrzęśli miesiąc temu jeden do siedmiu, jak w mordę strzelił. – Piramidka się rozsypała, grube palce chwyciły nos i ścisnęły go z mokrym świstem. – Intuicja jest przereklamowana, mój drogi, to zwykła dziwka, która mówi ci to, co chcesz usłyszeć.

– Powtarzam ci, sado-maso to co innego niż morderstwo, jedno nie prowadzi do drugiego.

– Może tu akurat prowadzi.

– Wątpię.

– Ile razy przeleciałeś kobietę skutą kajdankami? Oczywiście nie wnikać w twoje metody przesłuchań...

Wyszyński nie dał się sprowokować. Znowu spojrzał na plan miasta, a właściwie tylko odwrócił się do niego ze szklanym wzrokiem, skupiony na swoich myślach.

– Póki co moja ekipa szuka auta i butów pasujących do śladów na przystani – powiedział po chwili. – Słucha małych, którzy cumowali tamtej nocy przy drugim

brzegu. A ja pojedę na łódkę. Tam jest coś... coś, co przeoczyliśmy.

Oparcie fotela skrzyknęło pod naporem opakowanych sztruksem, sztucznie poszerzonych w ramionach i naturalnie rozepchanych w talii pleców. „Najlepszy tata na świecie” sięgnął po kubek z przylepionymi do denka aktami jakiejś sprawy.

– Co?

– Coś.

– Grzegorz Wyszyński: wróżby, czary i czytanie z dłoni.

Prokurator odstawił kubek w ostatniej chwili, unikając pomyłkowego połknięcia śmieci. A policjant, nie odrywając wzroku od planu przedwojennej Warszawy, podparł skroń dłonią z wyprostowanym środkowym palcem.

Po powrocie do celi stanąłem przy oknie i spojrzałem na ogrodzenie w miejscu, które wcześniej omijałem wzrokiem. Wydłużona klepsydra, z podstawą przy ziemi i wierzchem sięgającym górnej krawędzi. Wyrwa w tynku i w moim życiu, luka w kształcie Agnieszki. Jak dwumetrowa dziurka w patentowym zamku: bez matrycy nie dorobię klucza, a oryginał był tylko jeden.

Przypomniała mi się książka, która wpadła mi kiedyś w ręce. Nosiła tytuł *Wszystko, co mężczyźni wiedzą o kobietach*. Miała sto stron, a każda pusta. Sprzedawali ją w Empikach, trochę jako żart, bardziej jako notes w zabawnej okładce.

Może autorem był mistrz zen, który uczciwie oddał stan swojego umysłu? Ale dlaczego akurat w kwestii kobiet?

Po doświadczeniach ostatniego roku parę stron takiej książki mógłbym już zapisać. Jedną na pewno. Dawniej, jeszcze tej zimy, machnąłbym oczywiście cały tom, bo uważałem się za znawcę tematu. Miałem rozeznanie, typologię i ustalone preferencje. Idąc za radą innego domorosłego eksperta, zrezygnowałem z wymarzonej kobiety, uznając ją za z definicji nieosiągalną. Nawet tego nie sprawdziłem. Mówiąc językiem branżowym: odpuściłem sobie jazdę próbną lamborghini, z góry przyjmując, że nie stać mnie na nie. Wróciłem do wiernego kombi czekającego w garażu: sprawdzone, wygodne, na gwarancji.

Księga, którą wtedy napisałbym o kobietach, byłaby gruba, pełna metafor i zdjęć samochodów.

Stojąc przy zakratowanym oknie, przez wielką dziurę od klucza zaglądam w pustkę. Oczami wyobraźni widzę minę zadowolonego z siebie ignoranta rozpartego w fotelu między wieżą stereo a tykającym zegarem z wahadłem, przyjmującego z rąk świeżo upieczonej żony świeżo upieczony sernik. „To pyszne ciastko, optymalne w zaistniałej sytuacji, skarbie, zupełnie jak ty”. Za oknem czyste sierpniowe niebo z paroma cumulusami, które przepływają teraz ponad więziennym ogrodzeniem. Patrząc na to moje nieistniejące, równoległe ja ze zdumieniem. Dzielą nas lata świetlne, cały kosmos zdarzeń, a przecież siedziałbym teraz w tamtym fotelu, gdyby nie jeden wieczór w lutym tego roku.

Oświadczyłem się Grażynie w sylwestra, bez fajerwerków i pierścionków w torcie, za to z konkretnym planem: ślub za pół roku, wkrótce własny dom, a dzieci w bliskiej

przyszłości. Oferta została przyjęta i karnawał wypełniły nam wizyty u rodziców, rozsyłanie zaproszeń i rozmowy z deweloperami o działce w Milanówku, bo na „nową drogę życia” chciałem wkroczyć z klasą. Nie mieliśmy praktycznie jednego wieczoru tylko dla siebie, pracowałem sporo, jako że zbliżał się sezon wiosenny, a ja musiałem zarobić na dom. Gdy pewnego dnia wróciłem wcześniej z pracy i moja narzeczona spytała, czy nie byłoby miło posiedzieć raz przy filmie, jak „normalna para”, chętnie się zgodziłem. Spytałem, co chce obejrzeć, a ona wyjęła płytę DVD z nogami w pończochach i wypiętą pupą w czarnej mini na okładce. Właśnie mijał drugi miesiąc od zawieszenia mojej znajomości z Agnieszką i nasz gwiazdkowy ćwierćromans powoli popadał w zapomnienie. Tęsknoty i pytania typu „co by było gdyby” zagłuszałem pracą i przygotowaniem do ślubu, nie rozdrapywałem tej rany. Ranki. Skaleczenia. Nie wchodziłem na jej profil, nie dzwoniłem, nie pisałem. Kosztowało mnie to sporo samozaparcia i w tym momencie obejrzenie jej ulubionego filmu, owianego aurą seksualnej perwersji, uznałem za ryzykowne. W osobie rozerotyzowanej Maggie Gyllenhaal zaprosilibyśmy do naszego salonu obiekt moich westchnień, który próbowałem wymazać z pamięci, wprost przed oczy mojej niczego nieświadomej narzeczonej.

Ale gdy zaproponowałem Grażynie jakiś inny tytuł, zaczęła naciskać z samobójczym uporem: w internecie rzekomo zachwalali ten „błyskotliwy komediodramat” i przyznali mu osiem gwiazdek, wydała na płytę całe dwadzieścia dziewięć złotych i dziewięćdziesiąt groszy, więc dlaczego nie?

No właśnie – dlaczego?

Wymigałem się od seansu *Sekretarki* z Agnieszką, ale narzeczonej uległem. Po prostu nie mogłem wypowiedzieć na głos żadnych sensownych argumentów przeciw. Zasiadłem z jej ciepłą dłonią w jednej i zimnym piwem w drugiej ręce, mówiąc sobie w duchu, że to się źle skończy.

Trudno o bardziej prorocze słowa.

„Ar-cy-dzie-ło” zaczyna się z kopyta, trzeba przyznać. Bohaterka w obroży z przymocowanym do niej prętem i rękami przykutymi na obu jego końcach kajdankami – jakby ukrzyżowana – przemierza powoli biuro, by podać szefowi herbatę i dokument wyciągnięty zębami z drukarki. Grażyna zeszywniała, a potem pod jakimś pretekstem wysunęła dłoń z moich palców i lekko się odsunęła. Po paru neutralnych scenach sadystyczny prezes każe sekretarce oprzeć się o biurko i otwartą ręką trzepie jej wypięte pośladki, bo popełniła jakiś błąd, przepisując list. Kamera pokazuje jej twarz zbliżeniu, przygryzione wargi i spojrzenie pełne uniesienia i jakby zdziwienia, że to się dzieje naprawdę. Aktorka zasłużyła na Oscara, chyba że partner na planie ułatwił jej zadanie, wymierzając parę prawdziwych klapsów. Moje dłonie zwilgotniały, w ustach zaschło, a serce zaczęło bić szybciej. Pod jakimś pretekstem umknąłem do łazienki, żeby oblać twarz zimną wodą, a gdy wróciłem, na ekranie leciał już nadawany na jakimś kanale sitcom. Grażyna spytała niewinnym głosem, czy bardzo chcę wrócić do tamtego filmu, a ja pokręciłem głową.

Być może powinienem był wtedy porozmawiać z nią o erotycznym olśnieniu, które właśnie przeżyłem, zaryzykować chociaż jakąś odważniejszą odzywkę czy propozycję.

Mogłem na początek klepnąć ją w pupę albo rzucić na próbę jakiś rozkaz. Gra, która tak mocno mnie zakręciła, była warta świeczki. Ale zabrakło mi odwagi. Myślę, że wiele udanych związków rozpadło się z lenistwa i tchórzostwa. Choć z drugiej strony – ile potrwałyby ta sielanka z kobietą kocem, zanim przejadłyby mi się domowe serniki? Nawet gdyby udało się je doprawić erotyczną perwersją, to przecież nie byłoby „to”. To nie byłaby ONA. Można zdetronizować wewnętrzne dziecko wyjące do zapomnianych marzeń, oszukać je na chwilę, ale nie na dłuższą metę. Tak sędzę.

Wystarczył rzut oka na moją miłą i ciepłą narzeczoną, by perwersyjne teksty uwięzły mi w gardle. Po prostu nie potrafiłem się przełamać. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak sztywnieje zaskoczona, a potem zwija się w kłębek i ze łzami w oczach pyta, co złego mi zrobiła. To jakby astmatyczce zaproponować wyprawę w Himalaje – ona się zestresuje, ty wyjdiesz na chama, a i tak zostanieie w domu. Dałem spokój, obejrzelśmy show ze sztucznymi śmiechami i poszliśmy spać.

A nazajutrz zadzwoniłem do Agnieszki.

Książek w stylu *Co kobiety sądzą o mężczyznach?* jest sporo i nie są to żartobliwe notesy o pustych kartkach. Ich treść dobrze oddaje pewien rysunek znaleziony w internecie[4]: kobieta pozuje do aktu, ale malarz na wielkim płótnie uwiecznia tylko jej łono w powiększeniu. I oto ja, zaślepiony myślą o „jednym”, niczym klasyczny Piotruś Pan poświęcam wszystko, żeby dopiąć swego. Nie wiem, po co wyprodukowałem te peany o miłości, archetypach i lojalności. Pewnie dla zmylenia przeciwnika.

Odwracam się od zakratowanego okna i robię parę kroków do drzwi bez klamek i z powrotem. Wątpię, czy stać mnie na wspomnianie tamtego wieczoru, na zanurzenie w odurzającym jak xanax wspomnieniu naszego pierwszego sam na sam z Agnieszką. Nasz wieczór filmowy, czyli veni, VIDEO, vici. Skoro cienie na ścianie przejmują mnie bólem, a kartka prowokuje do tęsknego bełkotu, zamiast zeznań ratujących życie... Ale też nie mogę tego unikać. Mówiąc „nie” rzeczywistości i nirwanie, puściłem w ruch tryby szaleństwa i nie ma już co debatować nad sensem wspomnień, bo one wspominają się same.

Staszewski z namysłem podrapał się po głowie.

– Brązowa furgonetka?

– Dwudziestego szóstego sierpnia, około dwudziestej, przybyliśmy z Adamem na łódkę – wyrecytował chłopak do leżącego na stole dyktafonu.

– Adam to twój brat?

– Tak. Od razu zobaczyliśmy ten jacht po drugiej stronie zalewu. Jakąś godzinę później zaparkowała tam furgonetka.

Sierżant musiał pochwalić chłopaka za to, jak doskonale opanował swoją kwestię: za trzecim razem brzmiała identycznie jak za pierwszym. Pytanie, czy była prawdziwa.

– Przy brzegu rośnie sporo drzew – zauważył.

– Ona stanęła w prześwicie.

– Furgonetka?

– Brązowa.

– Widzieliście tam jakichś ludzi?

– Nie.

– A może różowe słonie? Smoki? Białe myszy?

Chłopak pokręcił głową z poważną miną. Był dobrze przygotowany, żadne pytanie nie mogło go zaskoczyć.

– Już wtedy byłeś nawalony jak stodoła? – Tylko niektóre wprawiały go w zakłopotanie. Uciekł spojrzeniem w bok i podrapał się po brzuchu, jakby coś wpadło mu za koszulę. – Czy dopiero zaczynaliście imprezę?

– Wtedy jeszcze nie...

– Na co tak patrzysz?

Brudne paznokcie znowu zaorały skórę, a rozbiegany wzrok prześlizgnął się po dyktafonie, by wrócić na prawo, w stronę regału.

– Czy to walther P-dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięć milimetrów, panie starszy sierżancie?

Staszewski uważniej przyjrzał się przesłuchiwanemu. Skinął głową, a wtedy przez okrągłą twarz przemknęła duma, a potem wyraz przejęcia graniczącego z uniesieniem. Widział takie miny w gimnazjum, w którym niedawno krzewił akcję „Zażywasz – przegrywasz”. Pierwszy rząd okupowała grupa pasjonatów wypytujących go o policyjne uzbrojenie i kulisy ostatnich akcji, uciszająca syknięciami żarciki pozostałych. (Żadne pytanie, które padło z sali, nie dotyczyło narkotyków będących tematem prelekcji, nawiasem mówiąc).

– Chcesz zostać policjantem?

Chłopak pokiwał głową z szerokim uśmiechem.

– Ale ta robota nie polega na strzelaniu, wiesz o tym?

Ściągnięcie ust i mars na przyszczatym czole świadczyły o tym, że teza została rozważona i odrzucona. Wzruszające. Za dużo telewizji, za mało autorytetów, czyli dojrzewanie w małym mieście. Nawet jeśli nie zażywasz, to i tak nie wygrywasz. Nie więcej niż cienki etat, w każdym razie pora spojrzeć prawdzie w oczy.

– Powiedzieć ci, co robię przez większość czasu?

Chłopak nastawił uszu.

– Są dni, gdy zajmuje to nawet dziewięćdziesiąt procent dnia pracy.

– Co...?

– Pisanie.

Czoło pod grzywką znowu przecięły zmarszczki, otwarte szeroko oczy patrzyły z niedowierzaniem. Sierżant wstał, podszedł do regału i sięgnął po pistolet.

– Zawodowy pisarz wypełnia jakieś pięć stron dziennie, zwykle mniej – rzucił, wsuwając broń do kabury. – A wiesz, ile ja produkuję? Około dwudziestu. Raporty, statystyki, sprawozdania. Po twoim wyjściu wypełnię ze trzy strony, plus załączniki. Tylko nie płacą mi za to tyle, co pisarzom. I nagród nie dają. Dadzą mi kopa w dupę, gdy tylko skończę czterdziestkę.

Odwrócił się, przekładając skórzany pasek przez ramię i przesuwając broń z pleców pod pachę. Śledzony w nabożnym skupieniu, czuł się jak gwiazda rocka albo kapłan odprawiający mszę. Rozczulające. Zobaczył w chłopaku siebie sprzed lat.

– Na filmach tego nie pokazują, co? – spytał łagodniej. Dzieciak pokręcił z uśmiechem głową, a potem zachichotał, jakby wreszcie zrozumiał żart.

– Jasne.

– Chcesz zostać policjantem – ćwicz pisanie.

– Jasne.

– Mówię serio.

– Tak, tak...

– Wiesz co? – Policjant westchnął. – Odstaw gorzałę i weź się do nauki. Jak przyniesiesz mi tu czwórkę z polskiego na semestr, to pójdziemy na strzelnicę i dam ci wystrzelać cały magazynek.

Chłopak wytrzeszczył oczy, po czym zamrugał.

– Z polskiego?

– Powtarzam ci: musisz ćwiczyć pióro. Oszczędzisz sobie mnóstwa obciachu, jeśli będziesz umiał pisać. To co, umowa stoi?

– Jasne!

– Ale najpierw napluj na ten wacik.

O blat biurka stuknął wyjęty z szuflady plastikowy pojemnik. Uśmiech wrócił na przejętą twarz dopiero po dłuższej chwili.

– Do porównania DNA?

– Jasne!

Agnieszka przeprosiła za bałagan, którego nie zauważył, i za zapach z kuchni, którego nie poczuł. Salon był nieduży, utrzymany w brązach i ciemnych odcieniach zieleni kojarzących się z akwariem. „Wodne” wrażenie potęgowały wymalowane na ścianach i suficie roślinne wzory, dzieło goszczącej tu niedawno koleżanki artystki. „Wyeksmitowałam ją, zanim pociągnęła to zielsko dalej”. Gospodyni machnęła ręką w stronę korytarza, po czym wskazała gościowi fotel. Sama usiadła na kanapie, odgarniając poły szarego swetra z czarnym wykończeniem. Czując, że powinien coś powiedzieć, nazwał pokój wytatuowanym i bardzo dziewczęńskim, co skwitowała grzecznościowym uśmiechem. Na widok ciemnej butelki z żółtą etykietą opuściła kąciuki ust i pokiwała z uznaniem głową.

Gdy kieliszki były pełne, sięgnęła po pilota do odtwarzacza. Odwróciła się w stronę telewizora, bokiem do niego, podciągając zgięte nogi. Miała na sobie sprane dzinsy z postrzępionymi dziurami, z których jedna rozszerzyła się na kolanie, odsłaniając je niemal w całości. Ekran, meble i malunki na ścianach natychmiast zły się w nieostre tło. Zaczął dyskretnie obserwować jej długie palce z pomalowanymi paznokciami, skubiące białe nitki. W filmie skuta kajdankami Maggie Gyllenhaal wyczyniała cuda, które jeszcze parę dni temu przyprawiły go o bezdech, ale on widział tylko nagi fragment Agnieszki migający w rozcięciu spodni. Była jak zielone światło na przejściu dla pieszych. No zrób coś, teraz, już!

Poczuł ucisk poniżej klamry paska. Odetchnął głęboko, zmienił pozycję i się zawahał. Nie istniał kodeks *savoir-vivre*'u regulujący zachowanie podczas towarzyskiej

wizyty mającej na celu pójście do łóżka z koleżanką sprzed lat, przynajmniej on o takim nie słyszał. Rzucenie się na nią kwadrans po przywitaniu raczej nie wchodziło jednak w grę. Spróbował dyskretnie przesunąć szew majtek na bok, ale ten tylko wbił się głębiej. To, że poły jej swetra się rozchyliły, ukazując napierające na stanik krągłości, nie poprawiło sytuacji. Czuł jej zapach, niemal widział feromony parujące z nagiej skóry.

Autorki książek o facetach z drwiącymi uśmieszkami pokiwały głowami.

Zdesperowany wstał i zapytał, gdzie jest toaleta. Odwróciła się, otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Mrugając, patrzyła na obiekt, który pojawił się na wysokości jej oczu, na wyciągnięcie ręki. W ten sposób niechący zaszachował ją i wciągnął do towarzyskiej szarej strefy. Okazawszy zdumienie, nie mogła już zignorować tej emanacji zachwytu i namacalnego dowodu erotycznego podtekstu spotkania, które sama zaaranżowała. Zapadła cisza.

– Skarpeta czy chusteczka? – spytała po chwili.

Nie docenił jej. Krew w jej mózgu krążyła normalnie i pozostała chłodna, głos brzmiał pewnie, a twarz nie zdradzała zakłopotania. A może знаła kod zachowań, o którym on nie miał pojęcia? Spróbował zdobyć się na podobny dystans, jednak jej czerwone usta, odgradzone tylko dwiema warstwami materiału od jego męskości, zwilżający je różowy język, odurzający zapach perfum – wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu.

– Niczym nie wypycham – mruknął.

– Serio?

– Tak.

– No to brawo. – Uśmiechnęła się, odgarniając grzywkę. – Mama musi być z ciebie dumna.

Jej przewaga była miażdżąca i jak w przypadku boksera przegrywającego na punkty, jego ostatnią szansą było wejście w zwarcie. Niewiele myśląc, uniósł rękę i dwoma palcami chwycił suwak rozporka. Resztki rozsądku nakazały mu wyhamowanie na tym etapie i sprawdzenie jej reakcji. Spojrzała w górę. Jakieś mięśnie jej twarzy zwiotczały, inne się napięły i wtedy po raz pierwszy zobaczył jej łagodniejsze, zdezorientowane wcielenie. Spuściła wzrok i sięgnęła po stojący na stole kieliszek. Łyk wina wystarczył, by maska światowej królowej życia wróciła na swoje miejsce.

– Już? Tutaj? Nie zdążysz do toalety?

O wiele później zrozumiał, że drwina należała do jej mechanizmów obronnych, działających niezawodnie nawet w stresie. Wtedy uznał ją za kolejny dowód opanowania. I formę przyzwolenia: dobrze się bawiła, a zatem godziła się na kontynuację gry. Bądźmy szczerzy, w zaistniałej sytuacji, żeby to coś dało, musiałyby uciec z krzykiem, zwykły trucht by nie wystarczył. „Nie” potraktowałby jako droczenie się, „może później” równałoby się zaproszeniu. Zgrzytnął zamek, zaszeleściła bawełna, twardy szew uległ naporowi zgiętego kciuka. I oto kwadrans po wejściu, miesiąc po pierwszym pocałunku i trzynastu lat od dnia, w którym zobaczył ją po raz pierwszy, stojącą pod drzwiami sali wykładowej z plecakiem na ramieniu i jasnymi, prześwieconymi słońcem włosami – ikona w zapyłonym powietrzu – jego duma i chwała kołysała się przed jej nosem.

Spowaźniała. Odchrząknęła w zwiniętą dłoń, przełknęła sucho i znowu popatrzyła

w górę. Iluzja optyczna sprawiła, że w jej oczach zobaczył swoje pomniejszone odbicie: figurkę faceta ze spuszczoneymi spodniami wymalowaną na czarnym tle źrenic, w obramowaniu zielonych tęczy. Miniatura w szmaragdowej oprawie.

– Popatrz, popatrz, no, no...

Przesunęła się na krawędź kanapy i z brzękiem bransoletki uniosła rękę. Dotyk jej palców na rozpalonej skórze poraził go siłą tysiąca woltów. Delikatnie przesunęła czerwonym paznokciem od czubka po nasadę. Kolana ugięły się pod nim, w oczach pociemniało, a szum w uszach przeszedł w dudnienie. Znowu opuściła kąciki ust, uniosła brwi i pokiwała głową, jak kwadrans wcześniej, gdy wyjął butelkę chateau margaux rocznik 2008.

– Popatrz, popatrz, no, no...

I pochyliła się, rozchylając wargi.

Agnieszka.

Żałowałem, że Mrugacz nie zostawił mi długopisu, którym pisałem w jego gabinecie. Powiedział, że mogę skorzystać z niego, gdy tylko „zmądrzeję”. Ale podróż w przeszłość, którą sobie zafundowałem, ogłupiła mnie do cna, od mądrości dzieliły mnie lata świetlne.

AGNIESZKA

Tyle mogłem wyryć paznokciem na ścianie. W tym słowie zawierało się wszystko. Twarde „Ag” i miękkie „nieszka”, ciepłe wnętrze za zimną fasadą, cała ona. Wrażliwość pod pancerzem sarkazmu, smutek pod maską uśmiechu, moje El Niño – dziecina o sile huraganu.

Ag-nieszka.

Agnieszka.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Wyszyński podszedł wyłożoną betonowymi płytami ścieżką do siatki zwieńczonej drutem kolczastym. Wyjął z kieszeni wiatrówki pęk kluczy i zaczął szukać właściwego. Po chwili furtka z tabliczką „Wstęp wzbroniony” zaskrzypiała, po czym zatrzasnęła się za nim z klekotem przerdzewiałego zamka. Owionęło go chłodne, wilgotne powietrze, więc wcisnąwszy klucze do kieszeni, założył kaptur. Wartownik oślepił go latarką, za co przeprosił, gdy w kręgu światła błysnęła odznaka.

– Tak, tak, dzwonił, że pan będzie. Proszę tędy.

Niepotrzebnie się fatygował, bo przy brzegu kołysała się tylko jedna łódź. Komisarz zapewnił go, że poradzi sobie sam, i podniósłszy żółtą taśmę, szedł po schodkach do drzwi kajuty. Wyjął z foliowego woreczka kartę z czipem i przyłożył ją do czytnika. Po chwili był w środku.

Ktoś z ekipy technicznej wyczyścił podłogę, jednak przez opary detergentów wciąż przebijał się metaliczny zapach krwi. Zdejmując kaptur, podszedł do łóżka przykrytego szarą płachtą i ostrożnie na nim usiadł. Po chwili spojrzał w lewo na podłużny bulaj, przez

który widać było oświetlony sodowymi latarniami brzeg. Odwrócił się w prawo, w stronę stojaka z płytami i regału z książkami zrobionego z drewna wyrzeźbionego w eleganckie kolumnienki. Jego wzrok, powoli przyzwyczajający się do półmroku, błędził po grzbietach, ale napisy na nich pozostawały niewidoczne. W końcu spojrzął na pirata z jedną nogą. Może technicy już zbadali nagranie z papugi i zidentyfikowali pogłos dudniący w tle, pomyślał i zdziwił się, że zapomniał to sprawdzić. Zmęczenie znowu dawało o sobie znać. Rozciągnął się na sprężystym materacu z rękami pod głową. Ekran wielkiego telewizora zawieszzonego nad łóżkiem nie odbijał światła, ale zobaczył swoje odbicie w jego wypolerowanej ramie. Szara plama twarzy z czarnymi kreskami brwi. Powyżej wbudowane w sufit światła tworzyły trójkąt równoboczny, a po chwili dostrzegł czwarte i zdecydował, że jednak układają się w krzyż. U wezłowie łóżka znajdowały się pionowe pręty, z których wciąż zwisały kajdanki, otwarte wczoraj specjalnym wytrychem, by uwolnić ręce denatki. Nie zdjęto ich. Dotknął ostrożnie jednej pary i odwrócił się, by zlokalizować drugą. Rozłożył ręce i chwycił je zgiętymi palcami. Leżał tak krzyżem ze wzrokiem wbitym w sufit.

Po chwili, tknięty impulsem, usiadł i się rozejrzał. Dostrzegł podłużny kształt wiszący w cieniu wielkiego kompasu. Srebrny czteropłytkowy odtwarzacz CD, idealnie dopasowany do wnęki, być może wykonany na zamówienie. Odnalezienie włącznika zajęło mu kilka chwil, bo na panelu sterującym roilo się od guzików i lampek. Wreszcie wyświetlacz zaśnił niebieskimi cyframi pokazującymi godzinę, numer ostatnio odtwarzanego utworu i poziom głośności. Gdy nacisnął „play”, jedna z płyt zawirowała z cichym szumem i w kabynie zadudnił rytmiczny bas przerywany kaskadami perkusyjnych przejsć.

To było to! Oto szum w tle krzyków kobiety, który zarejestrowała papuga, analiza laboratoryjna była zbędna. Stało się oczywiste, dlaczego od początku wydawał się znajomy. To nie wiatr, fale ani burza. To klasyka popu! Jedyne w swoim rodzaju pulsujący podkład i wysoki głos wokalistki, która po chwili weszła z zaśpiewem na jednej nucie. Głęboki bas w kontrapunkcie wydawał się sięgać dna łódki, zakorzeniać w jej konstrukcji i wprawiać wszystko w rezonans. Wyszyński rozejrzał się i zlokalizował ustawiony przy nodze pirata woofery, który wcześniej wziął za piecyk, a potem głośniki z napisem ECHO, odwieszane w czterech rogach sufitu. Wschód, zachód, północ, południe – ze wszystkich stron świata dochodziła radosna wieść:

„*Once I had a love
And it was a gas*”[5].

Debbie Harry i Blondie. Wyszyńskiego ogarnęło podniecenie. Do otworzenia sceny zbrodni wciąż było daleko, właściwie nie posunął się specjalnie naprzód, miał jednak jej soundtrack. A to już coś.

Ściszył muzykę i znowu się rozejrzał. Wcześniej po cichu liczył na ten swój dreszcz pobudzający leniwy bieg myśli, ale to było coś więcej. Jakby tych kilka taktów hitu sprzed lat wprawilo w rezonans jego kręgosłup, wytrząsając z rdzenia kręgowego dodatkowe, drzemiące tam szare komórki. W oddali zawyła syrena wozu strażackiego, a on potrafił podać jego prędkość. Podeszedł do regału z książkami i zaczął czytać tytuły, przesuwając palcem po grzbietach. *Lorda Jima, Cmentarzysko bezimiennych statków* i *Moby Dicka*

kiedyś czytał, wiele z pozostałych tytułów, wśród których dominowała literatura marynistyczna, znał ze słyszenia. W jednej z książek tkwił folder o formacie karty kredytowej i niewiele od niej grubszy. Na okładce widniało zdjęcie telefonu komórkowego pokrytego białymi napisami, każdy w innym języku. Na następnej stronie wydrukowano spis treści zaczynający się od rozdziału *Getting started*. Znowu popatrzył na okładkę, na zdobiący ją czarny prostokąt. Złożył instrukcję i w zamyśleniu wachlował się nią przez chwilę, wreszcie wyjął z kieszeni swój telefon. Słuchając serii długich sygnałów, odwrócił się i przez chwilę szukał na konsoli odtwarzacza przycisku „stop”. Tymczasem w słuchawce odezwał się niezawodny sierżant Siwiec:

– Halo?

– Jesteś na komendzie?

– No, dyżur mam.

– W pokoju jesteś?

– A gdzie mam być?

– Sprawdź mi coś w rzeczach zatrzymanego. Był tam smartfon... Czy iPhone?

– Co?

– iPhone, komórka marki Apple. – Wyszyński wymówił nazwę fonetycznie. – Miał taką czy zwykłą?

– Nie wiem – odparł posterunkowy.

– Dlatego mówię, żebyś sprawdził.

– Nie pamiętam, żeby w ogóle miał komórkę.

– Sprawdzisz to?

– Dobra, zaraz.

Trzask i cisza. Komisarz odwrócił się i zrobił kilka kroków w stronę regału, gdy nagle rozległo się ciche piknięcie. Zamarł i wstrzymał oddech, ale odgłos się nie powtórzył. Nasłuchiwał. Słysząc było tylko chlupot wody pod podłogą, oddalającą się syrenę strażacką i wyładowania w głośniczku jego komórki. Przerwał połączenie i wsunął ją do kieszeni. Wyjął latarkę, ukląkł, po czym opadł na czworaka. Przez chwilę omiatał podłogę światłem latarki, aż wreszcie dojrzał pod regałem ciemny kształt.

– Jesteś mistrzem – powiedział na głos.

Zgasił latarkę, wstał i wyjął z kieszeni wiatrówki gumowe rękawiczki. Zakładając je, podszedł do wysokiej, również rzeźbionej szafy, wbudowanej we wnękę przy schodkach, i otworzył jej drzwi. Wyjął ze środka druczany wieszak, zrzucił z niego marynarkę i położył się na podłodze. Ścisnął jeden z końców wieszaka w szpic i wsunął w szczelinę między podłogą a regałem. Poruszył kilka razy, lecz zaklinowany w głębi przedmiot ani drgnął. Musiał użyć całej siły, by przesunąć go o milimetr, potem o dwa, aż w końcu szurnał nim po podłodze prosto w nadstawioną dłoń.

– Jesteś mistrzem świata!

Gdyby nie kurz, komórka wyglądałaby dokładnie tak jak na okładce instrukcji obsługi. Zdmuchnął go i ostrożnie nacisnął guzik z boku obudowy. Na ekranie pojawiło się białe nadgryzione jabłko, a po chwili zbliżenie zielonych oczu okolonych długimi rzęsami. Jedno z nich częściowo przesłaniał kosmyk jasnych włosów. Przekręcił komórkę, aż oczy wypełniły cały ekran. Patrzył w nie parę razy tu, na tym jachcie,

i w kostnicy, ale pierwszy raz odniósł wrażenie, że one patrzą na niego. Zupełnie jakby kobieta nagle się zmaterializowała i stanęła obok. Podwójny pisk – taki, jaki usłyszał przed chwilą, kiedy komórka leżała jeszcze pod regałem – sprowadził go na ziemię. Przedstawiająca pustą baterię czerwona ikonka w rogu ekranu zaczęła pulsować, a zielone oczy przesłonił komunikat: „Bateria wyczerpana. Niezapisane dane mogą zostać utracone. Czy chcesz zapisać film?”. Szybko nacisnął „tak”. Wyświetlił się komunikat „film zapisany” i znowu spojrzały na niego zielone oczy. Wciągnął powietrze, próbując zachować spokój. Wywołał menu, podrapał się po brodzie i na chybił trafił wybrał jakąś opcję... i wszedł na internetowy serwis pogodowy. Odwrócił się do regału, sięgnął po instrukcję i kartkował ją przez chwilę drżącymi rękami. Ostrożnie, krok po kroku, odnalazł w aparacie archiwum filmów i wcisnął ikonkę z ostatnim zapisem.

Na wyświetlaczu pojawiło się zbliżenie zielonych oczu, potem kamera odjechała i ukazała się cała twarz z ustami zasłoniętymi opaską. W głośniczku zabrzmiała znajoma piosenka i męski głos tłumaczący na bieżąco angielski tekst: „Miłość to wielki zamęt. Boję się, że cię stracę. A ty droczysz się ze mną”.

Ostre zęby zacisnęły się na opasce. W szerszym planie pojawiła się szyja, dekolt, nagie piersi, aż wreszcie rozkrzyżowane ramiona. Gdy kobieta szarpnęła kajdankami, delikatnie zaznaczyły się bicepsy i mięśnie przedramion, bezsilnie napierające na stal. Spoza kadru wyłoniła się męska dłoń, chwyciła opaskę i pociągnęła w dół. Wydawało się, że z odkneblowanych ust wyrwie się krzyk, ale wargi ledwie się poruszały.

„Jaja sobie robisz?”

„Lubię ten kawałek. A ty?”

Kajdanki znowu zastukały o pręty wezglowia.

„Rozkuj mnie”.

Mężczyzna powiedział coś niezrozumiałego, na co kobieta powtórzyła głośniej:

„Rozkuj mnie zaraz, bo...”.

W tym momencie rozległ się podwójny pisk i ikonka baterii zamigłała. Pojawił się jakiś komunikat, lecz zgasł, zanim Wyszyński go przeczytał. Nacisnął guzik na górze obudowy, najpierw lekko, potem mocniej, bez efektu. Mamrocząc do siebie, szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Trzeba było się dłużej gapić. Jesteś mistrzem, mistrzem debili...

Olaf patrzył na wymalowany na ścianie powój, który ożył i zaczął się poruszać. Tak mu się wydawało. Czuł się jak owad zatrzaśnięty w kielichu rosiczki, która otumaniała go narkotykiem – heroiną nagiej skóry, wciągniętym przez nos proszkiem feromonów – żeby wysysać z niego soki. Przerażenie, radość, bezradność, uniesienie. Emocje zlewały się, twardniały i opadały w dół jego brzucha. Przytomność odzyskiwał tylko na chwilę i wtedy przez myśl przemykały mu najprostsze komunikaty, na przykład, że oto ziściły się jego sny, goblin poderwał Miss Obozu. *Yes, yes, yes!* Jego umysł, pracujący na nikłym procencie zwykłych obrotów, cofnął się w rozwoju do fazy szkoły, w myślach zrobił zdjęcie, by przechować je w pamięci i chwalić się nim przed samym sobą. „Zobacz, stary, trochę pracy nad sobą, inwencji, brawury, wycucia czasu i można? Można!” W kolejnym

przebłytku świadomości zdał sobie sprawę, że akcja zmierza do nieuchronnej kulminacji i jeśli czegoś nie zrobi, to wszystko zaraz się skończy. Ona też musiała to wyczuć i najwyraźniej inaczej wyobrażała sobie ich pierwszy raz. Odsunęła się i wyprostowała. Opuszką palca dotknęła kącika ust, jak dama po skosztowaniu tortu.

– To co, oglądamy ten film? – spytała, siląc się na obojętny ton.

Na ekranie, w nieciekawym wnętrzu, toczyła się rozmowa na temat, który w ogóle go nie interesował. Z uśmiezkiem czekała na jego reakcję i tylko rumieniec na elegancko zarysowanej kości policzkowej zdradzał, że jej ciśnienie też podskoczyło. Grały w niej emocje, lecz jemu nie chciało się ich analizować, teraz miał jeden cel i jej dotychczasowe zachowanie sugerowało, że może go osiągnąć. Tu i teraz. Co do metody, wskazówkę podsunął mu jej ulubiony film, który właśnie leciał na ekranie, ten pean na cześć dominacji. Gdyby w facebookową rubrykę wpisała inny tytuł, pewnie by się zawahał i dziesięć razy zastanowił, rozwodził pomysł w dyskusji sondującej, na ile może sobie pozwolić. Dzięki *Sekretarce* był gotów podjąć ryzyko. Bliskość upragnionego celu tłumiała obawy, dotychczasowe sukcesy wróżyły powodzenie. Niczym pełen pasji tancerz tanga jedną dłonią chwycił ją w pasie, drugą wsunął pod pachę i uniósł z kanapy. W ogóle nie czuł jej metra osiemdziesięciu i solidnej budowy, adrenalina wystrzeliła ich ciała na księżyc. Zamachała rękami, lecz on kucnął i posadził ją na podłodze, a potem szybko obrócił twarzą w dół, odgarnął długi sweter na plecy i wsunął dłoń pod brzuch

– Nie! – krzyknęła, gdy rozpinał klamrę jej paska. – Nie, nie, nie! Weź, weź, weź, nie, nie, weź, weź, weź!

Złapał spodnie nad paskiem i z całej siły pociągnął w dół. Wciąż mu się wrywała, młóćąc rękami i nogami, więc uklęknął na jej udach tak, by unieruchomić je piszczelami, a potem rozchylić na boki. Wreszcie mógł oswobodzić drugą rękę, złapać jej ramiona i rozkrzyżować je na podłodze. Pochylił się nad jej przekreconą na bok twarzą zasłoniętą włosami.

– Tak... – dobiegło spod nich. – Mocniej! Tak, tak, tak...

Ludzie rwą się do świata, w którym „nie” znaczy „tak”, a pomysł od realizacji dzieli sekundy. Drzemią w nich dzieci, które chcą się bawić. Seks to szansa na szybkie wylogowanie się ze świata dorosłych, wystarczy odpowiedni poziom podniecenia i można krzyczeć, tarzać się po ziemi, mówić głupstwa. Odreagować całe dni i lata sztywniactwa, wreszcie cisnąć w kąt krawaty i białe bluzki, a wraz z nimi status, poglądy i całą tłamszącą dorosłość. Nagość zrównuje profesora z sekretarką, kwestie podległości i dominacji znikają albo stają się elementem gry. To jak z tańcem czy alkoholem – można się w nich zatracić i szaleć do upadłego, wystarczy tylko wiedzieć gdzie, kiedy i z kim.

Nie kupuję koncepcji „erotycznego kunsztu”, to przeżytek rodem z podręczników Lwa Starowicza, z całą tą jego „powolną stymulacją brodawek”, ustawianiem się w pozycjach „ułatwiających penetrację”, delikatnością i innymi bzdurami. Mocny sztos zapewnia pełną penetrację, a brodawki stają na baczność jak warta honorowa. Moja nowa pani nigdy nie skarżyła się na mój styl à la jaskiniowiec. Dla mnie to było odkrycie: zamiast muskać kobietę ostrożnie jak wazę z epoki Ming, mogłem iść po swoje, mogłem

rzucić się na nią jak świnia na koryto. I jakoś nie rozpadała się od tego na kawałki, żyła, miała się dobrze, a gdy przestawałem, upominała się o więcej.

Być może nie powinienem uogólniać. Jeśli kogoś fascynują świece, Kenny G i dwugodzinna gra wstępna, to życzę mu powodzenia. To zresztą nie jest takie złe, jeśli zachowa się odpowiednio proporcje. Dopóki otoczka nie zdominuje istoty sprawy, jak w moim związku z Grażyną. Romantyczne gody to jedno, a ostre pierwotne tarło – coś zupełnie innego. To pierwsze to skóra, drugie to mięso, i drzemiący w środku drapieżnik prędzej czy później się o nie upomni.

A pomyśleć, że wystarczyłby inny film, a nawet jeden fałszywy gest, moment zawahania, brak zaufania i nic by się nie stało. Przeżylibyśmy z Agnieszką banalny jednorazowy numer z „stymulacją stref erogennych” i wszystkimi wypracowanymi przez lata nawykami oraz kłopotliwą ciszą po fakcie. A potem rozeszlibyśmy się, każde w swoją stronę. I zaległbym w miękkim fotelu z tykającym zegarem odmierzającym jałowe sekundy, godziny i lata. Myślę, że mieliśmy sporo szczęścia.

Albo pecha, jeśli spojrzeć na to przez pryzmat późniejszych wydarzeń.

Wyszyński wyminął stojącą przy wejściu do komendy jaskrawo umalowaną kobietę w porwanej sukience.

– Dwadzieścia trzy lata po ślubie! No to znam go czy nie?! – darła się do posterunkowego przyjmującego zgłoszenie. Zwalczył przelotne zaciekawienie, co tamten odpowie, i w kilku susach pokonał schody prowadzące na piętro. Sierżant Siwiec siedział przy biurku z komórką przy uchu. Na widok szefa zdjął nogi z blatu.

– Jaki masz telefon?

– Słucham?

Zdyszany komisarz podszedł do niego, bez słowa wyjął mu aparat z ręki, obejrzał i oddał.

– Czy ktoś na komendzie używa iPhone’a?

– Zaraz oddzwonię – rzucił Siwiec do słuchawki i szeroko otwartymi oczami popatrzył na zwierzchnika.

– iPhone’a. Takiego.

Wyszyński wyjął z kieszeni znalezione z łódki.

– Wątpię. – Sierżant włożył komórkę od etui przy pasku. – Ten model kosztuje ze trzy kafle. Wiem, bo mój teść niedawno kupił...

– Zadzwoń do niego.

– Słucham?

– Zadzwoń do teścia. Albo nie, jedź do niego.

– Mieszka w Szczecinie.

– Kurwa mać!

Komisarz opadł na krzesło i przeczesał palcami włosy.

– Przyrowadź go tu – rozkazał po chwili.

– Teścia?!

– Zatrzymanego.

Sierżant spojrział na zegarek.

– Nie obchodzi mnie, kurwa, która jest godzina. Zrób, co mówię!

Siwiec był w pół drogi do drzwi, gdy zwierzchnik złapał go za rękaw.

– Czekaj... Nie. Wróć. Ten skurwiel prędzej zacznie kaszleć dupą, niż mi to powie.

– Niż powie... co, panie komisarzu? – spytał podwładny dopiero po dłuższej chwili ciszy.

– Cokolwiek. A zwłaszcza, gdzie ma cholerną ładowarkę.

– Ładowarkę do iPhone'a?

– Ładowarkę do iPhone'a.

Wyszyński opuścił głowę i objął ją rękami. Potem wyprostował się i zaczął wodzić nieprzytomnym wzrokiem po ścianie.

– Teraz jest z tą suką w mieszkaniu przy Różanej, jedźcie tam! – dobiegł ich stłumiony kobiecy krzyk z dołu. Sierżant wrócił na krzesło, podrapał się po brodzie i wrócił do komputera. Przez chwilę słychać było tylko stukanie w klawiaturę i klikanie.

– Szefie?

Spoczęło na nim spojrzenie przekrwionych, szybko mrugających oczu.

– Najbliższy salon jest godzinę drogi stąd, ale otwierają go dopiero w południe.

– Salon? – Komisarz spojrział na rozładowany aparat, a Siwiec pokiwał głową.

Wyszyński sprawdził, która godzina, podrapał się po nosie i skrzywił.

– Za późno, czterdzieści osiem mija o jedenastej.

– A nie o trzeciej nad ranem?

Komisarz wstał, i klnąc, ruszył do drzwi.

– Woźniakowi przedwczoraj spóźnił się zegarek – rzucił mimochodem, otwierając drzwi. – Akurat, kiedy zapisywał godzinę zatrzymania.

– O osiem godzin się spóźnił?

– Ruski jakiś.

Zrywam z Grażyną, było ostatnią myślą Olafa, zanim świat eksplodował. Zsunął się z Agnieszki, opadł na dywan i przez dłuższą chwilę łapał powietrze. Z pudełka stojącego na stoliku wyjął kilka chusteczek higienicznych. Nachylił się nad błyszczącym pośladkiem, ale Agnieszka też w międzyczasie oprzytomniała i z wierzgającej dziewczynki na powrót przeistoczyła się w kobietę. Przekręciła się na bok, wyjęła mu chusteczkę z ręki i sama się wytarła. Opuściła ręce do spodni i by je podciągnąć, uniosła biodra, robiąc prowizoryczny mostek. Potwierdziły się podejrzenia, jakich nabrał, przesuwając tam wcześniej dłonią – wzgórek łonowy pokrywały puszyste włoski. Zestawienie tej oazy dzikości z wymuskaną resztą ciała zaskakiwało i podniecało. Nawet sobie nie uświadamiał, jak za tym tęsknił przez lata obcowania z depilacją. Zapiąwszy spodnie, Agnieszka usiadła, podwijając nogi pod siebie. Przez dłuższą chwilę trwali bez słowa, jak ofiary wypadku drogowego. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Otworzyła usta, zawahała się i je zamknęła. Wzrokiem przesłali sobie zdumienie ludzi znających się zaledwie powierzchownie, którzy właśnie nawiązali ten najbardziej intymny kontakt, jaki mogą nawiązać ludzie. Ssaki. Oto oni, obywatele, pracownicy,

płatnicy podatków, przez chwilę byli ssakami. Dzieciakami, które trzymając się za ręce, pobiegły na plac zabaw. Już wtedy kiełkowało w nim przekonanie, że ten akt wznosił się ponad sferę materialną, poza czas i przestrzeń. Nie potrafił wyrazić tego słowami, czuł jednak, że nadal w niej tkwi. Że wpatrując się w jej oczy, w jakimś sensie wchodzi w nią głębiej niż przed chwilą.

Oplotła się ramionami i zakołysała jak w lekkim ataku choroby sieroczej. Po chwili znieruchomiała, pociągnęła nosem i odchrząknęła.

– Nie rozumiem, dlaczego nie podobała ci się *Sekretarka* – odezwała się zachrypniętym głosem.

Odruchowo spojrział w ekran, na którym dwie kobiety jechały samochodem. Słyszał dialog, ale trudno było mu uchwycić sens słów.

Agnieszka, unosząc się z podłogi, rzuciła obojętnym tonem:

– Cofniemy do początku czy sobie darujemy?

– Yyy...

– Ty tu rządzisz, efendi.

Nie nadażał za nią. W egzotycznym określeniu, którego użyła, kryła się oczywiście ironia, tak naprawdę jego dominacja skończyła się w momencie, gdy wciągnęli spodnie. Przez głowę przemknęło mu hasło, które widział na jakiejś koszulce czy znaczku: „Facet może mi rozkazywać tylko wtedy, gdy jestem naga”. To, co odebrał jako absurdalny żart, teraz miało wejść do ich niepisanego kontraktu. Demoniczny efendi budził się w ciepłym Olafie niczym pan Hyde w doktorze Jekyllu tylko w określonych sytuacjach – tak umówili się bez słów. Jak ta przed chwilą, gdy chwycił wypielęgnowane odżywkami włosy i wcisnął jej zjawiskową twarz w dywan. Wydawało mu się, że włókna w tamtym miejscu zachowały układ jej rysów.

– Dobrze, dobrze, odpocznij sobie, sprawdzę, czy zapiekanka jeszcze się do czegoś nadaje.

Bezszelestnie przeszła do kuchni, a on sięgnął po kieliszek i pociągnął łyk ciepłego wina. Miało lekko słony smak, jak rozgrzana słońcem skóra. Przełknął, upił następny, a tymczasem w pokoju rozszedł się apetyczny zapach ziół, mięsa i pieczonych warzyw. Z ulgą stwierdził, że radosny debil, który przed chwilą posuwał koleżankę z obozu, gdzieś sobie poszedł, infantylny triumf znikł pod mnóstwem innych, bardziej złożonych uczuć. Kontemplując je, nie zauważył, kiedy wróciła z dwoma talerzami.

– Należysz mi?

Odstawiwszy naczynia na stół, podeszła do wiszącego na ścianie lustra. Odwróciła się profilem i ostrożnie dotknęła palcami zaczerwienionego policzka.

– Jedna prośba – powiedziała, przyjmując pełny kieliszek i zapraszając go gestem do stołu. – Następnym razem postaraj się zgwałcić mnie na czymś gładszym. Smacznego.

Siwiec siedział za biurkiem ze słuchawką przy uchu, gdy drzwi pokoju otworzyły się i wszedł policjant w żółtej fosforyzującej kamizelce.

– Masz cztery złote? – spytał.

– Nie.

– Szlag! – skrzywił się. – Nie mogli tam postawić normalnego ekspresu, tylko automat na kasę? Za dużo zarabiamy czy co?

Sierżant wzruszył ramionami i nie odrywając wzroku od notesu, wskazał zamknięte drzwi w głębi pokoju.

– W kuchni stoi czajnik i cały słoik kawy.

– Nie piję rozpuszczalnej – mruknął policjant i usiadł z westchnieniem. Zdjął białą czapkę z daszkiem, położył ją na kolanie i zaplótł palce za głową.

– Zhaltowaliśmy dziś pięciu gości, ja chrzanię...

Siwiec nacisnął widełki i ponownie wybrał numer.

– Do kogo dzwonisz? – spytał jego gość z sennym zaciekawieniem.

– Do Chudego.

– Po nocy?

– Ma dziś dyżur domowy, powinien odbierać, płacą mu za to.

– Płacą, płacą... – Przybysz machnął ręką. – Marne grosze, jak nam wszystkim.

A po co ci Chudy?

– Komisarz szuka ładowarki z nietypową wtyczką, a Chudy to maniak elektroniki, wreszcie by się na coś przydał.

– Niedawno mi się przydał, suszarkę mi podrasował. – Wycelował w powietrze zrobiony z palców wylot ręcznego radaru. – Suszy, stary, z trzystu metrów, jest jak laser!

A do czego ci ta ładowarka?

– Do iPhone'a. Taki smartfon z jabłuszkiem... Może znasz kogoś, kto ma?

Sierżant z drogówki sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął telefon w skórzanej obudowie.

– Taki?

Po tym pierwszym razie i wiele razy później zastanawiałem się, skąd u Agnieszki ta inklinacja do uległości. Owszem, miała trudne dzieciństwo, Bóg jeden wie, przez co przeszła w domu dziecka. Wszyscy nosimy jakieś zadry, w jej psychikę wbito ich więcej. Tkwiło w niej parę solidnych oszczepów. Ale zamiast się na nie wściec, wypiąć na cały świat, założyć kapelę rockową albo agencję tropiącą nadużycia w placówkach oświatowych, ona... miała permanentne poczucie winy. Gniew wracał do niej w formie autodestrukcji, głód miłości już na zawsze związał się z pragnieniem kary. Dlatego Ignęła do drani, typowa osobowość z zaburzeniami pogranicza, jak pewnie określiłby ją psycholog. Na szczęście ja jestem dilerem samochodowym i mogę ją opisać znacznie prościej.

Była kotem.

To znaczy miała naturę kota. Chodziła swoimi drogami, była zadziorna i niezależna, ale odpowiednio pogłaskana chowała pazurki. Pociągały ją mocne wrażenia, karmiła się nimi, potrzebowała ich. Lubiła dreszcz emocji, nawet z elementem zagrożenia i bólu, w sprzyjających warunkach poddawała się szalonym eksperymentom, jednak na koniec dnia, mrucząc, przeżyła grzbiet i zasypiała na piersi swojego opiekuna i dręczyciela w jednej osobie. Dzika kotka szukająca mocnej ręki, która ją poskromi.

Ag-nieszka.

Czy ten kot będzie miał... Miau, miau... Dziewięć żywotów?

Agnieszka.

„Ka” jak dusza w religii egipskich czcicieli kotów. Oby jej smukła mumia, wydrażona i zabalsamowana na stole koronera, zapewniła jej nieśmiertelność.

Próbowałem zasnąć, ale drzwi komendy prawie się nie zamykały. Drugą noc to samo, każdy kolejny gość bardziej hałaśliwy od poprzedniego. Faceci wyklócali się chrapliwymi głosami, kobiety skarżyły w wysokich rejestrach, a potem na odwrót. Przekleństwa, szcęk kluczy i tupot butów zlewały się w szum, który zaczął cichnąć dopiero koło północy. Wtedy nagle ktoś załatwił się do klozetu zainstalowanego na północny wschód od mojego ucha, tego zdrowego. Słyszałem każdy skurcz jelit, jakby wypróżniał je prosto do mojej głowy. Właśnie tego w niej brakowało, dziękuję bardzo.

Marzyłem o tabletkach – o tym rozpuszczalniku bólu, o sproszkowanym śnie – lecz pisanie w tej sprawie do Mrugacza nie miało sensu. Pewnie już dawno „zagięły w akcji”, zaoferowałyby mi zwykły panadol, oczywiście pod warunkiem, że złożę zeznania.

Podobno trafiwszy do więzienia, miejsca o ustalonej hierarchii społecznej, warto spuścić łomot jakiemuś współwięźniowi, najlepiej takiemu o groźnym wyglądzie. To zaskarbia respekt pozostałych i zapewnia względny spokój. Póki co, wszystkie więzienne demony tkwią w mojej głowie, pławią się w fekaliach i szykują do skoku. Wspominając moją pierwszą noc z Agnieszką, zmierzyłem się z jednym z nich. I przeżyłem. Krzepiące, choć nadal daleko mi było do tego, by wspominać naszą ostatnią noc, by wezwać na ubitą ziemię superłotra zaczajonego w zakamarku pamięci. Tak jak napisałem policjantowi, pragnąłem wymazać tę datę i udawać przed samym sobą, że w tym tygodniu po wtorku nadszedł czwartek. Na razie to działało. Oby jak najdłużej.

Końcowym napisom towarzyszył instrumentalny trip-hop z elektronicznymi efektami zamiast melodii. Pochylił się, dotknął jej gładkiego kolana, przejechał palcami po zewnętrznej stronie uda i położył dłoń na ciepłej półkuli. Zadrapał skórę, aż mięsień pod nią napiął się, tworząc cieniste zagłębienie na zewnętrznej płaszczyźnie pośladka. Patrzył na biały pasek, który znikał powoli, jak smuga pozostawiona na niebie przez samolot.

– Jesteś masochistką.

Byli nadzy, co zgodnie z ich niepisanym układem uprawniało go do ferowania wyroków. Jak dotąd wszystko, co robił, przyjmowała bez protestu, teraz jednak napięła mięśnie jeszcze mocniej, zagłębiając smukłe palce stóp we włóknach dywanu. Nad gładkimi piętami biegły symetryczne kreski, jak po skaleczeniach sprzed paru tygodni.

– Jestem Agnieszka.

– Robiłaś to już wcześniej? To znaczy... W taki sposób?

Podniosła głowę i podparła ją dłonią.

– A ty?

Zaczęła wodzić wzrokiem między jego oczami, jakby je porównywała, szukając fałszerstwa. Pokręcił głową.

– Ja też nie – powiedziała. Spojrzał na jej pupę. Poza lekkim zadrapaniem przecinały ją cztery inne smugi, które nie znikwały, ale gorąca skóra blakła pod dotykiem, co chyba oznaczało, że siniaki nie utrzymają się długo.

– Przepraszam.

Cmoknęła niecierpliwie. Jedna z jej ciężkich piersi rozpląszczyła się lekko na dywanie, a kontur tej, która znalazła się wyżej, przybrał kształt niemal idealnego okręgu.

– Nie rób tego – poprosiła z roztargnieniem, skubiąc dywan.

– Poniosło mnie, nie wiem, co...

– Nigdy więcej nie przepraszaj.

Odgarnęła jasny kosmyk, który opadł jej na twarz.

– Masz rację – powiedział w końcu. – Przecież tak naprawdę to nie byłem ja.

Spojrzała na niego.

– Zdominowała cię bestia. Ja tylko spuściłam ją ze smyczy.

Chciał dotknąć jej włosów i wtedy rozległ się cichy elektryczny trzask i poczuł ukłucie.

– Iskrzy między nami.

Nie zareagowała, a znał ją już na tyle, żeby się zdziwić. Poprzednio korzystała z każdej okazji, by żartem rozładować napięcie. Teraz słychać było tylko wiatr za oknem. W milczeniu podniosła leżący na dywanie sweter, włożyła go i usiadła. Jedną nogę zgięła w kolanie i podwinęła pod siebie. Syknęła, gdy pięta dotknęła posiniaczonego poślądka, lecz jej nie cofnęła. Położyła splecione dłonie na drugim, uniesionym kolanie, i oparła na nich brodę. Zapatrzyła się w okno. Widoczne za nim drzewa, kołyszące się w niebieskawym świetle latarni, wyglądały jak chochoły.

– Moja bestia rzuciła się na twoją – ciągnął. – Nas tu wtedy nie było. Cofam przeprosiny. – Włosy znowu opadły jej na twarz. Założyła je za ucho i popatrzyła w bok, jakby o czymś sobie przypominała. – Teraz się nasyciły i poszły spać. A my wróciliśmy. I ciągle się szanujemy.

Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos zawibrował sarkazmem, który zdążył polubić.

– Mów za siebie.

Zaśmiał się i pogłaskał ją po głowie, tym razem bez wyładowań. Napięcie opadło.

– W każdym drzemie taki demon?

– Na pewno nie w każdym się budzi – odparła z namysłem.

– Dlaczego nasze się obudziły?

Gładził jej włosy, a ona odgarnęła je, by ułatwić mu dostęp do wrażliwego karku.

– Zwąchały się.

Zadrzała, gdy przesunął palce poniżej linii jej włosów.

– Czy dwa demony to już piekło? – zastanawiał się.

Przelotny deszcz zagrał na parapecie jak pałeczki na werblu. Wydawało się, że za chwilę z jej ust padnie jakaś wiekopomna sentencja, ale ona spytała:

– I co teraz?

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Z czym?

– Ze wszystkim.

Wypuszczając powietrze, opadł na plecy. Za zasłoną z wymalowanych na suficie brązowych łodyg majaczyła twarz dziewczyny, brunetki śpiącej teraz kilkanaście ulic stąd. Niemal ją widział, pozostawała jednak nieostra i odległa, odgradzona tym malowanym żywopłotem.

– Chyba nie jestem gotów, żeby mówić o wszystkim – odparł.

– No to powiedz, co będzie jutro.

– Najpierw muszę się zastanowić, co się stało dziś.

– Powiem ci, co się stało: zaprosiłam cię na kolację i film, a ty rzuciłeś się na mnie i mnie zgwałciłeś. Oto, co się stało.

– Nie protestowałaś zbyt długo.

Odwrócił głowę. Spodziewał się, że zobaczy minę wyrażającą rozbawienie i prowokację, ale Agnieszka pozostała poważna.

– Powiesz jej?

Komisarz wsunął wtyczkę w otwór z boku obudowy i nie podnosząc wzroku, rzucił do sierżanta z drogówki siedzącego po drugiej stronie biurka:

– To mówisz, że dali ci iPhone’a w promocji za złotówkę?

Tamten zakaszłał w zwiniętą dłoń, drugą ręką dając znak, że chwilowo nie może mówić.

– I dołożyli tego nowego nissana, którym jeździsz od miesiąca?

– Dostałem kredyt, mój szwagier otworzył firmę, ekhem... Coś mi utkwiło w gardle... Sorry... Ale mam na to papiery...

Wyszyński powstrzymał go gestem.

– Potem pogadamy. Gdzie to się włącza?

Policjant wstał, obszedł biurko i przejął aparat. Po chwili ekran błysnął i rozległo się kilka gitarowych akordów.

– Dobra – rzucił do komisarza. – Teraz PIN. – Wyszyński poczuł falę chłodu.

– Chyba że chce pan wybierać tylko numery alarmowe.

– A pamięć? Filmy, nagrania...

– Zablokowane.

Komisarz przymknął oczy i potarł powieki palcami.

– Wcześniej oglądałem.

– Widocznie nie ma kodu – stwierdził sierżant. – Ale jest PIN. Spokojnie, ludzie to idioci – dodał, odgarniając połą kamizelki i opierając dłoń na biodrze. – Większość wpisuje pierwsze z brzegu cyfry. Niech pan naciśnie cztery jedyńki, a potem raz, dwa, trzy, cztery...

Ale Wyszyński nie posłuchał, wyjął swój telefon i wybrał numer Siwca.

Kwadrans później sierżant przyprowadził mężczyznę w przydziałowych klapkach i szarych spodniach od dresu. Opatrunek na uchu zdobiło kilka czerwonych kropek, granatowy T-shirt był przepocony, oczy podkrążone, a włosy potargane. Tak mógłby wyglądać świeżak po pierwszej nocy w przepełnionej celi, a przecież ten tu trafił do pustej

trójki.

Dziki usiadł na krześle i wbił wzrok w leżącą na biurku komórkę. Wyszyński podszedł do niego, stanął po stronie zdrowego ucha i zaczął mówić głośno, akcentując każde słowo.

– Dobra, bracie, milczałeś dwa dni, miałeś wizję czy kaprys, nie wiem, ale teraz jest noc, śpisz i mówisz przez sen. Cztery cyfry i wracasz do łóżka. – Wskazał komórkę. – PIN.

Zatrzymany popatrzył na urządzenie, potem na policjanta, spuścił głowę i wbił wzrok w swoje gumowe klapki.

– Udawanie niemowy się skończyło, teraz udajesz niewinnego faceta z czystym sumieniem. Godzina szczerości. Minuta. Sekunda.

Stojący z boku sierżant nachylił się i nabrał powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale komisarz dał mu znak, żeby się nie wtrącał. Przysiadł na blacie biurka i podniósł telefon.

– Ja to i tak odblokuję – zapewnił. – Mamy metody. Ale to już będzie podpadać pod utrudnianie śledztwa.

Osadzone w bladej twarzy oczy były matowe jak dwa przykurzone kamyki. Jediną reakcją na panujące w pokoju napięcie była wilgoć, która zabłysła na skórze wokół nich. Wyszyński pochylił się, aż ich czoła niemal się zetknęły.

– Na razie niewiele na ciebie mamy – powiedział, zniżając głos do szeptu. – Podejrzenia i domysły, zero dowodów. Między nami mówiąc, wierzę, że jesteś niewinny. Chcę cię uwolnić, pomóż mi.

Cisza.

– Masz czystą kartotekę, tabula, kurwa, rasa. Po co to psuć odmową współpracy?

Mężczyzna uniósł głowę, a jego oczach na chwilę zaiskrzyło życie. A potem znowu dwa kamyki zasnuła mgła stuporu.

– Może masz to hasło gdzieś zapisane? – ciągnął komisarz. – A może chcesz je zapisać? Wystukać na klawiaturze? Wysikać na śniegu? Skołujemy ci śnieg.

Patrzył na opatrunek z czerwonymi kropkami. Z trudem zwalczył pokusę zerwania go i wydarcia się prosto w ranę.

– A może zapomniałeś i potrzebujesz czasu? Kiwnij głową.

Zatrzymany wyprostował się, po czym założył nogę na nogę i skrzyżował ręce na piersi. Ta poza, naturalna w każdej innej sytuacji, tu zakrawała na prowokację. Próbował chyba przekonać otoczenie, że pogrożki są daremne, bo nic nie zakłóci jego wewnętrznej równowagi, jednak bladość, potargane włosy i rozbiegane spojrzenie sugerowały coś innego. Tak siedzi alkoholik na przystanku, próbując zachować resztki godności, splecionymi kończynami zamaskować dygot. Z jakichś powodów dwa dni po wypadku wciąż był w szoku. Jakby nadal miał kaca.

Komisarz podszedł do szafy, otworzył ją kluczem i sięgnął do jednej z kuwet.

– Chcesz?

Drżenie ustąpiło, a oczy przestały strzelać dookoła, skupione na ciemnej buteleczce.

– Cztery cyfry i są twoje.

Dziki zmarszczył brwi i przez chwilę wydawało się, że ulegnie pokusie. Zaciskał dłonie na ramionach, lecz oczami pożerał grzechoczącą fiolkę. Wreszcie jednak odwrócił wzrok i spojrzął za okno. Teraz Wyszyński się zawahał. W środku nocy trudno o kompetentnego doradcę, ale intuicyjnie wątpił, czy nagły relaks zmiękczy faceta. Odplynie albo poczuje się pewniej i zacznie się stawiać jeszcze ostrzej. Napięcie go osłabiało, może więc te parę godzin dygotu, które zostały, przeważy szalę.

– Zabierz go, bo nie wiem, co mu zrobię.

Wrócił na fotel i kolistymi ruchami zaczął masować sobie skronie. Nagle podniósł głowę.

– Zaraz.

Sierżant przystanął z ręką na klamce.

– To co z tą twoją kartoteką? Czysta czy nie?

Zatrzymany poruszył rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, po czym uniósł jedną do opatrunku, jakby w daremnej próbie potarcia bolącego miejsca.

– Dobra, zabieraj go – rzucił komisarz.

Gdy został sam, cisnął prochy do szafy, wziął do ręki zablokowaną komórkę i się zamachnął, jednak w tym momencie jego wzrok padł na ścienny kalendarz, na znajome zdjęcie z kojącą mozaiką białych czworoboków. Wolno opuścił dłoń i schował telefon do szuflady. Zerknął na zegarek, zdjął z wieszaka kurtkę i ruszył do drzwi.

W nocy Mrugacz przestał być miły, pogawędki o szarlotce skończyły się, co było zresztą do przewidzenia. Dziwne, że potrzebowali aż dwóch dni, by odnaleźć tę komórkę, przecież mój jacht to nie „Dar Pomorza” z pokładami o powierzchni hektara. Jeśli liczył na mój strach przed pobiciem czy dłuższą odsiadką, zagrał na niewłaściwej strunie. Miałem gdzieś ponurą terażniejszość i mroczną przyszłość, dla mnie liczył się tylko jeden czas: czas przeszły.

Zamieniłem też kolejność zaimków osobowych: pierwszą osobą liczby pojedynczej była teraz ONA.

Agnieszka.

Pewnie wystukałbym mu ten kod, gdyby pozwolił mi zrobić selekcję zapisanych w telefonie danych, ale oczywiście tego nie zrobił. Przecież właśnie o to mu chodziło, o komplet zdjęć i nagrań. Rozważyłbym jego propozycję także w zamian za obietnicę, że po przetrzepaniu pamięci będę mógł zabrać aparat do celi. Chociaż te ważniejsze filmy mogę sobie puszczać w głowie, w dowolnej chwili. Przekręcam się na skrzypiącej pryczy twarzą do ściany, wdychając zapach nieszczęśników, którzy przede mną kruszeli tu w bezsenne noce. Patrzę na wydrapane na ścianie imię...

Książki, filmy i piosenki o miłości przepełnione są zachwytem nad upojnymi pieszczotami i delikatnym adorowaniem kochanki, niewiele mówi się jednak o elektrycznym wstrząsie odczuwanym, kiedy się ją uderzy. O szaleństwie i poczuciu wszechmocy z nutą strachu i rozpacz, gdy zada się swojej ukochanej ból. Rozkosz podszyta przerażeniem, jak w żenujących wspomnieniach z dzieciństwa, kiedy nie zdążyło się na nocnik i piekące ciepło rozlewało się po nogach. Niewiele pisze się

o błogiej bezradności, jaką niesie zaspokojenie tej pierwotnej potrzeby. I o oczyszczającym orgazmie, który przeżywa kobieta upokorzona na własne życzenie. Gdy zbita i podduszona opada na łóżko, wracając z niebytu, jak ryba wrzucona z powrotem do rzeki albo pacjent wybudzony ze śmierci klinicznej.

La petite mort, tak nazywają orgazm Francuzi. „Mała śmierć”.

Czasem nie taka mała.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!!!”

Wyszyński siedział przy biurku pochylony nad zdjęciami i raportem z sekcji. Podniecenie, które ogarnęło go na łódce, prysło wiele godzin temu. Jedyne wnioski, do jakiego doszedł po kwadransie ślęczenia nad fotografiami ofiary, sprowadzały się do stwierdzenia, że bezbronną kobietę mógł zabić tylko wariat. Ani o milimetr nie zbliżało go to do wykrycia sprawcy, bo wiadomo – wariatów nie brakuje. Niestety, nie należał do detektywów o podwójnej osobowości rodem ze skandynawskich kryminałów, którzy nosili w sobie demoniczne drugie „ja” i aktywowali je na potrzeby dochodzenia. Prokurator miał rację, nie nadał za tokiem rozumowania morderców, po piętnastu latach obcowania z nimi nadal byli dla niego nieprzezroczyści. Marsjanie o wyglądzie ludzi. Znał schemat ich działania, ale daleki był jednak od ich zrozumienia. Doświadczenie, spostrzegawczość i upór – tyle miał do zaoferowania i to musiało wystarczyć. Po dwóch dniach śledztwa miał już parę punktów zaczepienia, na których można będzie oprzeć rekonstrukcję wydarzeń, gdy tylko dowody przestaną wyslizgiwać mu się z rąk. Trzeba złamać lub ominąć ten cholerny PIN do komórki, a potem poszukać brązowej furgonetki. Nurek powinien spenetrować dno wokół pomostu w promieniu rzutu nożem. Trzeba też dokładniej sprawdzić kartotekę zatrzymanego, bo coś mu mówiło, że kryje jakieś tajemnice. Próbował ustalić sensowny grafik posunięć na następny dzień, ale jego myśli wciąż zagłuszał dźwięczący w głowie refren sprawy, łabędzi śpiew Agnieszki M. z piosenką w tle.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!!!”

Patrzył na jej pośmiertny portret, by utwierdzić się w przekonaniu, że nie rozwiąże tej sprawy „na Szweda”. Jak tu wcielić się w kata takiej kobiety? Co musiałaby zrobić czy powiedzieć, żeby uderzył ją z siłą, która pozostawiła siną pamiątkę? W jakich okolicznościach wyciągnąłby nóż i zagłębił go w tym idealnym biuście? Od biedy mógł sobie wyobrazić, jak przykuwa jej smukłe ramiona do ramy łóżka, ale to wszystko, na co było stać jego fantazję o drugiej w nocy.

Wciąż usiłował przypomnieć sobie uwagę starszej pani wygłoszoną wczoraj rano w ogrodowej altance. Było w niej coś dziwnego i złowieszczonego, ale zmęczenie blokowało jego umysł niczym zaciśnięte na skroniach imadło. Szkoda, że nie nagrał tamtej rozmowy, teraz nie potrafił przywołać konkretnych słów.

Z westchnieniem pochylił się nad pustą kartką przygotowaną na wypadek olśnienia. Brylanty dedukcji pozostawały w obróbce, tymczasem zaczął pisać list. Dotarł do drugiej linijki, gdy o parkiet miękko zaklaskały bosc stopy i do biurka podeszła jego adresatka.

– Chodź – szepnęła zaspianym głosem, kładąc dłoń na jego ramieniu. Dyskretnym ruchem przesunął klosz lampki tak, by oświetlała tylko kartkę, pozostawiając makabryczne zdjęcia w cieniu. Pochyliła się i przeczytała na głos to, co zdążył napisać:

– „Nie chciałem Cię budzić, zadzwonię koło południa”.

Przysiadła na krawędzi biurka, zwrócona twarzą do niego.

– Jeszcze się nie położyłeś, a już piszesz do mnie kartkę?

Luźne szorty podjechały w górę, odsłaniając rozpląszczone na blacie udo. Delikatnie musnął pachnącą snem i mleczkiem do ciała skórę. Nie poruszyła się, patrząc wyczekująco, z lekkim uśmiechem.

– Wyjdę skoro świt, mam jutro masę pracy – usprawiedliwił się.

– Myślisz, że to wczorajsze bzykanie wystarczy mi do końca miesiąca?

W taksujących go zmrużonych oczach błysnęły figlarne iskierki.

– Powiedz lepiej od razu, jak ma na imię.

Prychnął, a ona przekreśliła klosz, porażając jego zmęczone oczy światłem stuwatowej żarówki.

– Gadaj!

Ze śmiechem wyłączył lampkę, chwycił żonę w pasie i posadził sobie na kolanach.

– Nigdy nawet o tym nie pomyślałem – odparł szczerze.

– Akurat – mruknęła. Bezwiednie zaczął wodzić palcem po miękkiej wypukłości ponad gumką jej szortów. – Masz babę na boku, jak każdy facet. – Jego dłoń, którą właśnie wsuwał pod koszulkę, zatrzymała się. – Wiem nawet, jak ma na imię. – Na chwilę zawiesiła głos. – Komenda Powiatowa w Legionowie – powiedziała, wyswobodziła się z jego objęć i znowu pacnęła o podłogę bosymi stopami.

– Smakowała wam szarlotka? – rzuciła na odchodnym.

– Bardzo.

– Małemu też – powiedziała, ziewając, i się uśmiechnęła. – Przegrałam z nim dziś w scrabble, wiesz?

– Serio? – mruknął, obserwując, jak muska palcami liście juki stojącej przy drzwiach.

– Wykończył mnie „oksymoronem”. Przez „x”.

– Cwana gapa.

– Cwany chłopiec – poprawiła go i odchyliła gruby pień, by sprawdzić, czy ziemia jest wilgotna. – Po tacie.

– Zaraz do ciebie przyjdę – obiecał.

– Czekam kwadrans i zasypiam – ostrzegła go już w progu.

– W niczym mi to nie przeszkodzi.

Czy mu się wydawało, czy w przelotnym uśmiechu, z jakim pokręciła głową, była melancholia? Gorycz? Chciał to wy badać, jednak nie wymyślił żadnego sensownego pytania. Siedział jeszcze przez chwilę, by stwierdzić, że policjant w jego głowie poszedł spać. Grzegorz Wyszyński – mąż, mistrz scrabble’a i fetyszysta pizam – nastawił budzik w komórce, wsunął ją do kieszeni i ruszył do sypialni. Czekają go ostatnie tego dnia oględziny, a zaraz potem – śledztwo w sprawie uśmiechów i uśmieszków.

Kiedy tamtej nocy wróciłem do domu, Grażyna spała. Usiadłem w salonie i przez dłuższy czas układałem sobie w głowie komunikat, jakim ją powitam. Musiał być krótki, prosty i wyczerpujący temat. Chciałem przygotować tekst tak dobrze, żeby wyłączyć się w trakcie nadawania i odzyskać świadomość dopiero po wszystkim. Przypieczętowałem sprawę za jednym podejściem, bez wdawania się w jałowe dyskusje i fundowania sobie niepotrzebnych wzruszeń. Odrzuciłem jednak ten mały podstęp. Małostkowy. Nadchodził jeden z ważniejszych momentów mojego życia, prawdziwy punkt zwrotny, i musiałem w nim uczestniczyć. Nie lubiłem patetycznych scen, ale przez szacunek dla Grażyny i dla samego siebie nie mogłem się wymiksować z tej konkretnej. Nie zastąpi jej mechaniczna pogadanka, list zostawiony na stole ani SMS.

Zacząłem przeglądać folder, który Grażyna przyniosła niedawno z biura podróży, by systematycznie kładąc go w widocznych miejscach, wciągnąć mnie w planowanie wakacji. Dyskretna i zapobiegliwa, cała ona. Czerwonym kółkiem zaznaczyła ofertę niedużego hotelu na Krecie, skromnego, ale przyzwoitego, z romantycznym widokiem na morze.

Oczywiście.

Przewidywalność i umiar, które jeszcze wczoraj były jej atutami, teraz obróciły się przeciwko niej. Może od razu jedźmy do Ciechocinka? Nie byłem emerytem, żeby wchodzić w ciepłe kapcie i skazywać się na odtwarzanie schematów. Wstałem, poszedłem do sypialni i zapaliłem światło. Spod kołdry wystawały potargana głowa i łokieć. Nabrałem powietrza przesyconego zapachem świeczek, które paliła przed snem. Pewnie położyła się niedawno, gdy jej narzeczony łajdaczył się „parę ulic dalej”. A teraz wrócił, żeby skopać leżącą. Zadbałem, by przygotować do tej rozmowy siebie, powinienem dać szansę i jej. Są wieści, których lepiej nie otrzymywać po zarwanej nocy. Ból jest nieunikniony, kryzys potrwa z pewnością wiele dni, ale lepiej, jeśli nie zacznie się od całkowitej rozsypki.

Zgasłem światło i wycofałem się. Zrzuciłem ubranie, wziąłem prysznic i położyłem się na kanapie w salonie. Nastawiałem się na bezsenną noc, ale ku swojemu zdziwieniu zasnąłem, gdy tylko dotknąłem głową poduszki. Przyśniły mi się dłonie uderzające w klawisze fortepianu. Najpierw jakaś kobieta prawą ręką grała spokojną melodię, a potem lewą dodała pasaże. Potem pojawiła się trzecia dłoń, męska, na jednym basowym klawiszu podająca rytm, a potem druga, również męska, która na średnich tonach brała akordy. Wzmocniona melodia brzmiała głośniejsz niż na początku, delikatna kołysanka przeszła w żywszą, harmonijną sonatę. A potem doszła piąta ręka, która zaczęła wygrywać nową melodię, i szósta, uderzająca sekundy i septymy w najwyższej oktawie. I nagle wszystko się posypało, dźwięki zaczęły dysonować, a dłonie plątały się i waliły w klawisze z całych sił, jakby chciały zagłuszyć grę pozostałych. Miły sen zamienił się w koszmar, z którego obudziłem się z bólem głowy.

Było po dziewiątej. Na stole stał talerz z kanapkami i kartka: „Miłego dnia, śpiochu, G.”.

Drugą wiadomość wyświetliła moja komórka: „Powiedziałaś?”.

I tak wczorajszy poukładany, odpowiedzialny facet znalazł się w centrum

klasycznego trójkąta.

DZIEŃ TRZECI

Kobieta ze szkła

Grażyna patrzyła w dół. Powierzchnia wody z tej wysokości wyglądała jak betonowy chodnik – szara, zaśmiecona i niemal nieruchoma. Uniosła nogę i pokonując opór trzeszczących džinsów, postawiła but na śliskiej barierce. Złapała latarnię, by podciągnąwszy się, stanąć na poręczy obiema nogami. Wyprostowała się powoli, wyciągając wolną rękę w bok, dla utrzymania równowagi. Czuła powiew mdlącego wiatru z przodu i spaliny z tyłu. Tuż pod mostem kiwała się boja, chropawa i różowa w świetle poranka. Przesunęła się ostrożnie, żeby w nią nie trafić. Po chwili prawie się uśmiechnęła – co za różnica?

Auta za jej plecami przejeżdżały z narastającym warkotem „iiii”, cichnącym w niższych rejestrach „uuuu”. Nurt równie śmiertelny jak ten w dole, „iii-uuu”, jak świst spadającej bomby albo ostrza gilotyny. Któryś z samochodów wyłamał się z szyku, zrobił tylko „iiii”, a potem zatrafił. Pomyślała, że kierowca ją zauważył i się obejrzał. W tym momencie z jej głowy spadła biała czapka z daszkiem, pamiątka z jakiejś wycieczki. Przechyliła się odruchowo, by ją złapać, i wtedy prawa stopa ze zdradzieckim piskiem mokrej podeszwy ześlizgnęła się z barierki.

W ułamku sekundy, zanim zacisnęła obie dłonie na słupie latarni, serce podeszło jej do gardła, a ciało przeszył prąd. Uszło z niej powietrze, jakby wielka kula do burzenia domów walnęła ją prosto w pierś. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby ochłonać. Ostrożnie postawiła na chodniku jedną, a potem drugą nogę, i dopiero wtedy wypuściła z rąk zbawienny metal. Jeśli jakiś kierowca zatrzymał samochód, zaalarmowany jej widokiem, to w międzyczasie pojechał dalej. Doprowadziwszy do porządku łopoczącą koszulę, odgarnęła grzywkę z czoła. Przedstawienie skończone. Żle się do tego zabrała, powinna była usiąść w ciepłej kąpieli z jakimś drinkiem i fiolką prochów. Na myśl o uderzeniu w szarą taflę, a potem agonii pod jej powierzchnią, z połamanymi żebrami i wstrząsem mózgu, przeszył ją dreszcz. Oparła łokcie o barierkę i odprowadziła wzrokiem złamany kij hokejowy płynący w ślad za jej czapką. Za nim podążał karton po mleku, czerwona puszka, patyk, potem większy patyk...

Dźwięki fletu, które zaczęły przebijać przez uliczny szum, znowu wprowadziły element dramaturgii. Odetchnęła głęboko, sięgnęła do kieszeni po komórkę i przerwała melodię w połowie tonu.

– Halo?

– Ciocia? – zabrzmiał w słuchawce piskliwy głosik. – Mama na mnie krzyczy!

Westchnęła i odchrząknęła, próbując nadać głosowi naturalne brzmienie.

– A co się stało?

– Mówi, że w pupie mi się przewróciło. Że w pelelelu nie było tego, co ja mam.

– Gdzie? – prychnęła z mimowolnym uśmiechem. Siostrzeniec potrafił poprawić jej humor w każdej, dosłownie w każdej sytuacji.

– Że kiedyś, żeby wysłać esemesa, trzeba było wejść po schodach na Pałac Kultury – tłumaczyło dziecko epoki smartfonów. – Bo tylko tam był zasięg. I że w sklepach był

tylko ocet. W całej Galerii Mokotów tylko ocet?! – Roześmiała się. – Kiedy przyjdiesz, ciociu?

– Twoja mama słabo pamięta PRL, powiedz jej to.

Dziarska pogoda ducha, którą starała się okazać, nie była jeszcze całkiem szczerą, ale to zetknięcie z naiwnym światem dziecka podniosło ją na duchu. Jak zwykle.

– Kiedy będziesz?

W głosie chłopca oprócz żalu zabrzmiał wyrzut. Lubił ciocię, chciał stale mieć ją przy sobie, a ona opuściła go bez ostrzeżenia, łamiąc ich niepisaną umowę.

– Wieczorem.

– A gdzie jesteś? Co tak szumi?

– Woda. Bądź grzeczny i czekaj na mnie. Pa.

Schowała komórkę do torebki i popatrzyła w dal, na kanciasty kontur wieżowców na horyzoncie. Jeszcze przed chwilą wydawał się zimny i złowieszczy jak zęby wielkiego drapieźnika wbite w waniliowe obłoki. Teraz nabrał miękkości, a z różowym niebem w tle był taki... wielkowiejski. Lepsze słowo nie przychodziło jej do głowy. Zapragnęła zjeść lukrowanego pączka, którego można kupić w podziemiach Śródmieścia. I wziąć kąpiel, ale w czystej wodzie, nie takiej jak ta w dole. Złapała się też na myśli o papierosie. Ostatniego wypaliła w liceum i pamiętała tylko duszący fetor, ale pewnie od tamtej pory zmienili receptury, wprowadzili jakieś normy emisji trucizn, jak w samochodach. Może warto dać szansę jednej z tych paczek błyszczących nad kasami w supermarketach? Nie mogą być takie okropne, skoro palą je tysiące fajnych babek. Zobaczyła samą siebie jako jedną z nich – ostrą laskę na szpilkach, z cienkim papieroskiem w kąciku ust. Uśmiechnęła się.

Jeśli zwlekała z odejściem, to z poczucia niedosytu. Coś miało dziś spaść do Wisły i czuła, że czapką nie oszukała przeznaczenia. Wyjęła z kieszeni pudełko. Swoją dwudziestoczerokaratową list pożegnalny, oskarżenie, które w jej imieniu mieli rzucić Olafowi w twarz. W ciągu minionej nocy ta scena co chwila stawała jej przed oczami: on chwyta pudełko i upada z twarzą w dłoniach, a potem siwieje przedwcześnie, gryząc się dramatem, do którego doprowadził. Tak jak ona teraz zadrecza się śmiercią tamtej.

Zawiesiła nad wodą złoty krążek, trzymając go dwoma palcami za brylant. W myślach policzyła do trzech i... schowała go do kieszeni. Koniec z tym. Z patosem, gorzkimi żałami, z całym tym romantycznym szajsem. To, że stchórzyła w obliczu śmierci w męczarniach, nie oznacza jeszcze, że nie stać jej na akt odwagi. Trzy dni temu, na łódce, dowiodła, że jest odważna. Choć wtedy była podszyta mściwością i małoduszna, zademonstrowała ten rodzaj siły, który obnaża słabość. Teraz będzie inaczej. Dziś też ktoś miał umrzeć i umrze – zakompleksiona mimoza. Narodziła się asertywna kobieta z klasą i skłonnością do nałogów, za które nie zamierza przeproszać. Będzie spontaniczna i bezpośrednia, weźmie przykład ze swojego siostrzeńca.

Słyszałem o takim eksperymencie: dali parolatkom po słodkiej piance marshmallow i powiedzieli, że mogą ją zjeść, ale mogą też poczekać kwadrans i wtedy dostaną drugą piankę. Podobno starsze dzieci czekały, młodsze nie. Eksperyment

potwierdził znaną prawdę, że samokontrola przychodzi z wiekiem, nie odpowiedział jednak na pytanie, które dzieci miały większą frajdę. A przecież o to chodzi w jedzeniu słodczy. Można zabić w sobie dziecko i stać się odpowiedzialnym, rozsądnym, przewidywalnym trupem.

Podobno Picasso powiedział, że przez pierwszych dwadzieścia lat życia próbował dorosnąć, a przez następne sześćdziesiąt – obudzić w sobie dziecko. Idealne okoliczności zachodzą chyba wtedy, gdy uda się korzystać z zalet obu faz – pozostać młodym i starym jednocześnie. Wziąć wewnętrzne dziecko w karby, zamiast wylewać je razem z kąpielą.

Agnieszka miewała infantylne zagrania. Raz byliśmy w nocnym klubie i gdy puścili Drupiego, wyskoczyła na parkiet, by zaprezentować swój „autorski układ”, po którym dostałem kolki ze śmiechu. Naszym głównym placem zabaw było oczywiście łóżko, oboje regularnie się tam wygłupialiśmy, bez ograniczeń i autocenzury. Czasem po wszystkim przeciągała dłonią między swoimi udami i podnosiła ją do nosa. Nie krępowała się przy tym moją obecnością, często podsuwała mi dłoń do powąchania, bo przecież ten zapach był za każdym razem inny i zależał od wielu czynników. Robiła to z naturalną ciekawością małej dziewczynki chłonej nowe doznania. Ta spontaniczność była wyzwalająca i zaraźliwa. Z żadną kobietą nie doświadczyłem tyle, co z nią, choć przecież było nam dane tak mało czasu. O żadnej nie dowiedziałem się tak wiele i nie powierzyłem tylu sekretów, byliśmy jak otwarte księgi ustawione naprzeciwko siebie, odwrócone okładkami do reszty świata.

Denatka miała fantazję, styl i awersję do porządku. Policjanci, którzy stanęli w progu jej mieszkania, pomyśleli, że uprzedził ich złodziej. Ubrania – przeważnie w dyskretnych odcieniach szarości, jak żakiet z zamszowymi klapami, jedwabne bluzki z błękitnymi dodatkami czy piżama prześwietlona białą koronką – leżały w nieładzie jak po gorączkowym przeszukaniu. Zamki w drzwiach były jednak nietknięte, a w sypialni poza odzieżą poniewierały się też złote kolczyki, złożyli więc bałagan na karb pośpiechu, w jakim gospodyni pakowała się na łódkę. Dalsze oględziny nasuwały jednak przypuszczenie, że taki chaos był normą. Test białej rękawiczki przeszedłby chyba tylko blat termiczny w kuchni, ewentualnie stojąca obok szafka na przyprawy. Pani domu lubiła gotować i się stroić, lecz nie przepadała za sprzątaniami. W zakamarkach kuchni wegetowały formy życia równie zagadkowe jak roślinne wzory wymalowane na ścianach salonu. Tam z kolei, oprócz nieporządku i fresków, w oczy rzucała się pokaźna kolekcja płyt DVD.

– Ostatni raz widziałem tyle w osiedlowej wypożyczalni, zanim upadła – skomentował Staszewski. – Ile tego może być? Tysiąc?

– Jakies tysiąc trzysta pięćdziesiąt – mruknął po chwili Wyszyński i pomyślał, że Lady Demolka, sentymalna kinomanka lubiąca gotowanie, zakończyła swój żywot w isticie filmowym stylu. Jej ciało, rozciągnięte na jedwabnej pościeli, z kajdankami na nadgarstkach i ranami na piersi, mogłoby spokojnie zdobić jedną z tych okładek. No, ale to tylko opakowanie, a jego interesowała zawartość. Pytanie brzmiało, co jeszcze ten pokój powie o swojej właścicielce. Wysławszy sierżanta na przeszukanie łazienki, stanął

na środku salonu, by zaczekać, aż ścieżki rozumowania jego i jej przetną się w jakimś punkcie.

Po chwili jego wzrok padł na stojącą przy kanapie szafkę. Pusty blat i zamknięte szuflady łamały zasadę organizacji – a właściwie dezorganizacji – wnętrza, stanowiły rysę na obrazie pandemonium. Podeszedł bliżej i dłonią w gumowej rękawiczce otworzył górną szufladę. Na stosie papierów leżał czerwony segregator, ciężki od powtykanych w koszulki umów, faktur, opłaconych rachunków i innych dokumentów, które gospodyni uznała za godne przechowania. Pod nim znalazł tekturową teczkę z folderem fiata bravii i zapasowym kluczykiem. Ale prawdziwy skarb krył się na dnie. Kolorowa, ręcznie pomalowana okładka błysnęła między papierami jak złota moneta w starym portfelu. Dziennik. Maszyna śledcza Wyszyńskiego stanęła w gotowości, sygnalizując to znajomym dreszczem.

Kiedyś w takich sytuacjach się wahał, teraz działał z wprawą starego lekarza, który wstyd pacjenta kwituje wzruszeniem ramion.

Pierwsza notatka głosiła: „Dostałam eekstraa trampki” i była datowana na sierpień 1991. Komisarz szybko przerzucił parę stron, zatrzymał się na dłuższej notatce, późniejszej o dwa lata, napisanej bardziej starannym pismem. „Urodziny dziadka Malika obchodzono w naszym domu jak święto narodowe. Pani Janeczka trzepała dywany, czyściła srebra, prała zasłonki i ślizgała się po parkiecie na kawałkach filcu. Szczególnie dużo uwagi poświęcała polerowaniu fortepianu”. Cóż, pani Janeczka mogłaby wpaść i tutaj, jeśli jeszcze żyje... Nieco zaskoczony wielkopańską tonacją zapisku próbował zestawzić go z krzywo umalowaną kobietą, którą gościł wczoraj w swoim gabinecie. Sytuacja finansowa państwa Malików na przestrzeni ostatnich lat musiała ulec zmianie. Przekartkował dziennik, aż dotarł do ostatniej strony, z wklejonym zaproszeniem na studniówkę. Impreza odbyła się w marcu 2003 roku. A więc dawno. Rozczarowany włożył zeszyt do plastikowego worka i zaczął przetrząsać szafkę w poszukiwaniu dalszych części dziennika, gdy z łazienki wyszedł Staszewski.

– Ktoś tu lubił poświntuszyć – mruknął, otwierając obiecująco pomarszczoną okładkę i wertując pofałdowane stronicie. Zaczął czytać, modulując głos: „Przesunęła paznokciami po jedwabistej skórze. Pulsowała pod nią twarda, jakby napompowana męskość. Drugą dłonią chwyciła zwisające poniżej...”.

– Dokończysz w domu – przerwał mu komisarz i wskazał pomalowany zeszyt.
– I szukaj dalej czegoś w tym stylu.

Sam przetrząsnął pawlacz, schowek pod łóżkiem, przeliczył łyżki w szufladzie i bluzki – cztery w szafie plus jednaście poza nią – ale nie znalazł już niczego godnego uwagi. W końcu zdjął rękawiczki i wręczył dziennik podwładnemu.

– Twoja praca domowa: przeczytać pod kątem podejrzanych kontaktów, zdarzeń, opinii.

Staszewski wyjął zeszyt z torebki, znowu ułożył usta w ryjek i zaczął czytać na głos: „Wczoraj byłam z Piotrkim w kinie na *Forreście Gumpie...*”.

Wyszyński zgasił go dwoma słowami:

– Na jutro.

Wyszyński włączył radio w aucie, ale przezornie ominął serwisy informacyjne i zatrzymał się na muzyce. „Wdychała powietrze, wydychała światło, była słońcem poranka i blaskiem księżycy, była radością mego życia”. Wokaliście towarzyszył keyboard, gitary i perkusja. Zastanowił się, jak wiele razy wcześniej, jak to jest zarabiać na życie pisaniem tekstów rockowych. Nie wiązać faktów, tylko fikcję, być „wydechaczem” luźnych skojarzeń. Nie przekreślał poezji jako takiej, chociaż zdecydowanie wolał prozę. Na emeryturze sam chciał się zmierzyć z literaturą faktu opartą na kanwie prowadzonych spraw. Ale raczej nie będzie tam metafor o przemianie powietrza w światło i innych wypowiedzi łamiących prawa fizyki. Ani opisów członka w stanie wzdęcia. TEGO typu twórczość również była mu obca.

W archiwum komendy rejonowej pogratulował sobie intuicji. Poprosił archiwistkę o wydruk i pojechał z nim do prokuratora.

– Zamykamy go.

„Najlepszy tata na świecie” wrzucił zużytą wykałaczkę do kubka i wsunął do ust miętówkę.

– Nie twierdzisz już, że jest niewinny?

– Nie.

Zadrukowana kartka powędrowała z rąk do rąk.

– Kiedy to było?

– Dziewięć lat temu.

Dokument wrócił do policjanta

– Myślisz, że to rzutuje...

Grubas urwał i mrużąc oczy, wyciągnął rękę. Zdezorientowany Wyszyński podsunął mu wydruk, ale tamten zamachał dłonią. Wreszcie złapał jednak kartkę i zgiąwszy się z impetem w pół, jak człowiek uderzony w brzuch, siarczyście kichnął. Gołębie odfrunęły z parapetu z trzepotem, który zabrzmiał jak oklaski.

– To kopia? – wychrypiał po chwili, prostując mokrą kartkę z błyszczącą miętówką w środku.

Komisarz patrzył na niego jak na karalucha, który wybiegł spod dywanu.

– Jesteś najbardziej obrzydliwą osobą, jaką znam.

– Mam nadzieję, że to kopia – mruknął prokurator. Odlepił od kartki zielony krążek i wsunął go do ust. Wyszyński zamrugął.

– Jeśli facet robi coś takiego – wskazał na to, co zostało z wydruku – a potem na jego jachcie znajdujemy zadżganą kobietę, to...

– ...to wiemy już, w którym kiblu śmierdzi.

– Wiemy nawet, co śmierdzi: to pieprzony sadysta.

– Mówiłeś, że to nie prowadzi do zabójstwa – przypomniał mu prokurator. – Poza tym, wciąż nie mamy dowodu.

– Jest coś jeszcze – powiedział komisarz po chwili wahania. – Nagranie z miejsca zbrodni.

Cmokanie ucichło.

– Zamieniam się w słuch.

Wyszyński musiał się skupić, by jego głos zabrzmiał naturalnie.

– Wygląda na to, że on tam się nad nią pastwił.

– Co ty powiesz... Skąd masz to nagranie?

– Na łodzi była komórka, niestety rozładowana. Widziałem tylko parę sekund, potem się zablokowała. Pracuje nad nią informatyk, na razie nie potrafi powiedzieć, jak długo to potrwa. Ale myślę, że mamy tam dowód.

Prokurator z namysłem odchylił się na oparcie krzesła, popatrzył na mapę wiszącą na ścianie, po czym pokiwał głową i otworzył szufladę.

– O której mi go przywieziesz?

– Czterdzieści osiem upływa o jedenastej...

– Nie jesteśmy w Szwajcarii, bądźcie koło południa – polecił i położył przed sobą czystą kartkę. – Żeby z tych twoich ochłapów ukręcić dwa miesiące aresztu, potrzebuję czasu.

– Ukręć trzy.

Wychodząc, Wyszyński odmówił zabrania dokumentu, który przyniósł. Znał jego treść na pamięć: „Anna Pujso, zamieszkała przy ulicy Belgradzkiej 4...”.

...była drobną blondynką o delikatnych rysach i wielkim nosie. Orli profil w połączeniu ze zgarbioną sylwetką oraz żywą gestykulacją sprawiały, że jej słowotoki wyglądały jak szamotanina ptaka w siódlach. Takie kobiety pociągają czasem starszych panów w typie „opiekunów”, wśród rówieśników budzą irytację, w najlepszym razie pobłażliwe zaciekawienie. Na uczelni Anna miała opinię niegroźnej świruski.

Trzeciego dnia w celi Agnieszkę widzę z dokładnością bliską halucynacji, inne kobiety jawią mi się tylko poprzez charakterystyczne szczegóły. Grażyna to wiszące w powietrzu usta wygięte w podkowę. Gdy dziś rano wyszła na jaw historia z Anną, od razu zobaczyłem ten jej nos i trzepot rąk oraz wiecznie obgryzione paznokcie. Świadczyły o niskiej samoocenie, o czym informowała na jednym wydechu zaraz po tym, jak się przedstawiła. Poznałem ją na wykładach ze wstępu do psychologii, na które uczęszczałem gościnnie w ramach fakultetów. Parę razy pożyczyła mi ksero skryptów, w końcu na jednym z nich znalazłem numer jej telefonu. Poszliśmy na spacer i kawę, przy której wyznała mi, że niedawno zakończyła niszczący związek, który koniecznie musi „odreagować”, żeby się oczyścić z emocjonalnego osadu. Mówiła na to *rebounding*. Jej mroczne kobiece jin domagało się jasnego męskiego jang, ale nie chciała się poważniej angażować. Była to bliska mi postawa, lecz obca większości moich koleżanek. Zaintrygowany zaprosiłem ją do siebie, by pogłębić temat. Nie podobała mi się specjalnie, ale nie miałem wtedy wygórowanych oczekiwań i z moją samooceną też nie było najlepiej (to było, zanim wszedłem w posiadanie firmy, apartamentu, jachtu i długo, długo, zanim wszedłem w Agnieszkę).

Tamten wieczór rozwinął się zgodnie z oczekiwaniami i może mógłbym sobie przypomnieć więcej detali niż duży nos i opłakany stan manicure’u Anny, tylko po co? Jeśli jeszcze jakiś szczegół anatomiczny zasługuje na wzmiankę, to chyba tylko wypukłość nad rowkiem między jej pośladkami. Wystawała niczym powiększony rewers

łechtaczki. Okazało się, że to źle zrosnięta kość ogonowa, którą swego czasu przetrącił jej demoniczny eks. Wyglądała jak zaszyty pod skórą czip, który można przesuwac palcami. Sądząc z towarzyszących temu odgłosów, sprawiało jej to swego rodzaju bolesną przyjemność.

Nie chciała zostać na noc, czym pozytywnie mnie zaskoczyła. Zadzwońiłem po taksówkę i zaproponowałem, że za nią zapłacę.

– Dzięki – powiedziała, wyciskając na moim policzku pożegnalnego całusa. – Nie chcę od ciebie pieniędzy.

Trudno o większe kłamstwo.

Po jakimś czasie, podczas którego nie chodziła na wykłady i nie odbierała telefonu, dostałem wezwanie do prokuratury. Ta kobieta – ptak z przetrąconym ogonem, amatorka szybkiego seksu i tao, oskarżała mnie o gwałt z pobiciem. Raport z obdukcji miał trzy strony, zawierał opis urazów głowy oraz złamania kości strzałkowej. Było też zdjęcie jej twarzy z podbitym okiem i spuchniętym nosem, zrobione dzień po naszym spotkaniu. Wyglądała na nim jak papuga z czerwonym dziobem.

Zadzwońiłem do pana Majszyka, adwokata, który doradzał mojemu ojcu w kwestiach prawnych. Przedstawiłem mu sprawę, prosząc o dyskrecję i zapewniając, że nie zrobiłem dziewczynie krzywdy. Musiał ją zmasakrować ktoś inny, kiedy już ode mnie wyszła, może jej były zrobił jej scenę zazdrości? Albo ukartowali to wcześniej, żeby wycisnąć ze mnie kasę? Pan Majszyk wysłuchał mnie w milczeniu, po czym poprosił o telefon do Anny. Ta skierowała go do swojego adwokata, który przedstawił jej wersję: opowieść o miłej dziewczynie w odwiedzinach u kolegi ze studiów. Po spożyciu alkoholu rzekomo zmieniłem się w bestię, pobiłem ją i zmusiłem do seksu. Niestety, ślady DNA, które bez trudu mogli zestawić z moim, oraz udokumentowane urazy potwierdzały to kłamstwo. Szacowne brwi pana Majszyka stroszyły się nad jego zatroskanymi oczami, gdy mi o tym opowiadał. Dodał, że nie ma doświadczenia w prowadzeniu tego typu spraw i gdybym chciał walczyć w sądzie, powinienem zaangażować fachowca. Ale prywatnie odradzał mi to. Sąd miał jej wersję popartą obdukcją przeciwko mojemu słowu; nawet gdyby cudem udało mi się wykazać, że jestem niewinny, brud w papierach pozostanie. Sugerował ugodę, która zamknie sprawę i pozostawi tylko minimalny ślad w rejestrze komendy rejonowej.

– Ktoś będzie musiał się na ciebie naprawdę wziąć, synu, żeby to wygrzebać – uspokajał barytonem mecenasa z trzydziestoletnim doświadczeniem. Wcześniej wiele razy słyshałem ten głos w moim domu, a raz podsłuchałem przez uchylone drzwi, jak wypowiada niemal identyczne zdanie do mojego ojca. To było po ujawnieniu afery z posezonowym odstrzałem dzików.

No i ktoś się na mnie wziął, panie Majszyk, papiery zostały wymiecione spod dywanu. Ale nie mam pretensji, wisi mi to teraz, prawdę mówiąc.

Oczywiście wtedy, na czwartym roku zarządzania, bardzo zależało mi na dyskrecji i zdałem się całkowicie na Pana Zatuszuję Wszystko. Podjął się negocjacji dotyczących kwoty, postawił tylko jeden warunek: po wszystkim muszę pójść do psychologa. Urażony znowu zapewniłem go o swojej niewinności, na co odparł, że mi wierzy i że to tylko takie działanie pro forma.

Żeby zapłacić jego honorarium oraz rzekome „moralne i zdrowotne straty” Anny, musiałem sprzedać swojego opla (dziewięcioletnia astra w wersji sedan). Wkurzony tłukłem się autobusem do wskazanego przez Majszyka gabinetu, w którym siwy facet w drucianych okularach pokazywał mi plansze i prosił o zapisywanie pierwszych skojarzeń. Wreszcie zapytał o moje doświadczenia z kobietami, o „emocjonalne oraz fizyczne aspekty obcowania z nimi”. Opisałem mu parę moich związków, z których najdłuższy trwał pół roku. Jakie mam oczekiwania wobec partnerek? Wśród obejrzanych wcześniej obrazków odnalazłem parę całującą się na tle świateł wielkiego miasta. Czuły uścisk odmalowany pastelowymi barwami.

Powtarzam: to nie ja zmasakrowałem Annę. Nawet gdyby mnie o to prosiła, gdybym miał przed sobą tego Wielkiego Ptaka usidlonego parą solidnych kajdanek, nie uderzyłbym jej. Wtedy już widziałem *Sekretarkę* i znałem Agnieszkę, ale jedno i drugie nie miało jeszcze głębszych konsekwencji.

Wyszyński stał przed szafą pancerną i patrzył na otwarte pudło z napisem „Umorzone”. Po chwili wahania wyjął z niego kij bejsbolowy. Wypolerowana rączka leżała w dłoni jak ulał, grubszy koniec świecił przetartym drewnem, lakier trzymał się tylko pośrodku. Teraz nie pora wnikać, kto i w jaki sposób tak zużył ten dowód w sprawie sprzed lat. Na pewno nie grając w bejsbol.

Komisarz odwrócił się do podwładnych, których tym razem wezwał na odprawę do swojego gabinetu.

– Przypominam, że śledztwo w sprawie zabójstwa Agnieszki Malik ma oficjalną klauzulę poufności: BX łamane przez morda w kubel.

Ruszył do okna, ważąc kij w dłoniach. Woźniak, który tym razem miał na sobie galowy mundur, podniósł rękę niczym pilny uczeń. Komisarz przystanął przy jego krześle. Sznury, przypięte do zbyt odległego guzika, przecinały połę munduru aspiranta ukośnie niczym szarfa.

– Zmieniłeś już dzwonek w telefonie?

Uniesiona dłoń opadła, a z wąskich ust zniknął uśmiezek.

– Bo przypominam, że materiały z miejsca zbrodni też mają klauzulę BX – ciągnął komisarz. – Jeśli lubicie się masturbować przy okrzykach konających ludzi albo przy ich fotkach, to psycholog przyjmuje w piątki. – Wrócił za biurko. Umieścił główkę kija obok buta, niczym broń na defiladzie, i oparł się na rączce. – Mówię o poufności, bo teraz podam tajne informacje – zaznaczył. – Uwaga. Jak się okazało, nasz podejrzany to recydywista. Dziś dostanie mocny zarzut, a wkrótce wyrok. Zabójstwo zostało prawdopodobnie zarejestrowane jego komórką, technik pracuje nad odzyskaniem zapisu. Spokojnie, Woźniak, na pewno go nie zobaczysz.

Lśniaca główka kija znowu zawisła w powietrzu. Gdyby komisarz złapał go teraz drugą ręką, wyglądałby jak gracz przed uderzeniem. Wreszcie opuścił kij poziomo, celując czubkiem w stronę krzesła pod oknem.

– Ale to nie znaczy, że możemy jechać na wakacje. Siwiec?

Młodszy sierżant wyprężył się i uniósł pytająco brwi.

– Co z autami? Ustaliłeś, czy ktoś z otoczenia ofiary lub podejrzanego ma dostawczaka?

Nadworny protokolant grupy zajrzał do swoich zapisków.

– Jej szef jeździ land roverem.

– Rozmawiałeś z nim?

– Ma alibi: wczoraj rano wrócił z Poznania, gdzie siedział od poniedziałku. Innych dużych aut tam nie znalazłem.

– Dobra, szukaj dalej.

Komisarz odwrócił się do starszego sierżanta.

– Byłeś w firmie podejrzanego? – spytał.

– Stoi tam cały zagon furgonetek – odparł Staszewski. – Handluje nimi... To znaczy... handlował.

Zaskoczony Wyszyński zamyślił się. Po chwili złapał się na tym, że dotyka kijem wargi, jakby trzymał w dłoni wielki ołówek. Odsunął go z obrzydzeniem w obawie, że zaraz ugryzie sfatygowane drewno.

– Kto ma do nich dostęp?

– Dwóch pracowników... Ale, szefie, szukamy brązowej furgonetki – przypomniał. – A takiej nie mają na stanie. Sprawdziłem. Nie ma też żadnej świeżo malowanej.

– Czytałeś jej pamiętnik?

Pozostali policjanci nastavili uszu.

– Dopiero zacząłem...

– Tempo, tempo, to nie jest zbiór poezji. – Komisarz uderzył kijem w otwartą dłoń.

– Nie analizuj, tylko szukaj tropów. Woźniak? Miałeś ustalić liczbę gości na łódce.

Pośliniony palec aspiranta przerzucił parę kartek.

– Poza ofiarą, oskarżonym i jego rodzicami była tam jeszcze jedna osoba. Kobieta, ciemne włosy, grupa krwi B Rh minus.

– Jedna? – upewnił się Wyszyński.

– Tak. Wcześniej myśleliśmy, że dwie, bo zostawiła dwa rodzaje włosów: bardzo długie i krótkie. Dopiero wczoraj analiza potwierdziła, że należą do tej samej osoby.

– Szukamy więc brunetki o asymetrycznej fryzurze... – Komisarz pokiwał w zamyśleniu głową. – Albo takiej, która niedawno obcięła włosy.

Otworzył notes i zapisał: „Grażyna – jaka fryzura?”. Zganił się w myślach za to, że dotąd nie odnalazł osoby, która powraca w tej sprawie jak bumerang. Dał sobie osiem godzin na jej wezwanie.

– Po co ta pałka, szefie? – zainteresował się Staszewski, korzystając z chwili ciszy.

– Będziemy kogoś przesłuchiwać?

Wesołe pomruki zagłuszyło skrzypnięcie drzwi szafy.

– Nie słyszałeś, że nasza orkiestra ma dziś próbę w strojach galowych? – rzucił Wyszyński. – Woźniak gra na puzonie, a ja dyryguję.

Za jego plecami rozległy się fałszywe zaśpiewy, jak w trio pozbawionym dyrygenta.

– *Chłopcy radarowcy!*

– *Ona tańczy dla mnie na bis, panie naczelniku!*

Zamachnął się do tyłu, ale w końcu „umorzył” pałkę w pudle pełnym rekwizytów, którymi lubił zajmować ręce na zebraniach.

– Rozejść się.

Po chwili odwrócił się do przechodzącego za jego plecami Siwca.

– Przyrowadź podejrzanego. I szykuj się. Na dwunastą jedziemy do prokuratury.

Ochroniarz z ulgą ściągnął skarpety i powiesił je na poręczy leżaka. Muskana powiewami wiatru tafla wody wokół pomostu lśniła i chlupała kojąco. Podciągnął nogawkę prążkowanych spodni i podrapał się po łydce. W oddali kołysały się białe żagle, przeważnie ostrzące kursy na wschód, by wykorzystać do maksimum przedpołudniową bryzę. Przy brzegu surfer w obcisłej piance walczył z łopoczącym żaglem, jakby trafił na niedostępny dla reszty korytarz silnego wiatru. W ciągu kwadransa pokonał zakosami może ze sto metrów, wciąż jednak trzymał z daleka od „Szklanego Żądła”, czego strażnik w skrytości ducha żałował. Gdyby się zbliżył, mógłby go legalnie zbluzgać w trosce o bezpieczeństwo dowodu pozostawionego jego pieczy, oczywiście.

– „Scenarzysta forse wziął, potem zaczął pić”[6] – zaniósł się ochrypłym basem, zagłuszając dobiegający z radia wokół.

Spiczasty dziób jachtu kołyszącego się dostojnie przy pomoście przypominał mu pysk rekina, z bulajami jak oczy i kabiną w miejscu płetwy. Podciągnął połą kraciastej koszuli, by opalić brzuch, ale szybko przywołał się do porządku. Dyscyplina. Obowiązek. Służba. W rozleniwionym mózgu zamajaczyły na pół zapomniane słowa. Emerytowany sierżant z drobnicowca „Karpacz” obudzony w nocy wciąż potrafił wyliczyć punkty regulaminu pokładowego. No, przynajmniej pięć pierwszych. I wszystkie afrykańskie przyłądki. Tylko po co? W epoce GPS każdy głupek może żeglować i chyba każdy to robi. Siedzą rozwaleni na pokładach tych wielkich depilatorów, z nosami w komórkach, i wydaje się im, że żeglują.

Wsunął koszulę za pasek. Zadarłszy gniewnie brodę, uniósł butelkę i upił łyk. Potrząsnął głową i zaczął kontrolnie wyliczać: Igielny, Dobrej Nadziei, Columbine i... I wystarczy. Wszystko gra, umysł pracuje jak szwajcarski zegarek, należy to uczcić kolejnym łykiem.

Stałem przy oknie i patrzyłem na odcisnięty w tynku obrys jej kształtów. Jakby naparła na ten mur całym impetem swoich osiemdziesięciu kilogramów. Nieokiełznana za życia, pomnikowa po śmierci, spiżowa w mej pamięci.

Im dłużej o myślę o Agnieszce, tym ważniejszy wydaje mi się jej wzrost. Płaskie nimfetki o wystraszonych oczach i kościstych kończynach pozostawiam podstarzałym reżyserom, kobieta w moim typie zaczyna się od rozmiaru czterdziestego, biust siedemdziesiąt pięć E i powyżej. Musi przyjąć na klątę solidną chłostę i nie rozpaść się na kawałki. Przy wampowatej olbrzymce można się rozluźnić i dopuścić do głosu pierwotne instynkty, z drobną kobietą odruchowo postępuje się delikatnie. Moja ptasia

przyjaciółka ze studiów kłamała – nawet jeśli bestia tkwiła we mnie już wtedy, trzymałem ją na wodzy. Grażyny nigdy nawet nie klepnałem w pupę.

Mówią, że małe jest piękne.

Ale czasem nie ma to jak duże.

Za oknem komendy przyroda budziła się do życia. Wczoraj pan Mrugacz zdjął tę kuriozalną budkę odstraszącą ptaki, które wreszcie mogły bez obaw skakać po gałęziach, czyścić skrzydła, polować na owady i załatwiać inne ptasie sprawy. Ich odchody spadały na ziemię, zasysane przez korzonki roślin, koło życia obracało się swoim rytmem. A przecież trzy dni temu ziemia się zatrzymała i zaczęła obracać w drugą stronę.

Nie, to tylko twój los zmienił bieg, panie poeto.

Zabawne, jak wielkie wybuchy mieszczą się na przestrzeni wielkości czaszki.

Przed oczami stanęła mi twarz Agnieszki wykrzywiona lekkim grymasem, napięta tuż przed wyładowaniem, z oczami zasnutymi mgłą. Pamiętam nasz ostatni raz pod pokładem jachtu, jeszcze zanim w ruch poszły kajdanki, prochy i cała reszta. Kiedy spoceni i zdyszani odpadliśmy od siebie w skłębionej pościeli, przeżyłem małą iluminację, jedno z tych postkoitalnych objawień: jakie to cudowne, że taka dzika przyjemność jest darmowa. I legalna. I zdrowa. Bo przecież nie umrzemy od tego, nikt nie wystawi za to rachunku ani nie aresztuje.

Tak właśnie pomyślałem, słowo daję.

– Dziki.

Aż podskoczyłem. Rozbawiony policjant, który bezszelestnie otworzył drzwi, stał tuż za mną. Pochłonięty myślami nie zarejestrowałem szczęku klucza w zamku ani kroków w celi.

– Coś ty taki spokojny? Powinieneś się nazywać Olaf Spokojny.

Dał mi minutę na przygotowanie się do wyjścia. Sądziłem, że chodzi o kolejne przesłuchanie, ale on kazał mi włożyć ciepłą bluzę. Wciągnąłem przydziałowy dres podszyty polarem.

– Powiedz, załatwiłeś ją?

Kajdanki kliknęły na moich wyciągniętych rękach. Obrzuciłem ostatnim spojrzeniem napis wyryty paznokciem na ścianie i sylwetkę na ogrodzeniu. Miałem nadzieję, że w nowym lokum dadzą mi papier i ołówek.

– Spokojnie, Dziki, mnie możesz powiedzieć. Zaciukałeś ją? Tę twoją... Agatę?

Zrobienie pierwszych paru kroków wymagało skupienia. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak ważne dla zachowania równowagi jest swobodne machanie rękami. Na równej podłodze czułem się jak na bujającej łodzi, a na korytarzu musiałem przystanąć.

– Załatwiłeś ją? Tę Aśkę czy tam... Anetę? Tak czy nie?

Dopiero w aucie dał mi spokój. Z jego rozmowy ze zwierzchnikiem wywnioskowałem, dokąd jedziemy. Ale było mi wszystko jedno, ich głosy i warkot silnika zlały się w szum, jakbym zanurkował pod wodę. Marzyłem tylko o tym, żeby się położyć.

– Słyszałeś, że Kaźmierczak dostał sto pięć po akcji w KZR?

– Potrzebuje L4, inaczej skażą go z paragrafu ósmego i skończy się na kodzie trzy. Żywopłot w słońcu mienił się jak łopoczące na wietrze prześcieradło z zielonej

satyny. Osłabiony i głodny zapadłem w niespokojny sen.

Budynek Prokuratury Rejonowej w Legionowie przypominał amerykański motel: długi, jednopiętrowy, z oknami wychodzącymi na trzypasmową ulicę i na parking pełen aut na zamiejscowych numerach. Wnętrze z kolei kojarzyło się z miniaturowym lotniskiem. Obok bramki wykrywającej metal i tablicy z reklamą coca-coli stał strażnik witający gości poleceniem opróżnienia kieszeni. Policjanci pokazali mu odznaki i wraz z zatrzymanym przeszli bocznym wejściem, adwokat nie mógł skorzystać z tego przywileju i do kuwety posypały się jego klucze, komórka, okulary oraz portfel. Gdy świszcząc przez nos, z tłumioną złością upchnął je z powrotem, cała czwórka ruszyła korytarzem o ścianach wyłożonych zielonym marmolitem, aż do sztucznego rododendrona, gdzie skręcili na schody. Na piętrze, przy drzwiach gabinetu prokuratora, role się odwróciły – to adwokat mógł swobodnie wejść do środka, policjanci musieli zostać na korytarzu. Podejrzany podniósł skute kajdankami ręce, na co sierżant zawałał się i spojrzał na komisarza. Ale ten pokręcił głową.

– Jeszcze coś mu odbije.

Obrońca zatrzymanego ściągnął krzaczaste brwi, jakby chciał zaprotestować, ale w końcu tylko spojrzał na zegarek. Najwyraźniej wszystkim bardziej zależało na czasie niż na przestrzeganiu procedur.

Olaf od razu upatrzył sobie krzesło obok wielkiego wentylatora pracującego na pełnych obrotach. Gdy grubas za biurkiem powitał gości i polecił im usiąść, ruszył w jego stronę szybkim krokiem, by uprzedzić swojego adwokata. Przez chwilę szukał pozycji zapewniającej maksymalny nawiew i cień rzucany przez ciężką zasłonę. Pielęgniarka, która rano zmieniła mu opatrunek, tym razem zastosowała pojedynczą gazę i mógł delektować się chłodnym powietrzem na spuchniętej ranie, jakby była całkiem odsłonięta. Mecenas Majszyk położył na stole skórzaną teczkę, z której wyjął etui z notesem i piórem. Kawałek dalej piętrzył się stos kartek. Wzdłuż brązowej powierzchni stołu biegło pęknięcie wyglądające jak wyrysowana flamastrem ścieżka, odcinająca przedmioty należące do adwokata od kartek i popielniczki, które tu zastali. Wyglądało to jak plansza do gry w monopol, na której dwaj gracze rozdzielili między siebie pulę nieruchomości. Po obu stronach ulicy wznosiły się kupione przez nich budynki, a tymczasem Olaf, trzeci gracz, miał pecha i wylądował w więzieniu. Pomyślał, że warto sprawdzić, czy ma dość pieniędzy, żeby się wykupić. Zamierzał spytać o to swojego obrońcę, który właśnie porozumiewał się z prokuratorem jakimiś niezrozumiałymi formułkami. Mnóstwo było w tym liczb i paragrafów, podobnie jak w gadce policjantów w aucie. Zastanawiał się, jak włączyć się do rozmowy, ale nagle stwierdził, że jego język waży tonę, podobnie jak powieki i złączone łańcuchem dłonie. Granatowe niebo napierało na szyby, aż w końcu przelało się szparami w oknach i zaczęło wypełniać pokój. Zgęstniało wokół niego niczym galareta. Nie mógł mówić ani się ruszyć. Odpłynął w jakiś inny wymiar, gdzie już na niego czekała.

Nieobecność terażniejszości. *Absence of the presence*. Rzędy postaci naturalnej wielkości pozbawione głów, człekokształtne skorupy z utwardzonego płótna.

– Ciekawy tytuł – zauważył, a Agnieszka spojrzała na niego z uśmiechem, jakby czekała na puentę żartu. On jednak pozostał poważny. – To motto mojego życia.

– Jesteś nieobecny? – spytała, również poważniejąc.

– Byłem.

Odwróciła się do niego. Jej falujące, opadające na ramiona włosy w snopach światła wyglądały jak ze złota. Uświadomił sobie, że trzymają się za ręce, a nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się za nie chwycili. Gest, którego z innymi kobietami unikał jak ognia, z nią wyszedł naturalnie. Jak u dziecka, które sięga po dłoń mamy, pomyślał, i zaskoczyło go to skojarzenie.

– A teraz?

Uśmiechnęła się, a jej twarz ożyła niczym kwiat, który rozchyła płatki.

– Gdzie jesteś teraz? – spytała.

– Tutaj.

– Znam tamtą sprawę, ale pani Pujszo wycofała skargę, nie wolno brać jej pod uwagę.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Słucham?

Dopiero po chwili dostrzegł portret hipopotama wiszący na ścianie. Zza kwadratowych zębów dobiegał bas:

– Jak podałem w uzasadnieniu, nie jest to jedyna przesłanka do zastosowania aresztu.

– Nie ma bezpośrednich dowodów wskazujących na mojego klienta – odpowiedział mu cieńszym głosem wypchany borsuk z nastroszonymi brwiami, stojący obok. – Apeluję o zwolnienie zatrzymanego, żeby zeznawał z wolnej stopy. Znajduje się w stanie głębokiej depresji, wymagającej leczenia psychiatrycznego.

– On po prostu milczy. W zasadzie to jak przyznanie się do winy.

– Bynajmniej.

– Czy podejrzany przyznaje się do winy?

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko szum wentylatora. A potem westchnienie, jakie wydaje człowiek prostujący plecy po wielkim wysiłku. Mężczyźni utkwili spojrzenia w aresztowanym, który mrugał, parskał i pocierał twarz, jakby wynurzył się z wody. Prokurator nadał obwisłe jak u hipopotama policzki i poluzował zaciśnięty na szyi krawat.

– Czy podejrzany... zasnął?

Adwokat przeprosił w imieniu swojego klienta i próbował podjąć wątek jego problemów psychicznych, ale gospodarz posiedzenia przerwał mu gestem. Drapał się w podbródki rozlane swobodnie ponad kołnierzem koszuli.

– Rozumiem, że zrezygnował z obrony, to jego prawo – zaczął grubym głosem niezdradzającym emocji. Wyjął chusteczkę, by wydmuchać nos, a następnie przetrzeć nią czoło. – Po tym, co zrobił, to naturalne, i dowodzi logicznego rozumowania. Sprawa jest przegrana, szkoda fatygi. Niech pan weźmie z niego przykład, mecenasie.

– Nie wydaje mi się...

– Musi jednak okazywać minimum szacunku, nawet nie mnie, tylko urzędowi, który reprezentuję. Bo nie ma takiej kary, której nie można zaostrzyć, jeśli wkurzy się nieodpowiednich ludzi.

– Muszę zauważyć, że to zabrzmiało jak groźba użycia środków nieproceduralnych.

– Trudno, musimy z tym żyć – mruknął prokurator. – Czy podejrzany może potwierdzić, że zrozumiał zarzuty?

Natrafił na zamglone spojrzenie człowieka wybudzonego z drzemki.

– Zapoznam go z nimi.

Obietnicy prawnika towarzyszyło stłumione ziewnięcie jego klienta.

Absence of the presence. Według krytyków rzeźba Małgorzaty Abakanowicz wyrażała anonimowość jednostkowej egzystencji i jej alienację w tłumie. Nie należeliśmy do koneserów sztuki nowoczesnej, bawiły nas te metafory ze zlepionych płócien i chyba dlatego uznaliśmy się nawzajem za odpowiednie towarzystwo podczas wizyty na awangardowej wystawie. Po kawiarnianym stoliku i łóżku taka mobilna łoża szyderców mogła być kolejnym miejscem, w którym razem poczujemy się dobrze. Chcieliśmy też może zobaczyć się w ubraniach w otoczeniu, w którym nie wolno ich zrzucić? Trzeci tydzień związku, kiedy przełamane lody dawno stopniały, a erotyczne iskry zamieniają się w prawdziwe fajerwerki, to faza eksperymentów.

Tymczasem już w pierwszej sali poraził mnie wzbierający od spotkania na ulicy zachwyt. Kobieta o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych rzucających cienie przy uśmiechu, z łukowo wygiętymi brwiami, oplatała palcami moją dłoń. *Absence of the presence?* Nigdy wcześniej nie byłem bardziej *presence*. Olśniło mnie arcydzieło, które przyprowadziłem tu ze sobą. Batalion szmacianych mumii zlał się w nieostre tło.

– Gdzie jesteś teraz?

Puściłem jej dłoń, objąłem ją i wsunąłem palce pod bluzkę. Musnąłem ciepłe plecy i przesunąłem opuszkami po kręgosłupie, czując drżenie napiętej skóry. Zanurkowałem pod pasek spodni i nie spuszczać wzroku z jej twarzy, dotarłem do ciasnego rowka.

– Tutaj.

Jej pogłębiony nagle oddech przyspieszył, a padające z boku światło wydobyło załamane szyi, w którym uderzał puls. Coraz mocniej i mocniej, tak mi się przynajmniej wydawało. Jej oblicze wyjrzało zza odgarniętych włosów jak słońce zza chmury.

– To co się mówi? – spytała.

Patrzyłem w jej twarz i pomyślałem, że to godne zwieńczenie wszelkich pozbawionych głów posągów. Nike z Samotraki wreszcie odzyskałaby rysy. Czuję pod palcami twardość jej pośladków i żar bruzdy między nimi, a patrzyłem na dzieło sztuki. Nie mogłem uwierzyć, że odbieram te bodźce jednocześnie. Dotknąłem tajemnicy

– parzącego kamienia. Świat skurczył się do punktu na koniuszku mojego palca.

Czy to jest właśnie to, czego chcą wszyscy? – pomyślałem. – To wielkie M?

Od kiedy ją poznałem, wszystkie jałowe sprawy dnia codziennego zyskały smak, jak od soli. Wciąż unikałem konkretnych określeń. Bałem się, że ich wyświechtane brzmienie wszystko zepsuje.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Proszę.

Była tak blisko, że czułem na policzku drżenie jej warg.

A po chwili patrzyłem w pustkę. Głowa znikła, ze smukłej szyi został tylko pasek skóry. Ze spokojem osiągalnym tylko we śnie przysunąłem się i zajrzałem do środka. W czarny tunel, w studnię bez wody. Jej dłoń, którą wciąż ściskałem, zrobiła się lepka i porowata. Stała w rzędzie obok innych pozbawionych głów postaci.

Wyszyński patrzył w lusterko na mężczyznę ściśniętego na tylnym siedzeniu między oknem a podłokietnikiem oddzielającym go od sierżanta. Zgarbiony, z włosami opadającymi na oczy i opuszczonymi kącikami ust, znowu spał. Komisarz od dłuższej chwili zachodził w głowę, co też mu się śni. Dwukrotnie zgwałcił, a raz zabił kobietę. W pierwszej sprawie zadbał o zatarcie śladów – dlatego nie trafiła do kartoteki mężczyzny, musiał doszperać się jej w archiwum – ale w drugim przypadku nawet i to nie. Nie bronił się, przed chwilą, w rozstrzygającym dla siebie momencie, uciał sobie drzemkę. Czy zboczeniec nie chciałby nadal oddawać się zboczeniu? Przecież musiał wiedzieć, co go czeka w więzieniu, dokąd pójdzie „w majty” (jak grypsujący nazywają wyroki za przestępstwa seksualne). Owszem, będzie uczestniczył w gwałtach, ale raczej nie jako strona aktywna. System więzienny nie jest doskonały, a według Wyszyńskiego ma większe wady niż stosowanie wobec gwałcicieli zasady oko za oko. Kara powinna boleć, żeby odstraszać innych, to banał, jednak wiele systemów penitencjarnych zaprzecza idei, do której realizacji zostały powołane. Nie dalej niż wczoraj podali w radiu, że Anders Breivik, zabójca siedemdziesięciu siedmiu osób w słynnej masakrze sprzed kilku lat, złożył oficjalne zażalenie na brak dostępu do gier telewizyjnych. Znudziły go ćwiczenia na własnym sprzęcie fitness, spacer i książki.

Na szczęście tu nie Norwegia, polskie więzienia na ogół ofiarują swoim rezydentom to, na co zasługują.

Snując te rozważania, wykraczał poza obowiązki komisarza na służbie, ale coraz bardziej świadomie przymierzał się do pisania. A w powieści, nawet takiej opartej na faktach, czasem trzeba wejść pod podszewkę zdarzeń i pokazać motywację postaci. W ramach ćwiczenia warsztatowego przyjął po namyśle, że Olaf Dziki, w przeciwieństwie do psychotycznego Norwega, zachował resztki sumienia. Przyjmuje karę jako sprawiedliwą konsekwencję swoich czynów. W amoku zabił kobietę, a teraz tego żałuje. „Morderca stanął przed obliczem Temidy i przybity ogromem swoich zbrodni stracił przytomność” – mógłby to lapidarnie podsumować, tylko trochę wychodząc poza suchą relację.

– Chyba usypia go szum.

Okazało się, że Siwiec również analizował zachowania podejrzanego.

– To się często spotyka. Mówili o tym w *Galileo*.

Głos sierżanta wyrwał podejrzanego ze snu. Westchnął, podniósł głowę i rozejrzał się zdezorientowany. Sierżant pochylił się w stronę zwierzchnika, żeby rozwiać wątpliwości, do kogo się zwraca.

– Podobno kiedyś, dawno temu, pierwsi ludzie mieszkali nad morzem. Tak mówili w tym programie. I to gdzieś siedzi do tej pory. W głowie. W ludziach. Że lubimy szum. Dlatego czasem trzeba włączyć dzieciakowi suszarkę przy łóżku, żeby zasnął. Tego uspił wentylator, tam, na sali, a teraz silnik. – Wyszyński zaczął czuć drętwienie w tyle głowy, które odzywało zawsze, gdy dłużej słuchał Siwca. – Teoretycznie najlepiej by się spało na jakimś materacu na wodzie – ciągnął z namysłem sierżant. – Albo na łóżku wodnym, czyli takim z wodą w materacu, w środku, znaczy. Nie próbowałem, ale mój teść chce sobie podobne kupić. Tylko takie łóżko nie szumi. Chyba.

Rozległ się dzwonek telefonu. Komisarz z ulgą wyjął komórkę i odebrał połączenie.

– Tak?

– Dzień dobry, tu młodszy aspirant Piotr Wieteska z komisariatu na Żeraniu. Jestem kolegą Woźniaka, gramy razem w orkiestrze. Chciałbym z panem porozmawiać na temat „Dzikiej Nocy”...

Wyszyński ze zdumieniem zarejestrował nieformalny kryptonim swojego śledztwa. Trafny, trzeba przyznać.

– Ale pan prowadzi auto, nie będę przeszkadzał.

Komisarz nie chciał wdawać się w zbędne tłumaczenia.

– Mam system głośnomówiący – mruknął. – O co chodzi?

W słuchawce rozległo się chrząknięcie.

– To dlaczego go pan nie włączy?

– Jakim cudem... – zaczął Wyszyński, ale rozmyślił się w pół zdania.

– Włączyłem.

– Yyy... Doprawdy?

– O czym chciał pan porozmawiać?

– No więc słyszałem to nagranie – powiedział młodszy aspirant po chwili wahania.

– Zaskoczyło mnie brzmienie muzyki w tle. Podobno na miejscu zbrodni znajduje się nietypowy sprzęt.

– Jakie nagranie? – warknął Wyszyński. – Zabiję Woźniaka...

Po drugiej stronie znowu zapadła cisza.

– Dobra, nieważne – machnął ręką. – Na łódce faktycznie jest jakiś dziwny odtwarzacz.

– Jakiej firmy?

Komisarz zmarszczył brwi, po czym zasłonił ręką słuchawkę i spojrzał w lusterko.

– Sprzęt na łódce. Jaka firma?

Siwiec podrapał się po głowie, a jego towarzysz wsparł się na podłokietniku i popatrzył czujnie. Wyszyński dał im parę sekund, zanim oderwał wzrok od lusterka i odsłonił mikrofon.

– Nie wiem. Ale na głośnikach jest logo z megafonem i napis...

– ECHO?

– Być może.

– Muszę tam pojechać. – W głosie aspiranta zabrzmiało podniecenie. – Na łódkę.

Zabiorę sonometr... To może mieć kluczowe znaczenie dla pańskiej sprawy.

Nieco zaskoczony Wyszyński obiecał, że o tym pomyśli i oddzwoni po południu.

Rozłączywszy się, znowu spojrzął w lusterko. Podejrzany siedział prosto i obserwował budynki przesuujące się za oknem. Opatrunek na jego uchu zdobiło parę nowych czerwonych kropek.

– Teraz sędzia klepnie wniosek i wracasz do nas. A wieczorem do Mariotta.

Słowa sierżanta przeszły bez echa.

– Do aresztu, znaczy – wyjaśnił uprzejmie. – Spodoba ci się tam.

Wzrok Dzikiego ślizgał się po krajobrazie i wędrował w dół, a wtedy na jego twarzy malowało się zamyślenie, jak u człowieka, który po dłuższej przerwie odzyskuje kontakt z rzeczywistością.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z prokuratorem?

– Nie udzielam żadnych informacji na temat aktualnie prowadzonych spraw.

– Słucham?

– To ja słucham. Kto mówi i co za debil panią tu przełączył?

– Grażyna Pawłowska. Ja...

– Z jakiej gazety?

– Z żadnej. Mam prośbę. O widzenie. Z oskarżonym Olafem Dzikim.

– Po pierwsze, on jest na razie podejrzany, poza tym widzenia będą możliwe dopiero po osadzeniu go w areszcie... Chwila, co pani powiedziała? Grażyna...

– Grażyna Pawłowska. Rozumiem, że tę prośbę mam złożyć na piśmie?

– Hmm... Proszę chwilę poczekać, zaraz powiem dokładnie, co ma pani zrobić.

Tego dnia Wyszyński spędził na pisaniu zaledwie kwadrans, wykonanie policyjnej normy dziennej musiało zaczekać. Akcja, którą zaproponował prokurator, miała zostać przeprowadzona poza protokołem.

– Mam gdzieś przepisy – oświadczył przez telefon doktor prawa. – Taka okazja się nie powtórzy. Zadzwoniła do mnie, chce mu coś powiedzieć i nie ma czasu na pierdoły.

– Wysłałeś ją do nas? – upewnił się komisarz.

– Będzie za godzinę.

Po namyśle postanowił uprzedzić aresztowanego o wizycie. Od wyjścia z auta – a właściwie od rozmowy telefonicznej na temat sprzętu zainstalowanego na łódce – Dzikiego coraz bardziej interesował się otaczającym go światem. Na wzmiankę o swojej eks ożywił się jeszcze bardziej.

Komisarz odprowadził go do celi i spojrzął na zegarek. Teoretycznie powinien się zająć papierkową robotą, odłożył to jednak na później i wyszedł na okalający komendę

trawnik. Przeciągnął się i spojrzał na szumiące topole. Chodził przez chwilę ze spuszczoną głową, aż natrafił na gałązkę, z której oberwał liście. Poszedł do swojego gabinetu, chwycił leżącą na biurku gazetę i zaczął wydzierać z niej strony. Gdy zadrukowane płachty pokryły niemal całą podłogę, ustawił na środku pomarańczowy sześcian i wyjął z torby kupioną rano farbę. Podważył scyzorykiem wieko puszek i zamieszał zawartość znalezionym patykiem. Zanim przystąpił do pracy, otworzył na oścież okno. Nie spieszył się, mówiąc sobie, że wszystkie oczekujące sprawy załatwi skuteczniej, jeśli się odstresuje. Ognisty kolor gasł stopniowo pod warstwami barwy błota, aż wreszcie tlił się tylko w szparach między listwami, które zaczął atakować czubkiem pędzla.

Gdy zadzwonił telefon, właśnie kończył kłaść drugą warstwę. Zdażył wyjść do łazienki, umyć pędzel, zwinąć gazety i odstawić domek na parapet. Otworzył drzwi, żeby zrobić przeciąg, i wtedy stanął twarzą w twarz z kobietą, która właśnie zamierzała zapukać. Patrzyła zaskoczona spod krótko obciętej grzywki.

– Dzień dobry, ja... – zaczęła niepewnie. – Ja w sprawie odwiedzin, to znaczy... widzenia...

Niemal dorównywała mu wzrostem i nie od razu zauważył, że to zasługa bardzo wysokich obcasów. Miała na sobie czarną marynarkę, fioletową spódnicę we wzory i czarną bluzkę usztywnioną fiszbinami. W uszach dyndały kolczyki, a złoty łańcuszek ginał między ściśniętymi półkulami. Lubiła prowokować albo wyszykowała się specjalnie na tę okazję.

– Zapraszam.

Zamknął drzwi i wskazał kobiecie schody. Szła niepewnie, lekko przygarbiona, jakby dopiero oswajała się ze szpilkami. Spytała, czy na komendzie wolno palić. Na odpowiedź, że tylko elektroniczne papierosy, wzruszyła ramionami. U szczytu schodów zatrzymała się niezdecydowana i zamyślony Wyszyński na nią wpadł. Odskokzyła, zachwiała się, po czym przeproszała długo i zupełnie niepotrzebnie. Komisarz zwalczył pokusę natychmiastowego jej przesłuchania i wydobył zeznań kilkoma celnymi pytaniami. Wiedział już, na czym stoi. Kwadrans i po sprawie, przy napięciu, z którym się właśnie zdradziła, pomyślał, czujny jak ogar, który zwęszył krew. Miał wrażenie, że po dwóch dniach błędzenia w ciemności wreszcie natrafił na szczelinę w murze ciszy i kolejny raz wyrzucał sobie, że nie wezwał jej wcześniej. Teraz jednak musi dotrzymać obietnicy, więc zaprowadził ją do „dźwiękoszczelnej, wolnej od podsłuchów sali”. Potem przeszedł do pokoju obok, by wraz z sierżantem zasiąść przed monitorem wyświetlającym obraz z zainstalowanej tam kamery.

– Robimy z tego notatkę?

Najwyraźniej Siwiec też czuł presję służbowych obowiązków.

– Z czego? Przecież tu nikogo nie ma.

Na monitorze widać było stół, prawy profil siedzącej przy nim kobiety i lewy mężczyzny z opatrunkiem na uchu.

– Mikrofon działa? – upewnił się.

Sierżant ustawił głośność na maksimum. W milczeniu czekali na rozwój wypadków.

– Chciałam przynieść ci coś dobrego, ale nie wiedziałam, czy można ci zostawić – dobiegł z głośnika stłumiony głos. – Następnym razem coś przygotuję... Na co masz ochotę?

Czekała chwilę, po czym przygryzła wargę i pochyliła się. Łańcuszek i jego falujące okolice znajdowały się na wprost twarzy mężczyzny.

– Pewnie się zastanawiasz, co tu robię – powiedziała cicho. Przesunęła rękę w jego stronę. – Sama nie wiem. Jeszcze tydzień temu o tym marzyłam... Chyba wykrakałam to, co was spotkało.

Uśmiechnęła się, albo skrzywiła – z profilu trudno było to ustalić.

– Kiedy się dowiedziałam, pomyślałam, że wreszcie będę miała święty spokój, a teraz... Przykro mi, że tak się stało.

Odwróciła głowę, nagle ukazując całą twarz: zmrużone oczy, zapadnięte policzki i opuszczone kąciki ust. Zabrała rękę z blatu i potarła oko. Po chwili znowu spojrzała na Dzikiego.

– Podoba ci się? – spytała lżejszym tonem, dotykając swoich włosów. Czekała w napięciu na jakąś reakcję – wraz z policjantami za ścianą – ale się nie doczekała. Prostując się zebrała pod szyją klapy marynarki.

– Za co mnie tak nienawidzisz?

Odetchnęła głęboko i musnęła powieki wyjętą z kieszeni chusteczką.

– Potrzebujesz czegoś? – spytała po chwili już spokojniejszym głosem, w którym tylko chryпка zdradzała wzruszenie.

Po kolejnej minucie ciszy komisarz odwrócił się do laptopa na biurku. W okienko przeglądarki wpisał adres portalu i zalogował się na swój profil. Z całej listy Grażyn Pawłowskich, która się wyświetliła, wybrał pierwszą pochodzącą z Warszawy. Na zdjęciu uśmiechnięta brunetka pozowała na tle górskich szczytów. Jej włosy opadały na ramiona.

– Z długimi jej lepiej – orzekł sierżant, wodząc wzrokiem między ekranami.

Komisarz podniósł słuchawkę i wybrał numer laboratorium.

Piotr Wieteska, młodszy aspirant z komisariatu na Żeraniu, zamknął podręcznik i jeszcze raz spojrzał na ekran komputera. W specyfikacji głośników, którą ściągnął ze strony producenta, górny zakres podano w przybliżeniu, dokładny wynik zależał od akustyki otoczenia. „Okolo dwudziestu kiloherców” mogło znaczyć osiemnaście, ale też, w sprzyjających okolicznościach, dwadzieścia parę. Słabe sygnały takiej częstotliwości mogą odstraszyć komary i zmylić przelatujące nietoperze, odpowiednio skupione, rozbijają kamienie nerkowe. Muzyka z najlepszej kolumny nie pozostawi na piersi ran klutych, to prawda, ale może skutecznie przyczynić się do ich powstania. Skoro głośne ultradźwięki „powodują stres i wzrost ciśnienia”, jak twierdził autor artykułu, powołując się na tajemnicze eksperymenty, to mogą też wywołać agresję.

„Przeznaczony do małych pomieszczeń. Przy odpowiedniej akustyce daje wrażenie powiększenia istniejącej przestrzeni i przenosi słuchacza do katedr i sal koncertowych” – pisał producent w notce reklamowej. Obdarzony słuchem absolutnym aspirant, absolwent szkoły muzycznej i trębacz w policyjnej orkiestrze, od dawna pragnął usłyszeć

to cudo.

Niesłyszalne dla człowieka rejestry nie ograniczały się do ultradźwięków, nieodparcie nasuwała się tu druga możliwość. Najpierw jednak chciał sprawdzić tę pierwszą. Lubił pracować metodycznie: w archiwum pełnym akt zawsze zaczynał poszukiwania od górnej półki.

Grzmot za oknem zaczął się od niskiego dudnienia zbliżającego się w równym, pulsującym rytmie. Jakby ktoś rzucił pod miastem gigantyczną kulę toczącą się ulicami w stronę wieżowców, skupionych w osiedle jak kręgle. Zamknął laptop, wstał i zbierając poły szlafroka, podszedł do okna. Gdzieś w oddali zawył pies, szyby w oknach zadzwoniły, a dwie jaskółki sfrunęły z dachu. Jeśli burza nie przejdzie bokiem, komisarz odwoła wizję lokalną. Wieteska zaklął cicho, zawiedziony, i zaczął się zastanawiać, czy nie udałoby mu się wejść na jacht mimo to.

Grażyna wodziła wzrokiem po meblościance wypełnionej głównie segregatorami. Na wyższych półkach stały książki: podręczniki o nieczytelnych tytułach, kilka czarnych tomów tej samej wielkości, chyba kryminały z jakiejś serii. Za uchylonymi drzwiami widać było kawałek kasy pancerniej z na wpół zdrapaną naklejką „Obcym wstęp wzbroniony”.

A w otwartym oknie stał brązowy prostopadłościan. Zmyłona chemicznym zapachem pomyślała, że to akumulator albo inne urządzenie wyjęte z auta, a potem zobaczyła otwór i charakterystyczny patyczek pełniący funkcję podnóżka. Budka dla ptaków ustawiona w oknie komendy wyglądała raczej jak pułapka na nie. Nie miała głowy do analizowania tego fenomenu, za bardzo była na siebie zła, zmęczona i wystraszona. To przekłete miejsce mogło się okazać pułapką i dla niej. Co ją podkusiło, żeby tu przyjechać? Brawura dzisiaj rano na moście być może uratowała jej życie, ale potem okazała się fatalnym doradcą.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł policjant. Ten sam, który wcześniej ją tu powitał, zaprowadził na upokarzającą rozmowę – a raczej monolog – do sali na piętrze, po czym przyprowadził tu z powrotem. Usiadł za biurkiem, na którym położył plastikowy pojemnik i dyktafon. Włączywszy urządzenie, przesunął je w jej stronę. Patrzył na nią, nerwowo zaciskając powieki.

– Kiedy ostatnio widziała pani swojego narzeczonego? – Jego głos brzmiał sucho, jakby wygłaszał wielokrotnie powtarzaną formułkę. – Pomijając, oczywiście, dzisiejsze spotkanie.

Założyła nogę na nogę, po czym usiadła prosto, jakby się rozmyśliła. Poprawiwszy spódnice, znowu skrzyżowała nogi, tym razem zakładając drugą na tę pierwszą, raczej nieświadomie kopiując słynną scenę z *Nagiego instynktu*. Ze swojego miejsca komisarz widział ją tylko od pasa w górę, ale nie podejrzewał, żeby to wiercenie się miało podtekst erotyczny. Czarny żakiet był już zapięty po szyję, zaczerwienione oczy i nos dobitnie obrazowały klęskę strategii prowokacji. Wyglądała jak kwiat, który zwinął płatki. Trafnie ją ocenił, nie była typem drapieżnej femme fatale, raczej szarą myszką desperacko i nieumiejętnie używającą tego, co w literaturze określa się mianem kobiecych sztuczek.

– Nie jest już moim narzeczonym.

– Pani byłego narzeczonego.

– Nie pamiętam.

Wciąż próbował pochwycić jej spojrzenie ślizgające się dookoła, jakby śledziła niewidzialną muchę krążącą pod sufitem.

– Tydzień? – drażył. – Miesiąc temu?

– Nie pamiętam.

– A kiedy obcięła pani włosy?

Spojrzała na niego zaskoczona, ale szybko opuściła wzrok. Odruchowo przesunęła palcami po grzywce.

– Nie wiem... tydzień... nie, dziesięć dni temu.

– Dziesięć dni?

– Tak.

Policjant odwrócił się w stronę wiszącego na ścianie kalendarza.

– Dziewiętnastego sierpnia?

Podążyła za jego spojrzeniem.

– Czy to był wtorek? Tak.

– A więc była pani na łódce „Szkłane Żądło” później. Może dwudziestego szóstego sierpnia? – Teraz ona zamrugwała i zawahała się. Ustawiła obie stopy na podłodze i wbiła wzrok w czubki czerwonych pantofli. – Tak czy nie?

Zacisnęła palce na rąbku marynarki.

– Już mówiłam, że nie pamiętam...

Komisarz sięgnął do szuflady po pudełko na dowody, otworzył je, a następnie przechylił tak, by zobaczyła zawartość.

– Znaleźliśmy je na łódce.

Patrzyła na dwa czarne włosy długości zapałki.

Zawahała się.

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, pomyślała przelotnie: to tak wygląda przesłuchanie. Coś jak wypełnianie kalendarza z zajęciami, tylko wstecz. Łamigłówka. Trzeba przypomnieć sobie fakty, posegregować je i ustawić we właściwej kolejności. I dokonać selekcji na tajne i jawne. To nie pułapka, tylko labirynt, z którego trzeba znaleźć wyjście. Puściła rąbek marynarki, wyprostowała się i odkasznęła.

– Może musieliśmy porozmawiać?

Trzasnęła pokrywka i pojemnik wrócił do szuflady.

– Byłbym wdzięczny, gdyby nie odpowiadała pani pytaniem na pytanie.

– No więc musieliśmy porozmawiać.

– Kiedy?

Znowu spojrzała na kalendarz, ale tym razem szklanym, niewidzącym wzrokiem.

– Nie pamiętam dokładnie.

– Czy był tam ktoś oprócz was?

– Nie.

– Kiedy konkretnie to było?

– Jak mówiłam, nie pamiętam...

– Radzę sobie przypomnieć, bo w tej chwili jest pani podejrzana o morderstwo.

Poczuła zimny powiew, jakby nagle otwarto drzwi i w pokoju zrobił się przeciąg. Skóra na jej nosie zbladła, uwidaczniając parę piegów. Osiem, jak po chwili ustalił komisarz.

– Chyba pan żartuje. – Musiała włożyć sporo wysiłku, by nadać głosowi naturalne brzmienie. Oczami wyobraźni widziała na ścianie labiryntu drzwi z napisem „wyjście”, oddalające się w przyspieszonym tempie.

– Była pani na miejscu zbrodni, zostawiła ślady i widziano tam pani samochód. Miała pani motyw, żeby zabić Agnieszkę Malik.

– Motyw?

Komisarz już chciał jej przypomnieć, że życzyła denatce śmierci i sama przed chwilą wyznała to swojemu byłemu, ale w porę ugryzł się w język.

– Była kochanką pani narzeczonego. Pograża panią również to, że zamiast podzielić się ze mną jakąkolwiek użyteczną informacją, pani wciąż zadaje mi pytania. Utrudnianie śledztwa – na to jest osobny paragraf.

Przełknęła sucho i odchrząknęła. Koleczki zakołysały się, gdy odwróciła głowę, spoglądając za okno. Jej dolna warga zadrżała, więc ją przygryzła.

– Dobrze, spróbujmy inaczej. Czy znała pani denatkę?

Szklana fasada biurowca przy Brackiej była pofałdowana i przechodnie, spoglądając w nią, mogli się poczuć jak w gabinecie luster. Spieszące chodnikiem kobiety były jednak zbyt zaabsorbowane rozmowami przez komórki i popijaniem kawy z papierowych kubków, a większość facetów zaabsorbowana obserwacją mijanych kobiet. Przez piętnaście minut, które Grażyna spędziła na ławce po drugiej stronie ulicy, dokonała paru ciekawych obserwacji. Na przykład nie zauważyła kobiety, która nie niosłaby czegoś w rękach. Ani mężczyzny, który niósłby cokolwiek poza komórką. Regułę tę łamali tylko rozdawacze ulotek i żebracy, którzy w popołudniowym szczycie mieli pełne ręce roboty, bez względu na płeć.

Wreszcie z biurowca wyszła wysoka blondynka w szarym swetrze z czarnym wykończeniem. Wystawiła twarz do słońca, a po chwili sięgnęła do skórzanej torebki po ciemne okulary. Dopasowane džinsy z podwiniętymi nogawkami odsłaniały opalone kostki, z których jedną zdobił złoty łańcuszek. Mimo że na nogach miała trampki, górowała wzrostem nad mijanymi kobietami w szpilkach i nad większością mężczyzn. Krocząc powoli chodnikiem, zdjęła sweter i przewiesiła go przez ramię. Zatrzymała się na rogu, odwróciła do szklanej ściany budynku i uśmiechnęła na widok swojego zdeformowanego odbicia. Przesunęła dłonią po włosach, pozostawiając je w jeszcze większym nieładzie niż wcześniej.

Za biurowcem znajdował się skwerek, pomiędzy sztachet jego ogrodzenia wystawały kiście drobnych kwiatów. Czekać na zielone światło, sięgnęła dłonią, przygięła jedną z gałęzi i zanurzyła nos w fioletowych płatkach. Gdy sygnalizator zaczął tykać, puściła ją i odwróciła się tanecznym półobrotem. Przeszła na drugą stronę ulicy, skręciła na parking i wsiadła do szarego fiata.

Dopiero wtedy Grażyna wstała i korzystając z niewielkiego ruchu, przeszła przez jezdnię, przemykając między autami. Spojrzała na swoje groteskowo skrócone odbicie. Rozjaśnione szamponem koloryzującym włosy, zamiast strzelać wesoło na wszystkie strony, opadały smętnie ciężkimi pasmami na ramiona. Odwróciła się, podeszła do krawężnika i spojrzała na odjeżdżający samochód. Powtarzając w pamięci jego numer rejestracyjny, bezwiednie sięgnęła po gałązkę, którą kobieta przed chwilą wachała. Ale choć stanęła na palcach, tylko ją musnęła, strącając na chodnik kilka płatków.

Komisarz patrzył wyczekująco na kobietę, tym razem bez jednego mrugnięcia.

– Proszę sobie przypomnieć.

Niebo widoczne ponad budką dla ptaków przecięła jaskółka. Cyjan z domieszką granatu, pomyślała machinalnie Grażyna, odrobina nakładanej kolistymi smugami bieli uzupełni tło, a potem śmiała czarna kreska. I gotowe. Zapach świeżo pomalowanego domku kojarzył się z zagruntowanym płótnem i tłustymi kleksami farby. Niemal poczuła w dłoniach ciężar palety i pędzla. Pochłonięta myślami, usłyszała swój głos:

– Poznałam ją dziesięć dni temu.

Policjant przesunął dyktafon w jej stronę, jakby chciał się upewnić, że zarejestruje każde słowo.

– A więc w dniu, w którym obcięła pani włosy... Przypadek?

Zamrugała szybko, a on otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką.

– Nieważne. W jakich okolicznościach się poznałyście?

Przeklinała się za moment nieuwagi, za to, że powiedziała o jedno słowo za dużo. Ale zaraz zrozumiała, że tak miało być, klamka zapadła w momencie, gdy tu przyszła. Brawura plus potrzeba rozładowania narastającego od wielu dni napięcia kazały jej złapać byka za rogi. Pytanie, jaką cenę przyjdzie jej za to zapłacić.

– Przeczytałam jej e-mail – powiedziała, a właściwie pozwoliła płynąć słowom.

– W podpisie była nazwa firmy. Pojechałam tam.

– Śledziła ją pani?

Słońce za oknem przesłoniła ciemna chmura. Jedyнным źródłem błękitu stały się teraz oczy policjanta, patrzące nieruchomo ponad biurkiem. Intensywny kolor nasuwał skojarzenia z krą na rzece, tylko pozornie identyczny z barwą nieba, emocjonalnie odległy od niej o kilkadziesiąt stopni Celsjusza. Trzeba skoczyć w tę głęboką wodę, właśnie po to tu przyszła, to był jej odroczonego skok na główkę do rzeki. Spotkanie z Olafem stanowiło tylko pretekst, od rana chciała wyjść z wiru urojeń, w którym spędziła ostatnie pół roku, i zmierzyć się z przeznaczeniem.

– Przez chwilę – zaczęła. – W poniedziałek i wtorek, dwa tygodnie temu. Zorientowałam się, gdzie pracuje, czym jeździ, gdzie jada lunch...

– W jakim celu?

Kąćki jej ust znowu zadrgały, a potem się uniosły. Mówiła spokojnie, nawet z lekkim politowaniem, jakby tłumaczyła dziecku coś oczywistego:

– Żeby się zemścić.

Na budce dla ptaków przycupnął wróbel. Zatrzepotał skrzydłami i przez chwilę wydawało się, że nie może poderwać się do lotu, przyklejony do świeżo pomalowanej powierzchni.

Policjant znowu przesunął dyktafon o parę milimetrów.

– I zrobiła to pani?

Następnego dnia Agnieszka poruszała się jak na zwolnionym filmie. Ożywienie ustąpiło apatii, jakby w nocy spadła na nią jakaś tragedia albo miała za sobą wielki wysiłek, i Grażynie od razu stanęły przed oczami pikantne ilustracje tego przypuszczenia. Nie wyglądała na fankę fitnessu, coś w jej leniwym zachowaniu nie pasowało do wizerunku sportsmanki. Co może fizycznie zmęczyć zakochaną kobietę? Raczej nie samotny jogging. Przejęta mrocznymi fantazjami, Grażyna na chwilę straciła czujność, przysunęła się, zamiast odsunąć, pozwoliła opaść okularom i nagle siedziały naprzeciwko siebie, bez żadnej przeszkody na linii wzroku. Czas stanął w miejscu i patrzyła tamtej w oczy, truchlejąc i przeklinając w duchu swoją głupotę.

Tak jak podejrzewała, ciekawość działała w obie strony i Agnieszka znała jej twarz. Pokazał jej zdjęcie, a może wyszukała je sama – nieistotne. Ściągając brwi, spuściła głowę i zaczęła studiować menu, ale zaraz spojrzała jeszcze raz. Grażyna poprawiła okulary, odwróciła się bokiem i pochyliła nad komórką, udając, że pisze. Kątem oka widziała, jak tamta podpira głowę ręką i z namysłem przygryza czubki paznokci. Nagle skrzywiła się i spojrzała na wyprostowane palce. Drugą ręką sięgnęła po torebkę, wyjęła z niej pilniczek i zaczęła poprawiać manicure. Grażyna schowała komórkę i sięgnęła po stojący na stole kartonik z zestawem dnia. Ciemne szkła utrudniały czytanie, nie chciała jednak ich zdjąć, więc literka po literce odczytywała nazwy dań. Gdy podniosła głowę, Agnieszka stała przy jej stoliku.

– Dzień dobry.

Jej wcześniejsza senność znikła bez śladu, była niepewna i rozbawiona, jak ofiara sytuacyjnego żartu, która postanawia sprawdzić, o co chodzi. Podekscytowana chciała przyłączyć się do zabawy, jeśli ta okaże się tego warta.

– Można? – spytała i nie czekając na zaproszenie, zajęła wolne krzesło. Założywszy nogę na nogę i bujając stopą w czerwonym trampku, otaksowała Grażynę od butów po ufarbowaną grzywkę.

– Raczej nie trafiłaś tu przypadkiem, co?

W jej głosie nie było zdenerwowania, prędzej przyjazne zaciekawienie. Tymczasem obręcz na gardle Grażyny zaciskała się coraz mocniej, a pot nakłuwał skórę jej głowy tysiącem igiełek. Jakaś odległą częścią świadomości zarejestrowała lekkie zatarcie kreski w kąciku oka tamtej i maźnięcie szminką wychodzące poza kontur górnej wargi. Podkład też leżał nierówno, warstwa z lewej strony była grubsza niż z prawej. No i te pospiesznie opiłowane paznokcie. Skazy, które uszłyby uwagi każdego faceta, przegranej rywalce rzucały się w oczy. Pomimo stresu, który teraz czuła, w tyle jej głowy krążyło odwieczne pytanie porzuconej kobiety: co on w niej widzi? Tamta jakby odczytywała jej myśli.

– Chyba za bardzo mnie nie lubisz, co?

Trudno powiedzieć, jakiej reakcji oczekiwała. Nie doczekawszy się żadnej, wyciągnęła rękę i przedstawiła się. Grażyna odruchowo wyciągnęła swoją i ściskając zaskakująco delikatną przy pokaźnej posturze, gorącą dłoń tamtej, westchnęła w myślach: to ostatnia rzecz, której potrzebowałam. Zostajemy koleżankami. Do sromotnej porażki dodała upokorzenie.

Pełna sromota. Rywalka mnie zasromiała.

– Słuchaj, coś ci powiem – ciągnęła tamta tonem przyjacielskiej pogawędki.
– W zeszłym roku sama miałam niefajną przygodę. Spotykałam się z jednym adwokatem i nagle dostałam od niego SMS: „Szoruj tyłek, zaraz będę”. Tylko że on bawił wtedy na konferencji w Kopenhadze, a ja byłam w Warszawie. Nie chodziło o mój tyłek, rozumiesz? Pomylił numery.

Cmoknęła parę razy i pokręciła głową.

– Chorowałam miesiąc, aż nagle dotarło do mnie, że... że...

Odwróciła się i sięgnęła po gazetę leżącą na sąsiednim stoliku.

– Że „W klinice Budzik świadomość odzyskała czternastoletnia Ola” – przeczytała nagłówek. – Albo tu, o: „Pancerne wozy przekraczają granice Donbasu. Będzie wojna czy nie?” – Odłożyła gazetę i wskazała na nią palcem. – To są ważne sprawy. To znaczy wtedy były inne sprawy, ale rozumiesz, o co mi chodzi? O doniesienia, które dają realną perspektywę. Brak faceta to naprawdę nie jest dramat.

Milczenie rozmówczyni w ogóle jej nie przeszkadzało, mówiła coraz swobodniej. Nie ona doprowadziła do tego spotkania, ale odnalazła się w nowej sytuacji i przejęła inicjatywę. Z każdą chwilą wracał jej niewymuszony wigor i pewność siebie, które Grażyna zaobserwowała wczoraj na ulicy.

Tymczasem ona, pod naporem tej krzywo umalowanej, gadatliwej i sympatycznej kobiety, rozpadała się na kawałki. Jakaś jej część pałała nienawiścią i życzyła tej kobiecie śmierci w męczarniach. Zwyczajny zgon nie powetowałby krzywdy, jaką jej wyrządziła. Z drugiej strony ulegała urokowi bezpośredniego stylu bycia, atmosferze siostrzanej komitywy, którą tamta roztaczała. Krytyka facetów i apel o dystans do nich to niezawodna platforma porozumienia kobiet po przejściach. Solidarność jajników – taa, oczywiście... zawsze.

A pod spodem obca, na pół tylko świadoma częśćka Grażyny wchodziła w skórę jej kochanka, zachwyconego tym zadziornym seksapilem dziewczyny „prosto z łóżka”. To właśnie była jej siła – olśniło ją – i odpowiedź na pozornie retoryczne pytanie. Perfekcyjna niedoskonałość, aura rozlazłej, gotowej na wszystko smakoszki życia – oto, CO ON W NIEJ WIDZIAŁ.

To i metr osiemdziesiąt zgrabnego ciała, dodała zaraz z samobójczą sumiennością. Długie nogi, pełne piersi, muśnięte słońcem przedramiona przechodzące w dłonie trzepocące jak motyle z lakierowanymi skrzydłami. Od czasu do czasu pocierały powiekę, wyjaśniając zagadkę rozmazanej kreski.

– Przepraszam, że mówię nieskładnie, krótko spałam...

Wyobraźnia Grażyny znów zaczęła pracować, gdy nagle kolejne muśnięcie odsłoniło przyciemnienie przebijające spod grubszej warstwy podkładu. Do sumy swoich

obserwacji dodała szokujący detal: królowa życia miała podbite oko.

Kiedy byłem mały, sądziłem, że ciało – ludzkie czy zwierzęce – to jednorodna masa nasączona krwią, która wypływa przy skaleczeniach. Nie zastanawiałem się nad zasadą działania organów wewnętrznych. Na przykład jeśli chodzi o mięśnie, wystarczała mi opowieść przedszkolanki o drużynie krasnoludków, które uwijają się pod skórą ludzi, by unosić ich ręce i nogi. Chyba przyjąłem, że tak właśnie działa też cała reszta. Aż pewnego dnia zszedłem do piwnicy, w której ojciec oprował sarnę po polowaniu. W pierwszej chwili widok kości, mięśni i jakiegoś szarego płatu pokrytego błoną i żyłkami skojarzył mi się z kuchnią, w której kiedyś podglądałem przygotowania do obiadu. Uznałem, że tata kupił te podroby – które zapewne wytwarzają w fabryce, tak jak cukierki – i z jakichś powodów obłożył nimi martwe zwierzę. Chciałem wyjść na palcach, ale wtedy natknąłem się na mamę, która schodziła po schodach z zestawem naostrzonych noży. Przytrzymała mnie i powiedziała, że jestem już duży i powinienem się dowiedzieć paru rzeczy o anatomii. Przyda mi się w szkole. Czy nie jestem ciekaw, co sarenka ma w brzuchu? Nie, nie byłem, nie chodziłem jeszcze do szkoły i wolałem pozostać przy wersji o krasnoludkach. Sponiewierane zwierzę łupało na mnie ślepym okiem, tata chlastał je z zaciętą miną, a na podłogę kapała krew. Rozplakałem się. Mama kucnęła, nazwała mnie „małym myśliwym”, który już wkrótce wyruszy na swoje pierwsze polowanie. Zapewniła, że sarenka niczego nie czuje, i żeby tego dowieść, pokazała mi jej martwy mózg: różową masę przeciekającą między strzępami rozłupanej czaszki. Zatkąło mnie tak, że przestałem płakać. Mama uznała mój szok za objaw zainteresowania i poszła po atlas anatomiczny. Wróciwszy, posadziła mnie na kanapie i otworzyła książkę na planszy przedstawiającej ludzki mózg. Przypominał powiększony orzech włoski. Szczerze mówiąc, gdyby narysowali tam karuzelę albo gitarę, nie zdumiałoby mnie to bardziej. Wcześniej zakładałem chyba, że moją głowę wypełnia dusza, czyli jakiś magiczny obłok formujący się w kształty myśli. Albo znowu krasnoludek, który główkuje za mnie. A kto myśli za niego? Nad tym się nie zastanawiałem. Prawda była mniej romantyczna. Orzech. Mój charakter, marzenia, doznania, cała moja tożsamość mieściły się w tej szarej bryle. To właśnie byłem ja, w lustrze widziałem tylko swoją skórę.

Potem przez dłuższy czas zakładałem, że te pofałdowane półkule zwijają się i pocierają o siebie jak dłonie podczas mycia. Czasem nawet to czułem. Masowały się nawzajem tym szybciej, im szybciej myślałem.

Dziś, po wizycie Grażyny, zwijały się jak w ukropie. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć jej metamorfozy i dziwnego zachowania. Ja przeżyłem szok i miałem prawo oszaleć. Moje półkule rozprostowały się jak rozcapierzone palce, odpadły od siebie i bezskutecznie szukały się po omacku. Wspomnienia, fantazje i wizje alternatywnej przyszłości mieszały się jak w narkotykowym transie. Ale jaki emocjonalny dziadek do orzechów zmiażdżył jej mózg, że wyglądała i mówiła jak dziwka?

Agnieszka skrzyżowała ręce na piersi i zmrużyła oczy.

– Fortuna kołem się toczy...

Musiała dostrzec grymas na twarzy swojej rozmówczyni, bo dodała:

– Banał, wiem. No to inaczej: „proza życia to miłości kat”. Tak to leciało? Wszystko się kończy, a uczucia szybciej niż cała reszta. Jeśli ludzie żyją razem do złotych godów, to nie z miłości, ale z przyzwyczajenia. – Migocząc kolorowymi paznokciami, wykonała dłonią taki gest, jakby chciała pokazać dystans do takiego rozwiązania. – A nasz wspólny znajomy nie lubi rutyny. Sama wiesz najlepiej. Możliwe więc, że wkrótce znajdę się w takiej samej sytuacji jak ty. – Spojrzała na Grażynę i się roześmiała. – Chyba jednak nie. Przepraszam, że to powiem, ale... – Zastygła z uśmiechem błakającym się w kącikach ust, przeciągając chwilę namysłu na dowód, że przez grzeczność ostrożnie dobiera słowa. W końcu znalazła wszystkie potrzebne eufemizmy. – Nie kupuję idei odbijania partnera – oświadczyła. – Manewry zmierzające do tego uważam za bezcelowe. Nie wierzę w „usidlanie faceta”. Miłość to żywioł i trzeba działać spontanicznie. Po prostu jesteś sobą, w ogóle o tym nie myślisz, aż nagle jednym gestem trafiasz w punkt, to znaczy w jego nieświadome pragnienia. Potrącasz strunę, o której on sam nie miał pojęcia. Wiesz, o co chodzi?

Rozbita na kawałki osobowość Grażyny powoli się spajała. Wzburzenie jak magnes kumulowało niektóre uczucia i odpychało inne, porządkując wewnętrzny chaos. Nie było już miejsca na siostrzaną komitywę, znikła sympatia i podziw. „Katem” tych uczuć okazała się świadomość, że ta kobieta się nad nią lituje. Początkowo bezinteresowna rozmowa zamieniała się w akt wsparcia, pozornego oczywiście, bo Agnieszka wspierała wyłącznie samą siebie. Nie stały już na równi, o nie, couch od związków pochylał się nad zasromaną adeptką. Oczywiście całą pogardę wylewała pod pretekstem niesienia pomocy, wbijała szpile, nazywając to akupunkturą. Typowo kobieca sztuczka. Mroczna strona „solidarności jajników”.

– ...nie chodziłaś do przedszkola ani do pierwszych klas podstawówki, tak? Kochana, słuchasz mnie? – Agnieszka wciąż mówiła. Grażyna spojrzała na nią zaskoczona. – Olaf coś wspominał... Nauczanie domowe, u mamy?

Niepewnie skinęła głową, spoglądając w jej przyjaźnie zaciekawione zielone oczy. Cwanej ekspertce wydawało się, że mroki własnych porażek zamaskuje dodatkową warstwą pudru. Okazuje się, że na siniaka pod okiem trzeba nałożyć trzy warstwy, KOCHANA.

– Fajnie – ciągnęła. – Mama pracowała w domu?

– Chorowała.

Spuściła oczy i jej wzrok natrafił prosto w dekolt Agnieszki. I kto tu stosuje „manewry” i „usidla facetów”? Temperatura nie uzasadniała rozpięcia aż trzech guzików. Dwa nie odsłoniłyby jednak zaokrąglenia jednej z piersi, a gdyby rozpięła cztery, pokazałaby stanik – wszystko było wyliczone. Jedna poła bluzki bardziej odsunięta, bo asymetria świadczy o spontaniczności. „Ach, przepraszam, taka jestem...!” Żywioł – srywioł. Laska atakowała bez pardonu, w dodatku stosowała strategię prymitywną jak u suki w rui. Wabik oraz taktyczne odwrócenie uwagi od mankamentów. Kto będzie badał kolorystykę powiek, dostając cycki na tacy?

– Jeszcze raz bardzo cię przepraszam, ale jeśli próbujesz odbić mi faceta, udając

mnie... – ciągnęła, gestem omiatając fryzurę i strój Grażyny. Uśmiechnęła się z rozbawieniem i z pewnością siebie, z jakimi wczoraj przeglądała się w krzywym zwierciadle. – Chyba jednak nie tędy droga.

Znowu mnożyła pauzy, sugerując, że unika bolesnych słów. Wiedziała oczywiście, że rozmówcy dośpiewa sobie wszystkie niedomówienia, łącznie z ogólnym komunikatem: obchodzę się z tobą jak z jajkiem, sieroto, bo mi cię żal. Policzkowała ją swoją litością i doskonale wiedziała, jakie emocje wywołuje. Ale widocznie złośliwa uciecha rekompensowała jej wyrzuty sumienia, jeśli je miała. Obaw nie miała na pewno. Co może jej zrobić ta bida, która sama tu przysłała i wystawiła tyłek na lanie?

– Jeśli myślisz, że facetem można sterować jak marionetką... – ciągnęła, drapiąc od niechcienia nawilżony i wypieszczony dekolt, który nigdy dotąd nie zetknął się z niczym ostrzejszym od paznokcia czy ziarna pilingu – ...to chyba za długo bawiłaś się lalkami.

Komisarz podał jej plastikowy kubek. Sparzyła palce, a potem usta gorzkim czarnym płynem o zapachu gąbki do zmywania naczyń. Chciała poprosić o kawę, ale wtedy drzwi gabinetu się otworzyły i wszedł mężczyzna w czarnym swetrze. Podszedł do policjanta z woreczkiem w dłoni.

– Analiza logarytmiczna i schemat KJT do dupy, musiałbym mieć kod bazowy – mruknął i położywszy woreczek na biurku, zawrócił do drzwi. Gdy mijał Grażynę, przestał się krzywić i spojrzał zaciekawiony. Nie tyle spojrzał, ile zlustrował ją od stóp do głów. To nagle zainteresowanie przypomniawszy jej, że siedzi na krześle dla przesłuchiwanym, przez które przewinął się zapewne tabun zbirów. Jest podejrzana o morderstwo. „Jesteś sobą, w ogóle o tym nie myślisz, a nagle jednym gestem trafiasz w punkt”, przypomniawszy jej się zasada, którą zostawiła jej w spadku ekspertka, a która teraz zyskiwała makabryczne potwierdzenie. Aura morderczynie okazała się skutecznym wabikiem. Na Olafa nie podziałała, przypomniawszy sobie, i przelotny uśmiech znikł z jej twarzy. Ale wtedy nie była jeszcze oskarżona. Poza tym aura tej konkretnej zbrodni nie mogła na niego „podziałać”, nie w taki sposób...

– Należy do pani byłego. – Wyszyński przerwał jej rozmyślenia, wyjmując z woreczka komórkę. – Może przypadkiem zna pani kod?

Sięgnęła po kubek i ostrożnie upiła łyk napoju, który był mocny i rozwodniony zarazem, jakby łyżkę smoły rozrobiono w deszczówce. Zapatrzyła się na domek dla ptaków w oknie, który w międzyczasie prawie wysechł.

– Jeśli go pani poda, puszcę w niepamięć mataczenie na początku tego przesłuchania. – Komisarz mówił bez przekonania, jakby do siebie. – Cztery cyfry... Może data jego urodzin?

– Niech pan spróbuje cztery, siedem, dwa, dziewięć – mruknęła, gdy policjant wkładał już telefon do woreczka. – Tak jakby pan pisał na klawiszach „GRAŻ”... Tak zabezpieczał starą komórkę w każdym razie...

Komisarz szybko nacisnął włącznik aparatu i zaczął dotykać ekran. Zaklął, zawahał się i znów musnął go parę razy. Jego przejętą twarz rozjaśniały błyski wyświetlacza.

Mimo wszystko zaskoczona Grażyna poruszyła się na krześle.

– Udało się? – spytała.

Zaabsorbowany komórką policjant pokiwał głową. Patrzyła z niedowierzaniem.

– Naprawdę, wciąż koduje telefon moim imieniem?

– Nie, wpisałem AGNI.

Zwłoki Agnieszki leżały na stole sekcyjnym z rynienkami odpływowymi, w rześcicie oświetlonym pokoju. Na szafkach stały słoiczki i butelki oklejone plastrami, na których odręcznie wypisano nazwy. W rogu leżał podłączony do kranu, zwinięty wąż ogrodowy.

Trafiła tu przypadkiem. Rano zadzwoniła jakaś kobieta i poprosiła o ubranie. „Żeby pani córka wyglądała stosownie do okoliczności”, powiedziała ciepłym głosem. Gdy spytała ją, co przez to rozumie, tamta po wahaniu odparła, że prosta spódnica i bluzka będą idealne. Ale zdaje się na wycucie matki.

Po lekkim śniadaniu, złożonym z vicodinu, kromki chleba i garści suplementów diety popitych herbatą, pojechała do mieszkania na Ursynowie. Agnieszka dała jej kiedyś klucz, „na wszelki wypadek”. Miała pewnie na myśli awaryjny kurs po jakiś zapomniany dokument, ewentualnie do zalanej łazienki, ale raczej nie to... Starając się dusić w zarodku jałowe rozmyślania, zabrała się do sprzątania. Potem włączyła żelazko i uprasowała wszystkie spodnie, spódnice i koszule, które tego wymagały. W końcu rozłożyła na łóżku trzy sukienki – jedyne, które nie były szare. Wybrała niebieską, z zakrytymi ramionami, i dobrała do niej kremowy sweter w granatowe wzory. Dość szarzyzny, w swoją ostatnią podróż jej córka wyruszy ubrana tak, jak lubi jej mama.

W zakładzie pogrzebowym powitał ją gładko uczesany młody mężczyzna. Podziękował za przyjazd, odebrał wypchaną reklamówkę, a potem przeprosił ją i poszedł po katalog. Czekał ją wybór trumny. Nie było go dłuższą chwilę. Zmęczona i rozbita wstała, by wyjść i jak najszybciej wrócić do domu. Miała dość tego miejsca, w którym przechodzące ludzkie pojęcie czynności przybierały formę bezosobowej biurokracji, jakby nadawała paczkę na pocztę. Dwumetrowe pudło zaadresowane na wnękę w ziemi. Ale na korytarzu skręciła w złą stronę, pomyliła drzwi i trafiła tutaj, do samego serca firmy Parnas sp. z o.o.

Spod prześcieradła wystawała tylko kredowobiała twarz fosforyzująca nieziemskim światłem, jakby przypudrowana księżycowym pyłem. Rozluźnione rysy emanowały spokojem wiecznego snu. Na miękkich nogach podeszła z wyciągniętą ręką do stołu, gdy nagle zadzwoniła komórka. Otumaniona lekami i przejęta bólem sięgnęła do torebki, żeby ją wyłączyć, ale macając na oślep drżącą ręką, niechcący odebrała połączenie.

– Halo?

W słuchawce zaskrzeczał odległy głos:

– Halo, Jola, to ty?

Zamarła, a potem bezwiednie przyłożyła słuchawkę do ucha. Niewyraźny w pierwszej chwili skrzek nabrał barwy i głębi, jakby mężczyzna stał tuż obok.

– Zadzwonili do mnie wczoraj – powiedział. – Od razu wsiadłem w samolot. Na policji podali mi twój numer. Podobno pogrzeb jest w poniedziałek? Halo?

Zakręciło jej się w głowie. Ten głos był znajomy jak ból zęba, który nękał ją dawno temu, a teraz znów się odezwał. Od szaleństwa dzieliły ją tylko białe pastylki, które właśnie przestawały działać. Chwilę zbierała siły, zanim wydobyla z siebie głos.

– Nie dzwoń do mnie więcej.

– Ale, Jolu...

– I nie waż się przychodzić na pogrzeb! Słyszysz?

Rzucony na posadzkę telefon rozpadł się na kawałki. Połamany procesor i pozrywane obwody. Kobieta patrzyła na nie ze zgrozą, jakby zajrzała do swojego wnętrza.

Wyszyński szedł przez parking tak szybko, jak szybko można iść, nie biegnąc. Prokurator obserwował przez szybę jego coraz bardziej skróconą sylwetkę. Odsunął się od okna, poprawił zasłonę i wrócił za biurko. Jeszcze raz spojrzął na otrzymany pięć minut temu SMS: „Za kwadrans u ciebie”.

Na korytarzu rozległ się tupot i po chwili otworzyły się drzwi jego gabinetu.

– Całą drogę jechałeś na kogutach?

Komisarz kiwnął głową i opadł zdyszany na fotel.

– Co jest...?

Wyszyński stygł chwilę przy wentylatorze pracującym na pełnych obrotach, po czym przyglądził włosy i bez słowa przysunął krzesło do biurka. Ostrożnie położył na blacie wyjęte z kieszeni urządzenie i przez moment szukał kąta, pod którym obaj dobrze widzieliby ocieniony ekran. Gdy wprowadził kod, spojrzali na nich zielone oczy z kosmykiem opadającym na jedno z nich.

– To ofiara? – upewnił się prokurator. Policjant potwierdził, a potem, marszcząc nos, odnalazł funkcję przewijania z podglądem. Twarz odjechała i zbliżyła się w przyspieszonym tempie, oczy poruszały się, tylko zakneblowane usta pozostawały nieruchome. Kiedy spadła z nich opaska, komisarz znowu dotknął ekranu. Obraz znieruchomiał, a w głośniczku rozległ się transowy rytm i wokal śpiewający na jednej nucie: „Once I had a love and it was a gas...”. Wilgotne usta błyszczały, od ich kącików do uszu biegły blade pręgi. Odrobina szminki z dolnej wargi rozmazała się na brodzie. W kadrze pojawiła się męska dłoń, która starła smugę, a potem chwyciła podbródek i go uniosła. Masywne palce w zestawieniu z delikatnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi wydawały się toporne i niezdarne. Kciuk zaczął wędrować wokół ust, które ściągnęły się jak pod wpływem chłodu. Paznokiec obrysował ich kontur, a potem wślizgnął się między wargi. W końcu pokonał ich opór i palec wszedł do połowy, a wtedy kobieta chwyciła go zębami. Dłoń znikła z kadru, rozległo się stłumione przekleństwo, a potem klaśnięcie w jeden i drugi policzek.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”

– To fiut – mruknął komisarz.

– Ostra jazda – sapnął prokurator.

Zrobili to jednocześnie i spojrzeli na siebie zdumieni.

– Czy ty powiedziałaś właśnie... – zaczął Wyszyński, lecz grubas uciszył go machnięciem ręki. Wpatrzony w ekran poruszał ustami, a jego dłoń bezwiednie powędrowała do pudełka z miętówkami. Komisarz był szybszy i nakrył je dłonią, a potem wsunął do kieszeni. Prokurator spojrział na niego z niedowierzaniem, ale zanim zdążył coś powiedzieć, policjant uniósł komórkę.

– Patrz, patrz.

Ciężka dłoń na ekranie znowu dotykała twarzy i władczo się na niej panoszyła: głaskała policzek, wierzchem muskała brodę, chwytiała i ciągnęła za nos, jakby belferskim, karcącym gestem. Kobieta pozwalała na to, zdobywając się tylko na ciche pomruki, a widoczny wcześniej w jej oczach zamęt zastępowała kocia błogość. Rozciągnęła usta, jakby uśmiechem pokazała wyimaginowanej publiczności środkowy palec. Wszystko gra, dobrze się bawię, idźcie do diabła.

W głośniczku rozległy się kroki i plusk płynu przelewane go z butelki do kieliszka. Muzyka ucichła. Kobieta patrzyła teraz gdzieś poza kadr, a na jej twarz powróciły zdziwienie i lęk. Rozszerzone nozdrza wciągnęły powietrze, usta poruszyły się bezgłośnie, jakby przywoływały zapomnianą kwestię.

„Kalisz” – powiedziała w końcu.

„Teraz?” – jęknął męski głos. Jego barwa nie pasowała do nonszalanckich gestów dłoni z wcześniejszej sekwencji, jakby usta i ręce należały do dwóch różnych osób. – „Ledwie cię musnąłem!”

„Kalisz” – powtórzyła dobitnie, a rysy jej twarzy rozluźniły się jak za sprawą magicznego zaklęcia. Podniecenie, które wcześniej ją oszołomiło, przestawało działać. Jedno słowo odczarowało ich oboje. – „Zimno mi, rozkuj mnie, proszę”.

„Podkręcę ogrzewanie” – powiedział mężczyzna na tej samej błagalnej nucie. – „Nie uderzę cię już. Ale odwołaj »Kalisz«”.

Widoczne w kadrze szczupłe ramiona uniosły się, a powieki opadły jakby w przyływie zakłopotania. Jej usta ledwie się poruszały.

„Sorry, ale to się robi...”

„Jakie?”

„Rozkuj mnie – powtórzyła głośnie. – Tak się umówiliśmy”.

Obraz zakołysał się, w głośnikach zaszumiało.

„Tylko burzy brakuje...” – W ton głosu mężczyzny wkradła się twardsza nuta. Kobieta przymknęła oczy, jakby zachciało jej się spać.

„Chodź tu, coś ci powiem” – szepnęła.

„Tu wszystko słyszę”.

„Chodź, mówię!”

Układ sił zmieniał się z każdą chwilą i komisarz kolejny raz uznał, że jest bezradny. Oglądał to nagranie po raz drugi, ale pogmatwane umysły tych ludzi wciąż były dla niego zagadką. Kobieta podniecała własna uległość, ale najwyraźniej umiała wytyczyć jej granice, w jednej chwili wychodząc z roli podporządkowanej i wcielając się w dominę. Ekran wypełnił teraz profil mężczyzny, który przysunął ucho do szepczących ust. Cóż, nie był księciem z bajki, chyba że z tej o Pięknej i Bestii.

W tym momencie w gabinecie rozległ się dzwonek.

– Szlag – mruknął Wyszyński i pauzując nagranie, sięgnął po swoją komórkę. – Co jest? – warknął, odbierając połączenie. Wstał i z telefonem przy uchu podszedł do okna. Prokurator wziął leżący na biurku aparat, zaskoczony jego lekkością mimo dużego ekranu. Zaczął szukać włącznika, gdy kątem oka zarejestrował dziwne zachowanie komisarza, który chwycił zasłonkę, podniósł jej róg z czerwonymi frędzlami i otarł nim czoło. Zastygł, a potem krzyknął, jakby do kogoś za oknem:

– Gdzie?!

Prokurator chrząknął, na co policjant odwrócił się, opuszczając rękę z komórką. Jego spocona, błyszcząca twarz odbijała płomienisty kolor zasłony.

– Jacht zniknął – powiedział, mrugając szybko. – Jacht Dzikiego, „Szklane Żądło”, nasze miejsce zbrodni. – Rozłożył ręce. – Nie ma go.

Woźniak stał z komórką przy uchu, oparty o maskę swojego peugeota.

– Niech do mnie zadzwoni – mówił do telefonu. – Z góry dziękuję, do widzenia.

Staszewski wysiadł ze skody i ruszył przez pustawy o tej porze parking.

– Hej – zatrzymał go aspirant – słyszałeś o jachcie?

Sierżant pokręcił głową. Woźniak sięgnął do auta po butelkę wody i upił łyk.

– Przed chwilą na komendę zadzwonił strażnik z popołudniowej zmiany – powiedział, ocierając usta. – Przyjechał na przystań, patrzy, a tam pusto.

– Ukradli? – zdziwił się Staszewski.

– Na to wygląda... Teraz szukam Wieteski, aspiranta z Żerania, może go znasz?

Sierżant nie znał.

– Dzwonił do mnie przez cały dzień, podobno wie coś o sprawie... Wie albo się domyśla... Nie miałem czasu oddzwonić, a teraz jego też wcięło. Co za dzień!

Staszewski klepnął kolegę w ramię i ruszył w stronę wejścia do komendy, ale tamten nagle sobie o czymś przypomniał.

– Hej, o co chodzi z tym dziennikiem? – zakręcił butelkę i wrzucił ją do auta.

– Naczelnik mówił, że czytasz wspominki ofiary. Coś ciekawego? Liceum, imprezki, te sprawy?

Ściągnął usta i zaczął rytmicznie wypychać policzek językiem. Sierżant smętnie pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy, laska żyła w swoim świecie.

– To znaczy?

Staszewski podrapał się po głowie.

– Pisze na przykład, że gdy zdechł jej kucyk, ojciec postanowił ją pocieszyć i zabrał w rejs dookoła Afryki.

– To ona była taka dziana?

Sierżant nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się dzwonek, a na ekranie komórki aspiranta pojawiła się twarz umalowanego transwestyty.

– Sorry, szef dzwoni – mruknął, odetchnął głęboko i odebrał.

Wyszyński siedział w fotelu z komórką przy uchu, drugą ręką bawił się długopisem. Mówił łagodnie jak do dziecka:

– Słyszeliście o GPS-ie, Woźniak? Jak to: nie widać? To nie jest kajak na oceanie. A strażnik z porannej zmiany? Też zniknął? Słuchaj, a... Nie, to ty słuchaj: a satelita jest? O, to dobrze. No? A co? A ja mam sprawdzić? Dobra, cześć.

Schował telefon do kieszeni, położył ręce na brzuchu i przymknął oczy. Wciągnął powoli powietrze, jakby rozkoszował się jakimś pięknym zapachem.

– W tym waszym porcie nie ma monitoringu? – spytał niewinnie prokurator.

Komisarz otworzył oczy.

– Strażnik zasłonił kamerkę jakąś szmatą – odpowiedział z przelotnym uśmiechem.

– Zataczał się, pijany jak świnia, to jest jakiś...

Przez chwilę szukał właściwego określenia, wreszcie rozłożył bezradnie ręce.

– No to przynajmniej wiadomo, kto odcumował łódkę – pocieszył go grubas.

– Zaryje w coś zaraz i się znajdzie.

Wskazał komórkę, którą trzymał w drugiej ręce.

– Zobacz coś.

Komisarz wstał i podszedł do niego ze zdziwioną miną.

– Jak to uruchomiłeś?

Gospodarz machnął tylko ręką, wskazał gościowi krzesło przy biurku, a potem przez chwilę szukał na wyświetlaczu odpowiedniej funkcji.

– Coś mu klarowała, on się ciskał, a teraz patrz...

Na ekranie pojawił się sufit, potem rozświetlone ściany kajuty, aż wreszcie twarz kobiety o dzikim spojrzeniu. Zakrwawione usta ściągnęły się i wypłuły na podłogę coś czerwonego.

– Widziałem to już... – zaczął komisarz, ale prokurator uciszył go gestem

– Ćśś...

W kadrze mignęła twarz mężczyzny z zakrwawioną ręką przyciśniętą do ucha. Potem podłoga, bulaj z widokiem na zatokę i kompas z wariującą igłą.

„I co?! – rozległ się kobiecy krzyk. – Chyba zapomniałeś, jak to działa! Szefem jesteś tylko wtedy, kiedy ja tak mówię”.

„Zabiję...” – wychrypiał męski głos.

„Ciesz się, że to nie był kutas!”

„Zabiję cię”.

Prokurator zatrzymał nagranie, uniósł palec i spojrzał na policjanta. Wydawało się, że coś powie, ale chciał tylko podkreślić wagę tych ostatnich słów. W końcu ponownie nacisnął trójkątną ikonę na wyświetlaczu. Widać było na nim igłę kompasu, która co chwila przesuwawała się o parę stopni.

„Popatrz na mnie – kobieta zaczęła mówić spokojnie. – Musiałam to zrobić, nie dałeś mi wyboru. A teraz bądź rozsądnym facetem, weź kluczyk i otwórz te pieprzone kajdanki, bo do końca życia będziesz wyglądał jak debil. To trzeba przyszyć”.

Rozległy się kroki i przez chwilę słychać było tylko szum wiatru. Wyszyński delikatnie przejął komórkę i nacisnął funkcję przewijania z podglądem.

– To też widziałem. Poszedł do kibla, ona go wołała, ale on stracił przytomność. Tak powstała pierwsza kałuża krwi.

Z ekranu znikł kompas, przez chwilę widać było nagie kolano, a potem wyświetlacz wypełniły zwały kremowego prześcieradła.

– Zauważyła komórkę w nogach łóżka i sięgnęła po nią... Zaraz zobaczysz.

Kiedy wcisnął odtwarzanie, zobaczyli zbliżenie stopy. Kształtne palce mały w równych odstępach, aż do najmniejszego, z ledwie widocznym niebieskim paznokciem. Największy przylegał ciasno do szczupłego sąsiada i komisarz pomyślał, że trudno o damski but, który nie uciskałby palców stopy tej długości. Z głośnika dobiegało sapanie i ciche przekleństwa. A potem obiektyw zasłoniło coś różowego i rozległa się seria elektronicznych pisków, jak przy wybieraniu numeru. Po kilku długich sygnałach odezwał się zniekształcony kobiecy głos: „Olaf?”.

Brzmiało w nim zaskoczenie i napięcie. Prokurator przysunął się, a policjant siedział z przymkniętymi oczami, pocierając w skupieniu czubek nosa. Pochylali się nad głośnikiem jak słuchacze pochłonięci audycją radiową, jakby tych parę centymetrów mogło zbliżyć ich do prawdy.

Wzburzona kobieta mówiła bardzo szybko:

„Nie wiem, co mu się stało! On tam jest... Pomocy!” – Przez chwilę słychać było tylko jej przyspieszony oddech. – „Nie mogę się ruszyć, jestem przykuta do łóżka...”

„Kto mówi?” – spytał zniekształcony głos.

„Grażyna? Nie rozłączaj się, proszę. Pomóż mu”.

„Agnieszka?” – W szepcie brzmiało niedowierzenie.

„Tak”.

Znowu milczenie i już spokojniejszy, ale wciąż pełen napięcia głos:

„Olaf jest... Ranny. Posłuchaj, to bardzo ważne. Dzwonię z jego jachtu. Olaf wziął prochy, popił szampanem, zaczęło bujać... Stracił przytomność... zwymiotował... nie wiem... może się właśnie dusi!”.

W tle zaszumiał motor przepływającej w pobliżu motorówki.

„Co mnie to obchodzi?” – odezwała się w końcu Grażyna.

Rozległo się głębokie westchnienie i suchy kaszel.

„Ledwie mówię, zaraz też się porzygam. Strasznie tu buja, a ja przed chwilą odgryzłam... Nieważne. Jestem przykuta kajdankami... Chryste!” – Na parę sekund zapadła cisza. – „Masz coś do pisania? Podam ci namiary”.

„Nigdzie nie jadę”.

Ostatnie słowa zabrzmiały niewyraźnie, jak wycedzone przez zęby. Kajdanki znowu zaklekotały o pręty.

„Grażyna, posłuchaj... Cudem wybrałam ten numer, pierwszy z brzegu. Nie wiedziałam, że dzwonię do ciebie. To jakiś kosmos, wiem... I niesamowicie, totalnie, megakrępująca sytuacja. Ale nie mam wyjścia. Nie dosięgnę drugi raz do tej pieprzonej komórki. Wiem, co myślisz. Masz prawo nas nienawidzić, ale teraz chodzi o życie. Czy chcesz zabić Olafa? Walić mnie. Ale jeśli tu nie przyjedziesz, Olaf umrze”.

Po chwili rozległ się przerywany sygnał oznaczający koniec połączenia.

„Kurwa, kurwa, kurwaaa!”

Ostatnie „a” przeszło w wycie zakończone atakiem kaszlu. Komisarz wyłączył nagranie, a prokurator z westchnieniem rozparł się w fotelu i wyciągnął rękę. Policjant sięgnął do kieszeni i wyjął z niej grzechoczące pudełko.

– Obaj jesteście uzależnieni – mruknął.

– Kto? – spytał prokurator, wsuwając do ust miętówkę. Wyszyński machnął ręką.

– Potem znowu rzucało łódką, coś musiało dotknąć wyświetlacza, bo nagranie się urwało – wyjaśnił, zmieniając temat. – W końcu telefon spadł z łóżka i wylądował pod szafką. Tam go znalazłem.

– Przyjechała? – spytał prokurator. Komisarz kiwnął głową. – Przyznała się do tego?

– Jeszcze nie, ale zostawiła na łódce ślady. No i miała motyw... Tak czy nie?

Prokurator wyjął z szuflady formularz, wypełnił go, podstemplował i podał Wyszyńskiemu. Ten złożył go na pół i ruszył do drzwi, jednak po drodze zmienił zdanie.

– Kiedy Dziki zdzielił ją w twarz... – zaczął i zawahał się. – Na nagraniu... Powiedziałeś coś?

Grubas uniósł ręce w geście wyrażającym bezstronność.

– Nie jestem tu po to, żeby oceniać ludzi.

– To po co tu jesteś?

Pytanie zawisło w ciszy, w której słychać było tylko klekot miętówki o zęby.

– Wypiszę też postanowienie o uchyleniu aresztu – powiedział prokurator.

– Trzeba wypuścić naszego niemowę.

Komisarz pokręcił głową.

– Jeśli chcesz wsadzać za kratki wszystkich podejrzanych, to spierdalaj do Rosji – prychnął poirytowany grubas. – Skoro wsadzamy laskę, to gościa wypuszczamy.

Policjant zasalutował bez słowa i wyszedł.

Gdy prokurator został sam, rzucił długopis na biurko i rozparł się w fotelu. Podniósł dłoń i przygryzł rąbek żółtego paznokcia. Żałował, że nie powołał się na swoje odwieczne prawa prokuratora i nie przejął komórki z nagraniem. Wgryzł się w zadartą skórę na palcu wskazującym. Oficjalnie mógłby je uznać za dowód wymagający dalszego zbadania, a potem zabrać do domu... Syknął i z rozmachem opuścił dłoń na blat. Odegnął myśli niegodne zasłużonego urzędnika państwowego, męża z trzydziestoletnim stażem, ojca i dziadka.

I posiadacza internetu.

Otworzył szufladę powoli, by leżące w niej butelki nie stuknęły o siebie.

Fale uderzały o burtę, rozpryskując mętne krople na podłużnym bulaju. Chlupotowi i skrzypieniu kadłuba towarzyszył warkot przejeżdżających w oddali skuterów wodnych. Kratka pokrywająca pokład odgięła się przy kokpicie i poruszana wiatrem stuknęła o podłogę. Brzmiało to jak tykanie zegara z wykrzywioną sprężyną, który nie odmierza już równych sekund.

Poza tym w porośniętej tatarakiem zatoczce panowała cisza.

Na relingu na rufie usiadła mewa. Trzepocząc skrzydłami, rozejrzała się

i podleciała w stronę zejścia pod pokład, do obiecującego kształtu wystającego ze szpary w drzwiach. Stukając pazurami, podeszła bliżej i nachyliła się. Brązowa włochata powierzchnia wyglądała apetycznie, ale nagle drgnęła, i to nie popchnięta wiatrem. Ptak odskoczył i ze skrzekiem poderwał się do lotu.

Ręka przesunęła się po pokładzie i spoczęła na nim płasko. Przez drzwiczki prowadzące do kajuty wysunęło się ramię w kraciastej koszuli, a za nim głowa zwieńczona potarganymi włosami. Mężczyzna przyłożył rękę do czoła, osłaniając od słońca przekrwione oczy.

Jego wzrok omiótł falującą powierzchnię zalewu z kilkoma żaglami na horyzoncie i dwoma skuterami, które właśnie podpływały do odległego pomostu. Akomodacja wzroku na chromowanej poręczy znajdującej się na wyciągnięcie ręki trwała dłuższą chwilę. Popatrzył na deski pokładu, pustą knagę i leżącą obok cumę poskręcaną w dzikie esy-floresy. Stękając, uniósł się, by ją sklarować, kierowany instynktem emerytowanego marynarza, sierżanta z drobnicowca „Karpacz”. Nagle znieruchomiał. Czerwona strużka ciekąca od strony kabiny przecinała pokład jak rana na skórze. Prześledził jej bieg aż do kokpitu, gdzie brała początek. Wytrzeszczył oczy. Przełknął parę razy, przechylił się przez burtę i zwymiotował.

Grażyna miała wrażenie, że siedzi na dnie jeziora. Gdyby uchylić okno gabinetu, chlusnęłaby przez nie woda, ale jeśli pozostanie zamknięte, to się udusi. Złapana w potrzask powtarzała sobie, że wokół niej jest mnóstwo powietrza, a na zewnątrz jeszcze więcej – cała masa życiodajnego tlenu, wcale niezwiązanego z dwutlenkiem wodoru – ale strach narastał niezależnie od zdrowego rozsądku.

– Co robiła pani wieczorem dwudziestego szóstego sierpnia?

Długopis w dłoni komisarza stukał o blat jak pałeczka perkusyjna. Widoczny nad jego ramieniem skrawek błękitu znowu przecięła jaskółka. A może to był szczupak?

– Czy ja panią nudzę?

Spojrzała w błękitne oczy. Emanujący z nich chłód nie zmroził jej dosłownie, nie występowali w kreskówce ani nie byli bohaterami kiepskiego wiersza. A jednak wywołał realny dreszcz, jak niemiłe wspomnienie albo śnieg za szybą.

Nabrała powietrza i przywołała w pamięci inny obraz: siostrzeniec z noskiem ubrudzonym musem owocowym i dołeczkami w policzkach. Zobaczyła też siebie samą siedzącą z nim na dywanie wśród rozrzuconych zabawek.

– Wieczorem zajmowałam się synem mojej siostry, potem położyłam go spać i oglądałam telewizję.

Przemknęła nad tym zdaniem szybko, jakby bała się nim zadławić. Myśli znowu zawirowały jej w głowie, jak rano na moście. Zmieniła pozycję, próbując dopasować pośladki do kształtu krzesła, ale uniemożliwiał jej to jakiś fabryczny defekt siedziska. Przesunęła się na jego krawędź i wreszcie mogła głębiej odetchnąć.

– A koło jedenastej sama zasnęłam.

Długopis zawisł nad blatem, perkusyjne tremolo wreszcie ucichło. Policjant zaczął mówić dobitnie, jakby czytał tekst z wytłuszczonymi kluczowymi słowami.

– Krytycznej nocy na jachcie była **komórka**. Ta, do której pomogła pani znaleźć kod, za co jeszcze raz dziękuję. Pani były partner oraz denatka nagrywali nią swoją **erotyczną grę**, tak to nazwijmy. Dzięki temu nagraniu **wiem**, że pani kłamie.

Za oknem, niczym wieloryb, przepłynęła ciemna chmura. Czy wykonują jeszcze karę śmierci? – zastanowiła się. I w jakiej formie: krzesło elektryczne czy zastrzyk? Publiczne wieszanie nie było takie złe, przynajmniej robili to na otwartej przestrzeni, na jakimś placu czy rynku.

– Może faktycznie opiekowała się pani wtedy siostrzeńcem – ciągnął komisarz i dodał w trybie oznajmującym: – Ale po telefonie od denatki wyszła pani z domu i pojechała nad jezioro.

Sufit zaczął opadać w wolnym, ale stałym tempie. Ściany zbliżały się do siebie milimetr po milimetrze, powietrze gęstniało jak w strzykawce z dociskanym tłokiem.

– Dam pani ostatnią szansę. Jeśli się pani przyzna, dostanie pani piętnaście lat, biorąc pod uwagę afekt, załamanie nerwowe i tak dalej. Sędziowie też mieli złamane serca. Jest szansa, że panią zrozumieją.

Skoro półtorej dekady w zamknięciu stanowi nagrodę, to co jest karą? Zrozumiała to na sekundę przed tym, nim komisarz znowu się odezwał.

– Ale jeśli nadal będzie pani szła w zaparte, dostanie pani **dożywocie**.

Ściany w jednej chwili ścisnęły ją, sufit opadł jak wieko trumny, a powietrze się ulotniło. Niewidzialna łapa chwyciła ją za gardło, próżnia wokół uniemożliwiła oddychanie. Jęknęła cicho i resztką sił uniosła się z krzesła.

– Czy mogę wyjść? – wykrztusiła w końcu.

Szczęka mężczyzny opadła i przez chwilę wyglądał tak, jakby zasnął z otwartymi oczami. Po chwili drgnął, zamknął usta, zamrugnął i pochylił się nad włączonym dyktafonem.

– Agnieszka Malik, lat trzydzieści, córka Jolanty i Kazimierza. Zmarła tragicznie dwudziestego szóstego sierpnia bieżącego roku około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Czym! Pani! Ją!! Zabiła!!!

Przykute do ramy łóżka ręce pokrywała gęsia skórka i pot. Wyczerpany organizm wariował pod wpływem stresu, był zimny na powierzchni i rozgrzany od wewnątrz. Zgięcia kończyn parowały waniliowym aromatem mydła z nutą alkoholu. Rozmyty łzami podkład pod lewym okiem odsłaniał seledynowy siniak z żółtą obwódką.

– Dał ci w ryj?

Ściągnięte chłodem, okolone różowymi aureolami sutki wznosiły się w rytm oddechu. Duże sterczące piersi idealnie pasowały do tła: jedwabnego prześcieradła, skórzanego obicia kanapy, miękkich linii polerowanego drewna. A wszystko ogrzane ochrowym światłem kinkietów.

– Odpowiedz, to cię uwolnię.

Kobieta stojąca na środku saloniku omiotła krytycznym spojrzeniem tę rozciągniętą na łóżku. I znalazła: dwa pieprzyki pod pępkiem, zwiotczałą skórę przy kości biodrowej, podejrzaną wgłębienie na udach, bliznę pod kolanem i lekko skrzywione paluchy u stóp.

I to ma być ideał?

Dwa siekacze z czerwonym nalotem przygryzły uszminkowaną wargę. Ale w końcu ją puściły.

– Tak, dał mi w ryj – wymamrotały spierzchnięte usta, a podbiegłe krwią oczy zamrugały. – Zadowolona?

Pierwsza kobieta skrzyżowała ręce na piersi. Bo mogła. W każdej chwili mogła też wyjść. Do sumy krytycznych spostrzeżeń potęgujących jej przewagę dodała jeszcze kilka skandalicznie wybijających zakręconych włosów wystających spod stringów. I pajęczynkę popękanych naczynek nad kolanem. Sine dłonie napierały na obręcze kajdanek, palce prężyły się, ale były za krótkie, by jej dosięgnąć.

Nie była piękna. Ani wygadana. Ani fajna.

Już nie.

– Powiedz mi coś – zażądała zwycięska rywalka. – Leżysz tu, sprana po buzi, a on poszedł rzygać. I to jest ta wasza *big love*?

W oddali odezwał się grzmot zwiastujący burzę. Trwało chwilę, zanim kobieta wyartykułowała odpowiedź:

– Pierdol się. – Wciągnęła ze świstem powietrze i dodała: – Zrobiłabyś laskę diabłu, żeby być na moim miejscu.

Grażyna znieruchomiała, bardziej zaskoczona niż oburzona. Tej wariatce z podbitym okiem chyba coś umykało.

– Powiedz: „jestem porąbaną suką” – poleciła, rozplatając ręce i podchodząc do łóżka. Siliła się na łagodny ton, jakby przemawiała do niesforemego dziecka. – Powiedz to, a cię rozkuję.

Ogniwa łańcuchów szcęknęły, jakby zaraz miały puścić, ale zdrętwiałe przedramiona opadły, czyniąc szkodę tylko samym sobie.

– Mam głęboko w piździe, co o mnie myślisz... – wychrypiały spierzchnięte usta. – Tylko proszę, idź do łazienki... On od dwóch godzin nie daje znaku życia...

– Powiedz to!!!

Krzyk przetoczył się nad zalewem wraz z kolejnym grzmotem. Na szarą taflę spadły pierwsze krople. Dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Grażyna minęła dwie prycze i podeszła do trzeciej, stojącej najbliżej okna. Trzask drzwi i szcęk klucza za plecami zmroziły jej krew w żyłach, ale zacisnęła usta, policzyła szybko do dziesięciu i zaczęła słać łóżko. Rozłożyła poszwę, wsunęła w nią koc, chwyciła za rogi i potrząsała, aż wszystkie końce trafiły na swoje miejsca. Poduszkę wsunęła w poszewkę zapinaną na guziki. Rozlepiła zbite w kostkę prześcieradło i rozprostowała je na materacu, utykając dookoła brzegi. Pilnowała, by fioletowa rozmazana pieczętka znalazła się wewnątrz, poza polem widzenia.

Za oknem zapadał zmierzch. Odrapany mur i parę drzew z żółknącymi liśćmi tworzyły cmentarny krajobraz w stylu starych horrorów. Dopiero po chwili między konarami jednej z lip dostrzegła znajomy kształt. Domek dla ptaków, który po południu sechł w gabinecie komisarza, wreszcie trafił na swoje miejsce, gdzie idealnie wtopił się

w tło. Przypominał dziuplę wydrążoną w zgrubieniu pnia.

Oddałyby wszystko, żeby znaleźć się po tamtej stronie szyby.

Rozległo się pukanie w drzwi i życzenia dobrej nocy wypowiedziane obojętnym kobiecym głosem. Chwilę potem zgasło światło. Odwróciła się i jak w transie zrobiła parę kroków, aż uderzyła kolanem w coś twardego. Na materacu piętrzyły się złożone w kostkę pościel i koc, jednolicie szare w poświacie zza okna. To nie było łóżko, które pościeliła, ale było jej teraz wszystko jedno. Położyła się i zwinęła w kłębek. Wychodziła już z szoku, bo ile można się dziwić temu, że nadeszło nieuniknione? Za chwilę przyjdzie załamanie, ale póki co trwa zawieszenie między dwiema fazami. Przejmująca cisza, kiedy słyhać pierwsze oznaki burzy, a nigdzie nie widać schronu. Jutro obudzi się na policyjnym dołku, w celi dwa na trzy metry, i powita pierwszy dzień dożywotniej odsiadki. Puste słowo stanie się ciałem, realnym jak dotyk szorstkiego koca na policzku. Na razie to do niej nie docierało.

Jej ostatnią myślą było: czy są tu karaluchy?

Po dłuższej chwili otworzyła oczy i mrugała przez chwilę. Ściana przed jej nosem fosforyzowała i falowała jak obraz w kinie 3D oglądany przez brudne okulary. Jak długo spała? Minutę czy parę godzin? Opanowała panikę, mówiąc sobie, że ściana to solidna, nieruchoma konstrukcja wmurowana w podłoże, która nie zrobi jej krzywdy, dopóki się na nią nie rzuci. Skupiła wzrok na wydrapanych w tynku liniach. Przecierając oczy, odsunęła się, by zyskać pewność, że układają się w litery. A te w wyraz. W bardzo konkretne słowo od miesięcy prześladowające ją na jawie i we śnie.

To już nie był odległy grzmot, piorun strzelił ją prosto w czoło.

To dzieje się naprawdę.

Ta ściana jej nienawidzi.

Agnieszka.

Serce mojego życia, życie mojego serca.

Miała w sobie intensywność, która trwa we mnie, i dzięki niej już nigdy nie będę sam, nawet tu.

Agnieszka.

Moja dzika kotka.

Pamiętam, jak na drugiej czy trzeciej randce położyła palce na skroniach i odciągnęła kąciki oczu. „Szogun każe, gejsza słucha”. Wyglądała ślicznie w tym skośnookim wydaniu, mina służki na wyniosłej twarzy i głęboki głos w cieniutkich rejestrach falsetu tworzyły niezwykle zestawienie.

Zabawa w szoguna i gejszę dostarczyła nam niezapomnianych wrażeń, ale w pewnym momencie powstało pytanie, co dalej. Na ile sposobów świnia może się rzucić na koryto? Piękne kobiety szybko się nudzą i stawiają partnerom większe wymagania, jak już wspomniałem, a nasz seks po trzech miesiącach zaczynał trącić rutyną. Kombinacje techniczne w stylu „stymulacji brodawek opuszkami palców” odpadały jako sprzeczne z ideą dzikości, jaką przyjeśliśmy. Rozstania nie brałem pod uwagę. Pomijając to, że odnalazłem w tej kobiecie bratnią duszę, byłem od niej uzależniony jak narkoman.

Agnieszkoholik w ciągu. Naturalnym wyjściem wydawało się wzmocnienie dawki. Owszem, świnia rzuca się na żarcie zawsze w taki sam sposób.

Ale może się rzucać mocniej.

I oto ona: pręgi po kneblu na policzkach, siniec pod okiem i krew na ustach. Kiedy przekroczyłem granicę? Co sprawiło, że gejsza odgryzła szogunowi ucho?

Mniej więcej w tym czasie Jackowi, mojemu byłemu wspólnikowi, który wyemigrował do Stanów, zmarła mama. Gdy zaproponowałem mu wódkę na Skypie, odpisał, że w ogóle nie pije, a rozmowy o cierpieniu odbywa ze swoim psychoanalitykiem. Wysyłał mi pogodne i krzepiące e-maile pełne mądrej zadumy, w których rzucał nazwy pokonanych przez siebie faz żałoby. Po dwóch tygodniach przechodził już z „depresji” do „pogodzenia z rzeczywistością”. Nieco zniesmaczony w głębi swojej słowiańskiej duszy, ironicznie pochwaliłem to olimpijskie tempo, a wtedy on przyznał, że zawdzięcza je w pewnej mierze „dopingowi”: tabletkom, które przepisał mu terapeuta. „Przyjazne środki, które nie uzależniają i nie odcinają od rzeczywistości, tylko pomagają ją oswoić”.

Ja też musiałem oswoić kilka bestii, które zaczynały szczerzyć kły. Wokół mnie i we mnie. Nie ufałem terapeutom, ale w internecie można dziś znaleźć wszystko.

Kiedy trzy tygodnie temu wyprowadziłem pierwszy prawy sierpowy, miałem w sobie pięćdziesiąt gramów ambienu popitego szklanką whisky. Agnieszka długo dochodziła do siebie, w końcu powiedziała, że zawiodłem jej zaufanie i wymusiła obietnicę, że nigdy więcej tego nie zrobię. Nie użyła jednak hasła i chwilę później, jęcząc rozdierająco, przeżyła stary dobry superorgazm. W mojej głowie zakiełkowała myśl, że wbrew wypowiedzianym na głos obiekcjom, po cichu akceptuje moją cięższą rękę. Że właśnie odkryłem tę ostrzejszą przyprawę, która doda smaku naszemu stygnącemu daniu. A na stronie internetowej nielegalnej apteki znalazłem regulator rozhuśtanych emocji. Wszystko będzie dobrze, muszę tylko kontrolować siłę uderzenia. I nie wolno mieszać prochów z alkoholem.

Ostatniej nocy na łódce złamałem obie zasady. I tym razem użyła hasła. Gra wstępna i chemia podkreśliły mnie tak, że miałem ochotę gołymi rękami zrobić jej „nieobecność terażniejszości”. Ale ona była szybsza. Nie amputowała mi głowy, o nie, zadowolili się jej kawałkiem.

Agnieszka!

Odgryzła mi ucho, by ocalić swoją twarz. I wydała wyrok na nas oboje.

Nabrałem powietrza i wypowiedziałem pierwsze od trzech dni słowo. Mój głos zabrzmiał jak charkot bluesmana po rocznym tournée. Powtórzyłem je głośniejsz, w końcu wykrzyczałem swojej publiczności: muchom, karaluchom i kolegom za ścianą.

Zgadnijcie jakie.

Zaczynało się na „A”.

DZIEŃ CZWARTY

Poprzeczne cięcia podłopatkowe, podbiegnięcia krwawe na szyi, przeprosty łokci i palców – charakterystyczne dla młodych kobiet, które *rigor mortis* zdawał się pozbawiać stawów – czerwone kropki na wykładzinach i okrągłe plamy rozlane szeroko na parkietach. Wyłamane drzwi antywłamaniowe i patentowane zamki otwarte na pasówkę, bez jednego zadrapania. Alkoholowy zaduch z metaliczną nutą krwi. Te i inne powtarzalne elementy sprawiały, że Wyszyński na miejscach zbrodni często czuł się jak w domu. A gdy dochodziła senność, jakaś charakterystyczna odzywka Woźniaka, standardowy SMS od prokuratora obiecującego rychły przyjazd, trzask migawki, zgrzyt taśmy mierniczej – wtedy odnosił niepokojące wrażenie, że nakładają się na siebie dwa niezależne zdarzenia. Déjà vu. Kiedy był zajęty, trwało to chwilę, a gdy nie miał nic pilnego do roboty i delektował się nim, trochę dłużej. Ale kwadrans – nigdy. A tego ranka czuł się tak, jakby śnił na jawie powracający koszmar, w którym ekskluzywny jacht o dziwnej nazwie wyłania się z mgły niczym „Latający Holender” z kolejnymi ofiarami pod pokładem. A może z tą samą ofiarą? Na przekór relacji Siwca, której wysłuchał po drodze przez telefon, podświadomie obawiał się, że znów natknie się na zwłoki kobiety przykutej do łóżka i tym samym przeżyje najdłuższe déjà vu w życiu.

Albo najbardziej realny sen.

– Facet wymontował nadajnik GPS i chyba go rozwalił, bo nie mogą szajsu namierzyć – poinformował go Woźniak, wręczając plastikowy kubek. – Nie wie, co się stało, w ogóle się nie odzywa.

No proszę.

Dopinając bluzy, ruszyli w stronę pomostu. Radiowóz z włączonymi światłami stał dokładnie tam, gdzie w śróde, a za jego boczną szybą majaczyła znajoma twarz. Opatrunek przyklejono tym razem na czole, niższym i okolonym siwymi włosami, ale zacięta mina i pustka w oczach były te same.

– Kolejna „dzika noc”, co?

Sylwetka jachtu wyraźnie odcinała się od tła i tym razem chodziło nie tylko o jego efektowną linię. Między kołem sterowym a fotelem wisiał kształt połyskujący w świetle ustawionego na pokładzie reflektora, wyglądający z daleka jak chochoł oblany olejem silnikowym.

Déjà vu w końcu minęło, jednak komisarz wcale nie poczuł się lepiej.

– Uderzenie w głowę tępym narzędziem, szamotanina, rozcięcie policzka nożem albo szkłem – wyliczał Woźniak, gestykułując ręką, w której trzymał aparat. – Potem zawiązał mu na szyi wyblinkę, węzeł do mocowania odbijaczy, prosty, zaciskowy. Wystarczyło parę sekund i było po wszystkim.

Komisarz ostrożnie zrobił krok na pokład, odwrócił się i wyciągnął rękę do podwładnego. *Arbiter elegantiarum* jego grupy operacyjnej tym razem miał na sobie wędkarską kamizelkę i szorty, których wąski krój utrudniał szerszy rozkrok. Należało jednak docenić, że przyjechał na wezwanie w dzień wolny od pracy. Gdyby chodziło o inną ofiarę, nie byłoby na to szans.

Wiatr odwrócił wisielca profilem, ukazując krwawy zaciek biegnący od skroni do

brody pokrywający niemal cały policzek. Na przodzie koszuli i marynarki także błyszczała ciemna skorupa. Trampek na prawej stopie objął się o bosą piętę lewej.

– Piotr Wieteska? – upewnił się Wyszyński.

– Z komisariatu na Żeraniu. – Aspirant westchnął, wyjął z kieszeni chusteczkę i narzekając na poranny chłód, wytarł nos.

– Dobrze się znaleźcie? – spytał komisarz.

Woźniak wyprostował się i zabił komara. A przynajmniej mocno uderzył się w kark.

– Szukał mnie wczoraj – odezwał się w końcu z roztargnieniem, jakby myślał już o czymś innym. – Chciał się spotkać.

– Ze mną też, miał teorię na temat tego nagrania, którego nie usunąłeś z komórki – powiedział komisarz i uniósł rękę. – Dobra, potem o tym pogadamy. Podobno usłyszał tam jakieś nietypowe rejestry...

– Ultradźwięki – sprecyzował Woźniak. – I nie usłyszał, bo komórka tego nie przenosi, a podejrzewał.

– Podejrzewał? – zdziwił się Wyszyński. – Na jakiej podstawie?

– Opisu zdarzeń. I tego, co wiedział o sprzęcie.

Patrzyli na jacht migoczący różowo w pierwszych promieniach słońca przeświecających przez liście. Mogłaby tam teraz lecieć cała symfonia, a słyszałyby ją tylko okoliczne psy, pomyślał komisarz. To coś jak czapka niewidka dla dźwięku: podnosisz jego wysokość i nagle ludzie przestają go rejestrować. A on wisi w powietrzu niczym niewidzialna ręka uderzająca nie wiadomo skąd.

– A jak działają ultradźwięki?

Aspirant otworzył usta, ale w tym momencie rozległ się polifoniczny dzwonek o średniej częstotliwości.

– Jesteś w drodze? – rzucił Wyszyński do telefonu. Szykował się na kolejne déjã vu, ale prokurator go zaskoczył.

– Dzwonię, żeby się upewnić, czy zwolnisz Dzikiego – powiedział rażno. – Chcę przesłuchać jego rodziców i zależy mi na tym, żeby zmienili swoje nastawienie. Na przyjazne.

Woźniak zdjął osłonę z obiektywu aparatu i wycelował go w zwłoki dyndające na linie. Komisarz odwrócił się i odszedł parę kroków.

– Nie mam czasu – syknął do telefonu. – Jest drugie zabójstwo, jakbyś nie wiedział. Kiedy tu będziesz?

Rozmówca ze świstem zaciągnął się papierosem.

– W ogóle się do was nie wybieram. – W jego głosie zabrzmiała znajoma leniwa nuta. – I lepiej się przyzwyczajaj, bo idą zmiany. W świetle nowego prawa moja obecność na oględzinach w ogóle nie będzie wymagana. Cięcia, mój drogi, cięcia.

Komisarz słuchał z narastającym zdumieniem – to było tak absurdalne, że musiało być prawdziwe.

– Na razie podpisz się tam za mnie który – ciągnął prokurator, pokasłując. – I zwolnij Dzikiego. Aha, i przywieźcie mi podejrzanego, jeśli macie tam jakiegoś, dziś przyjmuję od dziesiątej.

- Jak wytrzeźwieje.
 - Jestem trzeźwy.
 - Nie ty, podejrzany. Nawalił się wczoraj do spodu.
- Kolejny świst, chwila ciszy i znowu ten irytujący tryb rozkazujący:
- W takim razie przywieźcie go od razu.

Prokurator obudził się pół godziny wcześniej zlany potem. Śniło mu się dwanaście pękatych butelek wypełnionych szmaragdowym płynem, lśniących niczym klejnoty w słońcu.

„Słodki aromat z odrobiną goryczy i ziołową nutą?”

Stały w rzędzie niczym skazańcy pod ścianą, a kule z hukiem rozbijały ich szyjki z rżniętymi herbami. Z dziur tryskały zielone strumienie i szklane okruchy, resztki zapadały się w ząbkowane obramowania denek. Strzelec opierał kolbę na ramieniu, mierzył, naciskał spust, a potem przesuwiał się z morderczą precyzją pół kroku w bok, by unicestwić następną ofiarę.

„Oryginalna polska receptura? Gorzka pomarańcza, karmel i zioła?”

I tak tuzin razy. Ze względu na liczbę i męczeńską śmierć prokurator – który jakimś zakamarkiem umysłu czuł, że śni, i brał na to poprawkę – oczekiwał, że przynajmniej ostatnia butelka, symbolizująca świętego Jana, zostanie oszczędzona. Ale nie.

„Producent: Polmos Lublin, ulica Spółdzielcza sześć?”

W końcu opadła dymiąca lufa i zasłaniający twarz kaptur. Katem żołądkowych gorzkich okazał się Jan Dziki, ojciec aresztowanego i świadek morderstwa, który trzy dni wcześniej gościł w prokuraturze na przesłuchaniu.

Po przebudzeniu dłoń spragnionego urzędnika państwowego odruchowo powędrowała do nocnej szafki, ale wymacała tam tylko jabłko. Wściekły uniósł się na łokciu i odwrócił w stronę niewyraźnego kształtu majaczącego po drugiej stronie łóżka. W uszach dzwięczały mu słowa, które wczoraj wieczorem padły piętro niżej, w kuchni: „Spróbuj. Chociaż jeden dzień”. Urażony sugestią, że to będzie trudne, milcząc, przyjął wyzwanie. Teraz jego zamroczony snem umysł zadrżał na myśl o czekających go mękach i podpowiadał proste rozwiązania: wymknąć się do sklepu, pójść do łazienki i napić się perfum, znów zasnąć i we śnie wyssać z ziemi kałuże rozlanej wódki. Otarł czoło wierzchem dłoni. Wziął jabłko, odwrócił się i ugryzł je z trzaskiem nad głową kobiety, która wtykała nos w nie swoje sprawy.

Mruknęła coś przez sen i przewróciła się na drugi bok.

Przezuwając obrzydliwie soczysty kęs, odrzucił kołdrę, usiadł na brzegu łóżka i wsunął stopy w kapcie. Jego umysł powoli nabierał rozpędu. Pozbawiony ukojenia, do którego był przyzwyczajony o tej porze, zaczął pracować w trybie głodnego drapieżnika. Od zakapturzonego strzelca przeszedł do prowadzonej właśnie sprawy i doszedł do wniosku, że musi wezwać pana Dzikiego jeszcze raz. Już po chwili prokurator wiedział, jakie nowe okoliczności należy zaaranżować, żeby otworzyć usta jemu i jego zakłamanej żonie.

Zobaczymy, kto kogo postawi pod ścianą, panie Dziki.

W łazience włączył radio. Wieczorem na Stadionie Narodowym mistrzostwa świata w siatkówce otwierał mecz Polska – Serbia, spiker oddał głos trenerowi drużyny, który zapewniał o świetnej formie podopiecznych. Serwis zakończyła wzmianka o martwym mężczyźnie znalezionym na łódce. „Jak podejrzewa policja, zginął w wypadku, prawdopodobnie utonął”. Najwyraźniej rzecznik komendy czegoś się wreszcie nauczył. Po takim komunikacie żaden brukowiec nie będzie zawracał mu głowy, przypadkowe utonięcie to nie jest gorący temat.

Gdyby dowiedzieli się, że chodzi o zamordowanego policjanta, jego telefon dzwoniłby już teraz.

Wklepując w twarz płyn po goleniu o „wyrazistym korzennym zapachu z nutą cytryny”, czuł tylko spirytus. W kuchni wyjął z lodówki kolejne jabłko. Wrócił z nim do sypialni, stanął nad łóżkiem i z namysłem podrapał się po ogolonej szczęce. Nie czuł zwykłego o tej porze mentalnego rozleniwienia i przymusu powrotu pod kołdrę. Prawdę mówiąc, małżeńskie łóżce zaczęło go przyciągać, ale nie perspektywą snu, tylko wyrzuceniem, które falowało na nim w rytm chrapania. Oczami wyobraźni zobaczył usta żony obrysowane paznokciem, początkowo zaciśnięte w wyrazie zdumienia, potem bezwstydnie otwarte. Z uwagą spojrzął na jabłko. Odłożył je ze wstrętem, odwrócił się i ruszył do salonu, wyciągając z kieszeni szlafroka paczkę papierosów. Chwila nieuwagi i dałby babie satysfakcję.

Grażynę powaliła ironia losu. Nie chodziło o uwięzienie, które było naturalną konsekwencją jej działań i zdarzeniem raczej dramatycznym. Zatrzaśnięte drzwi i okratowane okna, same w sobie dołujące, osobie cierpiącej na klaustrofobię dostarczały przeżyć, na które brak słów. W tym, że znowu zaryła nosem w paroksyzm miłości Olafa do Agnieszki, też nie było niczego ironicznego – od miesiący nie robiła nic innego. To imię prześladowało ją na jawie i we śnie. Na komendzie była pewnie jedna cela, więc ją w niej zamknęli, gdy tylko przewieźli tamtego do aresztu. Gdy opadły emocje, zobaczyła w tym splot niefortunnnych okoliczności, zero ironii.

Prawdziwy cyrk zaczął się potem. Skuliła się na łóżku tak gwałtownie, że ściągnęła z materaca podwinięte rogi prześcieradła. Rozpacz to jedno, a zmysł porządku drugie – u prawdziwej pedantki działają niezależnie. Automatycznie zaczęła poprawiać poślanie. Wsunęła rękę w szparę pod materacem głębiej niż za pierwszym razem i natrafiła na kartkę. Wyjęła ją zdziwiona. Na kredowym papierze widniał nieczytelny w półmroku tekst i czarno-białe zdjęcie mężczyzny z fajką. Pomyślała, że zaklei kartką napis na ścianie i postanowiła sprawdzić, czy rewers jest ciekawszy. Był. Wielkie piersi błysnęły jak wytrzeszczone oczy, niżej ciemne włosy łonowe puszyły się niczym bródka. „Portretu” dopełniał klasycznie zawiązany pępek w miejscu ust i ramiona rozłożone jak dziwne uszy. Nie zmieściły się w całości, ale była pewna, że to kajdanki odciągnęły ręce na boki.

Była fajna.

Była piękna.

Nawet z wielkim penisem dorysowanym na twarzy.

Choć jej umysł wył na alarm, wymęczone ciało odmówiło współpracy: odruchowo poszukało najwygodniejszej pozycji i osunęło się w sen. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po przebudzeniu, było zdjęcie nagiej modelki wyrwane ze świerszczyka – przechodnie trofeum napalonych lokatorów policyjnego dołka. W dziennym świetle przez bohomy prześwitywała twarz smagłej brunetki, poniżej sterczały dwie wypełnione silikonem piłki. Ich jasne kontury odcinały się od brązowego brzucha i dekoltu, sugerując, że kobieta opalała się w staniku. Nie miała pieprzyków i w ogóle wszelkie podobieństwo do istniejących osób i zdarzeń było przypadkowe.

Grażyna uśmiechnęła się i był to przełom, jakby uderzenie w dno sprawiło, że się przebudziła. Straciła już rachubę swoich wzlotów i upadków, wylanych łez i krzepiących zakłęb, którymi mobilizowała siły. W krytycznym punkcie niedoli, jak cztery dni temu na łódce i wczoraj na moście, znowu dostrzegła światelko w tunelu. Oto ona, dawna ofiara i etatowe popychadło, znów znalazła się w centrum wydarzeń. Przejmowała inicjatywę, tym razem napędzana czystszy paliwem niż nienawiść czy przekora, tamte napięcia zostały rozładowane. Uczucia wyższe – wiara, nadzieja i miłość – dawno odpłynęły, pozostały sprawy elementarne. Energię do działania zaczerpnie dziś z instynktu samozachowawczego.

Na korytarzu rozległy się kroki i do celi weszła blondynka w uniformie, której nigdy wcześniej nie widziała.

– Chcę złożyć zeznania.

Policjantka postawiła na stoliku talerz z kanapką i kubek termiczny. Nie wyglądała na zdziwioną. Grażyna odetchnęła głęboko.

– Wiem, kto zabił Agnieszkę Malik.

Omiotło ją czujne spojrzenie szarych oczu.

– Dobrze, przekażę komisarzowi – odparł spokojny głos, który wczoraj przez drzwi życzył jej dobrej nocy.

– Wolałabym osobiście.

– Pan naczelnik jest zajęty.

Poczuła rozczarowanie i złość i wtedy przypomniała sobie jej słowa: „Chyba za długo bawiłaś się lalkami”. W takich chwilach, kiedy jej usta wyginały się w podkowę, do oczu napływały łzy i mała Grażynka tupała nóżką w bezsilnym gniewie, ta diagnoza się potwierdzała. To był krok w tył, musi z tym skończyć. Nie zamierzała się poddawać, ale też nie chciała nad nikim i niczym dominować. Odzyska poczucie bezpieczeństwa, choć nie wszystko idzie po jej myśli. Zero liści na wietrze i zero lalek, powtórzyła w duchu. Przetrawanie. Dojrzałość. Inicjatywa, a nie obsesja kontroli.

Zmusiła się, by stanąć w swobodniejszej pozie.

– To bardzo ważne – powiedziała spokojnie.

– Komisarz prosił, żeby mu teraz nie przeszkadzać.

Wyszyński siedział przy biurku pochylony nad zeszytem i pisał, co chwila przygryzając czubek ołówka.

„Jaki ranek nazywam ciężkim? Taki rozpoczęty pobudką o czwartej i jazdą na

łódkę, którą znów ktoś przemałował na czerwono. Tym razem krwią gliniarza, odcumowawszy ją w biały dzień z policyjnej przystani, co zakrawało na kpinę albo na jakąś chorą prowokację. Ochroniarz nie chciał zeznawać, ale prawie na pewno był winny, chociaż słowo »prawie« nabierało ostatnio nowego znaczenia. Na przykład dwie godziny później siedziałem naprzeciwko aresztanta, którego wcześniej prawie wsadziłem na dożywocie, a teraz musiałem wypuścić. Czułem się jak wędkarz, który w pocie czoła wyciągał z wody wielką rybę, żeby się przekonać, że to kalosz. Numer czterdzieści pięć, prawie jak marlin.

– Wychodzisz, przyjacielu, ale to jeszcze nie znaczy, że twoje problemy się skończyły.

Gość miał szczęście, że urodził się mężczyzną. Kobietę z taką twarzą i jednym uchem oddaliby do cyrku. Skrzywienie ust można by wziąć za uśmiech, ale one po prostu były krzywe. Wziął z biurka dokument z pieczętką prokuratury obojętnie, jakby wyciągał kwit z parkometru. I milczał.

Pewien złotousty prokurator mawiał w takich sytuacjach: »Jesteś pieczarką: karmią cię gównem i trzymają w ciemności«.

– Dziękuję – odparł w końcu mężczyzna...»

Nie, tu już poniosła go wena i myślenie życzeniowe, aresztant się nie odezwał. Ale do tego momentu trzymał się faktów i jak na debiutanta stylistycznie też chyba nieźle sobie radził. Musi tylko popracować nad powtórzeniami. Gdy zorientował się, że w jednym akapicie trzykrotnie użył słowa „prawie”, spróbował zrobić z tego walor, ale nie był pewien, czy mu się to udało. Prawie, powiedzmy.

Wciąż nie wiedział, kto zabił, a więc nie znał zakończenia ani motywacji swoich bohaterów. Mogli funkcjonować jako zimne typy zaskakujące czytelnika swoimi zagraniami, ale nie powinni nimi zaskakiwać autora. Weźmy Dzikiego: był niewinny, zapewne, ale czy aż tak, by zaniemówić z wrażenia po tym, co zobaczył na swojej łódce? Komisarz liczył po cichu, że wycofanie zarzutów i zwolnienie z aresztu choć trochę go odblokuje, przecież jego życie niedawno zawisło na włosku, a teraz dostał je z powrotem. Mógłby chociaż podziękować.

– Proszę być pod telefonem i nie oddalać się z miejsca zamieszkania.

Skinienie mogło oznaczać potwierdzenie albo bezgłośnie „gadaj zdrów”.

– Pański jacht pozostaje do naszej dyspozycji do końca śledztwa.

„Zastanawiał się, jak brzmi głos tego faceta. Czy to budujący autorytet bas, czy świdrujący tenor? Ma nienaganną dykcję, czy może sepleni, strzelając śliną, albo mówi modne »h« zamiast »r«?»

– Rozumiem, dlaczego pan milczał – dodał po chwili. – Nie chciał pan pograżać swojej byłej narzeczonej. To bardzo szlachetne.

Mężczyzna wreszcie zareagował. Pochylił głowę, podnosząc brwi, z trudem maskując zaskoczenie.

– Mówię o Grażynie Pawłowskiej, zabójczyni Agnieszki Malik – sprecyzował Wyszyński. – Przespał pan odczytanie zarzutów, ale chyba zorientował się pan, że był w tej sprawie głównym podejrzanym? Do wczoraj, kiedy to pojawiły się nowe dowody.

On wcale nie krył swojej byłej, stwierdził komisarz, odnotowując narastające

zdziwienie rozmówcy. Kogo zatem? Samego siebie? Jednak? Po chwili jednak mężczyzna się rozluźnił, a na bladą twarz wróciła obojętność. I to była kolejna wskazówka. Gdyby właśnie dowiedział się, kto zabił jego ukochaną, szok trwałby dłużej. Wina Pawłowskiej zaskoczyła go, ale tylko na moment. Najwyraźniej znał sprawcę. I to nie była ona.

– Kalisz!

Strzał z biodra był celny, tym razem naprawdę faceta zaskoczył.

– Kalisz – powtórzył i wyjął z szuflady czystą kartkę. Kiedy tamten w końcu pochylił się i sięgnął po ołówek, komisarz pogratulował sobie intuicji. Gdy dedukcja zawodzi i nie ma się nic do stracenia, można posłuchać impulsów. Zdziwiło go, że mężczyzna tak szybko się wyprostował. Na kartce wylądowały tylko dwa słowa: „Nieładnie podsłuchiwać”.

Wyszyński trawił je przez chwilę, w końcu skrzywił się i pokręcił głową.

– Nagranie z miejsca zbrodni było materiałem dowodowym, odsłuchanym w ramach wykonywania obowiązków służbowych... – zaczął, ale urwał i odchrząknął. – Rozumiem, że to wasze hasło. Chodzi o to, co pan zrobił, że ofiara go użyła?

Teraz, godzinę później, pochylając się nad zeszytem do ćwiczeń literackich, przypominał sobie reakcję mężczyzny. Po namyśle wyjął ołówek z ust i napisał:

„Dziki znieruchomiał jak osaczone zwierzę. Zacisnął prawą pięść, spojrział na nią i powoli opuścił. Wspomnienie krytycznej nocy poruszyło żądło tkwiące w jego sercu”.

A poniżej narysował wielką pieczarkę.

Prokurator odkapsłował butelkę, uwalniając duszący zapach octu i sfermentowanej kapusty. Przed oczami stanął mu stary sklep z rozklekotaną wagą i warzywami w brudnych skrzyniach. Napełnił pienistą ciecżą filiżankę i podał ją gościowi.

– Sok z kiszonki, uzupełni witaminy i minerały.

W białkach oczu tamtego niewiele było bieli: na żółtym tle odcinała się czerwona siatka naczynek, w jednym kąciku całkowicie je przesłaniająca. Dłoń z połamanymi paznokciami chwyciła filiżankę i uniosła ją do ust. Po chwili puste naczynie wylądowało na blacie, a tęskne spojrzenie powędrowało w stronę butelki.

– Najpierw parę pytań, Królu Złoty.

Aparycja gościa, która jeszcze wczoraj wzbudziłby w nim współczucie, dziś wywoływała irytację. Kac, ranę na czole i złamaną jedynekę można by uznać za pokłosie wczorajszego picia, ale na fioletowy nos zapracował znacznie wcześniej. Ciekawe, kto z komendy odpowiada za rekrutację ochroniarzy?

– Postanowiłeś pan sobie popływać, tak?

Mężczyzna zaniósł się kaszlem.

– Służyłem na drobnicowcu „Karpacz” w stopniu sierżanta – wychrypiął w końcu.

– W siedemdziesiątym trzecim brałem udział w manewrach na równiku...

Prokurator sięgnął do leżącej na biurku teczki, wyjął czarno-białe zdjęcie i przesunął po blacie.

– Piotr Wieteska, lat dwadzieścia dziewięć. Policjant!

Krzaczaste brwi podjechały w górę, a potem zbiegły się pod zmarszczonym

czołem. Żółto-czerwone oczy przesuwają się między twarzą wisielca na zdjęciu a urzędnikiem za biurkiem.

– Zabójstwo policjanta. Czy wiesz, Rysiu, serdeńko, co to znaczy?

Sine nozdrza nadęły się i męczyzna przez chwilę wyglądał tak, jakby szykował się do skoku. To byłaby walka, przemknęło prokuratorowi przez głowę. Prawdziwe starcie tytanów.

– Znał go pan? – spytał po chwili nieco cieplejszym tonem. – Widział go pan wcześniej?

Oszronione zarostem ścięga, łączące podbródek z nasadą szyi, zaczęły drżeć, a wargi się zacisnęły. Stary marynarz wyglądał tak, jakby za chwilę miał zwymiotować albo się rozplakać. Marszcząc czoło, pracowicie nadawał kształt jakiejś myśli, w końcu jednak dał za wygraną i tylko pokręcił głową.

– A co było wczoraj? Odcumowałeś łódkę, Królu Złoty, tak? Fajny pomysł. I co dalej?

Męczyzna podrapał się po ręce z tatuażem. Spod rękawa wystawały zawinięte linie przywodzące na myśl włosy albo finezyjne litery, reszta ginęła pod mankietem.

– Dokładnie nie pamiętam... – powiedział. – Ale jak już odpłynąłem kawałek, pod pokładem zagrała muzyka. Tam ktoś był. Obcy.

Pochylił się, jakby ogarnęło go poczucie winy. Wyglądał jak gracz, który stracił wszystko w jednym rozdaniu.

– Wziąłem to, co miałem pod ręką, czyli butelkę... – ciągnął i odkaszlnął w zwiniętą dłoń. – I zszedłem. Natknąłem się na niego na schodach.

– I co, butelką w łeb?

Tym razem westchnął tak głęboko, że w pokoju zrobiło się duszno. W tym stanie facet nie złoży formalnych zeznań, pomyślał chłodno prokurator, odchylając się na oparcie fotela. Ale jutro nie złoży ich wcale, to ostatnia chwila. Dobrze się stało, że przywieźli go tu od razu, dopóki jeszcze coś pamięta.

– Wszystko przez tę muzykę – mruknął skacowany wilk morski.

– Przez muzykę...? – Śledczy native speaker nastawił uszu.

– Łomot taki, że umarłego by obudził. – Męczyzna poruszył uniesionymi rękami, jakby demonstrował eksplozję głowy. – Zagrała nagle, już na wodzie. Cała łódź zaczęła chodzić. Chciałem wyłączyć ten baraban, a wtedy on coś krzyknął, ale nic nie słyszałem. A potem wyciągnął rękę i ja... Jakby mnie czort opętał...

Urwał, opuścił ręce i znowu zapadł się w siebie. Prokurator siedział, skubiąc palcami ucho, po czym podniósł słuchawkę telefonu.

– Niech pani przedzwoni do naszego biegłego, tego Brzozowicza – polecił sekretarce. – Sosnowski? Może i Sosnowski. Niech do mnie oddzwoni. To pilne.

Odłożył słuchawkę i w zamyśleniu sięgnął po butelkę, której jego gość nie spuszczał z oczu, ale po chwili cofnął dłoń i otworzył szufladę. Żółto-czerwone białka znieruchomiały na widok wyciągniętej flaszki.

– Wypij pan moje zdrowie, panie Jurewicz.

Trzeba przypomnieć, żeby zabrali mu pasek i ostre narzędzia, zakarbował sobie w pamięci, gdy pod zarośniętą szyją tamtego zaczęła chodzić grdyka. Tu na kilometr

pachnie samobójstwem. Jak w końcu wytrzeźwieje, wraz z alkoholem wyparują argumenty przeciw.

I warto osobiście obejrzyć jego następcę, żeby znowu nie trafił tu po znajomości jakiś ochlapus.

I że Sosnowski, a nie Brzozowicz. Biegły dźwiękowiec, który niedawno analizował nagrania rozmów telefonicznych w sprawie porwania. Obdarzony słuchem absolutnym, podobnie jak świętej pamięci aspirant Wieteska, którego solówki na trąbce stanowiły główną atrakcję oficjalnych imprez. Muzyka zdawała się odgrywać w tej sprawie ważną rolę, niech wreszcie do śledztwa włączy się fachowiec.

Karbował sobie to wszystko w umyśle świeżym jak jabłko, które właśnie wyjął z pudełka na drugie śniadanie. Czego oni dodają do tych owoców?

Czekała przy bramie. Miała na sobie lekką sukienkę, letnie pantofle i tylko szyję osłoniła od porannego chłodu starannie zawiązaną apaszką. Poza tym wyglądała tak, jakby szykowała się w pośpiechu: nie zatuszowała cieni pod oczami ani bladości policzków, nie ułożyła włosów.

Zastanawiało mnie, co przyprawiło moją matkę o bezsenność: moje uwięzienie czy uwolnienie? Wciąż nie wiedziałem, dlaczego mnie wypuścili. Jeśli dzięki jej zeznaniom, to trzeba przyznać, że się nie spieszyła. Gdyby złożyła je od razu, w ogóle nie trafiłbym za kratki.

Pamiętam, jak...

Kiedyś wpadła mi w ręce książka pod tym tytułem. Każdy akapit zaczynał się od słów: Pamiętam, jak... a potem leciało: „...Hermaszewski poleciał w kosmos, ...wyszła pierwsza płyta Republiki, albo ...czarna wołga, której nikt nigdy nie widział, porywała dzieci z ulicy”[7]. I tak dwieście stron. Poczułem sympatię do jej autora i nie zdziwiłem się potem, widząc w jakimś wywiadzie zegarek ze wskazówkami na jego rękę.

No więc pamiętam, jak mama zaprowadziła mnie do podstawówki. Szło się tam ulicą wybrukowaną kocimi łbami przez bitą godzinę, bo mieszkaliśmy wtedy za miastem. Odprowadziła mnie tylko raz, pierwszego września, pokazując po drodze wszystkie punkty orientacyjne: pochyloną latarnię, porzucony wrak skody, zamalowany drogowskaz. Żebym potem nie błądził. Większość moich nowych kolegów mieszkała w pobliżu szkoły, mimo to rodzice przyprowadzali ich rano i przychodzili po nich po lekcjach. Ale ja byłem „małym myśliwym”, adeptem przyspieszonego kursu przetrwania, który musiał się orientować w terenie. W lesie nikt nie będzie prowadził mnie za rączkę, muszę radzić sobie sam, im wcześniej się tego nauczę, tym lepiej.

Jestem jej za to wdzięczny. Podczas tego kursowania do szkoły i z powrotem nie nabywałem wprawdzie żadnych praktycznych umiejętności, bo po tygodniu robiłem to z zamkniętymi oczami. Nudziłem się, a nic tak nie pobudza wyobraźni jak nuda. Moje ciało maszerowało na autopilocie, a umysł bujał w obłokach. Głównym efektem treningu traperskiego była emigracja wewnętrzna i mama, próbując wychować myśliwego, wychowała myśliciela.

Nie wiem, czy tak naprawdę próbowała. Kiedy byłem na nią zły, wydawało mi się,

że chciała po prostu mieć więcej czasu dla siebie: na lektury, spotkania towarzyskie i kółka teatralne, które były jej prawdziwą pasją. Jej motywy są jednak sprawą drugorzędną, najważniejsze, że ten zimny chów wyszedł mi na dobre. Z politowaniem patrzyłem potem na kolegów, tych wychowanych pod kloszem maminsynków, daremnie szukających w dorosłym świecie łatwego ciepła i bezwarunkowej aprobaty. Wciąż wracali pod maminy klosz, przywiązani do niego na nieodciętej pępowinie jak na jo-jo.

Agnieszka, półsierota wychowana w domu dziecka, nie miała dokąd wracać. Jej wewnętrzna emigracja wynikała z emigracji zewnętrznej, z poczucia całkowitego wykorzenia. Nie miała domowej ciepłarni, w której mogłaby się schronić, co przypłacała nerwicą i kompleksami. Miała za to bujną, większą wyobraźnię, charyzmę, fantazję i czerpała z życia więcej niż każdy z tych wychuchanych Piotrusiów Panów.

Nie wiem, czy była wdzięczna rodzicom za to trudne dziedzictwo, nie rozmawialiśmy o tym. Ale wzięwszy pod uwagę jej podejście do życia, obstawiam, że była.

Pamiętam, jak...

...w słoneczny dzień pod koniec pierwszej klasy kupiłem oranżadę w proszku i przez całą długą drogę do domu zlizywałem ją z torebki. Miałem potem żółty język.

...mojemu koledze mama przyniosła drugie śniadanie, które zapomniał zabrać z domu. Wysoka blondynka rozbłysła na szkolnym korytarzu jak kometa. Z kieszeni obcisłych spodni wyjęła słomkę. Nigdy się nie dowiem, jak smakowało mleko z kartonu pite przez tę słomkę, wyobrażałem sobie jego ciepło i słodycz.

Gdy za moimi plecami trzasnęła brama, matka weszła na jezdnię. Jakiś autobus zahamował z piskiem opon, samochód zatrafił, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Rozbiegane spojrzenie, grymas ust, konstelacje plamek na skroni – wszystko takie bliskie i obce zarazem. Przez zapach spalin przebiła się woń olejku różanego i mydła, a przez szum silników – wysoki ton jej głosu. Podeszła do mnie nieznajoma kobieta, o której wiedziałem tylko tyle, że lubi dziarskich facetów i wierzy, że można ich sobie wychować. Która na drodze do wytyczonego celu nie cofnie się przed niczym.

Pamiętam, jak na swoich urodzinach wytarła policzek po moim pocałunku i powiedziała, że jestem już dużym chłopcem. Miałem z osiem lat.

Pamiętam, jak wracałem po ciemku do domu i myślałem, że drzewo jest wampirem.

Pamiętam, jak pachną jelita sarny.

– Posłuchaj, synku, ja dobrze wiem, co sobie myślisz...

Wyminąłem ją i z wprawą trapera, który orientację w terenie wyssał z mlekiem matki, ruszyłem w stronę najbliższego przystanku.

Grażyna mówiła mechanicznie i jednostajnie, manipulując palcami przy guzikach bluzy.

– Zostawiłam ją w kajucie przykutą do łóżka. Żywą.

Podkreśliła ostatnie słowo, podnosząc na komisarza zmrużone oczy, jakby przywołała tę scenę w pamięci. Skupiona mina miała chyba wzmacniać wrażenie, że wspomina, a nie zmyśla.

– Wyszłam na pokład, potem na pomost – podjęła po chwili, spuszczać wzrok.
– Wtedy zobaczyłam ojca Olafa, który parę metrów dalej właśnie cumował jacht. Uznałam, że jej pomoże. Ulżyło mi, bo nie chciałam jej tak zostawiać. Pomóc też nie chciałam... Nie mogłam... Rozumie pan?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczęła lekko się kiwać i szybciej przesuwając guziki w palcach. Jak paciorki różańca, pomyślał Wyszyński.

– Wcześniej nic nie mówiłam, bo nie chciałam go pogrążyć. Ale teraz nie mam wyjścia.

Amen. Odetchnęła, wyprostowała się i opuściła dłonie. Gdy komisarz w końcu wyjął z ust ołówkę, jego głos brzmiał obojętnie.

– Adam Dziki? Niby to on zabił ofiarę?

– Tego nie wiem...

– Ale to pani sugeruje.

Brwi prawie zetknęły się nad piegowatym nosem i jeszcze trochę uniosły.

– Ja tylko...

– Dobrze, ale mamy problem. Wie pani, jaki? – Wyszyński dłuższą chwilę pukał ołówkiem w dolną wargę, jakby liczył na odpowiedź. – Pani miała motyw. A on nie.

– Jaki motyw? – spytała po chwili. Komisarz otworzył usta, ale wtedy rozległ się krzyk: „Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”.

W pierwszej chwili Grażyna pomyślała, że to z pokoju obok dobiegają odgłosy przesłuchania, jednak dźwięk dochodził z wieszaka za szafą. Policjant znalazł się przy nim w sekundę i w którejś z wewnętrznych kieszeni wiszącej na nim kurtki wymacał komórkę.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”

Wyjął ją, musnął wyświetlacz i przyłożył do ucha.

– Tak?

Słuchał przez chwilę, skrzywił się i pokręcił głową.

– Niestety, nie ma go tu... Jest teraz w drodze na przystań, gdzie umówiliśmy się za godzinę. Oczywiście, przekażę mu.

Rozłączył się i spojrzał morderczym wzrokiem na telefon. A potem, nie zmieniając wyrazu twarzy, odwrócił się do przesłuchiwanej.

– Teraz sobie pani o tym przypomniała?! – Krzyk był równie niespodziewany jak dzwonek telefonu. – Myśli pani, że o tym nie wiem?!

Ten wybuch dosłownie wbił ją w krzesło. Co go tak nagle rozwścieczyło? Nie wiedziała, gdzie się podziać, materiał przydziałowej bluzy zaczął iskrzyć od pocierania.

– Doskonale wiem, dlaczego pani ją zabiła, gdzie i kiedy, wiem nawet, jakimi słowami się broniła – wyliczał, wsuwając komórkę do tylnej kieszeni spodni. – Interesuje mnie teraz jedno: czym? Z odpowiedzią na to pytanie może się pani do mnie zgłaszać dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Odetchnął głęboko i dodał, nieco ciszej, znowu akcentując kluczowe słowa:

– Natomiast rzucanie fałszywych oskarżeń, zwłaszcza na ludzi pozostających **całkowicie poza podejrzeniem**, których nawet nie było na miejscu zbrodni, może sobie pani darować.

Adam Dziki odblokował zacisk i wysunął ostrze z plastikowej rączki. Odgarnął włosy na karku, odstaniając bladoróżowy przedziałek. Nabrał powietrza i jednym ruchem przeciął skórę. Odłożył nóż i sięgnął po piłę, upewniwszy się, że folia szczelnie zakrywa podłogę pod stołem. Położył zębki na rozcięciu i zaczął je pogłębiać, pozwalając piłe opadać pod własnym ciężarem. Gdy utknęła na ścięgnach, zaatakował je z pasją, aż martwym korpusem rzuciło w bok. Poszłoby łatwiej, gdyby zabrał się do tego wcześniej, ciepłe ciało stawia mniejszy opór. Prowadził płaszczyznę ostrza tuż przy podstawie czaszki, z impetem wchodząc w kręgosłup. Odgłosem kojarzącym się z tartakiem towarzyszyło mokre siorbanie, chlupot i szelest folii, które w końcu obudziły papugę.

– Daj, daj, daj, panie, daj, daj, daj!

– Jesteś wegetarianką – przypomniał jej.

Rdzeń, chrząstki tchawicy i znowu: ścięgna, warstwa tłuszczu oraz skóra, tym razem w odwrotnej kolejności. Teraz więcej wysiłku kosztowało go przytrzymywanie łba niż samo piłowanie. W końcu o podłogę grzmotnęło dobrych kilkanaście kilo czerwono-szarej masy.

Prezes Kabackiego Koła Myśliwskiego, zdobywca kryształowej kuli Towarzystwa „Darz Bór!”, pogromca mazowieckiej fauny uśmiechnął się z dumą. Klubowy taksydermista zużyje ze trzy zgrzewki bawełny do wypchania nowego trofeum, ocenił, gratulując sobie celnego strzału. Wiedział, co robi, mierząc w korpus; wielki, niedraśnięty łeb będzie ozdobą jego kolekcji.

– Daj, daj, daj, panie, daj, daj, daj!

Okrzykiem papugi zawtórował kanarek w klatce obok, a potem ara zawyła wysokim sygnałem, przypominającym syrenę okrętową. W przerwie za szybą zachrząścił żwir. Zdejmując rękawice, podszedł do piwnicznego lufcika wychodzącego na podjazd. Koło obracało się na tyle wolno, że widać było logo pośrodku aluminiowej felgi: cztery złączone kółka.

Prokurator próbował ustalić wiek kobiety, która otworzyła mu drzwi. Jeśli do plam na skroni i białych włosów dodać zażawione oczy, przygarbioną sylwetkę i drżący głos, miała koło siedemdziesiątki, trzeba jednak wziąć poprawkę na przejścia ostatnich dni. Cerę za to miała jak czterdziestolatka, co w dobie botoksu akurat nic nie znaczyło. W końcu postawił na jakieś pięćdziesiąt pięć.

– Alarm? – rzucił, przywitawszy się. W salonie królował kamienny kominek, na którym błyszczały złote puchary ocienione gigantycznym porożem. Na ścianach łowieckie trofea sąsiadowały z osiemnastowiecznymi sztychami, natura i kultura rywalizowały o uwagę w przyćmionym świetle. Na jednym z obrazów prokurator dostrzegł wyjątkowo dorodne jabłko z błyszczącą skórką.

Nawet jeśli płótna nie są oryginalne, pomyślał, z trudem odwracając wzrok, z pewnością jest tu co kraść.

Kobieta pokręciła głową.

– To nie alarm – odparła i nie facygując się dalszymi wyjaśnieniami, wskazała skórzany fotel. Usadowił się w nim ze skrzypieniem i poczęstował cukierkiem ze stojącej na stole srebrnej miski. To musiało wystarczyć. Gospodyni, która usiadła na kanapie vis-à-vis z niemiło zdziwioną miną, nie zaproponowała niczego więcej.

– Jak pani wie, zwolniliśmy dziś z aresztu pani syna. Widzieliście się?

Skinęła głową.

– Rozmawialiście?

Tym razem zaprzeczyła.

– Dlaczego?

Jej twarz rozjaśnił uśmiech, który odjął jej parę lat.

– Widzi pan, mój syn ma swoje humory... – Westchnęła. – Jedynek, rozumie pan. Chyba trochę go rozpuściłam.

Jak już wspomniałem, wzrost Agnieszki podniecał mnie i prowokował. Na salonach mogła brylować, zawłaszczać wnętrza i patrzeć na wszystkich z góry, w sypialni sprowadzałem Jej Wysokość do parteru. Ale gdy opadał kurz i obraz się wyostrzał, przytulałem ją skruszony (choć pilnowałem się, by za nic nie przeproszać). Nie, przytulałem się DO niej. Cumowałem w mlekiem i miodem płynących zakamarkach mojej ukochanej, a ona mnie głaskała, trochę władczo, a trochę ulegle, z nieskończoną cierpliwością zaspokojonej kobiety.

Pewnego dnia przycisnęła mnie do wysmaganego dekoltu i mruknęła ciepło:

– Niegrzeczny... Olafek.

Zaśmiała się i spytała, jak mama zdrabniała moje imię.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek to robiła – odparłem.

Powiedziała, że to smutne, odgarnęła mi grzywkę z czoła i nazwała swoim skarbem.

Dla mnie te chwile były bardziej perwersyjne niż cała reszta. Wywoływały lawinę doznań sięgających tak głęboko, że nie mogę o tym dłużej mówić. Dodam tylko, że jej fizyczna przewaga, ten centymetr czy dwa wzrostu więcej, znowu nabierały tu symbolicznego znaczenia, choć w ramach zupełnie innej symboliki niż podczas naszej „gry wstępnej”.

Była moją kochanką, żoną i matką, bliższą i emocjonalnie prawdziwszą niż ta biologiczna, po prostu bardziej... macierzyńską. Wraz z Agnieszką straciłem całą rodzinę. I mam w sobie wypaloną pustkę, szarą z plamami czerni.

Dawniej na takie miejsce mówiono „zgierz”; stąd wzięło nazwę Zegrze – osada wybudowana na pogorzeliuku.

Nie miałem już domu – miejsca godnego tej nazwy – nie miałem rodziny, więc właśnie tam wylądowałem po wyjściu z więzienia.

Osada wzięła nazwę od wykarczowanego lasu, o czym mało kto wie. Moi

przodkowie zastali tu ziemię i powietrze, spacyfikowali ją ogniem, a potem wodą, żebym teraz, oparty o ciepły pień sycił się dziełem czterech żywiołów. Na odległej wieży bił dzwon, a wiatr kołysał sosnami o pniach pogiętych jak po torturach. Bezpański wilczur załatwił się pod drzewem i wierzgnął tylnymi łapami, demolując ściółkę metr od miejsca, które użyźnił.

A między najeżonymi gałęziami błyskał zalew.

Wyobrażałem sobie ten dzień. Wielką powódź, która zmiotła domy i drzewa, pochłonęła łąki, pola i pastwiska, w sumie trzy tysiące hektarów ziemi. Spiętrzona rzeka w tydzień zrobiła z nich jezioro. Co ciekawe, początkowo chodziło o zabezpieczenie okolicy przed zalaniem, dopiero potem zrodził się pomysł budowy elektrowni. Zatopiono kilkadziesiąt gospodarstw, żeby tysiące innych były suche i oświetlone. Tamę zamknięto w sianokosy, podobno urzędnicy z Hydrobudowy, którzy przyjechali wyjaśnić sytuację, zostali złapani i przytopieni w wodzie, którą tu sprowadzili. W źródłach można poczytać o chłopach wieszających się na koparkach, o spędzaniu krów z pastwisk w ostatniej chwili, a ja pytam: co z kretami? Z myszami? Mrówkami? Jak się poczuły na widok morderczej fali nadciągającej bez ostrzeżenia?

„Sprowadzę na ziemię potop, aby zniszczyć wszelką istotę pod niebem, w której jest tchnienie życia – powiedział Jahwe do Noego”[8]. Według Lao Che wykazał większą finezję: „Utopię waszą utopię. Utopię w potopie”[9]. Historia przemilcza, co powiedział Władysław Gomułka, zatwierdzając projekt zapory pod Dębem. Niczym faraon wznoszący piramidę, odmienił los milionów poddanych, na jednych zesłał biblijną katastrofę, innym dał pracę i na wieki – a może na milenia – zmienił krajobraz wokół stolicy swego państwa.

Tak jak przewidywałem pierwszego dnia w celi, nagłe uwolnienie nie rozwiązywało żadnych problemów, a dokładało nowe.

Jechałem do domu rozdarty pomiędzy chęcią powrotu za kratki a pomysłem wyskoczenia z autobusu pod koła innego. Życie wokół, tętniące rozmowami, szczeniem, trzepotem skrzydeł, całym tym wielkomiejskim zgiełkiem, wydawało się niezrozumiałe. W autobusie jakaś kobieta zanosila się kaszlem i prawie widziałem bakterie rojące się w powietrzu, wściekle i bezrozumne – takich małych ludzi. Dopiero srebrzysty odgłos listka, z którego wyłuskała pastylkę na gardło, uruchomił pierwszy ciąg pozytywnych skojarzeń.

Jazda dłużyła się w nieskończoność, za to gdy stanąłem w drzwiach mojego domu, dosłownie przefrunąłem przez salon, sypialnię, do regału, drugiej półki od góry, do skrytki za książkami. Wolność przybrała konkretny kształt, kolor i smak, mogłem zatopić swój prywatny zgierz własnym zalewem. Obracałem w palcach sproszkowane oczyszczenie, C₂₀H₂₃N, tę wodę na młyn psychiki. Już unosiłem tabletkę do ust, gdy wpadłem na genialny pomysł: żywioły można połączyć, wystarczy zmiana dekoracji, by rozdmuchać mój chemiczny armagedon. Skoro podczas śledztwa wykazałem się takim uporem, to godzina mnie nie zbawi, a za trzydniową abstynencję trzeba nagrodzić się z przytupem. Dzięki internetowi zlokalizowałem policyjną przystań, wyjąłem z szuflady zapasowy klucz do łodzi i zamówiłem taksówkę. Po godzinie siedziałem w lesie naprzeciwko pomostu. Między drzewami migotał kadłub, wbity w krajobraz niczym szklane żądło.

Tyle razy wracałem tu myślami, teraz wreszcie także ciałem. Historia zatoczyła koło i znalazłem się w punkcie wyjścia.

Bez niej.

Ale z tabletką.

Wsunąłem ją do ust, wstałem i ruszyłem po szarych płytach do oplecionego powojem ogrodzenia w miejscu, w którym nie było kamer.

Wydawało mi się, że dostrzegłem postać w ciemnym płaszczu, przemykającą między drzewami. Ale równie dobrze mógł to być pozawężlany pień sosny, miotana wiatrem reklamówka albo cień przetworzone we wspomnieniach pod wpływem późniejszych wydarzeń.

– Dzień dobry, Jolu...

Przygryzła wargę i zwalczyła pokusę ciśnięcia kolejnej komórki.

– Nie mów tak do mnie.

Stłumiony głos w słuchawce zszedł do szeptu.

– Dowiem się, co się stało. Na policji niewiele mi powiedzieli, bo się nie przedstawiłem... Ale oni i tak nic nie wiedzą. Tylko jedna osoba zna prawdę.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć, o czym mówisz.

Mężczyzna milczał, a w tle szumiał wiatr i skrzeczały mewy.

– Mówię o jej śmierci – powiedział głucho po chwili. – Chcę wiedzieć, jak to się stało. I dlaczego. Tyle mogę dla niej zrobić. Jeszcze dziś to ustalę.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie przesadza. Przez krótką chwilę.

– Nie dzwoń do mnie.

– Jestem trzeźwy od trzech lat. – Teraz mówił szybko. – W Bielefeld przeszedłem terapię, teraz chodzę tu na mityngi Anonymen Alkoholikern... Do AA. I przez cały ten czas o was myślałem... Nie mam ci za złe, że odcięłaś mnie od małej. Wybaczyłem ci to.

– Ty mi wybaczyłeś?!

Ręka sama jej poleciała i gdyby tu był, wylądowałaby na jego policzku. W końcu tylko zamachnęła się komórką, ale zmęczenie zrobiło swoje i tym razem opuściła ją powoli.

– ...spotkajmy się, proszę – dobiegało z głośniczka. – Powiedz, o której pogrzeb.

– Zapomnij o tym.

– Proszę cię... Chcę pożegnać naszą dziewczynę... Halo? Jolu, halo...

Wyszyński chwycił palcami grzbiet nosa na wysokości oczu i przymknął powieki. Ulga była płytka, ale tak nagła, że na chwilę stracił kontakt z rzeczywistością. Odzyskał go dopiero, słysząc turkot opon o karbowaną linię pobocza.

– Uwaga!

Złapał kierownicę obiema rękami i skontrolował ją szybkim ruchem. Spojrzał na pasażera, chudego okularnika w szarej marynarce, którego podesłał mu prokurator. Biegły Sosnowski miał być jego „uszami, które usłyszają każdego kornika na tej pieprzonej

krypie”. Ustami z pewnością nie był, przed chwilą odezwał się pierwszy raz od godziny. Komisarz westchnął, przetarł twarz dłonią i włączył radio. Bolała go głowa i mięśnie, pod powiekami czuł piasek i chyba brała go grypa. Próbował skupić rozproszone myśli na konkretnych problemach, których nie brakowało. Kogo kryje Dziki? Jego reakcja na zatrzymanie Pawłowskiej wciąż nie dawała mu spokoju. Może jednak za bardzo zawęził krąg podejrzanych? Przecież ktoś mógł wejść na łódkę i pod pokład, nie zostawiając śladów, mając mordercze zamiary, dokładnie o to by się postarał. A zatem jest właściciel łodzi, jego rodzice – oboje! – i eksnarzeczona. Ene, due, like, fake... Brawo, Herlaku Szolmsie, świetna metoda.

Włączył odtwarzacz i wewnątrz auta wypełnił ostry rock – muzyczny substytut mocnej kawy, której tak potrzebował.

– Mógłby pan to ściszyć?

Sosnowski wyglądał tak, jakby wypił o jedną kawę za dużo. Wiercił się, a jego powiększone przez okulary oczy patrzyły z wyrzutem. Wszystko było w nim długie i cienkie, od nerwowych palców po opadającą na okulary grzywkę.

– Przepraszam, trochę boli mnie głowa – mruknął ugodowo, gdy Wyszyński spełnił jego prośbę.

– To jest nas dwóch.

Tamten w milczeniu zaplótł ręce na piersi, wbijając dłonie pod pachy, i spojrzał za okno. Nie jest chamem, raczej odludkiem, typem naukowca, który zdiczał w swojej pracowni, stwierdził komisarz.

– Słyszał pan o teorii Wieteski, tego zmarłego aspiranta? – zagadnął Wyszyński.

Grube szkła w rogowych oprawkach błysnęły, gdy mężczyzna odwrócił się i pokiwał głową.

– Ale nie zgadzam się z nią. Tam nie było ultradźwięków.

– Skąd pan wie?

– Nie mogło być.

Sosnowski wyjął dłonie spod pach i zaczął nerwowo wyrównywać kanty brązowych spodni.

– Amatorskie sprzęty ich nie emitują, a nawet gdyby, to nie tłumaczy agresji.

Komisarz ścisnął nasadę nosa bez zamykania oczu, co przyniosło częściową ulgę, a nie groziło wypadkiem.

– Podobno ultradźwięki działają pobudzająco. – Przypomniał sobie opinię, usłyszaną nie wiadomo gdzie i od kogo. Na chwilę odzyskał jasność myśli, jakby ucisk naczyń krwionośnych pod zatokami w tajemniczy sposób rozwarł kleszcze zaciśnięte na umyśle.

– Nie przeprowadzano eksperymentów na ludziach – w głosie dźwiękowca zabrzmiał żal – więc nie ma dowodów. To, że ich nie słyszymy, nie oznacza, że mają jakieś tajemnicze działanie. Po prostu ich nie słyszymy.

– Nawet pan?

Mężczyzna spojrzał zaskoczony na komisarza, a potem aż pokraśniał, speszony tak pochlebnym przypuszczeniem. Pokręcił głową i znowu westchnął z żalem.

– Raz człowiek zemdlał przy mnie pod wpływem jednego dźwięku – powiedział

po chwili. – Średniej częstotliwości.

Gdy komisarz opuścił dłoń, ból wrócił ze zdwojoną siłą, ale przecież nie mógł ciągle trzymać się za nos. Może powinienem przypiąć sobie spinacz? – pomyślał.

– Pracowałem dla firmy, która nagłaśniała koncerty – ciągnął Sosnowski, odgarniając jasną grzywkę. – Wyszedłem na chwilę i jakiś dowcipniś dorwał się do konsoli. Perkusista uderzył w werbel. Stałem dwieście metrów dalej, a poczułem się tak, jakby piorun strzelił mnie w głowę. Echo dudniło z pół minuty.

– Echo? – mruknął komisarz.

– A byłem dwieście metrów dalej. Jeden z porządkowych stał akurat przy centralnym głośniku. Zawieźli go do szpitala, gdzie podobno jedno ucho mu odratowali.

Toczyli się chwilę za furmanką z sianem, a gdy w końcu ją wyminęli, Wyszyński przyjrzał się starej szkapie. Przepracowana, spocona, z klapkami na oczach. Jakby patrzył w lustro.

– A co z perkusistą?

– Nic mu się nie stało. – Dźwiękowiec wzruszył ramionami, a w jego głosie zabrzmiało współczucie. – To muzyk rockowy.

Przy wylocie leśnej dróżki stały dwie opalone brunetki w kusych spódnicach, które posłały im szerokie uśmiechy.

Wyszyński wskazał owalne urządzenie ze spiczastą końcówką leżące na tylnym siedzeniu.

– Co to?

Zapatrzony w boczne lusterko dźwiękowiec przełknął parę razy sucho.

– To cyfrowy analizator oktawowy o poszerzonym spektrum – odpowiedział z roztargnieniem. – Zarejestruje nawet szelest opadających liści... – Urwał, a gdy się odwrócił, jego oczy za grubymi szklami błyszcząły niezdrowo. – Czy prostytutka jest legalna?

Popołudniowe słońce migotało między drzewami, a przez opuszczoną szybę wpadała wilgotna bryza. Nad zalewem wisiał wielki nimbus w kształcie kowadła, z którego w każdej chwili mógł lunąć deszcz. Gdy wreszcie ujrzeni szarą tafelę, wyglądała jak zrobiona z ołowiu.

Skręcając w znajomą drogę wiodącą do przystani, Wyszyński obiecał sobie, że będzie częściej obcować z ludźmi. Trzeba wietrzyć mózg, ta zabawna maszynka lubi się wykolejać, jeśli zostawić ją samej sobie. W hermetycznym świecie „branży” łatwo stracić kontakt z rzeczywistością, wpaść w nałóg albo stać się dziwakiem, który słyszy, jak trawa rośnie, ale nie słyszy samego siebie. Rzucając pytania od czapy, odcięty od innych i od swoich potrzeb, tak bardzo unikającym towarzystwa, że w końcu gotowym na każdą formę kontaktu z drugim człowiekiem. I napalonym. Jak często przy takich okazjach, jego myśli poszybowały do domu, pomyślał ciepło o żonie i o tym, ilu pułapek dzięki niej unika.

Prokurator o mało nie udławił się tą oklepaną formułką.

– Nie, dziękuję, jestem na służbie.

A potem patrzył, jak kobieta nalewa sobie odrobinę ciemnego płynu i wstawia butelkę do barku. Trzymając kieliszek od spodu i kołysząc nim lekko, by uwolnić aromat, usiadła na kanapie.

– Mam pytanie – zaczął ze wzrokiem wbitym w namalowane owoce. – I prośbę. Wróćmy na chwilę do wydarzeń na „Szklanym Żądle”.

– Ale...

– Ta godzina przed przyjazdem patrolu nie daje mi spokoju.

– To niech się pan uspokoi.

Stojący w drzwiach mężczyzna nie miał kaptura ani strzelby, ale z nożem w dłoni i lepką cieczą spływającą z fartucha wyglądał jeszcze straszniej niż w sennym koszmarze prokuratora.

– Macie już podejrzaną albo zatrzymaną, czy jak to się nazywa – odezwał się niskim głosem. – Dlaczego nas nękanie?

Liczył na to spotkanie, ba, przyjechał tu, by stanąć przed posłańcem prohibicji, który nawiedził go w nocy. Ale teraz nie mógł sklecić sensownego zdania, erudycja i pamięć zawiodły go na całej linii.

– Sprawa jest w toku, gromadzimy dowody...

– Niech pan zadzwoni do naszego adwokata.

– Już dobrze, Adamie – włączyła się kobieta. – Zaraz skończymy, nie przeszkadzaj.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, aż grubas wzdrygnął się i wyprostował na fotelu.

– Wracaj do piwnicy.

Dziki senior pokiwał się jeszcze przez chwilę, lustrując gościa zmrużonymi oczami, po czym w końcu odwrócił się i rozplynął w mroku jak zjawa. Po chwili prokurator nie był pewny, czy naprawdę tu był. Poczuł, jak włoski zjeżone na całym jego ciele kładą się niczym trawa na deszczu. Wyjął z kieszeni chusteczkę.

– Do piwnicy? – mruknął, wycierając kark.

– To pracownia męża – wyjaśniła gospodyni, mocząc usta w koniaku. – Jest myśliwym.

Pod podłogą znowu zawył alarm–nie–alarm, ale poruszony prokurator ledwie to zarejestrował. Próbował sobie przypomnieć, jaką długość miało narzędzie zbrodni według biegłego, który zrekonstruował je po sekcji zwłok. W odniesieniu do noża, z którym wparował tu ponury żniwiarz, w zasadzie nie miało to znaczenia. Miał wysuwane ostrze, pasował więc do każdej rany, przynajmniej jeśli chodzi o długość.

Sięgnął do miseczki po cukierka. W tym gustownym salonie zaczął się czuć jak na cholernych oględzinach, pachniało tak samo. Woń krwi i alkoholu przyprawiała o mdłości i nie pozwalała się skupić. To, że gospodarz jest myśliwym, tłumaczyło nóż i zakrwawiony fartuch, ale nie czyniło go ani trochę mniej podejrzanym.

Każde wnętrze ma swój zapach rozpoznawalny dla wszystkich, oprócz jego mieszkańców. Wydaje im się, że oddychają bezwonnym powietrzem, bo przywykli do swojskich wyziewów jak do aromatu używanych codziennie kosmetyków. Jako właściciel nie wiem, czym „Szklane Żądło” pachniało wcześniej, jednak z całą pewnością nie

amoniakiem i cytrynowym płynem do podłóg z subtelnymi nutami potu i nikotyny, czyli komendą policji, z grubsza rzecz biorąc. Gniotąc taśmę zerwaną z drzwi, wyminąłem pirata, z którego ramienia znikła papuga – ten zabawny gadżet sprezentowany mi przez dystrybutora systemu ECHO po udanym dilu. Owalne linie słoików na panelu z dębu bursztynowego przecinała nieznana rysa. Kątem oka rejestrowałem szarą płachtę, w nogach łóżka naciągniętą, przy wezglowiu pomarszczoną. Chyba nadal zwiślały z niej kajdanki. Odwróciłem się, rzuciłem w kąt lepką kulkę i zacząłem przeglądać płyty na półce. Vangelis? Tangerine Dream? Barry White? Czym ogrzać to zimne wnętrze? Za szybką odtwarzacza wciąż błyszczał krążek Blondie z transowym hitem, zdolnym w minutę ogrzać dowolne pomieszczenie, a w dwie doprowadzić je do wrzenia, ale nie chciałem tego, jeszcze nie. Po chwili moje dłonie przestały drżeć i z grubsza o to mi chodziło.

Pamiętam, jak... kupiłem pierwszą płytę kompaktową – składankę Massive Attack. Słuchając muzyki, czytałem teksty z załączonej książeczki, a potem z dumą ustawiłem mój skarb na półce obok książek i komiksów.

Pamiętam, jak... popkultura miała swoją WAGĘ i przyjazne nośniki, a obcowanie z nimi było przeżyciem. Steve Jobs i jego banda odebrali to milionom kolekcjonerów, ale nie mnie. Obiecałem sobie, że nie będę tankował muzyki do odtwarzacza jak benzyny, a „Szklane Żądło” będzie strefą wolną od plików MP3.

Pamiętam, jak... Agnieszka podarowała mi płytę z soundtrackiem *Wielkiego błękitu*. Trzymałem go teraz w ręku i patrzyłem na okładkę z delfinem frunącym nad wodą. „Słuchaj wieczorem, najlepiej w łóżku”, poradziła.

Choć nadal manewrowałem tak, by nie widzieć zafoliowanego materaca, nie mogłem o nim zapomnieć. Co czuła, leżąc w nim WTEDY, gdy życie wyciekało z niej i wsiąkało w prześcieradło? Szukając jakiegoś punktu odniesienia, pomyślałem o niedawnej wizycie u lekarza i błysku igły na strzykawce tuż przed wkłuciem. Ale coś mi mówiło, że nóż w sercu to nie tylko więcej tych samych uczuć – bólu i strachu – że musi być coś jeszcze. Żal? Ulga? Uniesienie? To chyba zależy od tego, czy wierzy się w jakiś ciąg dalszy, a w przypadku Agnieszki musiałem zdać się na domysły. Dziesiątki przegadanych wieczorów, a nie wiem, w co moja ukochana wierzyła. Owszem, powiedziała kiedyś: „Bóg stworzył mnie piękną”, ale to był żart, prowokacja, równie dobrze mogła powiedzieć: „Wyewoluowałam z pierwotniaka i po serii mutacji przybrałam formę, która wabi przedstawicieli płci przeciwnej jako piękna”, tylko to nie byłoby śmieszne. Flirt zacząłby trącić debatą światopoglądową, a tej raczej unikaliśmy. Bo przecież nawet gdy drwiła z „moherowych dewotek” czy z pazernych księży, to też były żarty. A może miały drugie dno? Maskowały problemy? Czy pod antykatolickim szyderstwem krył się ateizm? Jakaś prywatna religia? Pustka? Nie wiem. Szkoda.

Złapałem się na tym, że nie czuję już żadnego zapachu. Po kwadransie oglądania płyt i przyswajania psychotropu zadomowiłem się wreszcie na miejscu zbrodni.

Elavil, estavil, yohimbee, zocor, sonata, ambien, xanax, valium, vicodin, prozac... Co wziąłem tym razem? Muszę czasem czytać te sfalszowane recepty... Z płytami jest łatwiej, krążek idzie pod laser, a w ręku zostaje okładka. Uznawszy *Wielki błękit* za idealny na rozkręcenie jednoosobowej imprezy, postanowiłem zadbać o stereo.

Zamierzałem zerwać opatrunek, lecz wtedy po pokładzie przetoczył się stukot. Stałem na lewo od drzwi, odwrócony do nich odgryzionym uchem, więc to tym zdrowym zarejestrowałem tupot na schodach. Odniosłem wrażenie, że ktoś schodzi po schodach w salonie. Tylko że tam nie było schodów. Jak się tam dostał? Przeniknął wcześniej przez sufit? Hm... Obracając się, czułem zaciekawienie typowe dla pierwszej fazy działania trójpierscieniowych.

A więc to znowu elavil.

To, co zobaczyłem, popchnęło mnie parę faz do przodu, jakbym połknął trzy tabletki.

W półmroku błyszczały zielone, lekko skośne oczy.

Oczy Agnieszki.

Osadzone w pomarszczonej męskiej twarzy.

Przyciśnięty opatrunek zadziałał jak przyłożona do ucha muszla. W mojej głowie mieszały się dwa żywioły, powietrze i woda, której szum rejestrowałem zdrowym uchem.

– Faktycznie, zawsze wracacie. Wystarczy poczekać.

Musiałem zrobić dziwną minę, bo okolone zarostem wargi rozciągnął uśmiech, który jeszcze bardziej zmarszczył policzki. Rysy mężczyzny nieco złagodniały, ale oczy pozostały chłodne. Usta poruszyły się, jeszcze nim padły słowa, jakby żuł gumę.

– Zanim zaczniemy, chciałem podkreślić, że nie szukam zemsty – znowu rozległ się chrapliwy głos. – Co się stało, to się nie odstanie, jak to mówią.

Jego dłoń delikatnie wyjęła płytę z mojej ręki i odgarnęła mi włosy z czoła. Chwyła kosmyk i go wyrwała. Nie czułem bólu ani strachu, tylko zaciekawienie.

Tak najkrócej opisałbym mój stan w sytuacji zagrożenia. To znieczulenie chyba wynikało z nadmiaru bodźców, które znosiły się wzajemnie, jak krzyki kibiców na trybunach zlewają się w szum. Najwyraźniej o doznaniach krańcowych decyduje nie tyle kwestia wiary, ile prochy, które się wcześniej połknęło.

– Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. – Szept wtapiał się w szum morza z prawej strony i zalewu z lewej. – Dlaczego? – Plastikowy pirat pod ścianą wyglądał jak tchórzliwy współnik, który osłania tyły napastnika. Na podłogę upadło z klekotem coś ciężkiego, jakby wypchana narzędziami torba. – Dlaczego? – Usta wciąż się poruszały, a okolone tęczęwkami źrenice ziały czernią jak królicze nory, które wsysały mnie w głąb. – Dlaczego?

Staszewski przegryzł ostatnią pestkę, połknął jej zawartość i wypluł łupinę do kosza. W ślad za nią podążył lepki po bokach i kłujący z wierzchu płat słonecznika. Policjant rozparł się w fotelu, położył nogi na biurku i wrócił do lektury.

Opisy rodzinnej sielanki, opiewanej okrągłym pismem z serduszkami zamiast kropek nad „i”, zrobiły się nudne, jeszcze zanim autorka przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej. Relację z podniosłej uroczystości w wynajętym pałacu z „wielkimi żyrandolami i bażantami na półmiskach” sierżant już tylko przekartkował. Nawet jeśli dziewczynka nie zmyślała i wychowały ją pretensjonalne snoby, dla śledztwa nie było to istotne.

Już miał opatrzyć znalezisko standardową notką „materiał zbadany, bez wartości dochodzeniowej”, gdy jego wzrok padł na wytłuszczone słowo: KRAMER. Zaintrygowany wrócił do początku akapitu, do ranka 16 lutego 1994 roku. Ferie zimowe. Agnieszka, dzielna trzecioklasistka, wypuściła się z sankami na pobliską górkę, na której „wył wicher, a płatki śniegu kłuły jak igły”. Nagle podszedł do niej mężczyzna w szarym płaszczu. Powiedział, że pięknie wyrosła i że jest podobna do mamy. „Pogłaskał mnie po głowie i nazwał swoją córką”. Dziewczynka uciekła, zostawiła koleżanki i pobiegła do domu, gdzie mama wysłuchiwała jej z uwagą. Bardzo się zdenerwowała, „właściwie to wpadła w szal i stłukła bezcenną wazę”. Mała wystraszyła się, że źli ludzie znowu je rozdziela. Na szczęście kobieta się uspokoiła i zapewniła, że mężczyzna nie będzie już jej niepokoił. „Głupi Kramer nic nie zdziała, zapewniła. Tak dowiedziałam się, jak ten pan się nazywa”.

Pod tekstem narysowana była pociągła ciemna twarz z zielonymi oczami.

Staszewski zdjął nogi z biurka i pochylił się nad laptopem. W odpowiedzi na hasło „Kramer” przeglądarka wyrzuciła kilkanaście linków do firmy budowlanej o tej nazwie, dopiero w drugiej dziesiątce pojawił się tytuł filmu *Sprawa Kramerów*. To dlatego nazwisko zabrzmiało znajomo. W kolejnej dziesiątce było coś jeszcze: Stowarzyszenie Pokrzywdzonych Ojców „Kramer” z siedzibą w Warszawie i mottem: „Ojciec jest tylko jeden”, zaczerpniętym pewnie z tamtego dramatu o walce rodziców o dziecko. Staszewski znalazł na stronie stowarzyszenia zakładkę „kontakt” i sięgnął po telefon.

Co ciekawe, wojujących mężczyzn reprezentowała kobieta.

– Czy prowadzicie państwo archiwum? – spytał ją po przedstawieniu się.

– Oczywiście.

– Sprawdzi pani dla mnie jedno nazwisko? Malik. Mógł do was należeć jakieś dwadzieścia lat temu.

– Chwileczkę.

Czekając, wziął skuwkę długopisu i zaczął wydłubywać spod paznokci osad po pestkach. Dotarł do trzeciego palca, gdy kobieta wróciła do telefonu.

– Kazimierz Malik. Członek Stowarzyszenia w latach dziewięćdziesiąt trzy-cztery, aktywny do wyjazdu do Niemiec...

– „Aktywny”? A w jakiej sprawie, jeśli można spytać?

– Próbował odzyskać prawa do opieki nad dzieckiem.

– Nad córką – bardziej stwierdził, niż spytał

Kobieta najwyraźniej była pod wrażeniem.

– Czy prowadzi pan jakieś śledztwo?

– Miała na imię Agnieszka?

– Brawo! – ucieszyła się i dodała: – Miała i ma, zapewne.

– Nie, proszę pani, już nie ma. Dziękuję za pomoc.

Kolejny numer znalazł w służbowej bazie danych.

– Dzień dobry, pani Malik, komenda w Legionowie. Chciałem spytać o pani męża. Ta rozmówczyni, dla odmiany, nie paliła się do współpracy.

– Nie mam męża – odparła sucho.

– Jest pani pewna? Spotkałem się z odmienną opinią na ten temat.

Syk po drugiej stronie mógł być zakłóceniem na linii albo westchnieniem. Gdy kobieta znowu się odezwała, jej głos brzmiał głucho, jakby upuściła słuchawkę i już jej nie podniosła.

– To wy podaliście temu skurwielowi mój numer?

Sierżant przygryzł paznokiec tak mocno, że mimo czyszczenia poczuł smak słonecznika. Zaprzeczając, nie mógł powstrzymać triumfalnego uśmiechu.

Kazimierz Malik opuścił rękę, w której trzymał nóż. Chwycił mężczyznę za włosy i odwrócił jego głowę.

– Wiesz, po co są uszy?

Sińce pod oczami Dzikiego przechodziły w biel na policzkach, przyciemnioną dwudniowym zarostem przy uszach. A raczej przy tym, co z nich zostało.

– Nie mówię o błonie bębnekowej, błędniku i tak dalej. Chodzi mi o to.

Przyłożył ostrze do rany, a na jego czubku pojawiła się krew. Kajdanki zaklekotały o pręty łóżka, ale skutki mężczyzna milczał.

– Po to, żebyś wiedział, skąd pochodzi dźwięk. Dlatego powstały te wszystkie fałdy i zakola, żebyś słyszał kwadrofonię, a nie tylko stereo. Żeby myśliwy wiedział bez patrzenia, gdzie jest antylopa, z przodu czy z tyłu.

Trzydniową ranę na jednym uchu spinały szwy, druga ziała czerwienią.

– To podobno dzieło mojej córki. – Starszy mężczyzna wskazał nadgryzioną małżowinę. – Ona zaczęła, ja skończyłem.

Odsunął się i żując gumę, stanął w nogach łóżka. Patrzył na grymas, który wyglądał jak uśmiech, lecz opaska zasłaniająca oczy nie pozwalała tego ustalić na pewno. Strużka krwi okrążyła nieogoloną żuchwę, spływała na obojczyk i pod koszulę.

– Teraz nie umiesz mnie zlokalizować. Jestem głosem znikąd. I zewsząd. To dobry moment, żeby odmówić modlitwę.

Wytań ostrze o zwisającą z łóżka folię. Porysowana stal wciąż błyszczała różowo, więc doczyścił ją o nogawkę.

– Słyszałeś o grze w kukułkę? Coś jak ruska ruletka. Dwóch gości, dwa pistolety i ciemny pokój. I co minutę trzeba powiedzieć „kuku”.

Róg folii, którą przesunął, odsłonił płamę na prześcieradle. Rdzawobordowy zaciek, jeden z wielu, które wsiąkły w tę pościel w ostatni wtorek.

– Przecież nie ogłuchłeś. Nie znam się na tym, ale chyba jesteś szalony. Musisz być. *Geisteskrank*. To dlatego wolniej myślisz. Ale mnie słyszysz. Więc chyba musisz ci coś uświadomić: nie uwolnię cię z tych kajdanek. Zanim nie odpowiesz na moje pytanie.

Podszedł do wezgłowia. W ciszy słychać było świerszcze grające w sitowiu i świst wiatru w knagach. W oddali zaterkotał dzięcioł. Mężczyzna z nożem zastanawiał się przez dłuższą chwilę, co jest nie tak, i w końcu uznał, że to krzywy nos i za krótki rowek pod spodem – czy to coś ma nazwę? – nadają twarzy ten dziwny wyraz.

– Dlaczego?

Philtrum – przypomniał sobie. Po polsku to chyba „rynienka podnosowa”. A pod spodem, pod skórą i kością, tkwi prawda, twarda i gorzka jak pestka.

Musi ją wyłuskać.

– Kuku.

Wyszyński już z daleka zauważył zerwaną taśmę powiewającą przy kokpicie jak resztki żółtej bandery.

– Ktoś od nas był na przystani? – spytał Staszewskiego, z którym rozmawiał właśnie przez komórkę. – Nie? Dobra, zaraz zadzwonię, może będziecie mi tu potrzebni.

Chowając telefon, zaczął się baczniej rozglądać i idąc w stronę łódki, zarejestrował: białą gumę do zucia na chodniku, świeże ślady butów, obluzowaną cumę przy rufie świadcząca o tym, że „Szklanym Żądłem” poruszyło coś mocniejszego niż wiatr. Wspomnienie zapachu wody po goleniu i ślad buta na pokładzie, ten sam rozmiar co na chodniku. A w przyciemnionej szybcie bulaja dostrzegł ruch, który prawie na pewno nie był słonecznym refleksem. Kucnął, wsuwając dłoń pod kurtkę.

– Fajna łódka.

Sosnowski sięgał do obluzowanej cumy, by przysunąć łódź do pomostu. Komisarz złapał go za ramię.

– Niech pan tu zostanie. Tam ktoś jest.

Dźwiękowiec spojrzał na niego z niedowierzaniem, dopiero widok walthera przekonał go, że policjant mówi serio. Przejęty pokiwał głową i się odsunął. Wyszyński podszedł do dziobu i ostrożnie postawił stopę na pokładzie. Powoli przeniósł na nią ciężar ciała, synchronizując przechył łodzi z rytmem fal uderzających o burtę. Ruszył na palcach do schodów, odruchowo unosząc broń na dźwięk głosu dobiegającego spod pokładu: „Strasznie tu cicho”. A potem: „O, dawno tego nie słuchałem”. Ochrypty i niski, modulowany w parodii zaciekawienia, jakby facet w kajucie z kimś się droczył. Albo kogoś prowokował. Komisarz nabrał powietrza, odbezpieczył pistolet i pchnął drzwi.

W pierwszej chwili pomyślał, że poruszył jakąś zapadkę i strącił coś ciężkiego. Perkusja i bas zwały mu się na głowę, jakby fizycznie wisiały pod sufitem, tylko po pierwszej fali hałasu następowały kolejne, zagłuszające echa poprzednich.

Przyzwyczajone do światła słonecznego oczy w półmroku odmówiły posłuszeństwa. Osunął się w jakieś spotęgowane muzyką *déjà vu*, które przerodziło się w swoje przeciwieństwo, *jamais vu*: wrażenie, że pierwszy raz doświadcza czegoś, co znał bardzo dobrze. Jak to wewnątrz, które odwiedził już tyle razy. Dopiero błysk noża sprawił, że wrócił do rzeczywistości. Skupił się na nim jak na kursorze, który prowadzi wzrok do kluczowych elementów w polu widzenia. Najpierw do trzymającego rękojeść potężnego faceta, a potem do zmasakrowanej twarzy, w którą celowało ostrze. W miejscu nosa mężczyzny leżącego na łóżku ziała rana wyglądająca jak ślad po kafarze albo młocie pneumatycznym. Wyszyński poczuł się tak, jakby z cichej przystani trafił do rzeźni. Osilek coś krzyknął, ale komisarz ledwie słyszał własne myśli. Kiedy odwracał się do wnętrza ze sprzętem grającym, by wyłączyć muzykę, bas zszedł w niższe rejestry i zadudnił gdzieś pod łodzią. Kobięcy wokół wybuchł niczym fajerwerk, zasypując scenę deszczem iskier.

Nareszcie.

W jednej chwili muzyka przestała Wyszyńskiemu przeszkadzać, jego umysł dostroił się do jej pulsującego rytmu. Podobny efekt przynosi wypicie pierwszego łyka wódki, jazda górską kolejką czy wrzucenie szóstki na pustej autostradzie. Euforia, poczucie mocy, dziki szwung. Przypomniawszy sobie telefon Staszewskiego i domyślił się, kim jest facet z nożem. Tożsamość zmasakrowanej ofiary to była pestka, nieco więcej czasu zajęło mu zrozumienie, co ich obu tu przygnało. Potem wpadł na pomysł, jak obezwładnić napastnika. Z każdym taktem piosenki szybował wyżej na skrzydłach mentalnego orgazmu, by z lotu ptaka spojrzeć na labirynt, w którym błądził od paru dni. Jakby mimochodem znalazł rozwiązanie sprawy spędzającej mu sen z powiek. Tymczasem jednak musiał zejść na poziom działań praktycznych. W kolejnym takcie melodia opadła, a nóż-kursor zbliżył się do szyi ofiary. Gładko jak gitarzysta biorący akord, komisarz wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki i odnalazł komórkę. Zrobił krok w stronę odtwarzacza i odnalazł wyłącznik. Wcisnął go końcem lufy pistoletu, drugą ręką po omacku wybierając w telefonie ostatnie połączenie.

Cisza dzwoniła w uszach tylko przez chwilę.

– Zabiję go.

Mężczyzna już się nie droczył, w jego głosie brzmiała groźba. Wyszyński modlił się w duchu, by obie komórki były aktywne i by sygnał, odbity rykoszetem od najbliższego przekaźnika, wrócił tu jak najszybciej.

– Cofnij się, bo...

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”

Mężczyzna zamarł. Dobiegający nie wiadomo skąd kobiecy krzyk był wystarczająco niesamowity, nie musiał rozpoznawać głosu. Ale chyba go rozpoznał. Podobnie jak właściciel jachtu, który dogorywał na łóżku. Przechylił głowę i z wymiotował.

Oczywiście.

Nie chodziło o dzwonek, lecz o dźwięki emitowane przed chwilą z głośników systemu ECHO. Zareagował tak, jak przedtem komisarz, powinien był to przewidzieć. Cokolwiek to było, działało rozmaicie: usypiało Siwca, podkreślało agresję ojca Agnieszki i pijanego ochroniarza, a Olafa Dzikiego oczyszczało z prochów, którymi był aktualnie nafaszerowany. Dawało to, czego każdy z nich potrzebował, jemu zaś – detektywowi na tropie – podnosiło IQ. Było superkawą, zapętlonym dreszczem wprowadzającym go na bezcenne sekundy w stan mentalnej transgresji. Teraz, gdy ucichło, stopniowo obniżał lot, wciąż miał jednak sporą przewagę nad resztą.

„Nie, nie, nie rób tak, ty gnoju, nie chcę tak!”

Zrobił trzy kroki, zamachnął się i wytracił nóż z bezwładnej dłoni ojca, który właśnie usłyszał córkę zza grobu. Jego ramię przypominało stary konar, ciężki, twardy i kruchy. Wyszyński wykręcał mu rękę, aż usłyszał trzask stawów. Szok spotęgowany bólem sprawił, że ciało zwiotczało i poddało się jego woli. Popchnął je na drzwi szafy, sięgając pod kurtkę po kajdanki.

– Niesamowite!

Kątem oka zobaczył Sosnowskiego pochylonego w drzwiach kajuty nad urządzeniem ze spiczastą końcówką.

– Dwanaście herców przy osiemdziesięciu decybelach... – mamrotał dźwiękowiec.
– Czyste poddźwięki, jak młot szatana, cios w ucho... Włączy pan to jeszcze raz?

Wokół rozgrywało się pandemonium, trzecia zbrodnia na „Szklanym Żądle” wisiała na włosku, ale naukowiec pochłaniał tylko odczyt na wyświetlaczu.

Grzegorz Wyszyński – wróżby, czary i mentalne powidoki – spojrzał na niego krytycznie, powtarzając w myślach jego słowa. Dwanaście herców przy osiemdziesięciu decybelach... Jasność umysłu nigdy go już nie zawiedzie. Koniec z wrózeniem z fusów, rockiem w aucie i kawą, klucz do tej zagadki jest kluczem uniwersalnym. Sprawców przyszłych zbrodni wykryje równie szybko, jak przed chwilą odgadł tożsamość sprawcy „dzikiej nocy”.

A właściwie sprawczyni.

Helena Dzika dotknęła szyi i syknęła. Wcierała w skórę maść, dopóki ta chciała się wchłaniać, a potem jeszcze przez chwilę. Zakręciła tubkę, włożyła ją do kosmetyczki i wraz z lusterkiem umieściła w zamykanej kieszeni walizki. W głównej komorze spoczywały artykuły podręczne (jabłko z nożykiem w torebce, modlitewnik, chusteczki), awaryjne (peleryna przeciwdeszczowa, aspiryna, plastry) oraz ubrania. Podzieliła je na część dzienną i nocną i teraz przebiegła palcami warstwy bawełny, lnu i jedwabiu, sprawdzając, czy czegoś nie brakuje.

– Dokąd się wybierasz?

Drgnęła i odwróciła głowę. Stał w drzwiach, znowu w szlafroku z herbem, znowu niezadowolony i gotów wypominać jej urojone powinności. Szybko sięgnęła po chustkę i zasłoniła szyję.

– Do Fatimy – odparła spokojnie. – Mówiłam ci.

– Nie wiedziałem, że to dziś.

Przekroczył próg, a pokój jakby zmałał. Tym razem postanowił się z nią „poważnie rozmówić” przed kąpielą. Kategorieczny ton kontrastował z niechlujnym strojem i zapachem piwnicy, którym przesiąkł. Spod rozchylonego szlafroka wystawała siwa szczecina. Odwróciła wzrok.

– Powiedz mi coś, moja droga.

Mówił z przesadną słodyczą, czyniącą z poufałości zniewagę. Potrzeba wielu lat małżeństwa, by wypracować i usłyszeć takie niuanse.

– Słucham, mój mężu.

Czuła, do czego zmierza, i z trudem opanowała impuls ucieczki lub wyrzucenia go za drzwi. Tego śmierdzącego krwią i bezpieczeństwem ukochanego intruza.

– Szukam nożyka do cienkiej skóry, tego, którym tak lubisz obierać jabłka – ciągnął tym obmierzłym tonem. – Jest idealny do wydlubowania śrutu. Gdzie on może być?

Co jest bardziej naturalnego niż „nie wiem”? W piętrowym domu z zagraconym strychem i piwnicą pełniącą funkcję rzeźni nie mogła pilnować wszystkiego. Zwłaszcza przedmiotów, należących do męża. Nie myślała jednak racjonalnie, zważyło się na nią zbyt wiele uczuć naraz.

– Tak sobie pomyślałem, że ten śledczy nie przyszedł tu przypadkiem – ciągnął,

wciąż w tonacji niewinnej pogawędki. – Mam rację? I miał swoje powody, żeby zabrać mój nóż.

Aż się wzdrygnęła, słysząc to słowo bez zdrobnienia. I w mianowniku. Broniła się przed nim, nie mogąc zasnąć, lecz ono wciąż wracało anagramami i w jej głowie wirowały żony, nuże, róże... Szaleństwo.

– Więc sprawdziłem pozostałe noże...

– Lepiej usiądź – przerwała mu. Nie mogła tego słuchać, po prostu nie mogła. Westchnęła, ale zagłuszył ją podmuch wiatru za oknem.

Więc westchnęła jeszcze raz.

– Ona tu była.

– Kto?

Wciąż stał, masywny i intensywnie obecny akurat wtedy, gdy tego nie potrzebowała. Spóźniony rycerz w zbroi frotté. Położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie sprowadziła do parteru, do wysokości taboretu.

– Ona.

– Grażyna? – spytał, wiercąc się gamoniowato i posapując. Pokręciła głową, zasysając wargi, jakby wyznanie nie chciało przez nie przejść, zbyt bolesne dla nieobecnych.

– Była pijana, miała krótką spódnicę i bluzkę z urwanym guzikiem – powiedziała po chwili, bezradna w obliczu swej uczciwości. A także spostrzegawczości i znajomości ludzkiej psychiki. – Grażyna nigdy nie złożyłaby wizyty w takim stanie.

Agnieszka zdjęła szalik, szarpiąc za kołnierzyk, z którego z cichym pyknięciem wystrzelił granatowy pocisk. Nawet tego nie zauważyła, pochylona z jakimś niezdrowym zacięciem, bijąca wieczornym chłodem i zapachem wina.

– Pani Dzika?

Na niepewne kiwnięcie gospodyni odsunęła się, zaplotła ręce na piersi i zlustrowała ją od białych kłapek po napuszone po kąpieli i suszeniu białe włosy.

– Przyszłam zobaczyć, jak wygląda najgorsza matka świata.

Wariatka, pomyślała Helena i w panice spróbowała sobie przypomnieć, gdzie leży komórka. Ostatni raz użyła jej w kuchni i tam musiała zostać. Poza jej zasięgiem, podobnie jak mąż, do którego wtedy dzwoniła. I pieprz w sprayu zagrzebany w torebce oraz cała broń poutykana w tym domu w różnych miejscach – głównie w piwnicy i w kuchni – której nigdy nie ma pod ręką, kiedy jest potrzebna. Gdyby poszła po telefon, ta bezczelna baba pewnie ruszyłaby za nią i znalazłyby się same w pomieszczeniu pełnym noży. Trudno, trzeba stawić jej czoło tutaj.

– Powinna się pani spiknąć z moim tatusiem, założcie rodzinę Adamsów – mówiła, a przed oczami Heleny sterczały nitki po wyrwanym guziku. Pokręcone i kremowe niczym wnętrzości rozgniecionego robaka, cicha zapowiedź przemocy, która wisiała w powietrzu. – Myślałam, że ma pani szpony i kopyta, słowo daję.

Ze szponami czy bez, sama nie da jej rady, kobieta była młoda, wysoka oraz wstawiona, ale nie pijana, jak po chwili oceniła. Alkoholowa brawura zwiększała jej

przewagę.

– Myślałam, że ma pani pionowe źrenice, jak kot albo diabeł – ciągnęła tamta, tylko kręcąc głową. Nie patrzyła Helenie w oczy, tylko wciąż błędziła wzrokiem między jej wystającymi z kłapek białymi skarpetkami a nakremowanym czołem.

– Miła babcia... Chociaż... chwila... – Pochyliła się. – Ten tapir postawiła pani sobie lokówką, co? Babciowy lansik? – prychnęła i zanuciła fałszywie: – W „Ciechocinku, tam gdzie dom zdrojowy”...

Zaśmiała się, ale zaraz spoważniała.

– Mały zasuszony narcyz. Niby nic, niby zwiśł jej cyc, ale ego pracuje: w kółko ja, ja, ja...

Potrząsając szopą potarganych włosów, cofnęła się, a raczej zatoczyła w tył, zostawiając na terakocie błotnisty ślad. Dopiero widok brudu na posadzce przywrócił Helenie mowę.

– Pani jest pijana!

– A pani jest zła. To kto ma gorzej?

I znowu zachichotała. Pijackiemu tupetowi trzeźwa gospodyni mogła przeciwstawić tylko fakty.

– Nie znam pani.

– Za to ja znam panią.

Czknęła i oparła się barkiem o szafkę, przewracając stojący na niej obrazek świętej Faustyny.

– Co pani wyprawia? – zachnęła się Helena. – Kim pani w ogóle jest?

– Jestem przyjaciółką Olafa – powiedziała i przesunęła językiem wewnątrz policzka, jakby za chwilę miała cmoknąć. To bezgłośnie mlaśnięcie wraz z uniesieniem jednej brwi miało chyba oddać charakter tej „przyjaźni”. Obrzydliwe, ale niewykluczone, oceniła trzeźwo Helena. Jej syn zerwał niedawno zaręczyny z Grażyną, a potem przestał dzwonić, zrobił się mrukliwy i nieprzystępny. Jeśli faktycznie związał się z tą kobietą demolką i z jakichś powodów szkalował przed nią swoją matkę, to poza oburzającą nielojalnością i deprawacją syna wynika z tego to, że ta szurnięta olbrzymka nie przyszła jej zabić. W natłoku myśli Helena uczepiła się tej jednej pozytywnej. Ona chce mnie TYLKO obrazić. Jeśli jest tym, za kogo się podaje, to urwany guzik nie symbolizuje przemocy, a „tylko” zuchwałość, zapalczywość, niechlujstwo, nadużyta wolność, źle pojętą swobodę obyczajów, rozwiązłość i diabli wiedzą, co jeszcze. I kto tu mówi o kopytach? – pomyślała, spoglądając na półkolisty spiczasty ślad na posadzce. Zrobiła krok, omijając plamę błota, i chwyciła za klamkę.

– Proszę wyjść albo wezwąć policję.

Kobieta wyprostował się tak, że jej biust napał na niedopiętą kurtkę na wysokości oczu gospodyni.

– Olafek jest mój. – Jej pachnący winem szept zgrzytnął jak sprężynowiec w ciemnym zaułku. – Opatrzmy sobie dusze po złych rodzicach.

Helena zapamiętała szczególnie tę ostatnią odzywkę, jeszcze głupszą niż

poprzednie. Uderzyło ją dziwne zdrobnienie imienia syna oraz słowo „dusza”. Wcześniej podejrzewała, że kobiety tego pokroju – bezczelne, atrakcyjne i nadużywające alkoholu – są materialistkami. Nie знаła żadnej osobiście i wcale nie pragnęła, by schludna ścieżka jej życia – prosta, z wyplenionymi chwastami i ołtarzykami na rozstajach – skrzyżowała się z błotnistym szlakiem jednej z nich. Do dziś nie rozumiała, dlaczego wtedy tak się stało, skąd ta niezapowiedziana wizyta. Nie wierzyła w troskę wstawionej femme fatale o „Olafka”. Gdyby miała się bawić w spekulacje, to przypisałyby jej raczej chęć zaznaczenia swojego terytorium, poszerzenia go kosztem matki. Wydumane zarzuty były tylko narzędziem, którymi próbowała ją pognębić i zdominować ta uzurpatorka do roli samicy alfa w rodzinie Dzikich. Niby jak „leczy duszę” Olafa? Przez grzech? To jakaś parodia, głupi pretekst do detronizacji starszej rywalki. Tak naprawdę to mówiła, co jej ślina na język przyniosła, równie dobrze mogłaby tam stać, przeżyć się, puszyć i przez pięć minut warczeć.

– Plotła bzdury – podsumowała. – Kłamliwy słowotok. Przecież troszczyłam się o syna, nigdy mu niczego nie brakowało. Ja zła? Szkoda, że nie widziała mojej matki...

– Była tu? – spytał z niedowierzaniem mąż.

Westchnęła i opanowała chęć trzepnięcia gamonia za to, że jej przerywa.

– Była, była... Pół sprayu zużyłam, żeby odświeżyć powietrze po jej wizycie. Kwadrans szorowałam podłogę... Godzinę pracowałam w ogrodzie i modliłam się do świętej Faustyny, żeby dojsć do siebie. „Nawet pani nie wie, jak go zraniła” – Ha! Szkoda, że nie widziała mojej rany po klamrze, kiedy matka złapała pasek z drugiej strony. Moje blizny po matce to są blizny po matce, a nie urojenia czy pępki, czy diabli wiedzą co...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Opanowała zniecierpliwienie i wrzusiła ramionami. Otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła.

– Nie byłam pewna, czy mówiła prawdę – odrzekła po namyśle. – To było takie okropne...

– Co?

– Co, co... – prychnęła. – Wszystko. Sama myśl, że Olaf związał się z kimś takim. Łudziłam się, że to jednak wariatka, że nie ma z nim nic wspólnego. Chciałam to wyjaśnić, ale on nie dzwonił... Z czasem przestałam o tym myśleć, po prostu. Wolałam udawać, że to się nie stało. Przypomniałam sobie dopiero wtedy, gdy znowu ją zobaczyłam.

– Pod pokładem?

Pokiwała głową i opuściła ją, masując palcami czoło. Gdyby mogła przeniknąć przez kości do zbolełego mózgu, pomasaować spuchniętą tkankę, wycisnąć z niej wszystkie trucizny. Marzył jej się jeden z tych plastrów, które sprzedają w telemarkecie, wyciągających w nocy toksyny przez stopy. Przykleiłaby sobie taki biały kompres na czoło, a po paru godzinach zdjęła czarny i zasnęłaby kamiennym snem.

– Co tam się stało?

Siłą woli spróbowała zmusić szarą masę do ostatniego wysiłku.

– Wszystko przez ciebie – zaczęła.

Prokurator patrzył na płachtę rozłożoną na trawie. Wiatr dawno rozpędził ciemne chmury, leżące na folii noże błyszcząły czerwono w promieniach zachodzącego słońca.

– Żaden z nich?

Komisarz dotknął czubkiem buta rękojeści z imitacji drewna. Od ząbkowanej klingi oddzielało ją kółko, jak w miniaturowym florecie.

– Za szeroki – stwierdził i wskazał drugi nóż. – A ten twój, uniwersalny, jest jeszcze szerszy.

– Nie mój, Dzikiego seniora – poprawił go grubas i wyjął z kieszeni marynarki zmiętą paczkę papierosów. Po chwili w stronę rozmówcy pofrunął dym. – A więc drugi raz przyjechałem tu na darmo.

– Czwarty – zauważył policjant.

– Ale ty lubisz oględziny.

– Ta, uwielbiam – prychnął komisarz, spoglądając w górę na przelatujące nad zalewem mewy. Było ich siedem, plus cztery nad brzegiem. Czy one czują krew? – zastanawiał się. Kołują jak sępy... Szkoda, że tak mało wiedział o ptakach.

W zaparkowanej nieopodal karetki odezwał się silnik, a potem syrena na dachu.

– Ma pecha nasz Uszatek – westchnął prokurator, patrząc na znikające w oddali migające światła. – Dzikiego tata i szalony teść... Obaj nożownicy.

– Ma więcej szczęścia niż jego kobieta

– To kto ją załatwił? – W geście dobrej woli następną smugę dymu prokurator wypuścił w górę. – Podobno masz kolejną teorię.

Na miejscu zwolnionym przez karetkę zaparkowała skoda. Aspirant, który z niej wyskoczył, ruszył prosto do swojego zwierzchnika, jakby kierowany nieomylnym służbowym radarem. Potargane włosy dodawały mu parę centymetrów, które odejmowało zgięcie pleców. W szelkach wyłożonych na sweter wyglądał jak złapany w pułapkę.

– Wiesz, dlaczego nie dostaniesz nagany? – powitał go komisarz. Mina Woźniaka wyrażała popłoch i skruchę.

– Miałem to skasować, szefie, słowo daję – zapewnił. – Czasu zabrakło, zabiegany jestem...

Wyszyński wyjął komórkę podwładnego z tylnej kieszeni spodni.

– Bo odezwała się w samą porę – wyjaśnił, ignorując tłumaczenia.

Aspirant z ulgą przejął telefon i włączył go. Na wyświetlaczu pojawiła się twarz umalowanego transwestyty.

– O, dzwonił pan, szefie – zmienił temat, szybko gasząc urządzenie. – W jakiej sprawie?

Ale komisarz już odwrócił się do prokuratora.

– To nie są „teorie”. Ja stawiam hipotezy i je weryfikuję – powiedział. – To się nazywa śledztwo. Miałem solidne podstawy, żeby podejrzewać Olafa Dzikiego. Gdybyś nie nalegał, żebym go zwolnił, facet zachowałby twarz.

Grubas niedbale strzepnął popiół na trawę.

– Ale jest niewinny – stwierdził, po czym zawahał się. – Tak czy nie?

Policjant chciał odpowiedzieć, ale wtedy rozległ się odległy grzmot, jak zwiastun

burzy. Wszyscy spojrzeli w niebo i tylko on jeden odwrócił się do zacumowanego przy pomoście jachtu.

– Sosnowski dostał nową zabawkę – mruknął.

Wydawało się, że ktoś przyłożył do kadłuba gigantyczne elektrody, by zagotować Zalew Zegrzyński. Jacht warczał i drgał, aż po wodzie kręgami rozeszły się fale. W samochodach zadzwoniły szyby, a jedna z przelatujących w pobliżu mew obniżyła lot.

– No właśnie, dzwonił do mnie. – Prokurator ożywił się. – O co chodzi z tymi poddźwiękami? To to samo co infradźwięki?

Ptak, który pikował w dół, wpadł do wody, a dwa inne wzbiły się wyżej. I tylko komisarz to zarejestrował. Dostrzegł żabę wyskakującą z wody dwadzieścia metrów dalej i słysząc szelest sitowia, domyślił się, przed czym uciekała. W dole brzucha czuł coraz mocniejsze łaskotanie, jak podczas przejażdżki kolejką górską.

– To samo – potwierdził Woźniak, zasłaniając ucho dłonią.

– Czytałem, że Amerykanie z tym eksperymentowali – ciągnął prokurator. – Wibracje, które wykańczają ludzi na odległość. To miała być ich nowa broń.

– Techniki zabijania to twoja pasja – zauważył Wyszyński, kładąc rękę na żołądku. Chłonał każdą falę rezonansu i żałował, że stoi tak daleko od jej źródła. – Ale chyba one nie wszystkich wykańczają...

– Niemożliwe, że emitował je amatorski sprzęt – wtrącił Woźniak i dodał po namyśle: – Chyba że nałożą się na współczynnik drgań własnych kadłuba. Tak podejrzewał Piotrek. Tylko on szukał w górnych rejestrach, w ultradźwiękach.

– Sprzęt ma wyjątkowo mocne basy – zauważył komisarz, czując pod palcami ich narastające pulsowanie. – Przy odpowiedniej głośności mógłby rozerwać łódkę.

– Sosnowski chyba właśnie to próbuje zrobić – skrzywił się aspirant.

Z brzoź rosnących najbliżej jachtu sypały się liście, chociaż wiatr właśnie się uspokoił. Komisarz bezwiednie zrobił krok w stronę pomostu, aspirant zasłonił drugie ucho, a prokurator przesunął papierosa z jednego kącika ust w drugi.

– Więc może ktoś tam pójdzie i powie temu maniakowi, żeby to wyłączył? Zwłaszcza że to właśnie nakręcało tu ludzi do zabijania.

– Nie wszystkich... Ale dobra.

W głębi duszy Wyszyński szukał pretekstu, by wrócić na pokład. Zwłaszcza gdy warkot ucichł, zanim zdążył się nim nasycić. Lustro wody się wygładziło, a ptaki – te, które nie wylądowały w zalewie – wyrównały lot. Pobliskie drzewa świeciły nagimi gałęziami. A spod pokładu „Szklanego Żądła” wybiegł policjant w mundurze i przeskoczył na pomost. Tam ukląkł, pochylił się, by ochlapać wodą twarz.

– Przepraszam! – dobiegło spod pokładu. – Nie wiedziałem... Przepraszam!

– Siwiec? – zdziwił się Woźniak.

– Wróćmy do tematu – zażądał prokurator, odwracając się do komisarza. – Mówiłeś, że kto zabił Agnieszkę Malik?

Deszcz właśnie się rozpadał, siekł kroplami pomost, pokład i powierzchnię zalewu, który bulgotał jak zimny wrzątek. Drzewa szumiały i pochylały się coraz niżej, odstępy między błyskami a grzmotami były coraz krótsze. Nadciągała burza.

Przytrzymując się poręczy i osłaniając twarz kapturem, kobieta przeszła od rozkołysanej rufy do schodów. Wilgotne stopnie odbijały światło padające z wnętrza kajuty. Podeszwy tenisówek plasnęły o ich powierzchnię, jakby stanęła na wodzie. Pchnęła uchylone drzwi.

– Hej!

Słysząc było tylko deszcz bębniący o pokład.

– Jest tu kto?

Zdjęła kaptur i zrobiła kilka kroków po miękkiej wykładzinie. Odruchowo podniosła kłębek czarnych koronek, na który nadepnęła. Gdy nagłe uderzenie fali o burtę pochyliło łódkę, musiała przytrzymać się stołu. Ruszyła ostrożnie w stronę wnęki sypialnej.

– Olaf?

Chwiejnym krokiem dotarła do łóżka. Tu zatrzymała się, wyprostowała i przetarła oczy, bo wydało się jej, że śni. Piersi, blady brzuch, pokryte gęsią skórą ramiona. Nagie ciało leżało bardzo blisko, a jednocześnie daleko, nierzeczywiste jak fatamorgana. Na woskowym tle skóry odcinał się pasek czarnych koronek wciśnięty w zagłębienie między udami. Materiał wyglądał znajomo. Spojrzała na znalezisko w swojej dłoni i upuściła je na podłogę.

Stała tak przez dłuższą chwilę. To była ona. Grymas bólu zniekształcał jej rysy, lecz rozpoznała to myląco eleganckie sklepienie kości policzkowych, pełne usta i podbródek z dołkiem. Miała przed sobą wyszczekaną pijaczkę bez guzika, która wiosną złożyła jej wizytę.

Nagle rozkrzyżowane ręce się poruszyły, a popękane usta wychrypiały:

– Uwolnij mnie.

Kajdanki i negliż obrazowały jej rolę w życiu Olafa jeszcze dobitniej niż wulgarnie mlaskanie wtedy. Helena jęknęła w duchu. Przyszła odwiedzić syna, rozgrzać się filiżanką herbaty, ocieplić relację, która ostatnio się psuła. Zaplanowałoby przyjęcie urodzinowe męża, dopóki go nie było, i wokół wspólnego działania może powiązali nadwątlone nici porozumienia. Teraz żałowała, że przyszła tu sama. Fatalna kobieta była jak nemezis albo koszmar, o którym próbowała zapomnieć, a który powrócił...

...Z tą istotną różnicą – jak sobie uświadomiła, dotykając wypukłości w kieszeni na piersi – że teraz nie jest bezbronna.

– Gdzie mój syn? – spytała twardo.

– Łazienka...

Ruszyła w stronę uchylonych drzwi i zatrzymała się w progu. Tu jej zdumienie przeszło w szok. Olaf leżał na podłodze w kałuży krwi, jedną rękę opierał na sedesie, jakby się z niego zsunął. Miał zamknięte oczy, otwarte usta i nie dawał znaku życia. Odetchnęła głęboko, pochyliła się i sprawdziła tętno. Sięgnęła po rolkę papieru toaletowego i zmoczyła kawałek, by prowizorycznie oczyścić ranę. Ułożyła go na drugim boku, podkładając pod głowę suchy ręcznik. W pewnym momencie spojrzał na nią

niewidzącym wzrokiem, wybełkotał coś i znowu zamknął oczy. Drżącą ręką wyjęła z kieszeni kurtki komórkę, ale wtedy odezwała się w niej emerytowana prawniczka. Wróciła do saloniku. Tym razem stanęła z boku łóżka, bliżej wezgłowia.

– Czy on zażył jakieś narkotyki?

Obnażone piersi zadrżały, gdy kobieta poruszyła skutymi rękami.

– Żyje? – wychrypiła.

– Tak.

Zamglone oczy prześliznęły się po twarzy Heleny. Nie poznawała jej. Albo wtedy była bardziej pijana, niż na to wyglądała, albo teraz odurzenie czy wycieńczenie mąciło jej zmysły. Skupiała się tylko na jednym.

– Uwolnij mnie, proszę. Kluczyki są chyba w szufladzie...

– Najpierw odpowiedz.

Kobieta przymknęła oczy i przełknęła parę razy sucho.

– Pomieszał prochy i szampana...

– Prochy?

Podniosła z szafki buteleczkę, którą tamta wskazała jej przykutą do ramy łóżka dłonią.

– Widzę, że zebrało się pani na pogawędkę – wyszeptała po chwili. – A jedną ucięłam sobie przed chwilą i zaschło mi w gardle. Może więc znajdzie pani kluczyki do kajdanek? Albo da mi pić.

Obnażone ciało spływało potem. Rzeczywiście, miała prawo się odwodnić.

Ranny syn pilnie potrzebował pomocy, ale kierowana chrześcijańskim nakazem „spragnionych napoić”, zaczęła się rozglądać za wodą. W pierwszej szafce znalazła ubrania, w drugiej naczynia. Obok stał metalizowany panel przypominający nowoczesną lodówkę. Szukając jakiegoś uchwytu, nacisnęła największy guzik. W środku coś zaszumiało, ale pokrywa nie drgnęła. W końcu na podłodze pod barkiem dostrzegła butelkę pełną wody. Podniosła ją i wtedy...

Huknęło tak, jakby pod pokład wpadł piorun kulisty. Chciała uciec, ale kobieta na łóżku znowu zaczęła rzeźzić.

– Co to jest? – krzyknęła do niej. – Jak to wyłączyć?

Krzyki kobiety zlewały się z wyciem wokalistki dochodzącymi nie wiadomo skąd. W końcu wróciła do konsoli i nacisnęła wielki guzik jeszcze raz. Muzyka ucichła od razu, przykuta do łóżka chwilę potem. Wróciła do niej i podsunęła jej butelkę z wodą. Obie były zdenerwowane, drżącą ręką trudno było trafić do spragnionych ust, woda pryskała i spływała po policzku. Kobieta piła tak łapczywie, że zachłysnęła się i zaczęła kasłać. Helena odsunęła butelkę, a kobieta szarpała rękami i próbowała się unieść, by złapać oddech. Chciała ją uwolnić, ale nie wiedziała jak.

– Nie zrobiłam nic złego – szepnęła Helena. – Trzy miesiące wcześniej udusiłabym tę wściekłą babę gołymi rękami. Zadźgałabym ją w obronie własnej i za te wszystkie obelgi, które rzuciła mi w twarz. Ale tamtej nocy chciałam ją uratować. Bóg mi świadkiem, że tylko dałam jej pić. A ciebie wciąż nie było. Zachodziłam w głowę: co tak

długo cię zatrzymało?

Uniosła dłoń, powstrzymując tłumaczenia męża, na które jeszcze przyjdzie pora.

Skuta kobieta próbowała usiąść, ale kajdanki jej to uniemożliwiały. Po chwili przestała rzeźzić i opadła na poduszkę. Helena przyłożyła ucho do sinych warg, tak jak chwilę wcześniej w łazience. Tym razem niczego nie usłyszała. Przejęta pochyliła się i odciągnęła nieruchomą brodę i znowu zemdlilo ją od oparów przetrawionego alkoholu, opanowała się jednak i wpompowała w zimne usta parę wydechów. W końcu kajdanki zadzwoniły o ramę i rozległ się charkot.

– Chciałaś mnie zabić... Ty suko... Olaf miał rację, jesteś nienormalna...

Z udroźnionego gardła wylał się potok nieczystości, wiązanka szatańskiej łaciny, od której wędły uszy. Ona, uosobienie troski i poświęcenia – przecież przed chwilą dała ich dowód! – usłyszała, że jest „dewotką, która gnoiła syna”. A jednak ją rozpoznała. I znowu to samo, ta wariatka niczego się nie nauczyła. Odżyły wspomnienia wiosennej wizyty. Teraz miała pewność, że ta pijana flama od miesiący wydobywała z Olafa wszystko, co najgorsze. To przez nią przestał pisać, dzwonić, zrobił się opryskliwy. A teraz leży w łazience odurzony narkotykami i ranny, a ta plugawa olbrzymka, rozwalona nago w wielkim łóżu, wyzywa ją od sadystek. Znowu.

Te i setki innych myśli wirowały w jej pulsującej głowie. Własne myśli przestały być zrozumiałe, czytelne dla niej samej. Jakby nagle przeszła na węgierski. Tszebauciszyciesmarkule – co to za słowo? Na pewno nie polskie. Nie rozumiała go. Nie wiedziała, kiedy w jej dłoni znalazł się płaski nożyk. Wciąż szarpała ją od środka ta diaboliczna muzyka dźwięcząca echem w wąskim paśmie tuż za skrajem ciszy, działająca na nerwy bez udziału uszu. Ten łomot musiał też oszołomić tamtą, jak sobie teraz uświadamiała, nie mogła być aż tak zepsuta czy szalona. Po prostu obie nie były sobą.

Odwróciła się, przez chwilę borykając się z tym samotnie. Skrajem apaszki musnęła powieki. Do okna dobijały się ćmy i inne skrzydlate stwory uciekające przed chłodem. W samobójczym ferworze atakowały szybę, szukając ciepła po drugiej stronie. Wszystkie boże stworzenia garną się do życia, przemknęło jej przez myśl, tylko czasem tak łatwo dają się zwieść śmierci.

Po wszystkim wytarła nożyk w chusteczkę i włożyła z powrotem do kieszeni.

Ugasiwszy ognisko choroby, rozejrzała się za chorym.

Stał w drzwiach łazienki.

Włosy z boku jego głowy były lepkie od krwi, z brody zwisała szara nić. Wodził wzrokiem między matką a zwłokami na łóżku. Chciała coś powiedzieć, ale brakowało jej tchu. A on skoczył bez ostrzeżenia, przewrócił ją i chwycił za gardło. Patrzył na nią demonicznym wzrokiem, zaciskając palce na jej szyi. Krwawił, charczał, był rozjuszony, oszołomiony, straszny. Stała nad otchłanią, błaganie o litość uwięzło jej w gardle. Machając rękami, strąciła z blatu kieliszek, aż wreszcie drętwiejące ramiona odmówiły jej posłuszeństwa. Oczy przesłoniły białe plamy, a kiedy zlały się w jasność, ucisk nagle ustąpił. Z trudem nabrała powietrza i otworzyła oczy. Olaf stał rozdarty między martwą kobietą na łóżku a ledwie żywą na podłodze. Jego wzrok powędrował do noża w jej

kieszeni. „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Jej życie znów zawisło na włosku, czuła to. Opamiętał się jednak, złapał za głowę i wybiegł do łazienki.

Wstała, chwytając się kuchennego blatu. Jak w transie podniosła kieliszek i postawiła obok pojemnika z butelką. Wyjęła z kieszeni komórkę. Nadal nie czuła się bezpieczna, więc gdy w drzwiach saloniku stanął jej mąż, nie wezwała pogotowia, tylko policję.

Adam Dziki powoli uniół ręce do apaszki i zawahał się. Pomogła mu rozwiązać węzeł, uważnie go obserwując. Tak długo marszczył czoło, że teraz przecinały je różowe bruzdy. Głośno sapał, a od woni, którą parował, kręciło jej się w głowie. Czekwała na sygnał zrozumienia, będący zapowiedzią, że jej wybacza. Bardzo tego potrzebowała, zaryzykowała wszystko, by je dostać. On jednak trzymał ją w niepewności. Nie czuła bólu, ale syknęła w końcu, by przerwać te dziwne oględziny.

– Rozumiem, że nie ma żadnej pielgrzymki do Fatimy? – mruknął, odsuwając się.

Podniosła chustę, związała ją z powrotem i odwróciła się do okna. Ze swojego pokoju widziała zagajnik smukłych jodeł z rozpartym pośrodku starym dębem. Nie wiadomo, kto posadził tam drzewa, ale zawsze dostrzegała w tej kompozycji boski zamysł. Były jak dobra rodzina: dopasowanie przy zachowaniu odmienności.

– Pół życia oddałabym, żeby to się nie stało...

Kątem oka widziała, jak mąż siada w fotelu i podpira głowę dłońmi. Zerknęła na swoje odbicie w szybie. Bładość twarzy podkreślały cienie pod oczami, gładko zaczesane włosy lśniły czystością wypolerowanego srebra. Ukradkiem wypuściła jeden kosmyk na czoło.

– Bóg jeden wie, co wcześniej robiła tam Grażyna. – Westchnęła cicho. – Zawsze wydawała się rozsądna, ale...

Urwała, potrząsając głową, a kosmyk opadł na oko. Spojrzała na męża. Gdy tak siedział przybity, z twarzą ukrytą w dłoniach, poczuła przewagę elastycznej jodły nad pękatym dębem. Biedaczek, aż trzeszczał w posadach.

– Naprawdę pozwoliłabyś, żeby nasz syn odsiedział wyrok za ciebie? – spytał w końcu, podnosząc głowę. Zatkano ją. Coś spuchło w jej gardle i nie pozwalało mówić. Gorycz? Żal? Złość? Nie miała zbyt wielkiej wprawy w identyfikowaniu uczuć.

– A czy po tym, co zrobił, jest jeszcze moim synem? – wydusiła w końcu.

Może jej inteligencja emocjonalna szwankowała, ale małżeński radar działał bez zarzutu. Znowu wyczuła z wyprzedzeniem, co zaraz nastąpi. Gdy wstał, podszedł i pogłaskał jej policzek, przypatrywała mu się nieufnie. Cios był nieunikniony, jakaś nowa, nieznaną część jej umysłu rozważała możliwość uniku. Był w zasięgu ręki, na dnie szuflady z bluzkami – leżało tam parę centymetrów chłodnego, sprawdzonego uniku. Żona, nuże, róża... Ale przecież nie chciała tego. Wciąż nie wiedziała, do czego jest zdolna – ostatnio często zaskakiwała samą siebie – pewna była jednego: po czymś takim nie miałyby szans przed żadnym sądem, ziemskim ani boskim.

Drugą rękę wsunął pod jej włosy i ujął głowę w obie dłonie. Wstrzymała oddech, gdy przysunął twarz i jak Judasz wycisnął na jej policzku zimny pocałunek. Ledwie go

słyszała przez zasłonięte uszy.

– Doskonałe kobiety są dla mężczyzn bez wyobraźni. Nie szukałem w tobie doskonałości. Ale to, co zrobiłaś...

Do kogo mówił? I po co? Dorabiał do swojej przewagi ideologię, powoływał się na zasady etyczne, które gwałcił lewymi interesami. Przemawiał głosem obrońcy życia, które niweczył na każdym polowaniu. Pozował na troskliwego ojca, którym nigdy nie był. Oswobodziła się, odsunęła i wróciła do okna. Rezygnując z teatralnych efektów, zebrała potargane włosy do tyłu i przyglądała. Zerwał się wiatr, drzewa liściaste zaszumiały, a jodły w ciszy muskały się gałęziami. Nie wybudują nowej altany – przeszło jej przez myśl – nie tej jesieni. Długo na to czekała, błyszczące zaproszenia na „Gwiazdkę pod dębem” śniły jej się po nocach. I była tak blisko sukcesu. Nie jestem małostkowa, mówiła sobie, ja tylko uwalniam ból. Dbałam o rodzinę, o jej bezpieczeństwo i reputację, i co dostałam w zamian? Porażka miała słony smak, o czym przekonała się, łykając kroplę, która spłynęła jej do ust. A od mężczyzny, który przysięgał jej wierność po grób, wzywając na świadka Boga Wszchemogącego i wszystkich świętych, zamiast wsparcia, dostała cios w plecy.

Z ciężkim westchnieniem starła łzę z policzka i wzięła komórkę, którą jej podała. Nie musiała szukać numeru w połączeniach, bo komisarz właśnie dzwonił.

– Halo?

Milczała porażona wizją nadchodzącej nocy. Zakwaterowania w pomieszczeniu, z którego nie będzie mogła wyjść, spania pod cudzą pościelą, być może w towarzystwie obcych ludzi.

– Halo?

By nie zostać posądzona o egzaltację, próbowała opaść na kanapę, ale potrafiła stolik i wylądowała na podłodze obok fusów z pękniętej filiżanki. Jej ostatnim uczuciem przed utratą przytomności była ulga podszyta mściwą satysfakcją: to już nie jej problem.

DZIEN DWIEŚCIE TRZYDZIESTY CZWARTY

Nie umiem przegrywać, mam to po mamie. Moja pierwsza reakcja na porażkę to zaprzeczenie, jakobym w ogóle stawał w szranki, a jeśli to niemożliwe – gdy moje zaangażowanie było ewidentne, a stawka wysoka – tak interpretuję fakty, by wykazały winę czynników zewnętrznych. Dorobienie ideologii, odwrócenie uwagi, doprowadzenie do absurdu, przemilczenie – wszystko jest lepsze od refleksji i wyciągnięcia wniosków. Ściema podniesiona do rangi życiowej strategii – oto moje dziedzictwo po kądzieli. Ojciec nie wtrącał się w kwestie wychowawcze, więc nie przeciwstawił temu żadnej spójnej alternatywy.

Podczas rozprawy mama prawie się nie odzywała, przesiadła sesje w jednej pozycji, z wyniosłą miną i wzrokiem wbitym w sufit. Nie wiem, jak zachowywała się na przesłuchaniach, obstawiam, że pan Mrugacz i prokurator mieli powtórkę z rozrywki, czyli okazję do monologów w towarzystwie Dzikiego lokatora swoich gabinetów. Po odczytaniu wyroku dostała drugiego wylewu, tym razem poważniejszego, który wywołał paraliż lewej strony ciała, tak wielki był szok, że skład sędziowski uznał ją winną. Organizm otworzył jej furtkę do innej wygodnej taktyki: ucieczki w rolę ofiary. Wylądowała na wózku, ale nie zrobiła się przez to bardziej przyjazna czy hojna, jak ten milioner, którego kiedyś poznałem. Podobno, gdy tylko znowu zaczęła zrozumiale mówić, rozpoczęła batalię o uchylenie wyroku. Nową linię obrony opierała na założeniu, że aktualny stan jej zdrowia dowodzi wyjątkowej wrażliwości organizmu na stres. Jak stwierdzili biegli w wielostronicowym raporcie, wszyscy obecni na „Szklanym Żądle” po uruchomieniu systemu ECHO byli wyeksponowani na „impulsy destabilizujące system nerwowy”. „Harcowały w nich hertze” – jak to ujął brukowiec relacjonujący proces.

Mama zadźgała Agnieszkę w ciszy, jeśli chodzi o ścisłość, przerywanej tylko cichymi jękami, które do dziś snią mi się po nocach. Wiem o tym tylko ja i wie ona, i tak zostanie. Choć sędziowie jakby coś czuli, bo sceptycznie odnieśli się do zwaleni całej winy na poddźwięki i to mimo że na włączniku sprzętu znaleziono odcisk jej palca. Właściwości systemu ECHO uznali jedynie za okoliczność łagodzącą, a nie tłumaczącą zbrodnicze czyny, do których sprawcy – mama, a potem ochroniarz i ojciec Agnieszki – musieli mieć inklinacje. Bo przecież nie wszyscy tam „harcowali”, niektórzy ucziwie wymiotowali i tracili przytomność. Sędziowie apelacyjni mogli jednak spojrzeć na to inaczej, zwłaszcza jeśli do ponownego procesu mama nie wstanie z wózka.

Trzymam za nią kciuki.

Doszedłem do punktu, w którym wystrzegam się ferowania wyroków, szczególnie w odniesieniu do niej. Dla mnie to jak z gazami binarnymi: jej krwawe zapędy i temperament Agnieszki mogły sobie istnieć w izolacji, ale nie pomieściły się w zamkniętej przestrzeni. Największy dom byłby dla nich za ciasny, a co dopiero kabina podgrzana superbasami. Mało brakowało, a powiększyłbym bilans ofiar i dziś obie odwiedzałbym na cmentarzu. Albo sam leżałbym na nim obok Agnieszki.

W szpitalu dużo o tym myślałem, jesień przyniosła rozpacz, zima – smutek, na wiosnę cały byłem wdzięcznością. Dostałem wypis akurat w momencie, gdy na drzewach

pojawiły się pierwsze pączki, a zmiana czasu wydłużyła wieczory, sprzyjając refleksyjnym spacerom. Lepiej kochać i stracić niż nie zaznać miłości – tak to szło? W łóżku zbadalem wszystkie linie, po których popękał mój świat, stanawszy na nogi, zacząłem składać go na nowo. Wraz z pierwszym ptactwem powracającym z południa w bólach rodził się nowy Olaf: facet, który umie przegrywać.

Żałuję, że nie widziałem miny komisarza, kiedy wreszcie się do niego odezwałem.

– Teraz rozumie pan, dlaczego milczałem? – W słuchawce zapadła cisza. – Jasne, mogłem powiedzieć, że niczego nie widziałem. Ale pewnie zorientowałby się pan...

– Nie sądziłem, że pana kiedykolwiek usłyszę – przerwał mi.

– To jest nas dwóch – przyznałem.

– Mam pytanie: zawsze mówi pan przez nos czy to katar?

– Mówię przez opatrunek. Kolejny.

– No tak... – Westchnął. Na ławce obok mnie usiadł wróbel, który mi o czymś przypomniał.

– Ma pan jakichś lokatorów w domku na drzewie? – spytałem.

– Zdziwiłby się pan!

– Wiewiórkę?

Aż sapnął ze zdziwienia.

– Skąd pan wie?

– To było do przewidzenia, skoro powiesił go pan we wrześniu.

– No tak, ojciec myśliwy – odpowiedział sobie sam po chwili. – Ostatnio powoli kojarzę... Mój syn też poczytał sobie w Wikipedii o ptakach i śmiał się potem ze mnie... Dziękuję za ten patent z kolorami.

– To ja dziękuję – odparłem. – Właśnie po to dzwonię. Za wszystko, a zwłaszcza dziękuję za to, że wrócił pan wtedy na moją łódkę.

Powiedział coś skromnie o obowiązkach służbowych i spytał, jak się czuję.

– Gdybym mógł się jakoś zrewanżować – rzuciłem, by elegancko zakończyć rozmowę.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju... Kalisz.

Potrzebowałem chwili, by dotarło do mnie, że dla niego to tylko słowo – nazwa miasta, którą wymówił dla zaspokojenia ciekawości.

– Ryszard z Sojuszu Lewicy – odparłem z całym spokojem, na jaki było mnie stać.

– Wyobrażenie go sobie gasiło emocje. Moje i jej. To było nasze hasło.

Teraz działało odwrotnie: przywoływało najbardziej intymne momenty Złotego Wieku mojego życia. Otwierało puszkę Pandory skojarzeń, z którymi jeszcze się nie uporałem. Niczym jedna ze wzgardzonych kochanek jurnego polityka Ryszarda K., przejęty odwracałem wzrok od billboardów i ekranów, gdy tylko się na nich pojawiał.

– A dlaczego go wtedy użyła?

– Zamachnąłem się na nią pięścią.

Tak, tak, nowy Olaf umie przyznawać się do błędów.

– Czy mogę dla pana zrobić coś jeszcze?

– Owszem – odparł komisarz. – Chodzi o sprzęt na pańskiej łódce.

Rozumiał grzecznościowe formułki odrobinę zbyt dosłownie, ale cóż, słowo się

rzekło. Wyinstalowanie systemu ECHO zleciłem ekipie, która go tam zamontowała. Odkąd dystrybutor w obawie przed pozwami wycofał się z biznesu, nie narzekali na nadmiar zleceń. Czułem się dziwnie ze świadomością, że ten śmiercionośny szajs pozostaje aktywny, pocieszało mnie wrażenie, że trafia w odpowiedzialne ręce. Pan Mrugacz zapewnił, że posłuży wyłącznie do użytku prywatnego, i to mi wystarczyło. Chciał zapłacić, a potem dopytywał się o przysługę, którą mógłby mi wyświadczyć w ramach rewanżu. Po wahaniu poprosiłem go o zwrot mojej komórki.

Jak pisałem, robiłem wszystko, by nie idealizować Agnieszki, by pokazać ją w całej realności i ułomności. Wspominać poprzez zdarzenia, a nie ckliwe reminiscencje. Po pewnym czasie jednak zaczęła mnie prześladować myśl, że źle ją pamiętam. Że zachowania, które jej przypisuję, nie są jej, że ulepiłem je z gestów i min innych kobiet. Wspomnienia zacierają się, szczególnie te często przywoływane, przecież pamięć też ma swoją wytrzymałość, mogła nie znieść skali eksploatacji, jakiej ją poddałem. Dlatego, gdy tylko odzyskałem telefon, zacisnąłem zęby i puściłem sobie nasze ostatnie nagranie. Zatrzymałem je na pierwszej klatce. Tęczówki, które zapamiętałem jako jednolicie zielone, wyraźnie podchodziły brązem i tylko zewnętrzna obwódka zachowała czysty odcień. Zwolniłem pauzę. Jej głos, na żywo dźwięczący tak głębokim wibrato, w głośniczku zabrzmiał płasko i bezbarwnie. Wyłączyłem nagranie i skasowałem je.

Podobno spośród wszystkich zmysłów to powonienie najsilniej łączy się z pamięcią. Odnaleziona w łazience okrągła buteleczka Hermés Eau Des Merveilles przywołała tylko mglisty obraz kąpieli czy otwartej szafy, a może przebieralni na basenie? Nic osobistego, w każdym razie. Mój zwilżony nimi nadgarstek pachniał zupełnie inaczej niż ona.

Znowu – o ile pamiętam.

Podobno ludzie po obozach koncentracyjnych rok czy dwa po uwolnieniu zaczęli kląć na biurokrację i ceny żywności, a potem cieszyli się z pierwszych liści na drzewach i lodówki na raty. Tak czytałem. Strumień czasu wypłukuje mroki pamięci, szlifuje brylanty scen, wygładza ukochane twarze aż do postaci nieskazitelnych masek. I wciąż rwie naprzód. Życia nic nie zmoże, panta rhei. Na dłuższą metę pod prąd płyną tylko łososie.

Grażyna miała na sobie prostą sukienkę w pionowe niebieskie pasy i dżinsową kurtkę. Złote kółka w uszach podkreślały ciemniejszy odcień skóry musniętej pierwszymi promieniami słońca. Z jej ramienia zwisała płócienna torba.

Na chwilę zatrzymała na nim wzrok i ruszyła dalej, ciągnąc za rękę chłopca w czerwonej bluzie. Na dźwięk swojego imienia przystanęła i zaskoczona omiotła wzrokiem jego twarz, po czym otworzyła szeroko oczy.

– Mówiłem, że zrobili ze mnie Brada Pitta.

Zasłoniwszy usta dłonią, zaczęła szukać w nowej fizjonomii znajomych rysów. W końcu skupiła się na oczach.

– Wolę Bradleya Coopera – odparła po chwili.

– Dopiero teraz mi to mówisz?

Włosy miała dłuższe, w jaśniejszym odcieniu brązu, paznokcie pomalowała na czerwono. Gdy wiatr wyduł sukienkę na jej brzuchu, odwróciła się szybko i ją wygładziła. Chłopiec kręcił się z plastikowym samolotem w dłoni, wydając odgłosy strzałów.

– Poznajesz Olafa? Poznaliście się w zeszłym roku.

Otaksowały go chłodne oczy pilota, którego już po chwili wezwały obowiązki służbowe. Zaczął koszący lot nad krzakami, zrzucając bomby z jagód.

– Wiem, że byłaś wtedy na łódce.

Odwróciła się i otworzyła usta, ale wtedy chłopiec zaczął się domagać waty cukrowej, którą gdzieś wypatrzył. Po krótkim wykładzie o działaniu cukru na zęby ruszyli w przeciwną stronę.

– Rozumiem, dlaczego ją zostawiłaś. Nie rozumiem, dlaczego przyszedłaś potem do mnie na komendę.

Podmuch wiatru znowu uniósł jej sukienkę, ale tym razem nie zwróciła na to uwagi. Patrzyła na nieczynną fontannę w kształcie delfina osadzonego w kamiennej misie z mętną wodą. Odbijała wiszący na niebie kozuch cumulusów, tylko nieco przyciemniając go i marszcząc przy brzegu.

– Miałaś wyrzuty sumienia? – dopytywał się. – Wobec kogo?

– Dlaczego się nie odezwałaś? – odpowiedziała pytaniem, odwracając wzrok.

– Kryłem matkę.

Nie chciał wdawać się w zawile tłumaczenia.

– Podśluchiwali nas. No i zatkało mnie – dodał półzartem. – Ten twój makijaż, dekolc...

– Dziwny masz ten nos – przerwała mu. – Męskich nie było?

Roztargnieni ruszyli z powrotem tą samą alejką i znowu dotarli do wózka z watą. Pozwoliła sobie wmówić, że to znak, i po chwili wszyscy zdejmowali z patyków lepkie kłaki.

– Ubrudziłaś się.

Wyjęła z torebki chusteczkę i z wprawą starła białą smugę z jego policzka. Opuściła rękę, a jej wzrok zmaćciło napięcie czy obawa. Wyglądała tak, jakby coś sobie przypominała. Szum drzew częściowo łagodził ciszę, jaka zapadła. Nagle wypełnił ją krzyk. Kadłub nie wytrzymał awaryjnego lądowania na chodniku, chłopiec ścisnął w rękę miniaturowy wrak.

– Może da się jeszcze poskładać?

Obejrzał go fachowym okiem „specjalisty od modeli statków”, jak go przedstawiła. Siostrzeniec przestał płakać, pociągnął ciocię za rękę i szepnął jej coś na ucho.

– Ma na imię Olaf – przypominała mu. – Poznałeś go już, byliśmy na sankach zeszłej zimy.

Spoczęło na nim uważne spojrzenie wielkich oczu. Chłopiec pokręcił głową.

– Półtora roku to kawał czasu. – Grażyna westchnęła i zaczęła wyliczać, podczas gdy on próbował składać połamane elementy, które nie chciały się już połączyć. – To była zima, a potem wiosna, lato, jesień...

Pamiętam komedię, w której facet po rozstaniu wyłącza się z życia. Symbolizuje to obojętność, z jaką okraża tętniący życiem bazar. W przyspieszonym tempie mijają pory roku, bliscy i obcy mu ludzie zajmują się swoimi sprawami, kłócą się, zakochują i płodzą dzieci, a on idzie zamyślony z pochyloną głową. Jak większość takich produkcji, film pokazywał skontrastowanych bohaterów: gotowego do związku faceta oraz niezdecydowaną, nieco frywolną celebrytkę, która wciąż mu się wymykała. W końcu przestał się za nią uganiać, pogodził z porażką i wrócił w wyżłobione koleiny. Poukładany jak większość Anglików, być może dojrzalszy ode mnie, po prostu włączył automatycznego pilota. W tle tej bazarowej sekwencji leciało *Ain't No Sunshine*, kawałek nagrany swego czasu z polskimi słowami przez Budkę Suflera. „Późno, późno, późno, późno, późno, późno, późno... Tak, wiem, że zbyt późno jest, by zaczynać wszystko znów”[10], nie trzeba mi tego powtarzać siedem razy. Dlatego potraktowałem żalobę jako szansę na zmianę kursu. Czas nie zatacza koła, to tylko takie gadanie, nie warto kręcić się w kółko. Nigdy się nie dowiem, czy w ogóle mogłem wsiąść do mojego starego kombi, by użyć jeszcze raz tej uroczej metafory.

W międzyczasie przeszło tuning i nabrało mocy, zrezygnowałem jednak z testowania nowych parametrów. Oparłem się pokusie „cudu niepamięci”, który zawsze pachnie zdradą. Brałem się w garść sam.

Pewnego dnia wyjąłem z szafy szlafrok Agnieszki. Owionęło mnie wspomnienie Hermés Eau Des Merveilles, a przy kapturze dostrzegłem ślad podkładu, którego najwyraźniej nie zmyła podczas ostatniej kąpieli. Podobno umierającym stają przed oczami migawki z całego dobiegającego kresu życia, a ja, wtuliwszy twarz w miękki materiał, cofnąłem się w JEJ przeszłość. Ujrzałem małą dziewczynkę, która wsiadła na rower, przejechała parę metrów i przewróciła się, rozbijając sobie kolano. W białej sukience ze świecą stała w kościele i rozglądała się za tatą. Potem, ubrana w różowy sweter, paliła papierosa i krztusiła się dymem. Stała przed lustrem z nastroszonymi włosami i brała od koleżanki tubkę kremu. Turlała się w mokrej trawie bez stanika i ze śmiechem prosiła szczupłego nastolatka, żeby ją pocałował.

Nie potrafię tego wyjaśnić.

Obiecałem sobie, że nigdy nie upiorę tego szlafroka.

W jego kieszeni znalazłem pogniecioną kartkę, która wyglądała jak lista zakupów. Uświadomiłem sobie, że nie znam jej charakteru pisma; w dobie komórek i komputerów, ani razu nie widziałem odręcznego pisma mojej ukochanej! Ale tych równych, okrągłych literek nie mógł postawić nikt inny.

„– podkład wodoodporny

– sok

– prezent dla mamy (+ z okazji urodzin opowiedzieć jej wreszcie o Olafie)

– kolia z brylantów

– jacht pełnomorski”.

Dwie ostatnie pozycje zostały skreślane, a poniżej znajdował się dopisek: „Masz już wszystko, wariatko, przestań wreszcie świrować ☹ ”.

W ostatnim słowie nad „i” zamiast kropki wisiało serduszko.

Trudno docenić to, co się ma. Nie rejestrujesz powietrza wokół, ale wyląduj pod wodą, a szybko dotrze do ciebie, jakie jest cenne. Zrosiliśmy się z Agnieszką bardzo mocno, ale tak niepostrzeżenie, że uświadomiłem to sobie, dopiero gdy odeszła. Była niewidzialna jak powietrze. Albo jak nos do jego wdychania.

Fizycznie różnię się od tamtego Olafa jak motyl od poczwarki. Dawny „szkic do portretu” zaczął wreszcie przypominać gotowe dzieło, moja krewka dziewczyna i jej tata zabrali się do mnie z zapalem natchnionych rzeźbiarzy, chirurdzy poszli za ciosem, dosłownie i w przenośni. Za ciosami. Bolesnej przemianie powłoki towarzyszyła wewnętrzna metamorfoza dokonywana „na sucho”, bo wszelkie próby ulżenia sobie kończyłem z głową w sedesie. Nawet z narkozą był problem, więc wiele zabiegów przeszedłem bez znieczulenia. Organizm zafundował mi odwyk radykalny, który podobno jest najlepszą drogą do wyzwolenia z nałogu. Chemia mogła przyspieszyć i złagodzić cały proces, ale też by go spłyciła. Do wiosennej wdzięczności dochodziłem więc o własnych siłach i w swoim tempie, bez nazywania faz pośrednich i osładzania ich sobie pigułkami. Po polsku.

Podobno „ból rzeźbi duszę”. Nigdy nie kupowałem tego hasła, bo rzeźba i duch nie pasują mi do siebie. Nie czuję się wyrzeźbiony, raczej przeorany od wewnątrz. Nie mogę pływać jachtem, który butwieje w jakimś strzeżonym zakolu zalewu, bo poza alergią na substancje psychoaktywne nabawiłem się choroby morskiej. Nie słucham brit-popu, a seks stał się tabu, nawet nie próbowałem. Niech inni odjeżdżają, odlatują i odpływają, ja dziękuję, postoję. Zaszylem się w kokonie czterech ścian mieszkania i w kwadracie paru ulic, a soundtrackiem mojej transformacji jest cisza.

Wyszyński zamknął za sobą dźwiękoszczelne drzwi i ruszył korytarzem. Płomyki świeczek na podłodze zaprowadziły go do sypialni, w której było ich więcej. Ustawione na szafkach, półkach i wokół łóżka oświetlały postać w piżamie siedzącą w fotelu. W lawendowym świetle rude włosy wydawały się brązowe. Z głośników płynął cichy swing ze skrzeczącą trąbką i perlistym fortepianem w tle. Na stole leżała plansza. Białe kostki z literami – ułożone przy samym brzegu, żeby było trudniej – tworzyły słowo MUSKAJ. Uśmiechnął się i podniósł wzrok. Napotkał chłodne spojrzenie zmrużonych oczu; najwyraźniej tej propozycji nie należało traktować dosłownie. Jeszcze nie. Pochylił się nad garstką klocków, które mu przydzieliła. Nienaturalnie rozszerzona świadomość ogarnęła istniejącą konfigurację, a potem podsunęła tysiące możliwych. Litery łączyły się w słowa, a te w zdania, błyskawicznie odrzucając układy nonsensowne. Liczyło się tempo, więc poszedł na skróty. Zaczął od USTA w pionie, po czym dodał parę elementów i ułożył zdanie zaczynające się od CZY CHCESZ... Zdażyła dwa razy odetchnąć, trzeci raz był głęboki i chrapliwy, zakończony cichym jękiem.

Chciała.

Od niechcenia wskazał dwa słowa w rogu planszy.

– Palindrom.

Zmarszczyła czoło, a po chwili wyprostowała się z szeroko otwartymi oczami i przygryzioną dolną wargą.

Chciała!

Superdetektyw wstał po nagrodę za wysiłek, który kosztował go tyle, co nic. I dokładnie wtedy, zgodnie z erotyczną wersją prawa Murphy'ego – w myśl której podczas gry wstępnej suwaki zacinają się, haftki pękają, a telefony dzwonią – za ścianą rozległ się rumor. Tym razem jęknęła głośniej.

– Obudził się.

Wróciła na oparcie.

– Sprawdź, co u niego – mruknęła, zbierając rozchyloną na piersi koszulę.

Spojrzał na planszę, ale zapamiętywanie układu nie miało sensu, trzeba będzie ułożyć nowy.

– A na przyszłość: nie sprowadzaj go tu więcej w takim stanie.

Obiecał to żonie i z ciężkim westchnieniem ruszył do łazienki.

Prokurator siedział z głową w sedesie. Złapał go pod pachami, uniósł i przesunął po śliskiej podłodze pod ścianę. Bezwładne ciało było miękkie i ciężkie jak wywatowany worek z ołowiem. Opuchnięte oczy nadawały rysom mongoloidalny wygląd i nawet nie drgnęły, gdy głowa z pogłosem stuknęła o ścianę. Komisarz urwał kawałek papieru z rolki przy spluczce i wytarł nieruchome, nonszalancko wydęte usta. Zwilżonym końcem usunął krew zaschniętą wokół rozcięcia na nosie. Z kieszeni szarej marynarki wystawała szyjka butelki. Wyjął ją, z półki pod lustrem wziął plastikowy kubek i wysypawszy z niego szczoteczki do zębów, napełnił go do połowy zielonym płynem o miętowym zapachu. Przytknął do warg, które w końcu się poruszyły. Opróżnienie naczynia zajęło im jakieś dwie sekundy.

– Słyszałeś to? – spytał prokurator, otwierając przekrwione oczy.

– Co?

Grubas wyprostował się, pociągnął nosem i rozejrzał. Drżącą ręką namacał butelkę i wypił resztę jednym haustem. Policjant odwrócił głowę, dyskretnie omiatając wzrokiem łazienkę. Wyglądało na to, że jego gość przez ostatnie trzy godziny nie wstawał z podłogi i korzystał tylko z sedesu. Walcząc z mdłościami, spuścił wodę. Prokurator odwrócił się na dźwięk kaskady, podstawił pod nią dłoń i opryskał sobie twarz. Potrząsnął głową, zamrugał i spojrzał na gospodarza błędnym wzrokiem

– Zrobiłeś mi zdjęcie?

– Dwadzieścia zdjęć – mruknął Wyszyński, poprawiając stopą dywanik.

– Która godzina?

– Jedenasta.

– Słyszałeś to?

– Co?

Grubas w milczeniu rozejrzał się po wnętrzu. Spróbował wstać, ale zachwiał się, jakby nagle stracił czucie w nodze, i szukając oparcia, stracił z szafki koszyk. Nadymając policzki, popatrzył na rozsypane przybory do golenia, najwyraźniej zapomniawszy, jak wylądowały na podłodze.

– Co ci się stało w nos?

– Zaciąłem się przy goleniu.

Spoczęło na nim niespokojne spojrzenie krótkowidza.

– Jesteś tu czy mi się śnisz?

– A jak myślisz?

– Powiedz mi coś.

Woda, która zatrzymała się w opuchniętych oczach, zaczęła spływać pojedynczymi kroplami, przydając pytaniu patosu.

– Dlaczego nazywasz się Wyszyński?

– Spadaj – mruknął komisarz, schylając się po golarzkę i kosmetyki. Czuł na karku rozwodnione spojrzenie, które musiało złagodzić, bo w głosie usłyszał kpinę.

– Jesteś jakimś wnukiem kardynała?

– Stary dowcip.

– Mnie możesz powiedzieć.

– Nie mogę.

Wstał z pełnym koszykiem i ustawił go poza zasięgiem nieskoordynowanych rąk.

– Dzwoniła twoja żona, martwi się – rzucił. – Mam cię przywieźć do domu.

Prokurator myślał przez chwilę, po czym z mokrym plaśnięciem uderzył się w twarz.

– Nie chce ze mną spać – obwieścił.

– Przykro mi.

Nie mógł oderwać wzroku od świeżego strupka na perkatym nosie. Niemal czarny w środku, na postrzępionych brzegach podchodził żółcią. Obok zaczęły się rysować czerwone ślady palców.

– Zwłaszcza jak wypiję.

Coś zaczęło wzbierać w napełnionych alkoholem, opróżnionych, a potem znowu napełnionych trzewiach. Jakaś fala podchodziła do gardła, pompując krew do popękanych naczynek i wysadzając oczy z orbit. Już, już wydawało się, że głowa eksploduje, zamieniając żywego człowieka w abakan, w końcu jednak wydobył się z niej tylko syk.

– Dlaczego?

Dolna warga zadrżała, a oczy zwilgotniały, tym razem od środka.

– Dawniej dopominała się o to codziennie, a teraz... – jęknął. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – wyznał szczerze komisarz. Zamyślił się. To, że prokurator stanowi obiekt czyjegoś seksualnego pożądania, nie mieściło mu się w głowie. Chociaż mógł się zgodzić, że teoretycznie jest to możliwe. Jak się ostatnio przekonał, w tych sprawach możliwe jest wszystko. Łatwiej jednak było mu zrozumieć obecny chłód pani prokuratorowej niż jej dawne „dopominanie się”.

– Miałeś rację, matka Dzikiego kłamała – rzucił, by zmienić temat. – Pójdzie siedzieć.

– Nasza dzika dewotka... – mruknął grubas, wycierając oczy. – Podałem ci ją na tacy.

– Dziękuję.

– A co z ochroniarzem?

Wypróbowana metoda – sprowadzenie rozmowy na twardy grunt spraw

zawodowych – zadziałała, niemal widział, jak umysł na granicy szaleństwa rozluźnia zasupłane zwoje i zaczyna pracować według wyuczonego wzoru. Wchodzi w tryb śledztwa. Prokurator robił to nieporadnie, jakby wiązał sznurówki skostniałymi palcami. Postanowił mu pomóc.

– Dostał piętnaście lat za zabójstwo w afekcie – odparł i klepieniem w plecy skierował go do drzwi. – Chodźmy, panie Nowak, czas się obudzić.

Prokurator omiół wzrokiem pociągłą twarz Wyszyńskiego i zajrzał głęboko w jego szaroniebieskie oczy. Znowu pociągnął nosem.

– Masz tu jakieś owoce?

– Tak, ale najpierw coś ci puszczę.

– Obudziła mnie muzyka, chyba Purple...

– Brawo. – Naciskając kłamekę, gestem zaprosił gościa na korytarz.

– Słyszałeś to?

Poprowadził go świetlistym szlakiem do pracowni, rozważając fascynujący problem repertuaru.

- [1] *Selbstverständlich* (niem.) – oczywiście; *genau* – dokładnie.
- [2] William Shakespeare, *Wiele hałasu o nic*, przeł. Leon Ulrich, Hachette 2016.
- [3] Antoni Słonimski, *Kontrmarsz, Godzina poezji*, Warszawa 1923.
- [4] asprocolia.blox.pl
- [5] Blondie, *Heart of Glass*.
- [6] *Bal wszystkich świętych*, słowa: Andrzej Mogielnicki.
- [7] Sylwester Latkowski, *Pamiętam jak...*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2001.
- [8] Rdz 6, 17, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003.
- [9] Lao Che, *Hydropiekłównostąpienie*.
- [10] *Sen o dolinie*, słowa Adam Sikorski.